

**Christopher Moore**

# **Brudna Robota**

*(A dirty job)*

*Przełożył Jacek Drewnowski*

*Książkę dedykuję  
Patricii Moss, która równie hojnie  
dzieliła się swoją śmiercią, jak swoim życiem.*

*ORAZ*

*Pracownikom i wolontariuszom  
w hospicjach na całym świecie.*

## CZEŚĆ PIERWSZA

### SMUTNY BIZNES

*Życia, co go szukasz, nigdy nie znajdziesz.*

*Kiedy bogowie tworzyli człowieka,*

*Życie zachowali we własnym ręku.*

*Napełniaj żołądek.*

*Dniem i nocą obyś wciąż był wesół.*

*Patrz, jak dziecię twej ręki się trzyma.*

*Kobiecą sprawę czyń z chętną niewiastą.*

*Tylko takie są sprawy człowieka.*

Epos o Gilgameszu

## 1

### NIE MOGŁEM STANAĆ I CZEKAĆ NA ŚMIERĆ – ONA SAMA MNIE PODWIOZŁA

Charlie Asher chodził po ziemi tak, jak mrówka porusza się po powierzchni wody – jakby najmniejszy krok mógł sprawić, że znajdzie się pod powierzchnią i wciągną go głębiny. Obdarzony wyobraźnią samca beta, przez znaczną część życia spoglądał w przyszłość w poszukiwaniu wszelkich sposobów, w jakie świat spiskował, by go zabić. Jego, jego żonę Rachel, a teraz także nowo narodzoną Sophie. Ale pomimo całej jego ostrożności, całej paranoi, nieustannej zgrzyoty od chwili, gdy Rachel wysikała niebieski pasek na teście ciążowym, aż do momentu, gdy ją wwożono na wózku do szpitala St. Francis Memoriał, śmierć i tak się podkradała.

– Nie oddycha – powiedział Charlie.

– Oddycha jak trzeba – odparła Rachel, klepiąc noworodka po plecach. – Chcesz ją potrzymać?

Tego dnia Charlie trzymał już maleńką Sophie przez kilka sekund, po czym szybko oddał ją położnej, nalegając, by ktoś bardziej wykwalifikowany policzył małej palce u rąk nóg. Sam robił to dwa razy i za każdym wychodziło mu dwadzieścia jeden.

– Zachowują się, jakby wszystko było w porządku. Że niby dzieciak ma dziesięć palców u rąk, dziesięć u nóg wszystko będzie dobrze. A jeśli są jakieś dodatkowe? No? Nadprogramowe palce? A jeśli ma ogon?

(Charlie był pewien, że na ultrasonogramie z szóstego miesiąca ciąży dostrzegł ogon. Pępowina, akurat! Zachował kopie wydruku).

– Nie ma ogona, panie Asher – zapewniła położna. A palców jest dziesięć plus dziesięć, sprawdziliśmy. Może lepiej pójdzie pan do domu i odpocznie.

– I tak ją kocham, nawet z tym dodatkowym palcem.

– Jest najzupełniej normalna.

– U ręki albo u nogi.

– Naprawdę wiemy, co robimy, proszę pana. To śliczna zdrowa dziewczynka.

– Albo z ogonem.

Położna westchnęła. Była niska, tęga i miała na prawej łydce wytatuowanego smoka, widocznego przez białe, pielęgniarskie pończochy. Przez cztery godziny dziennie masowała wcześniaki rękami wsuniętymi w otwory inkubatora Lucite,

jakby trzymała w nich radioaktywną iskrę. Mówiła do nich, chwaliła, opowiadała, jakie są niezwykle, i czuła bicie serduszek w klatkach piersiowych nie większych niż zwinięta para sportowych skarpet. Płakała nad każdym, wierząc, że łyzy i dotyk przeleją trochę jej własnego życia w te ciała.

Mogła sobie na to pozwolić. Była położną od dwudziestu lat i nigdy nawet nie podniosła głosu na świeżo upieczonemu ojcu.

– Nie ma żadnego cholernego ogona, durniu! Patrz! – Zsunęła kocyk i wycelowwała w Charliego pupę Sophie, jakby miała mogła puścić serię śmiercionośnych kupek, jakiej prostoduszny samiec beta nigdy nie widział.

Charlie odskoczył – był szczupłym i zwinnym trzydziestolatkiem – a potem, zrozumiał, że dziecko nie jest nabite, wygładził klapy tweedowej marynarki w geście świętego oburzenia.

– Mogliście usunąć jej ogon na porodówce, a my o niczym nie wiemy. – Faktycznie mógł nie wiedzieć. Został poproszony o wyjście z porodówki, najpierw przez ginekologa, a w końcu przez Rachel. („On albo ja” – powiedziała. „Jedno z nas musi wyjść”).

W sali Charlie powiedział do Rachel:

– Jeśli odcięli jej ogon, powinniśmy go zabrać. Będzie chciała go zachować, kiedy dorośnie.

– Sophie, twój tatuś wcale nie jest wariatem. Po prostu nie spał od paru dni.

– Patrzy na mnie – stwierdził Charlie. – Patrzy na mnie tak, jakbym przepuścił pieniądze na jej studia na wyścigach i teraz będzie musiała się puszcząć, żeby dostać MBA.

Rachel wzięła go za rękę.

– Skarbie, wątpię, żeby już umiała skupić wzrok, a poza tym jest trochę za młoda, żeby się martwić, czy będzie się puszcząć dla MFA.

– MBA – poprawił. – W dzisiejszych czasach bardzo wcześnie zaczynają. Zanim się połapię, którą na wyścigi, może być już dostatecznie duża. Boże, twoi rodzice mnie znienawidzą.

– To nie nowina.

– Ale mieliby nowe powody. Zrobiłem *szikse* z ich wnuczki.

– To nie *szikse*. Już to omawialiśmy. Jako moja córka jest Żydówką, tak jak ja.

Charlie przykląkł przy łóżku na jedno kolano i ujął w palce małą dłoń Sophie.

– Tata przeprasza, że zrobił z ciebie *szikse*. – Opuścił głowę, zanurzając twarz w miejscu, gdzie dziecko dotykało boku Rachel. Rachel przejechała mu

paznokciem po włosach, rysując ostry zakręt na jego wąskim czole.

– Musisz iść do domu i się przespać.

Charlie mruknął coś w prześcieradło. Kiedy podniósł wzrok, miał w oczach łzy.

– Wydaje się ciepła.

– Bo jest ciepła. Powinna taka być. Jest ssakiem. To ma związek z karmieniem piersią. Dlaczego płaczesz?

– Jesteście takie piękne. – Zaczął układać ciemne włosy Rachel na poduszce. Nasunął długi kosmyk na głowę Sophie, stylizując go na niemowlęcą perukę. – Nic by się nie stało, gdyby nie wyrosły jej włosy. Pamiętasz, ta gniewna irlandzka piosenkarka. W ogóle nie miała włosów, a wyglądała atrakcyjnie. Gdybyśmy mieli jej ogon, moglibyśmy przeszczepić cebulki.

– Charlie! Idź do domu!

– Twoi rodzice będą mnie obwiniać. Ich wnuczka, łysa *szikse*, która się puszcza dla dyplomu z biznesu... To wszystko będzie moja wina.

Rachel wzięła z kołdry brzęczyk i uniosła go, jakby przyczepiono doń bombę.

– Charlie, jeśli nie pójdziesz do domu i się nie prześpisz, przysięgam, że wezwę pielęgniarkę i każę cię wyrzucić.

Przyjęła surowy ton, ale się uśmiechała. Zawsze lubił patrzeć na jej uśmiech. Wyglądał jak aprobata i przyzwolenie. Przyzwolenie, by był Charliem Asherem.

– Dobra, pójdę. – Wyciągnął rękę, by dotknąć jej czoła. – Masz gorączkę? Wyglądasz na zmęczoną.

– Właśnie urodziłam dziecko, osłe!

– Po prostu się o ciebie troszczę. – Nie był osłem. Obwinięła go o ogon Sophie i dlatego nazwała go osłem, a nie durniem, jak wszyscy inni.

– Skarbie, idź. Już. Żebyś mogła odpocząć.

Uklepał jej poduszki, sprawdził, czy w dzbanku jest woda, poprawił kołdrę, pocałował ją w czoło, pocałował dziecko w główkę, uklepał dziecko, a potem zaczął inaczej układać kwiaty, które przesłała jego matka. Umieścił dużą lilię z przodu...

– Charlie!

– Już idę. Jezu. – Ostatni raz omiół salę wzrokiem, po czym cofnął się w stronę drzwi.

– Przynieść ci coś z domu?

– Dam sobie radę. Myślę, że w zestawie, który mi spakowałeś, niczego nie brakuje. Właściwie niewykłuczone, że gaśnica do niczego mi się nie przyda.

– Lepiej ją mieć i nie potrzebować, niż potrzebować i...

- Idź! Odpocznij, lekarz zbada Sophie, a rano zabierzemy ją do domu.
- To chyba bardzo szybko.
- Standardowa procedura.
- Mam przynieść więcej gazu do kuchenki turystycznej?
- Postaramy się, żeby wystarczyło.
- Ale...

Rachel uniosła brzęczyk, jakby chciała powiedzieć, że niespełnienie jej żądań będzie miało opłakane skutki.

- Kocham cię – powiedziała.
- Ja też – odparł Charlie. – Kocham was obie.
- Pa, tatusiu. – Rachel pomachała mu małą rączką Sophie.

Charliego ścisnęło w gardle. Nikt wcześniej nie nazwał go tatusiem, nawet kukielka. (Raz zapytał Rachel podczas seksu: „Kto jest twoim tatusiem?”. Na co odparła: „Saul Goldstein”, czyniąc go na tydzień impotentem i przywołując najróżniejsze sprawy, o których wolał nie myśleć).

Wycofał się z pomieszczenia, zamknął drzwi, a następnie przeszedł przez korytarz i minął recepcję, w której położna z wytatuowanym wężem uśmiechnęła się, patrząc na niego z ukosa.

\* \* \*

Charlie jeździł sześciolatnim minivanem, którego odziedziczył po ojcu razem ze sklepem z używanymi rzeczami i budynkiem, w którym ów sklep się znajdował. W samochodzie zawsze unosił się lekki zapaszek kurzu, kulek na mole i potu, pomimo istnego lasu zapachowych choinek, które Charlie wieszał na każdym haczyku, klamce i innych wystających elementach. Otworzył drzwi auta i oblała go niemą woń towarów ze sklepu.

Zanim włożył kluczyk do stacyjki, zauważył na siedzeniu pasażera płytę CD z piosenkami Sarah McLachlan. Rachel będzie za nią tęsknić. To jej ulubiona płyta i przecież zwykle nie mogła się bez niej obyć. Charlie złapał płytę, zamknął samochód i ruszył z powrotem do sali żony.

Ku jego uldze, położna zniknęła z recepcji i nie musiał znosić jej lodowatego, oskarżycielskiego wzroku – potrafił go sobie wyobrazić. W myślach przygotował sobie wcześniej krótką mowę o tym, że dobry mąż i ojciec powinien przewidywać potrzeby i zachcianki żony, co obejmowało przynoszenie jej muzyki. Mógł jeszcze wykorzystać tę mowę przy wyjściu, gdyby położna jednak posłała mu lodowate

spojrzenie.

Otworzył drzwi do sali Rachel – powoli, by jej nie przestraszyć – spodziewając się ujrzeć jej uśmiech, ciepły, lecz pełen dezaprobaty. Zobaczył jednak, że Rachel śpi, a obok jej łóżka stoi bardzo wysoki czarnoskóry mężczyzna, odziany w miętową zielen.

– Co pan tu robi?

Mężczyzna w zieleni odwrócił się zaskoczony.

– Widzisz mnie? – Wskazał swój krawat czekoladowej barwy i Charliemu na ułamek sekundy przypomniały się cienkie, miętowe czekoladki, jakie w niektórych hotelach zostawiają gościowi na poduszce.

– Jasne, że widzę. Co pan tu robi?

Charlie podszedł do łóżka Rachel, wciskając się między nieznanego a swoją rodzinę. Wysoki czarnoskóry mężczyzna najwyraźniej fascynował małą Sophie.

– Niedobrze – powiedział Groszkowy.

– Pomylił pan sale – oznajmił Charlie. – Proszę wyjść. – Poklepał dłoń Rachel.

– Bardzo, bardzo niedobrze.

– Proszę pana, moja żona śpi, a pan pomylił sale. Teraz proszę wyjść, zanim...

– Ona nie śpi – odparł Groszkowy. Mówił cicho, z lekkim południowym akcentem. – Przykro mi.

Charlie odwrócił się, by popatrzeć na Rachel, spodziewając się, że ujrzy jej uśmiech i usłyszy, że ma się uspokoić. Miała jednak zamknięte oczy, a jej głowa zsunęła się z poduszki.

– Kochanie? – Wypuścił płytę z ręki i delikatnie potrząsnął żoną. – Kochanie?

Mała Sophie zaczęła płakać. Charlie dotknął czoła Rachel, po czym złapał ją za ramiona i znowu potrząsnął.

– Kochanie, obudź się. Rachel. – Przyłożył ucho do jej serca i nic nie usłyszał. – Siostró!

Potyając się o łóżko, rzucił się po brzęczyk, który wysunął się z dłoni Rachel i leżał na pościeli.

– Siostró! – Wcisnął przełącznik i odwrócił się do mężczyzny w miętowej zieleni. – Co się stało... ?

Groszkowy zniknął.

Charlie wybiegł na korytarz, ale nikogo na nim nie było.

– Siostró!

Po dwudziestu sekundach zjawiała się położna z wytatuowanym wężem, a po kolejnych trzydziestu zespół reanimacyjny ze sprzętem.



Nic nie mogli zrobić.

**CIENKIE OSTRZE**

Wraz z nowym żalem pojawia się cienkie ostrze, które odcina nerwy, odłącza rzeczywistość i niesie ze sobą miłosierdzie. Dopiero z czasem, gdy się stępi, zaczyna się prawdziwy ból.

A zatem Charlie ledwo zdawał sobie sprawę z własnych wrzasków w szpitalnej sali Rachel, będąc pod wpływem środków uspokajających i warstewki elektrycznej hysterii, otaczającej wszystko, co robił tego pierwszego dnia. Później przypominało to wspomnienia lunatyka, sceny filmowane z oczodołu zombie, gdy jako żywy trup brnął przez wyjaśnienia, oskarżenia, przygotowania i ceremonie.

– Nazywamy to zawałem mózgu – wyjaśnił lekarz. – Podczas porodu, w nogach lub miednicy tworzy się skrzep, który następnie trafia do mózgu i odcina dopływ krwi. To rzadkie, ale się zdarza. Nic nie mogliśmy zrobić. Nawet gdyby zespół reanimacyjny ją uratował, miałaby poważnie uszkodzony mózg. Nie cierpiała. Zapewne czuła się tylko senna i omdlała.

Charlie szeptał, by powstrzymać się od krzyku.

– Facet w zieleni! Coś jej zrobił. Podał jej jakiś zastrzyk. Był tam i wiedział, że ona umiera. Widziałem go, kiedy przyszedłem do niej z płytą.

Pokazali mu nagranie ze szpitalnych kamer – położna, lekarz, władze szpitala, prawnicy – wszyscy oglądali czarno-białe obrazy, na których było widać jego wyjście z sali, potem pusty korytarz, a potem jego powrót. Nie było tam wysokiego czarnego mężczyzny, odzianego w miętową zieleń. Nie znaleźli nawet tego CD.

„Brak snu” – mówili. Halucynacje wywołane przemęczeniem. Szok. Podali mu proszki nasenne, proszki na niepokój, proszki na depresję, po czym odesłali do domu z nowo narodzoną córką.

Starsza siostra Charliego, Jane, trzymała małą Sophie, gdy rozmawiali nad ciałem Rachel i chowali ją następnego dnia. Nie pamiętał wybierania trumny i ustalania szczegółów. Przypominało to raczej sen somnambulika: jej krewni w czerni, którzy chodzili w tę i z powrotem, niczym krążące wokół widma, i wygłaszali nie pasujące do sytuacji, banalne kondolencje: „Tak nam przykro. Była taka młoda. Jeśli możemy coś zrobić... „,

Potem rodzice Rachel przytulili go, a ich głowy zetknęły się na podobieństwo wierzchołka trójnogu. Na posadzce w przedsionku domu pogrzebowego załśniły ich łzy. Za każdym razem, gdy starszy mężczyzna zanosił się szlochom, serce

Charliego pękało na nowo. Saul ujął jego twarz w dłonie i powiedział:

– Nie umiesz sobie tego wyobrazić, bo ja nie umiem.

Ale Charlie umiał to sobie wyobrazić, był bowiem samcem beta i wyobraźnia stanowiła jego przekleństwo. Umiał to sobie wyobrazić, bo stracił Rachel, a teraz miał córkę, tę maleńką, obcą istotę śpiącą w ramionach jego siostry. Umiał sobie wyobrazić, jak jego żonę zabiera mężczyzna w miętowej zieleni.

Charlie spojrział na łzy na posadzce i stwierdził:

– To dlatego w większości domów pogrzebowych mają dywany. Ktoś mógłby się pośliznąć.

– Biedaczek – powiedziała matka Rachel. – Spędzimy z tobą szywę, ma się rozumieć.

Charlie przeszedł przez pomieszczenie, kierując się do swojej siostry Jane, która była ubrana w męski, dwurzędowy grafitowy garnitur w prążki. Garnitur, w zestawieniu z fryzurą w stylu gwiazdy pop z lat osiemdziesiątych i niemowlęciem w różowym kocyku, które trzymała, sprawiał, że wydawała się nie tyle męska, ile zagubiona. Charlie pomyślał, że ubranie leży na niej lepiej niż na nim, ale i tak powinna była zapytać go o pozwolenie.

– Nie mogę tego zrobić – powiedział.

Opadł w przód, aż cypel przeredzonych, ciemnych włosów dotknął jej nasmarowanej żelem, platynowej grzywy. Taka pozycja, z pochylonym czołem, wydawała się najlepsza do wspólnego przeżywania żalu. Zupełnie jakby po pijanemu stał nad pisuarem i opadał w przód, aż jego głowa uderzy w ścianę. Rozpacz.

– Nieźle ci idzie – powiedziała Jane. – Nikt nie jest dobry w takich sprawach.

– Co to jest szywa, do cholery?

– Zdaje się, że taki hinduski bóg z mnóstwem rąk.

– Niemożliwe. Goldsteinowie chcą to ze mną spędzić.

– Rachel nic ci nie mówiła o żydowskich zwyczajach?

– Nie słuchałem. Myślałem, że mamy czas.

Jane podparła maleńką Sophie jednym ramieniem, a wolną ręką dotknęła karku Charliego.

– Wszystko będzie dobrze, mały.

\* \* \*

– Siedem – powiedziała pani Goldstein. – Szywa to znaczy „siedem”. Kiedyś

siedziało się przez siedem dni, oplakując zmarłego i modląc się. To ortodoksyjny wariant, dziś większość ludzi siedzi przez trzy dni.

Odbywali szywę w mieszkaniu Charliego i Rachel, z którego rozciągał się widok na tory tramwaju linowego na rogu Mason Street i Vallejo Street. Był to czteropiętrowy budynek w stylu edwardiańskim (nie był to może architektoniczny odpowiednik sukni wiktoriańskiej kurtyzany, miał jednak tyle detali w burdelowym stylu, że nawet marynarza by odrzuciło), wzniesiony po trzęsieniu ziemi i pożarze w 1906 roku, które zrównały z ziemią cały obszar obecnych North Beach, Russian Hill i Chinatown. Charlie i Jane odziedziczyli budynek wraz ze sklepem na parterze, gdy cztery lata wcześniej zmarł ich ojciec. Charlie przejął firmę, duży, podwójny apartament, w którym się wychowali, i koszty utrzymania budynku, a Jane dostała połowę przychodów z najmu i jedno z mieszkań na ostatnim piętrze z widokiem na Bay Bridge.

Zgodnie ze wskazówkami pani Goldstein, wszystkie lustra w domu przykryto czarną tkaniną, a na stoliku do kawy pośrodku salonu stanęła duża świeca. Powinni siedzieć na niskich ławkach lub poduszkach, a Charlie nie miał w domu ani jednego, ani drugiego. Pierwszy raz od śmierci Rachel zszedł więc do sklepu w poszukiwaniu czegoś, co by się nadało. Tylnie schody wiodły ze spiżarni za kuchnią do magazynu, gdzie Charlie miał biuro między pudłami z towarami, które należało posortować, ometkować i umieścić na sklepowych półkach.

W sklepie panowała ciemność, nie licząc sączącego się przez okno blasku ulicznych latarni na Mason Street. Charlie stanął u podnóża schodów z ręką na przełączniku światła i patrzył. Wśród regałów, bibelotów i książek, stosów starych odbiorników radiowych, wieszaków z ubraniami, wśród tych ciemnych kształtów w mroku widział przedmioty rozsiewające czerwone światło, niemal pulsujące, jak bijące serca. Sweter na wieszaku, porcelanowa żaba w gablotce, przy oknie stara taca z logo firmy Coca-Cola, para butów – wszystko to świeciło na czerwono.

Kiedy Charlie pstryknął przełącznikiem, świetlówki na suficie zamigotały i ożyły, a sklep wypełnił się światłem. Czerwony blask zniknął.

– Okeeeeeej – powiedział, uspokojony.

Zgasił światło. Przedmioty zaświeciły na czerwono. Na ladzie, blisko miejsca, w którym stał Charlie, znajdował się mosiężny wizytownik w kształcie tokującego żurawia, jaśniejący teraz czerwonym blaskiem. Charlie przyglądał mu się przez chwilę, by sprawdzić, czy na zewnątrz nie ma źródła czerwonego światła, które wpada do pokoju i bez powodu budzi w nim niepokój. Wszedł do pogrążonego w mroku sklepu, popatrzył z bliska na mosiężnego żurawia. Nie. Mosiądz bez dwóch

zdań pulsował czerwienią. Charlie odwrócił się i pognął po schodach z powrotem na górę najszybciej, jak mógł.

Omiał nie wpaść na Jane, która stała w kuchni i delikatnie kołysała Sophie w ramionach, mrucząc coś do niej pod nosem.

– I co? – spytała Jane. – Wiem, że gdzieś w sklepie masz kilka dużych poduszek.

– Nie mogę – powiedział Charlie. – Biorę leki. – Oparł się plecami o lodówkę, jakby chciał ją wziąć na zakładnika.

– Ja po nie pójde. Weź dziecko.

– Nie mogę, biorę leki – powtórzył. – Mam halucynacje.

Jane umieściła niemowlę w zgięciu, prawego łokcia, a wolną ręką objęła młodszego brata.

– Charlie, bierzesz proszki przeciwdepresyjne i przedwiekowe, a nie kwas. Rozejrzyj się po tym mieszkaniu, nie ma tu ani jednej osoby, która by czegoś nie brała.

Charlie omiół spojrzeniem kuchnię. Kobiety w czerni, w większości w średnim wieku albo starsze, kręciły głowami. Mężczyźni zachowywali stoicki spokój, stojąc na skraju salonu. Wszyscy trzymali szklaneczki z alkoholem i patrzyli w przestrzeń.

– Widzisz, wszyscy są pojebani.

– A mama? – Głową wskazał matkę, która wyróżniała się spośród innych siwych kobiet w czerni, bo nosiła srebrną indiańską biżuterię i była tak opalona, że wyglądała, jakby rozpuszczała się do szklanki, gdy unosiła ją do ust.

– Zwłaszcza mama – odparła Jane. – Poszukam czegoś, na czym można przesiedzieć szywę. Nie wiem, czemu nie możecie po prostu zostać na sofach. Weź swoją córkę.

– Nie mogę. Nie można mi jej powierzać.

– Bierz ją, łajzo! – warknęła mu prosto w ucho. Było to takie warknięcie szeptem. Dawno temu ustalili, kto z nich dwojga jest samcem alfa, i nie był to Charlie. Podała mu dziecko i ruszyła do schodów.

– Jane! – zawołał za nią. – Rozejrzyj się, zanim zapalisz światło. Sprawdź, czy zobaczysz coś dziwnego, dobra?

– Dobra. Coś dziwnego.

Zostawiła go w kuchni. Uważnie oglądał córeczkę, dochodząc do wniosku, że głowę ma trochę prostokątną, ale poza tym jest podobna do Rachel.

– Twoja mamusia kochała ciocię Jane – powiedział. – Zmawiały się przeciwko

mnie w „Ryzyku”... i w „Monopoly”... i w kłótniach... i w kuchni. – Osunął się po drzwiach lodówki, siadając z rozłożonymi nogami na podłodze, po czym zatopił twarz w kocyku Sophie.

W ciemności Jane uderzyła gołenią o drewnianą skrzynkę, pełną starych telefonów.

– To po prostu głupie – powiedziała do siebie i zapaliła światło. Nie zauważyła nic dziwnego. A potem, jako że o Charliem można było wiele powiedzieć, ale nie to, że jest stuknięty, znowu zgasiła światło, żeby się upewnić, że nic jej nie umknęło. – Tak. Dziwne.

W sklepie nie było nic dziwnego z wyjątkiem faktu, że stała w ciemności, masując sobie goleń. Ale wtedy, tuż przed ponownym zapaleniem światła, zobaczyła, że ktoś zagląda przez okno wystawowe, osłaniając oczy dłońmi, bo w szybie odbijały się światła z ulicy. Jakiś bezdomny albo pijak, pomyślała. Ruszyła przez pograżony w mroku sklep, lawirując między stertami komiksów, do miejsca za wieszakiem z kurtkami, skąd miała dobry widok na wystawę, pełną tanich aparatów fotograficznych, wazonów, sprzączek do pasków i najróżniejszych przedmiotów, które Charlie uznał za godne zainteresowania, ale na pewno niewarte wybicia szyby, by je ukraść.

Mężczyzna wydawał się wysoki i z pewnością nie był bezdomny. Miał ładne ubranie, całe w jednym, jasnym kolorze – zdawało jej się, że żółtym, ale w świetle latarni nie widziała wyraźnie. Może jasnozielonym.

– Zamknięte – oznajmiła Jane na tyle głośno, by usłyszał ją przez szybę.

Tamten zaczął rozglądać się po sklepie, ale nie mógł jej zobaczyć. Odszedł od wystawy i okazało się, że faktycznie jest wysoki. Bardzo wysoki. Światło latarni padło na jego policzek, gdy się odwrócił. Okazał się też bardzo chudy i bardzo czarny.

– Szukam właściciela – powiedział. – Muszę mu coś pokazać.

– Mieliśmy śmierć w rodzinie – odparła Jane. – Przez tydzień będzie zamknięte. Może pan wrócić za tydzień?

Wysoki mężczyzna skinął głową, rozglądając się przy tym po ulicy. Kołysał się na jednej nodze, jakby lada chwila miał pognać przed siebie, ale się powstrzymywał, niczym sprinter, napinający mięśnie w blokach startowych. Jane ani drgnęła. Na ulicy zawsze byli jacyś ludzie i pora nie była jeszcze taka późna, ale ten facet wydawał się wyjątkowo spięty.

– Jeśli ma pan coś do wyceny...

– Nie – uciął. – Nie. Proszę mu tylko powiedzieć, że ona... nie, proszę mu

powiedzieć, że pocztą przyjdzie paczka. Nie mam pewności kiedy.

Jane uśmiechnęła się pod nosem. Ten facet coś miał – broszkę, monetę, książkę – coś, co uważał za wartościowe. Może znalazł to w babcinej szafce. Widziała takie rzeczy dziesiątki razy. Zachowywali się tak, jakby odkryli Eldorado. Przynosili to w kieszeni płaszcza albo owinięte setkami warstw bibuły i taśmy klejącej. (Im więcej taśmy, tym bardziej bezwartościowy okazywał się dany przedmiot – istniała tu jakaś zależność). Dziewięć razy na dziesięć przynosili szajs. Nieraz widziała, jak jej ojciec łechce z finezją ego właścicieli i łagodzi ich rozczarowanie, przekonując, że wartość sentymentalna czyni dane przedmioty bezcennymi, i że on, skromny właściciel sklepu, nie ośmieli się oszacować ich ceny. Z kolei Charlie mówił im po prostu, że nie zna się na broszkach, monetach, czy co tam przynieśli, obarczając kogoś innego zadaniem przekazania im złych wieści.

– Dobrze, powiem mu – rzuciła Jane ze swojej kryjówki za kurtkami.

Wysoki mężczyzna odszedł, stawiając długie kroki – wyglądał jak modliszka. Po chwili zniknął z jej pola widzenia. Jane wzruszyła ramionami, zawróciła i zapaliła światło, po czym znowu zaczęła szukać poduszek.

Sklep był duży – zajmował niemal cały parter budynku – i nie najlepiej rozplanowany, bo każdy system, który Charlie wprowadzał, szedł w diabły po kilku tygodniach. Skutkiem była nie mieszanina systemów organizacyjnych, tylko cała masa bezładnych stosów różnych rzeczy. Lily, dziewczyna o drapieżnym wyglądzie i wiśniowych włosach, która pracowała u Charliego przez trzy popołudnia w tygodniu, mawiała, że skoro cokolwiek udaje im się znaleźć, to znaczy, że teoria chaosu sprawdza się w praktyce, po czym, mamrocząc pod nosem, wychodziła, by palić papierosy i spoglądać w otchłań. (Choć Charlie zauważył, że otchłań wyjątkowo przypomina śmietnik).

Jane potrzebowała dziesięciu minut, by w tym labiryncie znaleźć trzy poduszki, które wydawały się wystarczająco szerokie i grube, by przesiedzieć na nich szywą, a kiedy wróciła do mieszkania Charliego, zastała swojego brata śpiącego na podłodze w kuchni, zwiniętego w pozycji embrionalnej wokół maleńkiej Sophie. Pozostali żałobnicy zupełnie o nim zapomnieli.

– Ej, matolku. – Szturchnęła go stopą w ramię, a on przekręcił się na plecy, wciąż trzymając dziecko w ramionach. – Mogą być?

– Widziałaś coś świecącego?

Jane rzuciła poduszki na podłogę.

– Co?

– Świejące na czerwono. Widziałaś, żeby coś w sklepie świeciło, tak pulsowało na czerwono?

– Nie. A ty?

– Właściwie tak.

– Daj mi je.

– Co?

– Leki. Dawaj. Najwyraźniej są dużo lepsze, niż mi się wydawało.

– Ale mówiłaś, że to tylko proszki przedwiekowe.

– Dawaj je. Zajmę się twoim dzieckiem, kiedy będziesz na tej szywie.

– Nie możesz opiekować się moją córką, będąc na prochach.

– Dobra. Podaj mi tę kruszynę i idź siedzieć.

Charlie przekazał niemowlę Jane.

– Musisz też pilnować mamy, żeby nie przeszkadzała.

– O, nie. Nie bez prochów.

– Są w szafce z lekami w dużej łazience. Dolna półka.

Siedział teraz na podłodze, pocierając czoło, jakby chciał rozciągnąć skórę na swoim cierpieniu. Dźgnęła go kolaniem w ramię.

– Ej, mały, bardzo mi przykro. Wiesz to, prawda? Rozumie się samo przez się, nie?

– Tak. – Słaby uśmiech.

Uniosła niemowlę, po czym spojrzała z uwielbieniem w dół, w stylu Matki Boskiej.

– Co myślisz? Powinnam sobie takie sprawić, co?

– Możesz pożyczać moje, kiedy tylko zechcesz.

– Nie, powinnam mieć własne. I tak mi źle z powodu pożyczania twojej żony.

– Jane!

– Żartowałam! Rany. Czasami taki z ciebie kołek. Idź na szywę. Idź. Idź. Idź.

Charlie pozbiierał poduszki i poszedł do salonu, by wraz z teściami przeżywać żalobę. Denerwował się, bo z modlitw znał tylko „Aniele Boży, strózu mój”, i nie był pewien, czy poradzi sobie przez trzy pełne dni.

Jane zapomniała mu powiedzieć o wysokim facecie spod sklepu.



## POD AUTOBUSEM LINII CZTERDZIEŚCI JEDEN

Minęły dwa tygodnie, zanim Charlie wyszedł z mieszkania do bankomatu przy Columbus Avenue, gdzie pierwszy raz kogoś zabił. Jako broń wybrał sobie autobus linii czterdzieści jeden, jadący ze stacji Trans Bay przez most Bay do Presidio przy moście Golden Gate. Jeśli w San Francisco ma cię przejechać autobus, najlepiej postawić na linię czterdzieści jeden, bo można wtedy liczyć na ładny widok na most.

Tak naprawdę tego ranka Charlie nie zamierzał nikogo zabijać. Chciał tylko wziąć parę dwudziestodolarówek do sklepowej kasy, sprawdzić stan konta i ewentualnie kupić żółtą musztardę w delikatesach. (Nie należał do facetów, którzy lubią brązową. Brązowa musztarda to kulinarny odpowiednik skoków ze spadochronem – dobre dla kierowców wyścigówek i seryjnych zabójców – a zdaniem Charliego delikatna, żółta musztarda francuska dodawała życiu wystarczająco dużo smaku). Po pogrzebie przyjaciele i krewni zostawili mu w lodówce całe hałdy zimnych przekąsek i przez dwa tygodnie nie żywił się niczym innym, ale teraz zostały mu tylko szynka, ciemny żytni chleb i mleko Enfamil dla niemowląt – wszystko niejadalne bez musztardy. Kupił plastikową butelkę żółtej musztardy i, mając ją w kieszeni, od razu poczuł się bezpieczniej, ale kiedy autobus przejechał tego faceta, kwestia musztardy w ogóle wyleciała Charliemu z głowy.

\* \* \*

Był ciepły październikowy dzień, światło nad miastem nabrało jesiennej miękkości, letnia mgła przestała co rano niestrudzenie wypełzać znad zatoki i wiał leciutki wietrzyk, przez co nieliczne żaglówki na jej wodach wyglądały tak, jakby pozowały do obrazu malarza impresjonisty. Jeśli mężczyzna będący ofiarą Charliego zdążył przez ułamek sekundy zdać sobie sprawę, że zostanie przejechany, to może nie był z tego powodu szczęśliwy, ale naprawdę trudno by mu było wybrać ładniejszy dzień na to wydarzenie.

Facet nazywał się William Creek. Miał trzydzieści dwa lata i pracował jako analityk rynkowy w dzielnicy finansowej. Właśnie tam zmierzał tego ranka, gdy postanowił zatrzymać się przy bankomacie. Miał na sobie cienki, wełniany garnitur

i buty do biegania, a buty do pracy niósł w skórzanej teczce pod pachą. Z bocznej kieszeni teczki wystawała rączka składanego parasola, i to ona przyciągnęła uwagę Charliego, bo, mimo że wydawała się zrobiona ze sztucznego drewna orzechowego, świeciła na czerwono, jakby rozgrzano ją w kowalskim piecu.

Charlie stał w kolejce do bankomatu i próbował tego nie zauważać, udawać brak zainteresowania, ale nie mógł się powstrzymać i po prostu się gapił. To świeciło, do cholery! Czy nikt tego nie widział?

William Creek obejrzał się przez ramię, wsuwając kartę do maszyny, i zobaczył, że Charlie na niego patrzy, po czym usiłował zrobić z marynarki coś na podobieństwo płaszczki, by się zasłonić, gdy wstukował kod PIN. Zabrał swoją kartę i forszę, którą wypłuka maszyna, odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w kierunku rogu ulicy.

Charlie nie mógł już tego znieść. Rączka parasola zaczęła pulsować czerwienią niczym bijące serce. Gdy Creek był przy krawężniku, Charlie zawołał:

– Przepraszam. Przepraszam pana bardzo!

Gdy tamten się odwrócił, Charlie dodał:

– Pański parasol...

W tym momencie autobus linii czterdzieści jeden przejechał przez skrzyżowanie Columbus z Vallejo z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, kierując się w stronę chodnika, by zatrzymać się na następnym przystanku. Creek spojrzął w dół na swoją teczkę, którą wskazywał Charlie, i pięta jego sportowego buta natrafiła na lekko wystający nad poziom chodnika krawężnik. Tracąc równowagę, zaczął robić to, co zrobiliby każdy z nas, gdyby szedł przez miasto i nagle się potknął na dziurawym chodniku – kilka szybkich kroków, by odzyskać równowagę. Tyle że William Creek zrobił tylko jeden krok. W tył. Za krawężnik.

W takiej chwili trudno już uratować sytuację, prawda? Walnął go autobus linii czterdzieści jeden. Mężczyzna przeleciał dobre piętnaście metrów, zanim wylądował na tylnej szybie saaba niczym wielki impregnowany worek mięsa, po czym odbił się z powrotem na chodnik, gdzie zaczęły z niego wypływać różne ciecze. Jego rzeczy – teczka, parasol, złota spinka do krawata, zegarek Tag Heuer – pomknęły po asfalcie, odbijając się od opon, butów, studzienek kanalizacyjnych. Niektóre zatrzymały się dopiero przecznicę dalej.

Charlie stał przy krawężniku i próbował oddychać. Słyszał wyłącznie jeden dźwięk – wysoki, jakby ktoś uruchomił gwizdek zabawkowej lokomotywy. Potem ktoś na niego wpadł i Charlie, ocknąwszy się, zdał sobie sprawę, że ów odgłos to

był jego własny jęk.

Ten facet, facet z parasolem, został właśnie zmieciony z tego świata.

Ludzie podbiegali, tłoczyli się wokół, kilka osób gadało przez komórki. Kierowca autobusu niemal zmiażdżył Charliego, gnając chodnikiem w stronę trupa. Charlie chwiejnym krokiem ruszył za nim.

– Chciałem go zapytać...

Nikt na niego nie patrzył. Musiał wykorzystać całą swoją silną wolę, nie mówiąc o namowach siostry, by dziś w ogóle wyjść z mieszkania... a teraz to?

– Chciałem mu tylko powiedzieć, że jego parasol się pali – powiedział, jakby się tłumaczył przed oskarżycielami.

Tak naprawdę nikt go nie oskarżał. Ludzie przebiegali obok niego, niektórzy zmięzali w stronę ciała, inni przeciwnie. Obijali się o Charliego i oglądali z takim zdumieniem, jakby właśnie zderzyli się z potężnym prądem powietrznym albo duchem, a nie z człowiekiem.

– Parasol – powiedział Charlie, szukając dowodu. Po chwili zauważył go przy następnym rogu. Leżał w rynsztoku, wciąż świecąc na czerwono, pulsując niczym zepsuty neon. – Tam! Patrzcie!

Ludzie stanęli wokół zwłok szerokim półkolem i zakrywali usta dłońmi. Nikt nie zwracał uwagi na przerażonego, szczupłego mężczyznę, który wygadywał bzdury.

Charlie ruszył przez tłum w stronę parasola, zbyt wstrząśnięty, by odczuwać lęk. Gdy zostały mu do pokonania już tylko trzy metry, podniósł wzrok na ulicę, chcąc się upewnić, że nie nadjeżdża następny autobus, a potem zszedł z chodnika. Obejrzał się z powrotem akurat w chwili, gdy smukła, czarna jak smoła dłoń wyłoniła się z kanału burzowego i zabrała parasol z ulicy.

Cofnął się i rozejrzał, by sprawdzić, czy ktoś jeszcze to widział – ale nie. Nikt nie nawiązał z nim kontaktu wzrokowego. Obok przechodził akurat policjant i Charlie pociągnął go za rękaw. Gdy mundurowy odwrócił się na pięcie, a w jego oczach odmalowało się najpierw zdumienie, a potem coś, co wyglądało na prawdziwe przerażenie, Charlie go puścił.

– Przepraszam – powiedział. – Przepraszam. Rozumiem, że ma pan dużo pracy. Przepraszam.

Policjant wzruszył ramionami i zaczął się przeciskać przez tłum w stronę zmasakrowanego ciała Williama Creeka.

Charlie przebiegł Columbus Avenue i gnał przez Vallejo Street, aż oddech i walenie serca zagłuszyły w jego uszach wszystkie inne odgłosy. Kiedy od sklepu

dzieliła go tylko jedna przecznica, przesunął się nad nim jakiś wielki cień, niczym nisko przelatujący samolot czy ogromny ptak, i Charliemu przeszedł po plecach dreszcz. Opuścił głowę, uniósł ramiona i skręcił w Mason Street w chwili, gdy przejeżdżał tamtędy tramwaj linowy, pełen turystów, którzy patrzyli na wskroś przez niego. Podniósł wzrok, tylko na chwilę, i wydało mu się, że w górze zobaczył coś, co zniknęło nad dachem sześciopiętrowego, wiktoriańskiego budynku po drugiej stronie ulicy. Następnie otworzył drzwi i wpadł do swojego sklepu.

– Czołem, szefie – powitała go Lily.

Była bladą szesnastolatką, nieco przy kości – jej kobiece kształty wciąż stanowiły etap przejściowy między tłuszczykiem dziecka a noszeniem dziecka. Akurat dzisiaj jej włosy miały kolor lawendy: wyglądało to jak przypominająca hełm fryzura kury domowej z lat pięćdziesiątych, okryta kolorowym celofanem z wielkanocnego koszyka.

Charlie pochylił się i oparł o regał z osobliwościami przy drzwiach, chrapliwie wciągając hausty stęchłego powietrza.

– Chyba właśnie zabiłem człowieka – wydyszał.

– Doskonale – powiedziała Lily, ignorując zarówno jego słowa, jak i zachowanie. – Potrzebne będzie zastępstwo przy kasie.

– Autobusem – dodał.

– Dzwonił Ray – oznajmiła. Ray Macy był drugim pracownikiem Charliego, trzydziestodwuletnim kawalerem, którego cechowało niezdrowe zatarcie granic między Internetem a rzeczywistością. – Leci do Manili na spotkanie miłości swojego życia. Niejakiej pani Kocham-Cię-Długo. Jest przekonany, że to jego bratnia dusza.

– W kanale coś było – powiedział Charlie.

Lily oglądała odprysk czarnego lakieru na paznokciu.

– Więc urwałam się ze szkoły, żeby go zastąpić. Robię tak od kiedy cię, ee, nie ma. Muszę dostać usprawiedliwienie.

Charlie wyprostował się i podszedł do lady.

– Lily, słyszałaś, co powiedziałem?

Złapał ją za ramiona, ale wyrwała się z jego uścisku.

– Au! Kurwa. Zostaw mnie, stuknięty sadysto, to nowy tatuaż. – Uderzyła go pięścią w ramię, naprawdę mocno, po czym cofnęła się, rozcierając własne ramię. – Słyszałam wszystko. Skończ te odloty, *sil vous plait*. – Ostatnio, od kiedy znalazła *Kwiaty zła* Baudelaire'a w stercie używanych książek na zapleczu, urozmaicała swoje wypowiedzi francuskimi wtrętami. – Francuski lepiej wyraża głęboki *noir*

mojej egzystencji – twierdziła.

Charlie oparł ręce o ladę, by powstrzymać ich drżenie, po czym zaczął mówić powoli i z naciskiem, jakby zwracał się do osoby, dla której angielski nie jest językiem ojczystym:

– Lily, mam kiepski miesiąc i doceniam fakt, że rezygnujesz z wykształcenia, żeby tu przychodzić i odstraszać mi klientów. Ale jeśli zaraz nie usiądziesz i nie okażesz mi odrobiny cholernych ludzkich uczuć, będę cię musiał zwolnić.

Lily usiadła na barowym stołku z chromu i plastiku, który stał przy kasie, i odgarnęła z oczu długie lawendowe kosmyki.

– Mam z uwagą słuchać, jak przyznajesz się do zabójstwa? Robić notatki? A może wziąć z półki stary magnetofon i wszystko nagrywać? Próbuję ignorować twoje słowa, które potem musiałabym powtórzyć policji i ponieść osobistą odpowiedzialność za to, że pójdziesz do komory gazowej, a ty mówisz, że jestem nieczuła?

Charlie zadrżał.

– Jezu, Lily.

Bezustannie zaskakiwała go precyzja jej koszmarnego sposobu myślenia. Wydawała się cudownym dzieckiem koszmaru. Z drugiej strony, dzięki jej mrocznemu rozumowaniu zdał sobie sprawę, że zapewne nikt nie pošle go do komory gazowej.

– To nie było zabójstwo tego rodzaju. Coś za mną szło i...

– Cicho! – Uniosła rękę. – Jako twoja podwładna wolę nie zapisywać w swojej fotograficznej pamięci wszystkich szczegółów tej ohydnej zbrodni, by potem odtworzyć je w sądzie. Powiem tylko, że cię widziałam, ale dla osoby postronnej wyglądałaś zupełnie normalnie.

– Nie masz fotograficznej pamięci.

– Owszem, mam, i to jest moje przekleństwo. Nie mogę zapomnieć o bezsensie...

– W zeszłym miesiącu przynajmniej osiem razy zapomniałaś wynieść śmieci.

– Nie zapomniałam.

Charlie wziął głęboki wdech. Znajoma sytuacja, czyli kłótnia z Lily, podziałała na niego uspokajająco.

– No dobra, bez patrzenia. Jakiego koloru masz bluzkę? – Uniósł brew, jakby chciał powiedzieć: „Tu cię mam”.

Uśmiechnęła się i przez chwilę widział, że to jeszcze dziecko, urocze i niemądre, mimo ostrego makijażu i wyzywającego zachowania.

– Czarną.

– Zgadłaś.

– Wiesz, że mam tylko czarne ubrania. – Uśmiechnęła się. – Dobrze, że nie spytałeś o włosy. Właśnie dziś rano przefarbowałam.

– To niezdrowe. Te farby zawierają toksyny.

Lily uniosła lawendową perukę, odsłaniając krótko obcięte bordowe loki pod spodem, po czym opuściła ją z powrotem.

– Jestem całkowicie naturalna. – Wstała i poklepała stołek. – Siadaj, Asher. Opowiadaj. Zanudź mnie.

Oparła się plecami o ladę i przechyliła głowę, by okazać zainteresowanie, ale z ciemnym makijażem wokół oczu i lawendowymi włosami wyglądała raczej jak marionetka z zerwanym sznurkiem, tym który podtrzymuje głowę. Charlie obszedł ladę i usiadł na stołku.

– Stałem w kolejce za tym Williamem Creekiem i zobaczyłem, że jego parasol świeci...

Opowiedział jej całą historię, o parasolu, o autobusie, o ręce wyłaniającej się z kanału burzowego, o pospiesznym powrocie do domu i cieniu nad dachami. A kiedy skończył, spytała:

– Skąd wiesz, jak się nazywał?

– Hę? – zdziwił się Charlie.

Mogła zadać tyle strasznych i fantastycznych pytań, dlaczego wybrała właśnie to?

– Skąd wiesz, jak nazywał się ten facet? – powtórzyła. – Prawie z nim nie gadałeś, zanim kopnął w kalendarz. Widziałeś nazwisko na potwierdzeniu z bankomatu, czy jak?

– Nie, ja...

Nie miał pojęcia, skąd znał nazwisko tego człowieka. Pojawiło się niespodziewanie w jego głowie, wypisane dużymi drukowanymi literami. Zeskoczył ze stołka.

– Muszę lecieć, Lily.

Pomknął przez drzwi do magazynu, a potem schodami na górę.

– Nadal potrzebuję usprawiedliwienia do szkoły! – krzyknęła za nim z dołu Lily, ale Charlie jej nie słuchał.

Przebiegł przez kuchnię, mijając wysoką Rosjankę, kołyszącą w ramionach jego córeczkę, wpadł do sypialni i złapał notatnik, który trzymał na szafce nocnej przy telefonie.

Widniało w nim napisane jego własną ręką nazwisko William Creek, a pod spodem liczba 12. Usiadł na łóżku, trzymając notatnik tak, jakby to była fiolka z nitrogliceryną.

Za jego plecami rozległy się ciężkie kroki pani Korjev, która weszła za nim do sypialni.

– Panie Asher, co się stało? Biegał pan jak wściekły niedźwiedź.

Charlie był samcem beta, a miliony lat ewolucji doprowadziły do wykształcenia standardowej reakcji samców beta na to co niewytłumaczalne. Powiedział więc:

– Ktoś robi mnie w konia.

\* \* \*

Lily właśnie poprawiała flamastrem lakier na paznokciu, gdy do sklepu wszedł Stephan, listonosz.

– Co tam, Czarna? – spytał, wyciągając z torby plik przesyłek.

Był niskim, muskularnym czarnoskórym czterdziestolatkiem. Nosił ciemne okulary, które zazwyczaj nasuwał na włosy zaplecione w cienkie dredy. Wywoływał w Lily mieszane uczucia. Lubiła go, bo mówił do niej „Czarna”, co było skrótem od „Elficka Czarna Wierzba” – tak właśnie adresowane były przesyłki, które przychodziły do niej do sklepu. Niestety, był też wesoly i najwyraźniej lubił ludzi, więc mu nie ufała.

– Musisz podpisać – oznajmił, podsuwając jej elektroniczny notes. Bez patrzenia napisała „Charles Baudelaire”.

Stephan rzucił pocztę na ladę.

– Znowu pracujesz sama? Gdzie są wszyscy?

– Ray na Filipinach, Charlie w szoku. – Westchnęła. – Ciężar całego świata spoczywa na moich barkach...

– Biedny Charlie – powiedział listonosz. – Podobno śmierć współmałżonka to najgorsze, co się może człowiekowi przytrafić.

– Tak, to też. Ale dzisiaj jest w szoku, bo widział, jak na Columbus Avenue autobus przejechał faceta.

– Słyszałem o tym. Dojdzie do siebie?

– Kurde, nie, Stephan. Przejechał go autobus. – Pierwszy raz podniosła wzrok znad paznokci.

– Chodziło mi o Charliego. – Puścił do niej oko, nie zważając na jej surowy ton.

– A, wiesz, jak to Charlie.

– Jak mała?

– Wydziela różne obrzydliwe substancje. – Lily pomachała flamastrem pod nosem, jakby to mogło zamaskować woń dziecka.

– No to wszystko gra – powiedział Stephan z uśmiechem. – To wszystko na dzisiaj. Masz coś dla mnie?

– Wczoraj odkupiłam czerwone buty na słoninie. Męskie dziesiątki.

Stephan kolekcjonował stare ubrania w stylu alfonsów z lat siedemdziesiątych. Lily miała mieć oko na wszystko, co przychodziło do sklepu.

– Jaka wysokość?

– Dziesięć centymetrów.

– Niskie – powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało. – Trzymaj się, Czarna.

Lily pomachała mu flamastrem, gdy wychodził, po czym zaczęła sortować pocztę. Były to głównie rachunki, kilka ulotek, a także jedna gruba przesyłka w czarnej kopercie, wyglądająca na książkę albo katalog. Zaadresowano ją do Charliego Ashera, „sprzedawcy w Komisie Ashera” i miała znaczek z Plutońskich Brzegów Nocy, które najwyraźniej leżały w jakimś stanie na Z. (Lily uważała geografie nie tylko za potwornie nudną, ale także – w epoce Internetu – zupełnie zbędną).

Czy przesyłki nie zaadresowano do sprzedawcy w Komisie Ashera? – rozmyślała Lily. I czy to nie ona, Lily Elficka Czarna Wierzba, zajmowała się sprzedażą, jako jedyna pracownica – nie, właściwie kierowniczką rzezonego sklepu? I czy nie było jej prawem – nie, właściwie obowiązkiem – otworzyć kopertę i zaoszczędzić Charliemu fatygi? Śmiało, Wierzbo! Twój los jest przesądzony, a jeśli nie los, to przynajmniej sprzyjające okoliczności, co w politycznym żargonie oznacza jedno i to samo.

Wyjęła spod lady sztylet inkrustowany klejnotami (które wyceniono na siedemdziesiąt pięć centów) i rozcięła kopertę, po czym wyciągnęła książkę i od razu się zakochała.

Okładka była błyszcząca, jak w dziecięcej książeczce z obrazkami. Widniała na niej barwna ilustracja, przedstawiająca uśmiechnięty szkielet z małutkimi ludzikami nabitymi na palce. Wszyscy najwyraźniej świetnie się bawili, zupełnie jakby to była karuzela, która akurat wymagała przebiccia klatki piersiowej na wylot. Wszystko wyglądało odświętnie – kwiaty i słodczyce w kolorach podstawowych, przedstawione w stylu meksykańskiej sztuki ludowej. Nad ilustracją umieszczono tytuł: *Bardzo wielka księga Śmierci*, wydrukowany literami złożonymi z ludzkich piszczeli.



Lily otworzyła książkę na pierwszej stronie, do której ktoś przyczepił spinaczem małą karteczkę.

*To powinno wszystko wyjaśnić. Przepraszam.*

MF

Lily odpięła karteczkę i otworzyła tom na pierwszym rozdziale: „A zatem jesteś Śmiercią. Oto, czego ci potrzeba”. To było wszystko, czego potrzebowała. Najprawdopodobniej trzymała właśnie najfajniejszą książkę, jaką w życiu widziała. Charlie z pewnością nie umiałby docenić tej lektury, zwłaszcza w obecnym stanie ostrej nerwicy. Wsunęła tom do plecaka, po czym podarła karteczkę i kopertę na małe kawałeczki, które następnie włożyła na samo dno kosza na śmieci.

## SAMIEC BETA W NATURALNYM ŚRODOWISKU

Jane – powiedział Charlie. – Wydarzenia ostatnich paru tygodni przekonały mnie, że jakieś nikczemne siły albo osoby, niezidentyfikowane, ale jak najbardziej prawdziwe, zagrażają życiu takiemu, jakie znamy, a być może próbują nawet rozmontować samą strukturę naszej egzystencji.

– I dlatego muszę jeść żółtą musztardę? – Jane siedziała przy blacie kuchennym i jadła kielbaski koktajlowe Little Smokies prosto z paczki, maczając je w słoiku z francuską żółtą musztardą.

Mała Sophie siedziała na blacie w foteliku samochodowym czy też kołysce, w każdym razie czymś, co przypominało hełm szturmowca Imperium.

Charlie chodził po kuchni, wymachując kielbaską dla podkreślenia swoich słów.

– Po pierwsze, w sali Rachel był facet, który w tajemniczy sposób zniknął z filmów nagranych przez kamery.

– Bo nigdy go tam nie było. Zobacz, Sophie lubi żółtą musztardę, tak jak ty.

– Po drugie – ciągnął, pomimo uporczywej obojętności siostry – wszystkie rzeczy w sklepie świeciły tak, jakby były radioaktywne. Nie wkładaj jej tego do buzi.

– Boże, Charlie, Sophie jest hetero. Zobacz, jak wsuwa tę kielbaskę.

– A po trzecie, wczoraj na Columbus Avenue autobus przejechał tego Creeka. Wiedziałem, jak się nazywa, i miał parasol, który świecił na czerwono.

– Jestem zawiedziona. Chciałam ją wychowywać po dziewczęcemu, miałyby szansę, jakiej ja nigdy nie dostałam. Ale patrz, co robi z tą kielbaską. Ta mała ma wrodzony talent.

– Wyjmij jej to z buzi!

– Spokojnie, nie może jej zjeść. Nawet nie ma zębów. A to coś nie sterczy z jęczącego teletubisia. O, rany, muszę walnąć dużą tequilę, żeby wymazać ten obraz z umysłu.

– Ona nie może jeść wieprzowiny, Jane. Jest Żydówką! Chcesz zrobić z mojej córki *szikse*?

Jane wyciągnęła kielbaskę koktajlową z ust Sophie i obejrzała ją, nie zważając na podobne do światłowodu pasemko śliny, wciąż połączone z dzieckiem.

- Pewnie już nigdy ich nie tknę – powiedziała. – Zawsze będą wywoływać wizję mojej bratanicy, obciążającej koleśowi we frotowym kostiumie.
- Jane! – Charlie wyrwał jej kiełbaskę i cisnął do zlewu.
- Co?!
- Czy ty mnie w ogóle słuchasz?
- Tak, tak, widziałeś, jak autobus przejechał jakiegoś faceta, więc struktura ci się rozmontowuje. I co?
- I to, że chyba ktoś robi mnie w konia.
- A co to za nowina? Od kiedy skończyłeś osiem lat, ciągle myślisz, że ktoś robi cię w konia.
- Bo tak było. Zapewne. Ale tym razem to jest prawda. To może być prawda.
- Hej, to wołowe little smokies. Sophie nie jest jednak szychtą.
- *Szikse!*
- Wszystko jedno.
- Jane, nie pomagasz mi z tym problemem.
- Z jakim problemem? Masz jakiś problem?

\* \* \*

Problem Charliego polegał na tym, że jego wyobraźnia samca beta dręczyła go niczym bambusowe drzazgi pod paznokciami. Samce alfa są często obdarzone szczególnymi cechami fizycznymi, takimi jak wielkość, siła, szybkość, atrakcyjny wygląd, wykształconymi w ciągu eonów przez ewolucję, czyli przetrwanie najsilniejszego, któremu, mówiąc wprost, przypadają wszystkie dziewczyny. Z kolei gen samca beta przetrwał nie dzięki pokonywaniu przeciwności, lecz ich przewidywaniu i unikaniu. Kiedy samce alfa szły polować na mastodonty, samce beta umiały przewidzieć, że atakowanie wściekłego, włochatego buldożera za pomocą zaostrzonego patyka to lekka przesada, i zostawały w obozowisku, by pocieszać zrozpaczone wdowy. Kiedy samce alfa ruszały podbijać sąsiednie plemiona, zdobywać trofea i ścinać głowy, samce beta przewidywały, że w razie zwycięstwa napływ niewolnic spowoduje powstanie nadwyżki samotnych kobiet, wymienionych na nowszy, zdobyczny model. Nie będą one miały nic do roboty oprócz konserwowania świętych głów i liczenia trofeów, a niektóre poszukają pociechy w ramionach samców beta, które miały dość sprytu, by przeżyć. W wypadku klęski, cóż, powtarzała się historia z wdowami. Samce beta rzadko bywają najsilniejsze albo najszybsze, ale jako że umieją przewidywać zagrożenia,

ich liczba znacznie przewyższa liczbę samców alfa. To samce alfa rządzą światem, ale samce beta stanowią tryby, dzięki którym ta maszyna działa.

Problem (Charliego) polegał na tym, że wyobraźnia samca beta stała się zbyt duża w nowoczesnym społeczeństwie, podobnie jak kły tygrysa szablozębego czy testosteron samców alfa. Wyobraźni samców beta jest za dużo, by można ją było sensownie wykorzystać. W związku z tym wielu samców beta stało się hipochondrykami, neurotykami i paranoikami albo uzależniło się od pornografii czy gier komputerowych.

Choć wyobraźnia samca beta wykształciła się po to, by pomagać w unikaniu niebezpieczeństw, ma ona także działanie uboczne: pozwala mu na dostęp – jedynie w świecie fantazji – do władzy, pieniędzy i długonogich samic w typie modelek, które tak naprawdę nie raczyłyby go nawet kopnąć w nerki, by strząsnąć owada z buta. Bogata fantazja samca beta często wpływa na rzeczywistość, co objawia się nadzwyczajnym poziomem rozczarowania sobą. Niejeden samiec beta wierzy, wbrew wszelkim empirycznym dowodom, że jest samcem alfa obdarzonym przez stwórcę niewidzialną charyzmą, która – choć świetnie pomyślana – okazuje się całkowicie niewykrywalna dla kobiet niewykonanych z włókna węglowego. Za każdym razem, gdy modelka rozwodzi się z gwiazdorem rocka, samiec beta cieszy się w duchu (a dokładnie czuje ogromny przyływ niczym nie popartej nadziei). I za każdym razem, gdy piękna aktorka wychodzi za mąż, samiec beta ma poczucie straconej szansy. Całe Las Vegas – plastikowy przepych, skarby czekające na zdobywcę, ordynarne wieżowce i kelnerki z nieprawdopodobnymi biustami – powstało z rozczarowania samca beta.

Owo rozczarowanie sobą odegrało ważną rolę, gdy Charlie poznał Rachel tego deszczowego, lutowego dnia pięć lat wcześniej, kiedy to schował się przed burzą w Czystej, Jasno Oświetlonej Księgarni, a Rachel posłała mu nieśmiały uśmiech z nadsterty powieści Carson McCullers, które układała na półce. Szybko sobie wmówił, że leje się z niego chłopięcy urok, podczas gdy w istocie po prostu lało się z niego i już.

– Leje się z pana – oznajmiła.

Miała niebieskie oczy, jasną cerę i ciemne loki okalające twarz. Spojrzała na niego z ukosa, okazując mu akurat tyle uwagi, by połechtać ego samca beta.

– Tak, dziękuję – powiedział, podchodząc o krok bliżej.

– Przynieść panu ręcznik czy coś?

– Nie, jestem do tego przyzwyczajony.

– Leje się z pana na Cormaca McCarthy'ego.

– Przepraszam. – Otarł rękawem egzemplarz *Rącznych koni*, jednocześnie próbując zobaczyć, czy pod jej szerokim swetrem i bojówkami kryje się zgrabna figura. – Często tu pani przychodzi?

Rachel nie odpowiedziała od razu. Miała identyfikator, rozkładała towar z metalowego wózka i była niemal pewna, że już wcześniej widziała tego faceta w księgarni. Nie zachowywał się zatem głupio, tylko sprytnie. W pewnym sensie. Nie mogąc się powstrzymać, parsknęła śmiechem.

Charlie wzruszył mokrymi ramionami i uśmiechnął się.

– Nazywam się Charlie Asher.

– Rachel – powiedziała Rachel.

Podali sobie ręce.

– Rachel, miałabyś ochotę napić się kiedyś kawy czy coś?

– To zależy, Charlie. Najpierw musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań.

– Oczywiście – odparł. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, też chciałbym zapytać cię o to i owo. – W tym momencie myślał: „Jak wyglądasz nago?” i „Ile muszę czekać, zanim to sprawdzę?”.

– No dobrze. – Odłożyła *Balladę o smutnej knajpie* i zaczęła wyliczać na palcach. – Masz pracę, samochód i dach nad głową? I czy dwie ostatnie rzeczy to jedno? – Miała dwadzieścia pięć lat i od jakiegoś czasu była sama. Nauczyła się kontrolować kandydatów.

– Ee, tak, tak, tak i nie.

– Doskonale. Jesteś gejem? – Od jakiegoś czasu była sama w San Francisco.

– Zaprosiłem cię na kawę.

– To nic nie znaczy. Znałam facetów, którzy nie wiedzieli, że są gejami, dopóki parę razy się ze mną nie umówili. Zdaje się, że to moja specjalność.

– O rany, chyba żartujesz. – Obejrzał ją od stóp do głów i doszedł do wniosku, że pod luźnymi ubraniami na pewno ma świetną figurę. – Zrozumiałbym, gdyby było na odwrót, ale...

– Dobra odpowiedź. W porządku, napiję się z tobą kawy.

– Nie tak prędko. A moje pytania?

Wywróciła oczami i westchnęła.

– Dobra, wal.

– Tak naprawdę nie mam żadnych pytań. Tylko nie chciałem, żebyś myślała, że jestem łatwy.

– Zaprosiłeś mnie na kawę po półminutowej znajomości.

– Nie można mieć do mnie pretensji. Byłaś tu w całej okazałości, uczesana,

sucha, z dobrymi książkami...

– Pytaj!

– Myślisz, że jest taka możliwość, wiesz, kiedy już się poznamy, że mnie polubisz? Znaczący, wyobrażasz to sobie?

Nie miało znaczenia, że przegina – nieważne, czy był cwany, czy po prostu niezręczny. Była bezbronna wobec jego pozbawionego charyzmy uroku samca beta i wiedziała, co odpowiedzieć.

– Bez szans – skłamała.

– Tęsknię za nią – powiedział Charlie, po czym odwrócił wzrok od swojej siostry, jakby w zlewie było coś, co koniecznie należało dokładnie obejrzeć. Jego ramionami wstrząsnął szloch.

Jane podeszła i przytrzymała go, gdy opadł na kolana.

– Naprawdę tęsknię.

– Wiem.

– Nienawidzę tej kuchni.

– W pełni się z tobą zgadzam.

Dobra z niej była siostra.

– Widzę tę kuchnię i widzę jej twarz, i nie mogę tego znieść.

– Możesz. Zniesiesz. Będzie lepiej.

– Może powinienem się przeprowadzić, czy coś.

– Zrobisz, co uznasz za stosowne, ale cierpienie porusza się razem z nami. – Pomasażowała mu ramiona i kark, jakby jego żal był napięciem w mięśniu, które można było zlikwidować za pomocą nacisku.

Po kilku minutach znowu jako tako funkcjonował. Siedział przy blacie, między Sophie i Jane, i pił kawę.

– Więc myślisz, że wszystko to sobie wymyśliłem?

Jane westchnęła.

– Charlie, Rachel była dla ciebie pępkiem świata. Każdy, kto widział was razem, wiedział, że tak jest. Twoje życie kręciło się wokół niej. Gdy Rachel zabrakło, nie masz już podstawy, nie masz nic, co by cię mocno trzymało, jesteś roztrzęsiony, więc wszystko wydaje się nierzeczywiste. Ale ty masz podstawę.

– Mam?

– Siebie samego. Ja nie mam Rachel ani nikogo podobnego na horyzoncie, ale nie tracę panowania nad sobą.

– Chcesz powiedzieć, że muszę być samolubny, jak ty?

– Chyba faktycznie jestem samolubna. Myślisz, że jestem przez to złym

człowiekiem?

– A obchodzi cię to?

– Słuszna uwaga. Poradzisz sobie? Muszę iść kupić parę DVD o jodze. Jutro zaczynam kurs.

– Skoro zamierzasz uczestniczyć w kursie, po co ci te DVD?

– Muszę sprawiać wrażenie, że wiem, co robię, albo nikt się ze mną nie umówi. Poradzisz sobie?

– Tak. Nie mogę tylko wchodzić do kuchni ani na nic patrzeć w tym mieszkaniu, ani słuchać muzyki, ani oglądać telewizji.

– No to baw się dobrze – powiedziała, szczypiąc małą w nos w drodze do drzwi.

Kiedy poszła, Charlie siedział przez chwilę na blacie i patrzył na małą Sophie. O dziwo, tylko ona w całym mieszkaniu nie przywodziła mu na myśl Rachel. Była obcą istotą. Popatrzyła na niego – ach te wielkie, niebieskie oczy – jakimś takim dziwnym, szklistym wzrokiem. Nie z uwielbieniem czy zadziwieniem, których można by się spodziewać. Raczej tak, jakby za dużo wypila i zbierała się do odjazdu, kiedy tylko znajdzie kluczyki do samochodu.

– Przepraszam – powiedział Charlie, odwracając spojrzenie na stertę niezapłaconych rachunków przy telefonie.

Czuł, że dziecko na niego patrzy, zastanawiając się – jak myślał – ilu gościom we frotowych kostiumach musi obciągnąć, żeby dostać porządnego ojca. Sprawdził, czy jest dobrze przypięta pasami, po czym wyszedł, by wziąć pranie, bo tak naprawdę zamierzał być bardzo dobrym ojcem.

\* \* \*

Samce beta niemal zawsze są dobrymi ojcami. Zwykle cechuje je stałość i odpowiedzialność. To tacy faceci, których dziewczyny (o ile postanowią obyć się bez siedmiocyfrowej pensji czy wysoku dosiężnego powyżej metra) chcą na ojców swoich dzieci. Oczywiście, wolałyby nie iść z nimi w tym celu do łóżka. Ale kiedy dostaniesz kopa od paru samców alfa, całkiem miłym kompromisem wydaje się myśl o pobudce w ramionach faceta, który cię uwielbia, już choćby z samej wdzięczności za seks, i który zawsze będzie przy tobie, aż do przesytu.

Ponieważ samiec beta jest wierny. To doskonały mąż i doskonały przyjaciel. Pomoże ci chodzić i przyniesie zupę, kiedy zachorujesz. Samiec beta zawsze liczy się z innymi, dziękuje kobiecie po seksie i zwykle nie zwleka z przeprosinami. Jest

świetnym opiekunem domu, zwłaszcza jeśli kobieta nie czuje się specjalnie związana ze swoimi domowymi zwierzętami. Samcowi beta można ufać. Twoja dziewczyna będzie w dobrych rękach, jeśli zostawisz ją z kolegą, który należy do samców beta. No, chyba, ma się rozumieć, że to ostatnia zdzira. (Właściwie, ostatnie zdziry na przestrzeni dziejów mogą być wyłącznie odpowiedzialne za przetrwanie genu samców beta. Bo samiec beta, choć wierny, jest zupełnie bezradny wobec cudownych, napierających biustów).

Choć samiec beta ma potencjał, by zostać doskonałym mężem i ojcem, wciąż musi nabyć niezbędne umiejętności. Przez kilka następnych tygodni Charlie robił niewiele poza opieką nad maleńką obcą istotą. Była kosmitką, słowo – czymś w rodzaju maszynki do jedzenia, robienia kupy i wpadania w złość – a on ani w ząb nie rozumiał jej gatunku. Ale gdy się nią zajmował, rozmawiał z nią, nie spał przez nią, kąpał ją, patrzył, jak śpi, i beształ ją z powodu obrzydliwych substancji, które się z niej wydobywały – zaczął się zakochiwać. Pewnego ranka, po szczególnie aktywnej nocy, spędzonej na przemian na karmieniu i przewijaniu, obudził się i zobaczył, że mała patrzy głupkowato na karuzelkę nad swoim łóżeczkiem. A kiedy go zobaczyła, uśmiechnęła się. To załatwiło sprawę. Tak jak wcześniej jej matka, wyznaczyła kierunek jego życia za pomocą uśmiechu. I tak jak tego deszczowego poranka w księgarni, jego dusza pojaśniała. Dziwne okoliczności śmierci Rachel, świecące na czerwono przedmioty w sklepie, ciemny skrzydlaty kształt nad ulicą – wszystko to ustąpiło miejsca nowemu światłu jego życia.

Nie rozumiał, że ona kocha go bezwarunkowo, a zatem – kiedy wstawał w środku nocy, by ją nakarmić, wkładał koszulę, czesał się i sprawdzał, czy nie cuchnie mu oddech. Miłość do córki ogłuszyła go, a kilka minut później zaczął odczuwać lęk o jej bezpieczeństwo, który w ciągu kilku dni rozwinął się i rozkwitł w istny ogród paranoi.

– Wygląda to jak jakiś gąbkowy świat – powiedziała Jane pewnego popołudnia, gdy przyniosła ze sklepu rachunki i czeka, żeby Charlie je podpisał.

Charlie zabezpieczył wszystkie ostre rogi i krawędzie w mieszkaniu za pomocą gąbki i taśmy izolacyjnej, włożył plastikowe zatyczki do wszystkich gniazdek, zamontował zamki we wszystkich szafkach, zainstalował nowe wykrywacze dymu, tlenku węgla i radonu, a także włączył blokadę rodzicielską w telewizorze, przez co mógł oglądać już tylko programy z małymi zwierzątkami i nauką liter.

- Wypadki to najczęstsza przyczyna śmierci dzieci w Ameryce – oznajmił.
- Ale ona jeszcze nawet nie umie przewrócić się na brzusek.
- Chcę być przygotowany. Wszędzie piszą, że jednego dnia karmisz je piersią,



a drugiego budzisz się i one już rzucają studia. – Przewijał małą na stoliku do kawy i zużył przy tej okazji dziesięć chusteczek, o ile Jane dobrze policzyła.

– Myślę, że to może być przenośnia. Wiesz, niby że dzieci szybko rosną.

– Tak czy siak, kiedy zacznie raczkować, wszystko jest gotowe.

– Dlaczego nie zrobisz jej skafandra z gąbki? To prostsze niż obijanie całego świata czymś miękkim. Charlie, tu jest strasznie. Nie możesz zaprosić do domu kobiety, bo weźmie cię za świra.

Przez dłuższą chwilę patrzył w milczeniu na siostrę. Zamarł z zapasową pieluchą w jednej ręce i stopkami swojej córeczki między palcami drugiej.

– Kiedy będziesz gotowy – zająknęła się. – Znaczący, nie mówię, że przyprowadzisz tu jakąś kobietę.

– To dobrze, bo nie mam zamiaru.

– Jasne, że nie. Nic nie powiedziałam. Ale musisz wyjść z domu. Po pierwsze, powinieneś iść na dół do sklepu. Ray zrobił z komputera jakiś serwis randkowy, a strażniczka szkolna już trzy razy zaglądała do sklepu w poszukiwaniu Lily. Ja nie mogę prowadzić księgowości, wszystkim zawiadywać i jeszcze wykonywać swojej pracy. Tata nie bez powodu zostawił firmę właśnie tobie.

– Ale nie ma komu pilnować Sophie.

– Masz w budynku panią Korjev i panią Ling. Niech one się nią zajmą. Do diabła, ja mogę się nią opiekować wieczorami przez parę godzin, jeśli to w czymś pomoże.

– Nie zejdem tam wieczorem. To wtedy rzeczy stają się radioaktywne.

Jane położyła stertę papierów na stoliku obok główki Sophie, po czym cofnęła się, zaplótłszy ręce na piersi.

– Powtórz sobie w myślach to, co właśnie powiedziałaś.

Charlie zrobił to i wzruszył ramionami.

– Dobra, brzmi trochę dziwnie.

– Idź, pokaż się w sklepie. Tylko parę minut, zamocz nogi i tchnij bojaźń bożą w Raya i Lily, dobra? Ja skończę ją przewijać.

Jane wśliznęła się między kanapę i stolik, popychając brata, by zszedł jej z drogi. Przy okazji strąciła brudną pieluszkę, która spadła na podłogę i się otworzyła.

– O mój Boże! – jęknęła i odwróciła głowę.

– Jeszcze jeden powód, żeby nie jeść brązowej musztardy, co? – powiedział Charlie.

– Ty draniu!

Cofnął się.

– Dobra, idę na dół. Na pewno wiesz, jak to zrobić?

– Idź! – zawołała, gestem jednej ręki wyganiając go z pokoju, a palcami drugiej trzymając się za nos.

**CIEMNOŚĆ ZADZIERA NOSA**

Hej, Ray – powiedział Charlie, zszedłszy do magazynu. Zawsze starał się robić na schodach jak najwięcej hałasu, zwykle też krzyczał głośno „cześć”, by uprzedzić pracowników, że idzie. Pracował w różnych miejscach, zanim wrócił, by przejąć rodzinną firmę, i z doświadczenia wiedział, że nikt nie lubi podstępnego szefa.

– Hej, Charlie – odrzekł Ray, który siedział na stołku za ladą.

Miał na karku czwarty krzyżyk, był wysoki, łysiał i szedł przez życie, nie oglądając się za siebie. Nie mógł się oglądać. Sześć lat temu, jeszcze jako policjant z San Francisco, dostał w szyję kulkę od młodocianego gangstera, i to wtedy ostatni raz spojrzął w tył bez użycia lustra. Żył z wysokiej renty inwalidzkiej od miasta i pracował dla Charliego w zamian za darmowy wynajem mieszkania na czwartym piętrze, więc po transakcji nie było śladu w żadnych papierach.

Obrócił się na krześle twarzą do Charliego.

– Ee, chciałem powiedzieć, że, no wiesz, twoja sytuacja, znaczy twoja strata... Wszyscy lubiliśmy Rachel. Wiesz, jeśli mogę coś zrobić...

Charlie widział go pierwszy raz od pogrzebu, nie zwrócił więc uwagi na niezręczne słowa pocieszenia.

– I tak zrobiłeś bardzo dużo, zastępując mnie w pracy. Nad czym pracujesz? – Charlie rozpaczliwie starał się nie patrzeć na różne świecące na czerwono przedmioty.

– A, nad tym. – Ray odwrócił się i odsunął, by Charlie zobaczył monitor komputera, na którym widniały ułożone rzędami portrety młodych Azjatek. – Nazywa się to „Zdesperowane Kobiety z Filipin kropka com”.

– To tutaj poznałeś pannę Kocham-Cię-Długo?

– Nie nazywała się tak. Lily ci to powiedziała? To dziecko ma problemy.

– No tak, dzieci – powiedział Charlie, dostrzegając nagle krępa kobietę w tweedowym płaszczu, szperającą wśród półek z osobliwościami przy drzwiach sklepu. Trzymała świecącą na czerwono, porcelanową żabkę.

Ray kliknął na jednym ze zdjęć, otwierając podstronę z profilem.

– Spójrz na tę, szefie. Piszą, że lubi slupy. – Znowu obrócił się na stołku i uniósł brwi.

Charlie odwrócił wzrok od kobiety ze świecącą żabą i spojrzął na ekran.

– To takie żaglówki, Ray.

– Nieprawda. Zobacz, w szkole średniej była skiperką. – Tym razem uniósł rękę, by przybić piątkę.

– Tu też chodzi o żeglarstwo – wyjaśnił Charlie, a były gliniarz został z ręką w powietrzu. – To ta, co pokrzykuje na załogę.

– Poważnie? – spytał Ray, nie kryjąc zawodu.

Był żonaty trzy razy i wszystkie trzy żony zostawiły go z powodu jego niezdolności do dojrzałych relacji społecznych. Ray postrzegał świat jak gliniarz i choć wielu kobietom wydawało się to z początku pociągające, oczekiwały, że po jego powrocie z pracy do domu owo nastawienie zostanie przy drzwiach wraz z bronią służbową. Nic z tego. Kiedy Ray podjął pracę w Komisie Ashera, dopiero po dwóch miesiącach przestał mówić do klientów: „Rozejść się, nie ma tu nic do oglądania”. Ray wiele czasu poświęcał rozczarowaniu samym sobą i ludzkością w ogóle.

– Ale, stary... żeglarstwo! – powiedział z entuzjazmem Charlie, by ratować sytuację.

Lubił tego byłego gliniarza, pomimo jego nieprzystosowania. Ray był w zasadzie dobrym człowiekiem, lojalnym i dobrodusznym, pracowitym i punktualnym, a co jeszcze ważniejsze, włosy wypadły mu szybciej niż Charliemu.

Ray westchnął.

– Może powinienem poszukać innej strony. Jakie słowo oznacza coś więcej niż „zdesperowane”?

Charlie przez chwilę czytał informacje na dole ekranu.

– Ta kobieta uzyskała dyplom magistra literatury angielskiej na Cambridge, Ray. I popatrz na nią. Piękna. Dlaczego jest zdesperowana?

– Ej, zaraz. Dyplom magistra w wieku dziewiętnastu lat? Jest dla mnie za mądra.

– Wcale nie. Po prostu kłamie.

Ray obrócił się na stołku, jakby Charlie ukłuł go ołówkiem w ucho.

– Nie!

– Popatrz na nią. Wygląda jak modelka z opakowania ciasteczek z kalmarów o smaku zielonego jabłka.

– Mają coś takiego?

Charlie wskazał lewą stronę okna.

– Pozwól, że przedstawię ci Chinatown. Chinatown, to jest Ray. Ray, Chinatown.

Ray uśmiechnął się, zawstydzony. Dwie przecznice dalej znajdował się sklep, w którym nie sprzedawano niczego innego oprócz różnych suszonych części rekina. Wystawa była pełna zdjęć pięknych Chinek, trzymających rekinie śledziony i gałki oczne z taką dumą, jakby właśnie dostały Oscara.

– No, ostatnia kobieta, którą poznałem tą drogą, miała w swoim opisie parę błędów i niedopowiedzeń.

– Na przykład? – Charlie patrzył na kobietę w tweedowym płaszczu, idącą w stronę lady ze świecą żabą w ręce.

– Wiesz, napisała, że ma dwadzieścia trzy lata, metr pięćdziesiąt, sto pięć funtów, więc pomyślałem: „Dobra, mogę się zabawić z drobną kobietką”. A okazało się, że to sto pięć kilo.

– Czyli nie to, na co liczyłeś? – zapytał Charlie.

Uśmiechnął się do zbliżającej się kobiety, czując falę paniki. Chciała kupić tę żabę!

– Metr pięćdziesiąt, sto pięć kilo. Wyglądała jak skrzynka pocztowa. Z tym bym się jeszcze pogodził, ale miała nie dwadzieścia trzy, a sześćdziesiąt trzy lata. Jeden z jej wnuków próbował mi ją sprzedać.

– Przykro mi, nie może pani tego kupić – powiedział Charlie do klientki.

– Często się tak mówi – ciągnął Ray – ale rzadko spotykasz kogoś, kto naprawdę próbuje sprzedać własną babcię.

– Dlaczego nie? – spytała kobieta.

– Pięćdziesiąt dolców – powiedział Ray.

– Skandal – odparła kobieta. – Na metce jest dziesięć.

– Nie, pięćdziesiąt za babcię, z którą Ray ma romans – wyjaśnił Charlie. – A żaba nie jest na sprzedaż, proszę pani. Przykro mi. To wadliwy towar.

– Więc dlaczego stoi na półce? Dlaczego ma metkę z ceną? Nie widzę żadnej wady.

Najwyraźniej nie widziała, że ta głupia porcelanowa żaba nie tylko świeci, ale wręcz zaczęła pulsować. Charlie wyciągnął rękę przez ladę i wyrwał jej figurkę.

– Jest radioaktywna. Przykro mi. Nie może jej pani kupić.

– Wcale nie miałem z nią romansu. Poleciałem tylko na Filipiny, żeby ją poznać.

– Wcale nie jest radioaktywna – powiedziała kobieta. – Próbuje pan podbić cenę. W porządku, dam dwadzieścia.

– Nie, proszę pani, to zagraża bezpieczeństwu publicznemu – odparł Charlie, starając się zrobić zatroskaną minę i przyciskając żabę do piersi, jakby chronił

kobietę przed jej groźną energią. – W dodatku jest śmieszna. Proszę zauważyć, że gra na banjo, które ma tylko dwie struny. No, parodia! Może kolega pokaże pani małpę grającą na cymbałkach? Ray, pokaż tej młodej pani małpę. – Miał nadzieję, że zdobędzie parę punktów za „młodą panią”.

Kobieta zrobiła krok w tył, zasłaniając się torebką niczym tarczą.

– Nie wiem, czy chcę coś od was kupić, świry.

– Hej! – oburzył się Ray, jakby chciał powiedzieć, że w sklepie pracuje tylko jeden świr i że to nie on nim jest.

I wtedy szybkim krokiem podeszła do regału z butami i wzięła parę czerwonych trampek Converse Ali Stars w rozmiarze dwadzieścia. One także świeciły.

– Chcę kupić te buty.

– Nie. – Charlie rzucił zabę przez ramię do Raya, który złapał ją w ostatniej chwili. – Też nie są na sprzedaż.

Kiedy kobieta w tweedowym płaszczu uderzyła pośladkami w drzwi wejściowe i zadzwieczał dzwonek nad ościeżnicą, Charlie wykonał swój ruch. Zamarkował skok w lewo, po czym ruszył w prawo, wyciągnął rękę i złapał sznurowadła trampek, a wraz z nimi kawałek dużego, okrytego tweedem tyłka. Szybko cofnął się do lady i rzucił buty Rayowi, po czym odwrócił się i przyjął pozycję wojownika sumo, by stawić czoło klientce.

Wciąż stała przy drzwiach, jakby nie mogła się zdecydować, czy okazać strach, czy obrzydzenie.

– Powinno się was zamknąć. Zgłoszę to do Urzędu Ochrony Konsumentów i miejscowej organizacji kupieckiej. A pan, panie Asher, może powiedzieć pani Severo, że na pewno wrócę. – Z tymi słowami zniknęła za drzwiami.

Charlie odwrócił się do Raya.

– Pani Severo? Lily? Ona przyszła do Lily?

– Strażniczka szkolna – wyjaśnił Ray. – Przychodziła tu już parę razy.

– Mogłeś coś powiedzieć.

– Nie chciałem stracić klientki.

– Zatem Lily...

– Chowa się na zapleczu, kiedy ją widzi. Ta babka chciała też pogadać z tobą i spytać, czy usprawiedliwienia Lily są prawdziwe. Potwierdziłem.

– Lily wraca do szkoły, a ja do pracy.

– To świetnie. Odebrałem dziś telefon. Rezydencja w Pacific Heights. Dużo ładnych damskich ubrań. – Ray poklepał leżącą na ladzie kartkę papieru z notatnika. – Nie mam kwalifikacji, żeby się tym zająć.

– Zrobię to, ale najpierw mamy trochę do nadrobienia. Odwróć tabliczkę na „Zamknięte” i zamknij drzwi na klucz, dobrze?

Ray ani drgnął.

– Jasne, ale... Charlie, jesteś pewien, że możesz już wrócić do pracy? – Ray wskazał głową leżące na blacie trampki i żabę.

– A, to. Zdaje się, że coś jest z nimi nie tak. Nie widzisz w nich nic niezwykłego?

Ray przyjrzał się jeszcze raz.

– Nie.

– A w tym, że kiedy zabrałem jej żabę, od razu wzięła parę trampek, które na pewno na nią nie pasują?

Ray w myślach dokonał kalkulacji, kładąc na szalę prawdę oraz swój korzystny układ – mieszkanie, dochody pod stołem i szef, który był porządnym gościem, zanim mu odbiło – i w końcu powiedział:

– Tak, było w niej coś dziwnego.

– Aha! – wykrzyknął Charlie. – Szkoda, że nie wiem, skąd wziąć licznik Geigera.

– Mam licznik Geigera – powiedział Ray.

– Naprawdę?

– Jasne. Przynieść?

– Może później – odparł Charlie. – Zamknij drzwi i pomóż mi pozbierać towar.

Przez następną godzinę Ray patrzył, jak Charlie przenosi na zaplecze różne przedmioty – z pozoru wybrane na chybił trafił – surowo zabraniając mu przy tym ponownego wystawienia ich w sklepie bądź sprzedaży jakiegokolwiek klientowi. Potem przyniósł licznik Geigera, który pozyskał w drodze wymiany za rakietę tenisową bez naciągu, i zgodnie z poleceniem Charliego zbadał każdy z przedmiotów. Oczywiście okazały się zupełnie nieszkodliwe.

– I nie widzisz w tej stercie nic świecącego, pulsującego ani w ogóle? – spytał Charlie.

– Przykro mi. – Ray pokręcił głową, nieco zażenowany całą sytuacją. – Ale w sumie nieźle, jak na pierwszy dzień po powrocie do pracy – dodał na pocieszenie. – Może powinieneś skończyć na dzisiaj, zajrzeć do dziecka, a rano podjechać do tej rezydencji? Zapakuję te rzeczy i oznaczę pudło, żeby Lily ich nie sprzedała albo na coś nie wymieniła.

– Dobra – powiedział Charlie. – Tylko ich nie wyrzucaj. Chcę to rozgryźć.

– Jasne, szefie. Do zobaczenia rano.

– Tak. Dzięki, Ray. Możesz iść do domu, kiedy skończysz.

Charlie wrócił do mieszkania, przez całą drogę oglądając swoje ręce, by sprawdzić, czy nie przeszedł na nie czerwony blask ze sterty towarów. Wyglądały jednak zwyczajnie. Odesłał Jane do domu, nakarmił i wykąpał Sophie, przeczytał jej do poduszki parę stron *Rzeźni numer piec*, a potem wcześniej się położył i zapadł w niespokojny sen. Rano obudził się półprzytomny i po chwili usiadł gwałtownie na łóżku, z szeroko otwartymi oczami i mocno bijącym sercem, ujrzał bowiem kartkę na szafce nocnej. Kolejną. Zauważył, że tym razem nie jest to jego pismo, a ciąg cyfr był bez wątpienia numerem telefonu. Westchnął. Ten numer zapisał dla niego Ray. Charlie położył go sobie na szafce, żeby nie zapomnieć. „Pan Michael Mainheart”, głosiła notatka. I jeszcze: „luksusowe damskie ubrania” oraz podkreślone dwa razy słowo „futra”. Numer zaczynał się od miejscowego kierunkowego. Charlie wziął kartkę i pod spodem znalazł drugą. Widniało na niej to samo nazwisko, zanotowane jego własnym charakterem pisma, a pod spodem cyfra 5. Nie pamiętał, żeby to pisał. W tym momencie za oknem sypialni na drugim piętrze przemknęło coś dużego i ciemnego, ale gdy podniósł wzrok, już tego nie było.

\* \* \*

Zatokę spowijała mgła, a wielkie, pomarańczowe wieże mostu Golden Gate przy Pacific Heights wystawały z niej niczym marchewki z twarzy dwóch śpiących, połączonych bałwanów śnieżnych. Na Pacific Heights poranne słońce otworzyło już niebo. Po ogrodach i dziedzińcach wokół rezydencji krzatali się pracownicy.

Dojechawszy do domu Michaela Mainhearta, Charlie stwierdził, że nikt go nie zauważa. Na dziedzińcu pracowało dwóch mężczyzn. Pomachał im, przechodząc, ale oni nie zareagowali. Potem listonosz, schodzący z dużej werandy, zepchnął go z dróżki na zroszoną trawę, nie mówiąc nawet „przepraszam”.

– Przepraszam! – zawołał Charlie z sarkazmem, ale listonosz miał na uszach słuchawki i słuchał czegoś, co skłaniało go do kołysania głową na podobieństwo gołębia dziobiącego tabletki amfetaminy.

Charlie chciał już wykrzyknąć jakąś porażająco inteligentną uwagę, ale zmienił zdanie. Choć od ładnych paru lat nie słyszał o pracowniku poczty dokonującym rzezi, to wołał nie ryzykować, zwłaszcza że słowo „doręczyciel” kojarzyło mu się z „dręczycielem”.



Jednego dnia zupełnie obca osoba nazywa go świrem, a następnego funkcjonariusz publiczny spycha go z chodnika. To miasto zmieniało się w dżunglę.

Charlie zadzwonił do drzwi i czekał przy sześciometrowych wieżach z pancernego szkła. Po minucie usłyszał ciche kroki i za szybą mignęła drobna sylwetka, po czym drzwi powoli się otworzyły.

– Pan Asher – powiedział Michael Mainheart. – Dziękuję, że pan przyszedł.

Starszy mężczyzna tonął w garniturze w jodełkę, najwyraźniej kupionym trzydzieści lat temu, gdy jeszcze był postawniejszym mężczyzną. Podał Charliemu rękę. Jego skóra przypominała w dotyku stare opakowanie po chińskich pierożkach – była zimna i jakby zapyłona. Charlie starał się nie trząść, gdy gospodarz poprowadził go do wielkiej marmurowej rotundy z pancernymi oknami, sięgającymi sklepienia na wysokości dwunastu metrów, oraz krętymi schodami wiodącymi na galerijkę, która prowadziła do dalszych skrzydeł domu. Charlie często się zastanawiał, jak to jest mieć dom ze skrzydłami. Jak w takim miejscu znaleźć kluczyki do samochodu?

– Tędy – powiedział Mainheart. – Pokażę panu, gdzie żona trzymała ubrania.

– Przykro mi z powodu pańskiej żony – rzucił odruchowo Charlie.

Wiele razy był wzywany do rezydencji. „Nie chcesz wyjść na jakiegoś sępa” – mawiał jego ojciec. „Zawsze chwal towar. Dla ciebie to może być szajs, ale dla nich to często kawałek duszy. Chwal, ale nie požądaj. Możesz zarobić, nie naruszając przy tym niczyjej godności”.

– O, kurde – powiedział Charlie, gdy wszedł za mężczyzną do garderoby wielkości własnego mieszkania. – To znaczy... pańska żona miała wyśmienity gust, panie Mainheart.

Były tam całe rzędy strojów od ekskluzywnych projektantów. Suknie wieczorowe i dwukondygnacyjne wieszaki z różnymi ubraniami, ułożonymi według kolorów i stopnia formalności – wspaniała tęcza jedwabiu, lnu i wełny. Kaszmirowe swetry, kurtki, płaszcze, spódnice, bluzki, bielizna. Garderoba miała kształt litery T, na szczycie której znajdowała się duża toaleta z lustrami, a w skrzydłach dodatki (nawet garderoba miała skrzydła!), po jednej stronie buty, a po drugiej paski, szale i torebki. Całe skrzydło butów – włoskich i francuskich, ręcznie uszytych ze skóry zwierząt, które kiedyś wiodły radosne, bez troski życie. Po bokach toaletki na końcu garderoby widniały wysokie lustra i Charlie dostrzegł odbicia własne i Mainhearta – Charlie miał na sobie szary garnitur w prążki z drugiej ręki, a gospodarz niedopasowaną marynarkę w jodełkę. Studium w szarości

i czerni, surowe i martwe pośród tego wielobarwnego ogrodu.

Starzec podszedł do krzesła przy toalecie i usiadł z trzaskiem i jękiem.

– Pewnie potrzebuje pan trochę czasu na wycenę – powiedział.

Charlie stanął na środku garderoby i rozglądał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

– To zależy, z czym zechce się pan rozstać.

– Ze wszystkim. Co do sztuki. Nie mogę znieść tych śladów po niej. – Załamał mu się głos. – Chcę, żeby to zniknęło.

Odwrócił wzrok od Charliego i popatrzył na skrzydło z butami, starając się nie pokazać, że się rozsypuje.

– Rozumiem – odparł Charlie, nie wiedząc co powiedzieć. Ta kolekcja to nie była jego liga.

– Nie, nie rozumie pan, młodzieńcze. Nie mógłby pan zrozumieć. Emily była dla mnie całym życiem. Dla niej wstawałem co rano, dla niej chodziłem do pracy, dla niej zbudowałem firmę. Nie mogłem się doczekać wieczornego powrotu do domu, żeby opowiedzieć jej o swoim dniu. Kładłem się z nią do łóżka i o niej śniłem. Była moją fascynacją, żoną, najlepszym przyjacielem, miłością mojego życia. A pewnego dnia odeszła bez ostrzeżenia i w moim życiu zapanowała pustka. Nie zrozumie pan.

Ale Charlie rozumiał.

– Ma pan dzieci, panie Mainheart?

– Dwóch synów. Przyjechali na pogrzeb, a potem wrócili do domów, do swoich rodzin. Powiedzieli, że zrobią, co będą mogli, ale...

– Nie mogą – dokończył za niego Charlie. – Nikt nie może.

Mężczyzna podniósł na niego wzrok. Jego blada, nijaka twarz kojarzyła się ze zmumifikowanym bassetem.

– Chcę umrzeć.

– Proszę tak nie mówić – powiedział Charlie, bo tak wypadało. – To minie.

Powiedział to, co wszyscy powtarzali jemu. Wiedział, że to bzdurne banały.

– Była... – Głos Mainhearta zamarł na granicy szloch. Oto silny człowiek, nagle przytłoczony żalem i zawstydzony, że go okazuje.

– Wiem – powiedział Charlie, myśląc o miejscu, które Rachel wciąż zajmowała w jego sercu. I o tym, jak tracił dech, gdy odwracał się do kuchni, by coś do niej powiedzieć, a jej tam nie było.

– Była...

– Wiem – przerwał mu Charlie, chcąc ułatwić starcowi sprawę, wiedział

bowiem, co on czuje. „Była sensem, porządkiem i światłem, a teraz, gdy jej zabrakło, chaos spadł na mnie jak ciemna, ołowiana chmura”.

– Była tak fenomenalnie głupia.

– Co? – Charlie podniósł wzrok tak szybko, że usłyszał chrzęst kręgu w swojej szyi. Tego się nie spodziewał.

– Ta durna baba zjadła silikażel.

– Co? – Charlie kręcił głową, jakby próbował coś z niej strząsnąć.

– Silikażel.

– Co?

– Silikażel! Silikażel! Silikażel, idioto!

Charlie miał wrażenie, że powinien w odpowiedzi wykrzyknąć nazwę jakiejś tajemniczej substancji: „Simetykon! Simetykon! Simetykon, matole!”. Ale zamiast tego spytał:

– To, z czego robią sztuczne biusty? – Obraz dobrze ubranej, starszej kobiety, pochłaniającej łyżeczką breję ze sztucznego cycka przebiegał przez jego zwoje mózgowy jak jękający się koszmar.

Mainheart wstał, podpierając się na toalecie.

– Nie, te kuleczki w paczuszkach, które wkładają do pudełek ze sprzętem elektronicznym i aparatami fotograficznymi.

– Te torebki z napisem „Nie jeść”?

– Właśnie.

– Ale na paczce są ostrzeżenia. Zjadła to?

– Tak. Kuśnierz włożył te paczuszki razem z jej futrami, kiedy zainstalował tę gablotę. – Mainheart wskazał ręką.

Charlie odwrócił się i za dużymi drzwiami garderoby, przez które weszli, zobaczył podświetlaną szklaną gablotę. W środku wisiał jakiś tuzin futer. Gablota miała zapewne własne urządzenie klimatyzacyjne kontrolujące wilgotność, ale uwagę Charliego zwróciło co innego. Mimo oświetlenia gabloty jedno z futer wyraźnie świeciło na czerwono i pulsowało. Powoli odwrócił się do Mainhearta, unikając gwałtownych reakcji, niepewny, co właściwie byłoby w tej sytuacji gwałtowną reakcją. Starał się mówić spokojnym głosem, ale nie chciał dać sobie wcisnąć kitu.

– Panie Mainheart, przykro mi z powodu pańskiej żony, ale czy dzieje się tu coś więcej, niż mi pan powiedział?

– Niestety, nie rozumiem, o co panu chodzi.

– Chcę wiedzieć – wyjaśnił Charlie – dlaczego spośród wszystkich sklepów z

używaną odzieżą w Bay Area wybrał pan właśnie mój? Są ludzie, którzy mają znacznie lepsze kwalifikacje, by zająć się kolekcją o takim rozmiarze i jakości. – Przypadł do gabloty z futrami i otworzył drzwi. Rozległ się krótki szum i cyknięcie, jak przy otwieraniu lodówki. Złapał świecące futro – wyglądało na lisie. – Co to jest? Czy wezwanie miało z tym coś wspólnego?

Trzymał futro tak, jakby pokazywał oskarżonemu narzędzie zbrodni. „Krótko mówiąc” – chciał dodać – „robi mnie pan w konia?”.

– Był pan pierwszym handlarzem używaną odzieżą w książce telefonicznej.

Charlie upuścił futro.

– Asher?

– Zaczyna się na „A” – powiedział Mainheart powoli i ostrożnie, wyraźnie zwalczając w sobie ochotę, by ponownie nazwać Charliego idiotą.

– Czyli to nie miało nic wspólnego z tym futrem?

– Miało. Chcę, żeby zabrał pan to futro razem z całą resztą.

– Aha – mruknął Charlie, próbując się otrząsnąć. – Proszę pana, jestem wdzięczny, że się pan zgłosił, i to jest bez wątpienia piękny zbiór ubrań, wręcz niesamowity, ale nie mam możliwości, by przyjąć taki towar. I będę z panem szczerzy, choć mój ojciec pewnie przewróci się w grobie, jeśli to panu powiem. W tej garderobie są ubrania warte zapewne milion dolarów. Może więcej. Uwzględniając miejsce w magazynie i czas poświęcony na odsprzedaż, należałoby chyba zapłacić jedną czwartą tej sumy. Nie mam takich pieniędzy.

– Możemy się jakoś dogadać – odparł Mainheart. – Byle zabrać to z domu...

– Mógłbym wziąć część w komis...

– Pięćset dolarów.

– Co?

– Niech mi pan zapłaci pięćset dolarów i zabierze to wszystko do jutra. Sprawa załatwiona.

Charlie zaczął protestować, ale czuł, że jeśli nie przestanie, przybędzie duch jego ojca, by walnąć go w głowę spluwaczką.

„Świadczymy ważne usługi, synu. Jesteśmy jak sierociniec dla przedmiotów, bo bierzemy te niechciane i nadajemy im wartość”.

– Nie mógłbym tego zrobić, panie Mainheart. To by było wykorzystywanie pańskiego żalu.

„Na litość boską, ty pieprzony frajerze, nie jesteś moim synem. Nie mam syna”. Czy to duch ojca pobrzękiwał łańcuchami w jego głowie? W takim razie dlaczego posługiwał się głosem i słownictwem Lily? Czy sumienie może być chciwe?

– Wyświadczyłby mi pan przysługę, panie Asher. Wielką przysługę. Jeśli pan tego nie weźmie, zadzwonię do organizacji charytatywnej. Obiecałem Emily, że jeśli coś jej się stanie, nie oddam jej rzeczy za darmo. Proszę.

W głosie mężczyzny było tyle cierpienia, że Charlie musiał odwrócić wzrok. Współczuł mu, bo naprawdę rozumiał. Nie mógł mu w żaden sposób pomóc, powiedzieć „będzie lepiej”, tak jak wszyscy powtarzali jemu. Nie było lepiej. Inaczej, ale nie lepiej. A ten facet miał o pięćdziesiąt lat więcej, dodatkowe pół wieku nadziei, czy – w tym wypadku – historii.

– Muszę pomyśleć. Sprawdzę, jak stoję z miejscem. Jeśli dam radę, zadzwonię jutro. Możemy się tak umówić?

– Będę wdzięczny – odparł Mainheart.

A potem, bez wyraźnego powodu, Charlie spytał:

– Mogę wziąć to futro ze sobą? Jako próbkę jakości, na wypadek gdybym musiał się podzielić tym zbiorem z innymi sklepami.

– W porządku. Odprowadzę pana.

Gdy weszli do rotundy, jakiś cień przeleciał za pancernymi oknami na wysokości trzeciego piętra. Duży cień. Charlie przystanął na schodach, czekając na reakcję gospodarza, ten jednak schodził dalej, opierając się ciężko o poręcz. Kiedy dotarł do drzwi, odwrócił się do Charliego i wyciągnął rękę.

– Przepraszam za ten, ee, wybuch na górze. Nie jestem sobą, od kiedy...

Gdy zaczął otwierać drzwi, na ziemię na zewnątrz opadła jakaś postać. Przez szkło było widać ptasi kontur wielkości dorosłego mężczyzny.

– Nie! – Charlie rzucił się naprzód, odepchnął Mainhearta i zatrzęsnał drzwi na głowie wielkiego ptaka.

Ciężki, czarny dziób wsunął się do środka, klekocząc niczym wielkie szczypce i potracając stojak na parasole, które rozsypały się na marmurowej posadzce. Twarz Charliego znajdowała się ledwie o centymetry od ptasiego oka. Naparł na drzwi ramieniem, nie chcąc, by dziób oderwał mu rękę. Ptak miotał się, by się uwolnić, a jego szpony podrapały szkło, zostawiając głęboką rysę na jednej z fazowanych szyb.

Charlie uderzył biodrem o futrynę, po czym zsunął się po niej, upuścił futro i wziął jeden z parasoli z podłogi. Dźgnął, chcąc trafić opierzoną szyję ptaka, ale jeden z czarnych pazurów wsunął się przez szparę, rozcinając mu marynarkę, rękaw koszuli i ciało. Charlie pchnął parasolem z całej siły, wypychając ptasią głowę z powrotem na zewnątrz.

Kruk zaskrzeczał i wzbił się w powietrze z głośnym łopotem skrzydeł. Charlie

leżał na plecach, bez tchu, i patrzył na pancerne szyby, jakby w każdej chwili cień wielkiego ptaka mógł powrócić. Potem spojrział na Michaela Mainhearta, który leżał beładnie na boku niczym marionetka bez sznurków. Przy jego głowie spoczywała laska z rączką z kości słoniowej, którą wyrzeźbiono w kształt głowy niedźwiedzia polarnego. Laska wypadła ze stojaka na parasole. Świeciła na czerwono. Mężczyzna nie oddychał.

– Przejebane – powiedział Charlie.

## BOHATEROWIE MIMO WOLI

W alei za Komisem Ashera Cesarz San Francisco karmił żołnierzy focaccią z oliwkami i starał się, by psia flegma nie zepsuła mu śniadania. – Cierpliwości, Bummer – powiedział do boston teriera, który skakał do wczorajszego, płaskiego bochenka niczym porośnięta sierścią, kauczukowa piłka, podczas gdy Lazarus, poważny golden retriever, stał obok, czekając na swoją porcję.

Bummer parsknął niecierpliwie w odpowiedzi (stał psia flegma). Był okropnie głodny, bo dzisiaj śniadanie się spóźniało. Cesarz spał na ławce przy Muzeum Morskim i w nocy jego ogarnięte reumatyzmem kolano wysunęło się z wełnianego płaszcza na wilgotny ziąb, przez co marsz do North Beach i włoskiej piekarni, która dawała im za darmo czerstwe pieczywo, stał się istną drogą przez mękę.

Cesarz jęknął i usiadł na pustej skrzynce po mleku. Posturą przypominał niedźwiedzia, ramiona miał szerokie, choć nieco zapadnięte od dźwigania ciężaru miasta. Zmierzwiona płatanina siwych włosów i brody okalała jego twarz niczym burzowa chmura. O ile pamiętał, patrolował miasto wraz z żołnierzami od zawsze, choć jeśli się nad tym zastanowić, może tylko od zeszłej środy. Nie był do końca pewien.

Cesarz postanowił wygłosić do żołnierzy odezwę na temat znaczenia współczucia w obliczu narastającej fali podstępnego kurestwa i politycznego cwaniactwa w pobliskim królestwie Stanów Zjednoczonych. (Zauważył, że jego publiczność najpilniej słucha odezw wtedy, gdy doprawiona mięsem focaccia wciąż tkwi w otchłani kieszeni jego płaszcza, a w tej chwili wonny bochenek z peperoni i parmezanem spoczywał w wełnianych zakamarkach, więc królewskie ogary wyteęzały słuch). Jednakże, gdy odchrząknął, by zacząć przemowę, zza rogu wyjechała z piskiem opon furgonetka. Przechyliła się na dwa koła, kosząc rząd pojemników na śmieci, i zatrzymała najwyżej piętnaście metrów dalej. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i z samochodu wyskoczył szczupły mężczyzna w garniturze, trzymający laskę i damskie futro, a następnie ruszył prościutko ku tylnym drzwiom Komisu Ashera. Zanim jednak uszedł dwa kroki, runął na beton, jakby coś uderzyło go z tyłu, po czym przekreślił się na plecy i zaczął wymachiwać w powietrzu laską oraz futrem. Cesarz, który znał niemal wszystkich, rozpoznał Charliego Ashera.

Bummer szczekał jak szalony, ale bardziej zrównoważony Lazarus warknął tylko raz i pobiegł do Charliego.

– Lazarus! – krzyknął Cesarz, ale pies gnał naprzód, ścigany teraz przez wielkookiego towarzysza broni.

Charlie zerwał się już na nogi i machał laską, jakby pojedynkował się z jakimś widmem, używając futra jako tarczy. Mieszkając na ulicy, Cesarz niejednokrotnie widział ludzi walczących z niewidzialnymi demonami, ale Charlie Asher najwyraźniej zaliczał trafienia. Rozlegały się odgłosy uderzeń, mimo że laska tylko przesywała powietrze – chociaż nie, tam coś było, jakiś cień...

Cesarz wstał i pokuśtykał w stronę komisu. Uszedł ledwie dwa kroki, gdy Lazarus skoczył, by, jak się zdawało, zaatakować Charliego. Przeleciał jednak nad nim i kłapał zębami gdzieś nad jego głową – a potem zawisł z kłami zatopionymi w jak najbardziej materialnej krtani z przejrzystego powietrza.

Charlie wykorzystał sytuację, cofnął się o krok i machnął laską nad kwitującym psem. Rozległ się trzask i Lazarus puścił, ale teraz Bummer rzucił się na niewidzialnego wroga. Spudłował i z wizgiem wpadł do kosza na śmieci. Charlie znowu ruszył do stalowych drzwi komisu, te jednak okazały się zamknięte. Gdy sięgnął po klucze, coś złapało go z tyłu.

– Puszczaj, pojechańcu – wycharczał.

Futro, które trzymał, zostało mu wyrwane z ręki, po czym pomknęło w górę i zniknęło nad czteropiętrowym budynkiem.

Charlie odwrócił się, trzymając laskę w pogotowiu, ale najwyraźniej nic się tam już nie czaiło.

– Nie powinieneś siedzieć nad drzwiami, krzyczeć „nigdy już”, być poetycki i w ogóle?! – wrzasnął w kierunku nieba. A potem na dokładkę dorzucił jeszcze: – Ty wstrętny popaprańcu!

Lazarus szczeknął, a potem zaskamlał. Z pojemnika na śmieci, do którego wpadł Bummer, dobiegło ostre, metaliczne szczekanie.

– Czegoś takiego nie widuje się codziennie – odezwał się Cesarz, kuśtykając w stronę Charliego.

– Widziałeś to?

– No nie, właściwie nie. Tylko cień, ale widziałem, że coś tam jest. Bo było, prawda?

Charlie skinął głową, próbując złapać oddech.

– To wróci. Ścigało mnie przez miasto. – Grzebał w kieszeniach w poszukiwaniu kluczy. – Powinniście schować się ze mną w sklepie, wasza



wysokość. – Charlie oczywiście znał Cesarza. Każdy mieszkaniec San Francisco go znał.

Cesarz uśmiechnął się.

– Bardzo miło z twojej strony, ale będziemy zupełnie bezpieczni. Na razie muszę uwolnić podopiecznego z tego cynkowanego więzienia.

Wielki mężczyzna przechylił pojemnik na śmieci i ze środka wyłonił się Bummer, parszając i machając głową, jakby był gotów odgryźć tyłek każdemu człowiekowi lub zwierzęciu, które stanęłoby mu drodze (i zrobiłby to, pod warunkiem, że przeciwnik miałby najwyżej pół metra wzrostu).

Charlie wciąż miał kłopoty z kluczem. Wiedział, że zamek należało dawno wymienić – ale działał przy odrobinie finezyjnego kręcenia, więc nigdy nie była to sprawa priorytetowa. Kto by, do diabła, przypuszczał, że kiedyś będzie musiał szybko dostać się do środka, żeby uciec przed olbrzymim ptakiem? A potem usłyszał krakanie i odwrócił się, by zobaczyć nie jednego, a dwa wielkie kruki, przelatujące nad dachem i opadające nad zaułek. Z psich gardeł dobiegła się salwa gorączkowych szczęknięć na skrzydlatych intruzów, a Charlie włożył tyle języka ciała w manipulowanie kluczem, że poczuł rwanie będącego w zaniku mięśnia tanecznego w swoim biodrze.

– Wróciły. Oślaniaj mnie.

Charlie rzucił laskę Cesarzowi i przygotował się na uderzenie, ale w chwili, gdy laska dotknęła dłoni starca, ptaki zniknęły. Było nawet słychać syk powietrza zajmującego zwolnione przez nie miejsce. Psy przestały jazgotać. Bummer zaskamlał.

– Co? – spytał Cesarz. – Co?

– Nie ma ich.

Mężczyzna popatrzył w niebo.

– Na pewno?

– Na razie tak.

– Widziałem dwa cienie. Tym razem naprawdę widziałem – powiedział Cesarz.

– Tak, tym razem były dwa.

– A co to jest?

– Nie mam pojęcia, ale kiedy wzięłeś laskę, one... no, zniknęły. Naprawdę je widziałeś?

– Jestem tego pewien. Wyglądały jak zmierzający do jakiegoś celu dym.

W końcu klucz przekreślił się i drzwi na zaplecze stanęły otworem.

– Może wejdiesz. Odpoczniesz. Zamówię coś do jedzenia.

– Nie, nie, muszę iść na obchód z żołnierzami. Dziś rano postanowiłem przygotować odezwę, więc musimy się spotkać z drukarzem. Masz, będzie ci potrzebna. – Cesarz podał mu laskę, jakby to był miecz koronacyjny.

Charlie już chciał ją wziąć, ale zmienił zdanie.

– Zachowaj ją, wasza wysokość. Zdaje się, że znajdziesz dla niej zastosowanie.  
– Głową wskazał osłabione kolano Cesarza.

Tamten wciąż trzymał laskę w wyciągniętej ręce.

– Wiesz, że nie należę do czcicieli dóbr materialnych?

– Rozumiem.

– Głęboko wierzę, że pożądanie to główne źródło ludzkich cierpień, a najbardziej podstępą jego odmianę stanowi chęć posiadania.

– W biznesie kieruję się tymi zasadami. Mimo wszystko nalegam, byś zachował tę laskę. Bądź tak uprzejmy i wyświadcz mi tę przysługę.

Stwierdził, że naśladuje formalny sposób mówienia Cesarza, jakby w jakiś sposób przeniesiono go na dziwny królewski dwór, gdzie szlachcica poznaje się po wplątanych w brodę okrucinach, a pałacowi gwardziści nie mają nic przeciwko lizaniu się po jajkach.

– Jeśli mówimy o przysłudze, zgadzam się. To piękna, ręczna robota.

– Co ważniejsze, pozwoli ci dokonać obchodu w krótszym czasie.

Cesarz zdradził się z tkwiącą w głębi jego serca chęcią posiadania, uśmiechając się szeroko i przyciskając laskę do piersi.

– Zaiste, piękna. Charlie, muszę ci coś wyznać. Nalegam, byś obdarzył mnie zaufaniem, należnym człowiekowi, który właśnie wraz z przyjacielem ujrzał dwa cienie w kształcie wielkich kruków.

– Ma się rozumieć. – Charlie uśmiechnął się, choć jeszcze przed chwilą był gotów uznać, że w ciągu minionych miesięcy jego uśmiech zaginął na dobre.

– Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za niegodziwca, ale w chwili, gdy jej dotknąłem, poczułem się tak, jakbym czekał na to całe życie.

I wtedy, bez żadnego wyraźnego powodu, Charlie odpowiedział:

– Wiem.

\* \* \*

Kilka minut wcześniej Lily pograżyła się w myślach. Nie było to jej zwykłe zamyślenie, stanowiące reakcję na świat, w którym wszyscy byli głupi, a życie nie miało sensu, zwłaszcza jeśli twoja matka zapomniała kupić kawę. Było to bardziej

szczególne zamyślenie, które zaczęło się w chwili, gdy przyszła do sklepu i Ray oznajmił, że dziś przypada jej kolej na noszenie tiary do odkurzania. Potem zaczął się upierać, że skoro nosi tiarę, powinna naprawdę odkurzyć sklep. (Prawdę mówiąc, lubiła ten diadem z kryształem górskim. Charlie, w przypiływie mieszczańskiego sprytu, ogłosił, że będzie go nosiła wyłącznie osoba, zajmująca się danego dnia odkurzaniem i zmiataniem. Lily protestowała nie przeciwko diademowi, lecz samym czynnościom odkurzania i zmiatania. Czuła się manipulowana i wykorzystywana, bynajmniej nie w przyjemny sposób). Dzisiaj jednak, gdy już odłożyła diadem i odkurzacza, a także wreszcie wprowadziła do organizmu kilka kubków kawy, zamyślenie trwało, przeradzając się w końcu w dojmujący niepokój. Dotarło do niej bowiem, że musi jakoś rozwiązać kwestię „studia-kariera”. Niestety, wbrew temu, co napisano w *Bardzo wielkiej księdze Śmierci*, Lily nie została wybrana na mrocznego sługę zniszczenia. Kurwa mać!

Stała na zapleczu i patrzyła na wszystkie przedmioty, które Charlie zgromadził tam poprzedniego dnia: buty, lampy, parasole, porcelanowe figurki, zabawki, parę książek, czarno-biały telewizor i portret klauna na czarnym aksamicie.

– Powiedział, że te rzeczy świecą? – spytała Raya, który stał w wejściu do sklepu.

– Tak. Kazał mi je sprawdzić licznikiem Geigera.

– Ray, skąd ty, kurwa, masz licznik Geigera?!

– Lily, skąd masz w nosie kolczyk w kształcie nietoperza?

Zignorowała jego pytanie i wzięła ceramiczną żabę, na której teraz naklejono kartkę z napisem NIE SPRZEDAWAĆ ANI NIE WYSTAWIAĆ, wykaligrafowanym przez Charliego równymi, drukowanymi literami.

– To była jedna z tych rzeczy? To?

– Od niej się zaczęły te wszystkie wygłupy – odparł rzeczowo Ray. – Strażniczka szkolna próbowała to kupić. Wtedy się zaczęło.

Lily była wstrząśnięta. Cofnęła się do biurka Charliego i usiadła na skrzypiącym, dębowym krześle obrotowym.

– Widzisz coś świeżącego albo pulsującego, Ray? Zdarzyło ci się to?

Pokręcił głową.

– Przeżył wiele stresów. Śmierć Rachel, opieka nad dzieckiem. Myślę, że może potrzebuje pomocy. Pamiętam, że kiedy musiałem odejść z policji... – Urwał.

W zaułku wybuchło jakieś zamieszanie, rozległo się szczekanie psów i ludzkie krzyki, a potem ktoś usiłował przekręcić klucz w zamku. Sekundę później do środka wszedł Charlie, w ubraniu tu i ówdzie uwalanym brudem, z podartym i

upaćkanym krwią rękawem marynarki.

– Asher – powiedziała Lily. – Jesteś ranny.

Szybko zwolniła mu krzesło, a Ray ujął go za ramiona i posadził.

– Nic mi nie jest – odparł Charlie. – To drobiazg.

– Przyniosę apteczkę – powiedział Ray. – Zdejmij mu tę marynarkę, Lily.

– On majaczy – stwierdziła Lily, próbując ściągnąć ze swojego szefa marynarkę. – Masz jakieś proszki przeciwbólowe, Ray?

– Nie potrzebuję proszków przeciwbólowych – wtrącił Charlie.

– Zamknij się, Asher, nie miały być dla ciebie – odparła odruchowo Lily, po czym pomyślała o księdze, o opowieści Laya, o karteczkach na przedmiotach z zaplecza i w końcu wzruszyła ramionami. Wyglądało na to, że Charlie nie jest ciapą, za jakiego zawsze go uważała. – Przepraszam, szefie. pomożemy ci.

Ray wrócił z małą, plastikową apteczką. Odwinął Charliemu rękaw i zabrał się do oczyszczania rany za pomocą gazy i wody utlenionej.

– Co się stało?

– Nic – odparł Charlie. – Pośliznąłem się i upadłem na żwir.

– Dość czyste skaleczenie. Nie widać w nim śladów żwiru. To musiał być niezły upadek.

– To długa historia. – Charlie westchnął. – Au!

– Co to były za hałasy w zaułku? – spytała Lily, której bardzo chciało się palić, ale jakoś nie mogła zebrać się w sobie i wyjść.

Nie mieściło jej się w głowie, że Charlie Asher został wybrany. Jakim cudem właśnie on? Był taki... taki niegodny. W przeciwieństwie do niej, nie rozumiał mrocznego podbrzusza tego świata. A jednak to on widział świecące przedmioty. On. Była załamana.

– To tylko psy Cesarza pogoniły mewę przy śmietniku. Nic takiego. A ja spadłem z werandy na Pacific Heights.

– A, ta rezydencja – przypomniał sobie Ray. – Jak poszło?

– Nie najlepiej. Pograżony w bólu mąż dostał ataku serca, kiedy tam byłem.

– Żartujesz.

– Nie. Przytłoczyły go myśli o żonie i nagle upadł. Zrobiłem mu sztuczne oddychanie, a potem przyjechało pogotowie i zabrało go do szpitala.

– No – odezwała się Lily – a miałeś... ee... widziałeś coś szczególnego?

– Co? – Charlie szerzej otworzył oczy. – Jak to „szczególne”? Nie było tam nic szczególnego.

– Luz, szefie, chodziło mi tylko o ubrania po tej babci.

To on, pomyślała. Skurwiel.

Charlie pokręcił głową.

– Nie wiem. To takie dziwne. Cała ta sprawa jest dziwna. – Aż zadrżał, gdy to mówił.

– Jak dziwna? – spytała Lily. – Dziwna w fajny, mroczny sposób czy dziwna, bo jesteś Asher i we wszystkim się gubisz?

– Lily! – warknął Ray. – Idź do sklepu. Odkurz coś.

– Nie jesteś moim szefem, Ray. Ja tylko okazuję troskę.

– W porządku, Ray. – Charlie wyglądał tak, jakby się zastanawiał, jak dokładnie opisać znaczenie słowa „dziwna” i nie był w stanie wymyślić żadnej zadowalającej definicji. W końcu powiedział: – No, po pierwsze, rezydencja tej kobiety to nie nasza liga. Mąż powiedział, że zadzwonił właśnie do mnie, bo byłem pierwszy w książce telefonicznej, ale nie wyglądał na faceta, który by coś takiego zrobił.

– To nie takie dziwne – stwierdziła Lily. „No, przyznaj się”, dodała w myślach.

– Mówiłeś, że był załamany – wtrącił Ray, klepując maść z antybiotykiem w skaleczenie Charliego. – Może zachowuje się inaczej niż zwykle.

– Tak, był też zły na żonę za to, jak zmarła.

– Jak?

– Zjadła silikażel – wyjaśnił Charlie.

Lily zerknęła na Raya, czekając na wyjaśnienia, bo słowo „silikażel” pachniało technicznym żargonem, więc Ray miał pole do popisu.

– To środek osuszający, który wkładają do pudełek z elektroniką i innymi rzeczami wrażliwymi na wilgoć – powiedział.

– Te torebki z napisem „Nie jeść”?! – wykrzyknęła Lily. – Mój Boże, jakie to głupie. Każdy wie, że nie je się torebek z napisem „Nie jeść”.

– Pan Mainheart był zdruzgotany – rzekł Charlie.

– Nie dziwię się – odparła dziewczyna. – Ożenił się z kompletną kretynką.

Charlie aż się skulił.

– Lily, tak nie można.

Wzruszyła ramionami i wywróciła oczyma. Nie znosiła, kiedy wpadał w ojcowski ton.

– Dobra, dobra. Idę zająć.

– Nie! – Charlie zerwał się na nogi i stanął między Lily a tylnymi drzwiami.

– Ale mówiłeś, że wyglądam jak nieletnia prostytutka, kiedy palę od frontu.

– Zmieniłem zdanie. Dojrzałaś.

Przymknęła jedno oko, by sprawdzić, czy zdoła głębiej wejrzeć w duszę Charliego i odkryć jego prawdziwe motyw. Wygładziła czarną błyszczącą spódnicę, która wydała udręczony, piskliwy dźwięk.

– Próbujesz powiedzieć, że mam wielki tyłek, tak?

– Absolutnie nie mówię nic takiego – odparł Charlie. – Twierdzą po prostu, że twoja obecność przed sklepem to duży plus i na pewno przyciągnie klientów spośród turystów jeżdżących tramwajem linowym.

– A. Dobra.

Wzięła paczkę papierosów z biurka, minęła ladę i wyszła na zewnątrz, by pograżyć się w myślach, a właściwie w żalu, jako że wbrew swojej wielkiej nadziei nie była Śmiercią. Księga należała do Charliego.

\* \* \*

Tego wieczoru Charlie siedział w sklepie i zastanawiał się, czemu okłamał swoich pracowników, gdy zobaczył, że za oknem przemyka coś o płomiennej barwie. Chwilę później drzwi otworzyła rudowłosa kobieta. Miała na sobie krótką koktajlową sukienkę i czarne buty na obcasach typu „zerznij mnie”. Przeszła przez sklep tak, jakby brała udział w castingu do teledysku. Długie loki opadały jej na ramiona i plecy niczym rudy welon. Jej oczy miały kolor szmaragdów, a gdy zobaczyła, że Charlie na nią patrzy, uśmiechnęła się i przystanęła jakieś trzy metry od niego.

Charlie poczuł niemal bolesny dreszcz, emanujący gdzieś z okolic krocza. Po sekundzie rozpoznał to uczucie jako samoistny przyływ chuci. Od kiedy Rachel odeszła, nie przydarzyło mu się nic podobnego, i poczuł teraz irracjonalny wstyd.

Babka szacowała go wzrokiem, tak jak mogłaby to robić, patrząc na używany samochód. Charlie był pewien, że oblał się rumieńcem.

– Dzień dobry – powiedział. – Czym mogę służyć? Rudowłosa znowu się lekko uśmiechnęła, po czym sięgnęła do małej czarnej torebki, której wcześniej nie zauważył.

– Znalazłam coś takiego – oznajmiła, pokazując srebrną papierošnicę. Ostatnio Charlie nieczęsto widywał takie rzeczy, nawet na rynku rzeczy używanych. Papierošnica świeciła, pulsowała, tak jak towary na zapleczu. – Przechodziłam obok i przyszło mi do głowy, że jej miejsce jest tutaj.

Stała przy ladzie naprzeciwko Charliego i położyła przed nim papierošnicę.

Ledwo mógł się ruszyć. Patrzył na nią, nieświadomy tego, że aby uciec przed

jej spojrzeniem, gapi się na jej dekolt. Ona z kolei podążała wzrokiem wokół jego głowy i ramion, jakby śledziła jakieś latające wokół niego owady.

– Dotknij mnie – powiedziała.

– He? – Uniósł wzrok i stwierdził, że się nie przestyszał.

Kobieta wyciągnęła dłoń. Paznokcie miała wypielęgnowane i pomalowane takim samym głębokim odcieniem czerwieni, jaki miała jej szminka. Wziął ją za rękę.

Ledwie go dotknęła, a już cofnęła dłoń.

– Jesteś ciepły.

– Dzięki. – W tym momencie dotarło do niego, że ona nie była ciepła. Miała lodowate palce.

– Więc nie jesteś jednym z nas?

Zaczął się zastanawiać, o jakich „nas” chodzi. Irlandczyków? Niskociśnieniowców? Nimfomanki? Zaraz, czemu przyszło mu to do głowy?

– Jednym z nas? Co to znaczy „nas”?

Cofnęła się o krok.

– Nie. Nie zabierasz tylko słabych i chorych, prawda? Zabierasz wszystkich.

– Zabieram? Jak to „zabieram”?

– Nawet nie wiesz co?

– Czego nie wiem? – Coraz bardziej się denerwował. Jako samiec beta miał trudności z samym funkcjonowaniem pod okiem pięknej kobiety, ale ta tutaj wprost budziła grozę. – Zaraz. Widzisz, że świeci? – Podniósł papierosnicę.

– Nie. Po prostu poczułam, że tu jest jej miejsce – odparła. – Jak się nazywasz?

– Charlie Asher. To jest Komis Ashera.

– Wiesz, Charlie, wydajesz się miły i nie do końca wiem, kim jesteś. Wygląda na to, że ty sam nie wiesz. Bo nie wiesz, prawda?

– Ostatnio trochę się w moim życiu zmieniło – powiedział, nie mając pojęcia, czemu czuje, że powinien o tym mówić.

Kobieta skinęła głową, jakby sama sobie przytakiwała.

– Dobra. Wiem, jak to jest, eee, kiedy nagle znajdziesz się w takiej sytuacji, że siły, których nie kontrolujesz, zmieniają cię w kogoś, w coś... do czego nie masz instrukcji obsługi. Rozumiem, jak to jest nie wiedzieć. Ale ktoś, gdzieś... wie. Ktoś może ci powiedzieć, co się dzieje.

– O czym ty mówisz? – zapytał, choć znał odpowiedź. Nie wiedział tylko, skąd ona może wiedzieć.

– Sprawiasz, że ludzie umierają, prawda, Charlie? – Powiedziała to tak, jakby

zebrała się na odwagę, by oznajmić mu, że ma trochę szpinaku na zębach. Zabrzmiało to raczej jak przysługa niż zarzut.

– Skąd ty... ? – Skąd ona... ?

– Bo sama to robię. Nie tak jak ty... ale robię to. Znajdź ich, Charlie. Cofnij się do chwili, gdy twój świat się zmienił, i znajdź tych, którzy przy tym byli.

Charlie popatrzył najpierw na nią, potem na papierośnicę, a w końcu znowu na kobietę, która już się nie uśmiechała, lecz cofała w stronę drzwi. Starając się nie tracić kontaktu z normalnością, skupił się na papierośnicy i rzekł:

– Myślę, że mogę dokonać wyceny...

Usłyszał dźwięk dzwonka nad drzwiami, a gdy podniósł wzrok, jej już nie było.

Przez żadne z okien po obu stronach drzwi nie dostrzegł, jak się oddała. Po prostu jej nie było. Przebiegł przez sklep, dopadł drzwi i wyskoczył na chodnik. Tramwaj linowy właśnie dojeżdżał do szczytu wzgórza przy California Street. Do uszu Charliego dobiegało dzwonienie. Znad zatoki płynęła rzadka mgła, rzucająca barwne nimby wokół neonów nad innymi sklepami, ale na całej ulicy nie było żadnej rudowłosej piękności. Doszedł do rogu i spojrzął w dół Vallejo Street, ale znowu nie zobaczył tej rudej, a jedynie Cesarza, który siedział oparty o ścianę budynku, w towarzystwie swoich psów.

– Dobry wieczór, Charlie.

– Wasza wysokość, widziałeś tu przed chwilą rudą kobietę?

– A, tak. Rozmawiałem z nią. Nie wiem, czy masz u niej szansę, zdaje się, że jest zajęta. I uprzedziła mnie, że bym trzymał się od ciebie z daleka.

– Dlaczego? Powiedziała, dlaczego?

– Powiedziała, że jesteś Śmiercią.

– Ja? – powiedział Charlie. – Jestem? – Głos uwiązał mu w gardle, gdy przez głowę przebiegały wspomnienia z całego dnia. – A jeśli jestem?

– Wiesz, synu – odezwał się Cesarz – nie jestem specjalistą w kontaktach z płcią piękną, ale może lepiej zachowuj tę informację dla siebie gdzieś tak do trzeciej randki, żeby zdążyły cię trochę poznać.



## TANATOST

Choć wyobraźnia samca beta często powodowała u Charliego nieśmiałość, a nawet paranoję, to kiedy szło o przyjmowanie tego, co nie do przyjęcia, spisywała się jak papier toaletowy z kewlaru: kuloodporny, choć troszkę uciążliwy w stosowaniu. Charlie Asher nie mógł zginąć z powodu niezdolności uwierzenia w rzeczy niewiarygodne. Nie miał zostać owadem, rozplaszczonym na brudnej szybie braku wyobraźni.

Zdawał sobie sprawę, że wszystko, co przydarzyło mu się poprzedniego dnia, dla większości ludzi leżało poza granicą prawdopodobieństwa. A ponieważ jego jedynym świadkiem był facet, który uważał się za Cesarza San Francisco, nikt nie uwierzy, że ścigały go kruki o cuchnącym oddechu, a seksowna wyrocznia w dziwkarskich butach na wysokim obcasie oznajmiła mu, że jest przewodnikiem wycieczek w zaświaty.

Nawet Jane by czegoś takiego nie kupiła. Tylko jedna osoba mogłaby dać mu wiarę i po raz dziesięciotysięczny poczuł, że brak Rachel otwiera w jego klatce piersiowej miniaturową czarną dziurę. A zatem jego współspiskowcem została Sophie.

Małeńkie dziecko, ubrane w śpioszki z wizerunkiem Elmo i niemowlęce martensy (zasługa cioci Jane), siedziało w foteliku samochodowym na blacie kuchennym, obok akwarium. (Charlie kupił córeczce sześć dużych złotych rybek mniej więcej w czasie, gdy zaczęła zauważać ruchome obiekty. Mała dziewczynka potrzebuje zwierząt domowych. Nadał im imiona prawników z telewizji. W tej chwili Matlock płynął za Perrym Masonem i próbował zjeść długie pasmo rybich odchodów, które ciągnęło się za Perrym).

Sophie miała po matce ciemne włoski, a także, o ile Charlie się nie mylił, spoglądała na niego z tą samą niepewną tkliwością (i ze strużką śliny na wargach).

– Więc jestem Śmiercią – powiedział Charlie, usiłując zmontować kanapkę z tuńczykiem. – Tatuś jest Śmiercią, kochanie.

Obejrzał tost, nie ufając mechanizmowi w tosterze, bo producenci tosterów lubią czasem robić innych w konia.

– Śmiercią – powtórzył. Otwieracz do konserw ześliznął się po puszcze i Charlie walnął obandażowaną dłonią w blat. – Cholera!

Sophie zagulgotała i wydała z siebie radosne niemowlęce beknięcie, co według Charliego oznaczało: „Naprawdę, tatusiu? Mów dalej, proszę”.

– Nie mogę nawet wyjść z domu, ze strachu, że ktoś padnie przede mną trupem. Jestem Śmiercią, skarbie. Jasne, teraz cię to śmieszy, ale nigdy nie trafisz do dobrego przedszkola, mając ojca, który wysyła ludzi do piachu.

Jako wyraz współczucia Sophie wypuściła banieczkę śliny. Charlie ręcznie wysunął kromkę z toster. Była trochę niedopieczona, ale jeśli wsunie ją z powrotem, spali się, chyba że nawet na sekundę nie spuści jej z oka i w odpowiednim momencie wysunie znowu. Więc teraz pewnie zakazi się jakimś rzadkim patogenem, obecnym w niedopieczonych tostach. Choroba wściekłych tostów! Ci cholerni producenci tosterów.

– To jest tost Śmierci, młoda damo. – Pokazał jej kromkę. – Tost Śmierci.

Położył tost na stole i przypuścił ponowny atak na puszkę z tuńczykiem.

– Może to była przerośnięta? Znaczący, może ta ruda miała na myśli, że jestem, no wiesz, śmiertelnie nudny? – Oczywiście, to nie wyjaśniało wszystkich innych dziwnych historii, które mu się przydarzyły. – Jak myślisz? – spytał Sophie.

Czekał na odpowiedź, a na buzi małej zagościł ten rachelopodobny, cwaniacki uśmieszek (minus zęby). Bawiła się jego udręką. O dziwo, poczuł się lepiej, gdy zdał sobie z tego sprawę.

Otwieracz znowu się ześliznął. Ciecz z konserwy zalała mu koszulę, a tost poleciał na podłogę. Teraz przykleił się do niego kurz. Kurz na jego toście! Kurz na toście Śmierci. I co z tego, że jesteś Panem Zaświatów, skoro masz kurz na swoim niedopieczonym toście?

– Kurwa!

Porwał kromkę z podłogi i rzucił ją obok Sophie do salonu. Mała śledziła ją wzrokiem, po czym znów spojrzała na ojca, z radosnym piskiem, jakby chciała powiedzieć: „Jeszcze raz, tato. Jeszcze raz!”.

Wyjął ją z fotelika i mocno przytulił, wdychając słodko-kwaśny zapach niemowlęcia. Jego łzy wsiąkały w śpioszki. Mógłby to zrobić, gdyby tu była Rachel. Ale bez niej nie mógł.

Nie wyjdzie. Oto rozwiązanie. Jedyne rozwiązanie, by mieszkańcy San Francisco byli bezpieczni. Nie ruszy się z mieszkania. A zatem przez następne cztery dni siedział z Sophie w domu, wysyłając po zakupy panią Ling z góry. (Zgromadził całkiem spory zbiór warzyw, których nie umiał nazwać ani przyrządzić, bo pani Ling, nie bacząc na to, co umieszczał na liście, zawsze robiła zakupy na targu w Chinatown). Po dwóch dniach w notatniku przy łóżku pojawiło się nowe nazwisko,

na co zareagował tak, że schował notes pod książką telefoniczną w kuchennej szufladzie.

Piątego dnia zobaczył cień kruka na oknie w dachu budynku naprzeciwko. Z początku nie miał pewności, czy to olbrzymi kruk, czy też zupełnie zwyczajny kruk, rzucający duży cień. Jednakże, gdy się zorientował, że jest południe, i wszystko rzuca cienie prosto w dół, ten mniejszy, przekorny kruk natychmiast wyfrunął z jego umysłu. Charlie zaciągnął story i usiadł w zamkniętej na klucz sypialni, z Sophie, paczką pampersów, koszem płodów rolnych i dwoma sześciopakami – pokarmu dla niemowląt oraz gazowanej oranżady. Ukrywał się tak, dopóki nie zadzwonił telefon.

– Co ty robisz? – usłyszał w słuchawce dudniący, męski głos. – Oszalałeś?

Charlie był zdumiony. Widząc numer na wyświetlaczu, myślał, że to pomyłka.

– Jem takie coś, zdaje się, że to albo melon, albo kabaczek. – Popatrzył na zielonkawy owoc, który smakował jak melon, ale wyglądał raczej jak kabaczek z kolcami. (Pani Ling nazwała to „niech się zamyka i je, bardzo zdrowe”. )

– Nawalasz – powiedział mężczyzna. – Masz robotę do wykonania. Rób, co mówi księga, albo stracisz wszystko, na czym ci zależy. Nie żartuję.

– Jaka księga? Kto mówi? – spytał Charlie. Wydawało mu się, że głos brzmi znajomo, co z jakiegoś powodu natychmiast przełączyło go w tryb alarmowy.

– Tego nie mogę powiedzieć. Przykro mi – odparł tamten. – Naprawdę mi przykro.

– Mam identyfikację numeru, durniu. Wiem, skąd dzwonicz.

– Uups – powiedział tamten.

– Trzeba było o tym pomyśleć. Co z ciebie za straszliwa siła ciemności, skoro nie umiesz nawet zablokować identyfikacji numeru?

Na maleńkim wyświetlaczu telefonu widniały słowa MUZYKA U FRESHA oraz numer. Charlie oddzwonił, ale nikt nie odebrał. Zbiegł do kuchni, wygrzebał z szuflady książkę telefoniczną i odszukał muzykę u fresha. Był to sklep płytowy niedaleko Market Street w dzielnicy Castro.

Telefon znowu zadzwonił i Charlie porwał słuchawkę tak gwałtownie, że uderzając się nią, niemal ukruszył sobie ząb.

– Ty nieczuła łajzo! – wrzasnął. – Masz pojęcie, przez co przeszedłem, potworze bez serca?

– Ej, pierdol się, Asher! – odparła Lily. – Jestem młoda, ale to nie znaczy, że nie mam uczuć. – I rozłączyła się.

Charlie oddzwonił.

– Komis Ashera – odezwała się Lily. – Prywatny sklep, od ponad trzydziestu lat w rękach burżuazyjnych niedomytych wafli.

– Lily, przepraszam. Myślałem, że to ktoś inny. Z czym dzwoniłaś?

– *Moi?* – spytała. – *Je mejous de tagueule, espece degaufre de douche.*

– Lily, przestań gadać po francusku. Powiedziałem, że przepraszam.

– Przyszedł gliniarz i chce z tobą gadać – powiedziała.

\* \* \*

Gdy Charlie szedł po tylnych schodach na dół, Sophie była przypięta do jego piersi niczym bomba do terrorysty. Właśnie osiągnęła etap trzymania główki w górze, przypiął ją więc twarzą do przodu, by mogła się rozglądać. Gdy szedł, wymachiwała rączkami i nóżkami. Wyglądało to tak, jakby skoczyła z samolotu, używając tego chudego świra jako spadochronu.

Policjant stał przy ladzie naprzeciwko Lily. Wyglądał jak reklama koniaku w dwurzędowym, jedwabnym garniturze włoskiego kroju i barwy indygo, szarej lnianej koszuli i żółtym krawacie. Miał mniej więcej pięćdziesiąt lat, latynoską cerę, szczupłą budowę i ostre rysy, które nadawały mu wygląd drapieżnego ptaka. Włosy nosił zaczesane do tyłu, a siwe pasma na skroniach wywoływały wrażenie, że sunie w twoją stronę, nawet wtedy, gdy stał w miejscu.

– Inspektor Alphonse Rivera – przedstawił się, wyciągając rękę. – Dziękuję, że pan zszedł. Ta młoda dama powiedziała, że ostatni raz pracował pan w poniedziałek wieczorem.

Poniedziałek. Dzień, w którym walczył z krukami w zaułku, a do sklepu przyszła blada, rudowłosa kobieta.

– Nie musisz mu nic mówić, Asher – odezwała się Lily, najwyraźniej odnawiając przysięgę wierności pomimo faktu, że był burżuazyjnym waflem.

– Dzięki, Lily. Może zrobisz sobie przerwę i sprawdzisz, co tam słychać w otchłani?

Mruknęła coś pod nosem, po czym wyciągnęła jakiś przedmiot z szuflady pod kasą – przypuszczalnie swoje papierosy – i wyszła przez tylne drzwi.

– Dlaczego ta mała nie jest w szkole?

– Jest niezwykła – odparł Charlie. – Wie pan, indywidualny tok nauczania.

– To dlatego jest taka wesoła?

– W tym miesiącu przerabia egzystencjalistów. W zeszłym tygodniu poprosiła o wychodne, żeby zabić jakiegoś Araba na plaży.

Rivera uśmiechnął się i Charlie trochę się odprężył. Policjant wyjął zdjęcie z kieszeni na piersi i podał je Charliemu. Sophie zrobiła ruch, jakby chciała je złapać. Fotografia przedstawiała starszego mężczyznę w odświętnym ubraniu, stojącego na schodach kościoła. Charlie rozpoznał katedrę Świętych Piotra i Pawła, która znajdowała się tylko parę przecznic dalej, przy Washington Square.

– Widział pan tego mężczyznę w poniedziałkowy wieczór? Miał wtedy na sobie grafitowy płaszcz i kapelusz.

– Nie, przykro mi. Nie widziałem – odparł zgodnie z prawdą Charlie. – Byłem tutaj, w sklepie, mniej więcej do dziesiątej. Przyszło paru klientów, ale nie ten pan.

– Jest pan pewien? Nazywa się James O'Malley. Nie czuje się najlepiej. Rak. Żona powiedziała, że w poniedziałek, mniej więcej o zmierzchu, wyszedł na spacer i nie wrócił.

– Nie, przykro mi – powtórzył Charlie. – Pytał pan motorniczego tramwaju linowego?

– Już rozmawiałem z ludźmi, którzy tego wieczoru obsługiwali linię. Przypuszczamy, że może gdzieś zemdlął i go nie znaleźliśmy. Po takim czasie sprawa nie wygląda najlepiej.

Charlie skinął głową, starając się sprawiać wrażenie zamyślonego. Czuł ogromną ulgę, że gliniarz nie przyszedł w sprawie związanej z nim samym, i miał niemal ochotę parsknąć śmiechem.

– Może powinien pan spytać Cesarza. Zna go pan, nie? Widzi w zakamarkach tego miasta więcej niż większość ludzi.

Rivera skrzywił się na wzmiankę o Cesarzu, ale potem rysy mu złagodniały i znowu się uśmiechnął.

– Dobry pomysł, panie Asher. Zobaczę, czy zdołam go odszukać. – Podał Charliemu wizytówkę. – Gdyby pan sobie coś przypomniał, proszę zadzwonić, dobrze?

– Zadzwonię. Ee, inspektorze – powiedział Charlie i Rivera zatrzymał się kilka kroków od lady. – Czy coś takiego to nie jest rutynowa sprawa dla zwykłego inspektora?

– Tak, zazwyczaj takie śledztwa prowadzą funkcjonariusze w mundurach, ale to może mieć związek z inną sprawą, nad którą pracuję, dlatego to ja przyszedłem.

– A, w porządku – odparł Charlie. – Ładny garnitur, swoją drogą. Nie mogłem nie zauważyć. Taka praca.

– Dziękuję – powiedział Rivera, zerkając z lekkim rozmarzeniem w oczach na swoje rękawy. – Jakiś czas temu dopisało mi szczęście.

– Gratuluję – rzucił Charlie.

– To już minęło – odrzekł inspektor. – Urocze dziecko. Trzymajcie się. – I zniknął za drzwiami.

Charlie odwrócił się, by wrócić po schodach na górę, i omal nie wpadł na Lily. Skrzyżowała ręce nad napisem na koszulce, głoszącym „Piekło to inni”, i patrzyła na niego jeszcze bardziej badawczo niż zazwyczaj.

– No, Asher, chciałbyś mi o czymś powiedzieć?

– Lily, nie mam czasu na...

Wyciągnęła przed siebie srebrną papierośnicę, którą dała mu ta ruda. Papierośnica wciąż rozsiewała czerwony blask. Sophie wysunęła rączkę w jej stronę.

– Co? – spytał. Czyżby Lily to widziała? Czy była czuła na czerwone światło?

Otworzyła papierośnicę i podetknęła mu ją pod nos.

– Przeczytaj, co tu wygrawerowano.

*James O'Malley* – głosił ozdobny napis.

Cofnął się o krok.

– Lily, nie mogę... nic nie wiem o tym facecie. Słuchaj, muszę poprosić panią Ling, żeby popilnowała Sophie, i podejść na Castro. Później wszystko wyjaśnię, dobra? Obiecuję.

Zastanawiała się przez chwilę, patrząc na niego oskarżycielko, jakby go przyłapała na karmieniu jej *bite noire* płatkami owocowymi, w końcu jednak ustąpiła.

– Idź – powiedziała.

## TRAMWAJ ZWANY ZAMIESZANIEM

Charlie jechał do dzielnicy Castro. Stary, ukryty w lasce miecz ze sklepu leżał za nim, na siedzeniu furgonetki. Charlie wysunął w przód szczękę niczym bagnet, a rysy twarzy mu stężały. Miał minę budzącego lęk zdeterminowanego gościa. Jedna ulica, druga, trzecia – przekonany o swojej racji samiec beta jechał do Doliny Drogich Barów i Dziwacznym Fryzur. I biada nieszczęsnemu złoczyńcy, który ośmielił się zadrzeć z tym handlarzem starzyzną, bo jego nędzne życie niewiele w tym momencie znaczyło. Szukuje się wielka draka w pedalskiej dzielnicy, pomyślał Charlie, rozlegną się strzały o zmierzchu.

No, niezupełnie strzały – jako że w lasce miał ukryty miecz, a nie pistolet, raczej dźgnięcia o zmierzchu. Nie budziło to takich skojarzeń z aniołem zemsty, „o jakie mu chodziło. Był wściekły i gotowy walić w pysk, to wszystko. (Traf chciał, że „Dźgnięcia o zmierzchu” stanowiły akurat drugi pod względem popularności tytuł w wypożyczalni wideo w Castro, o włos wyprzedzając film „Narodziny gwiazdy – wersja reżyserska” i przegrywając tylko z „Gliniarzami bez spodni”, którzy bili wszystko inne na głowę).

Charlie skręcił z Market Street i tuż za rogiem Noe Street ujrzął swój cel: MUZYKA U FRESHA, potężny szyld z barwnego szkła. Poczł dreszcz na karku i parcie na pęcherz. Jego ciało weszło w tryb „walcz albo uciekaj”, a on już drugi raz w tym tygodniu postępował wbrew naturze samca beta i wybierał walkę. Niech się dzieje co chce, pomyślał. Stawi czoło swojemu prześladowcy i go załatwi. Kiedy tylko znajdzie miejsce do zaparkowania. Nie znalazł.

Skręcił w przecznice, mijając kafejki i bary – w Castro było pełno i jednych, i drugich. Jeździł w tę i z powrotem bocznymi uliczkami, między rzędami nienagannie utrzymanych (i nagannie drogich) lokali w stylu wiktoriańskim, nie znajdując ani kawałka miejsca dla swojego wiernego rumaka. Pół godziny krążył po okolicy, po czym zawrócił w stronę centrum i znalazł miejsce na wielopoziomym parkingu przy Fillmore, a następnie wsiadł do zabytkowego tramwaju, jadącego przez Market Street do Castro. Uroczy, mały, zielony wagon tramwajowy produkcji włoskiej, z dębowymi ławkami, mosiężnymi poręczami i mahoniowymi ramami okien, z cudnym mosiężnym dzwonkiem i prędkością maksymalną w okolicach trzydziestu kilometrów na godzinę – w taki oto sposób Charlie Asher pędził na pole bitwy. Gdy mijali graffiti w dzielnicy Mission,

próbował sobie wyobrazić horde Hunów, zwieszających się z boków wagonu, wymachujących zakrzywionymi ostrzami i strzelających z łuków. Albo może wileńskich najeźdźców, z tarczami przymocowanymi do burt tramwaju, wiosłujących przy wtórze wielkiego bębna, by złupić te sklepy z antykami, bary dla gejów, bary sushi, bary sushi dla gejów (ani słowa!) i galerie sztuki w Castro. W tym momencie niezwykle bogata wyobraźnia zawiodła Charliego. Wsiadł z tramwaju i cofnął się do Muzyki u Fresha. Zatrzymał się przed sklepem, rozmyślając, co, do diabła, ma teraz zrobić.

A jeśli ten, kto do niego zadzwonił, skorzystał z nie swojego telefonu? A jeśli wpadł do środka z krzykiem i pogroźkami, a za ladą stał akurat jakiś przestraszony dzieciak? Ale potem Charlie spojrzął w drzwi, a tam, za ladą, stał nadzwyczaj wysoki czarnoskóry mężczyzna, od stóp do głów odziany w miętową zieleni. I w tym momencie Charlie dostał szału.

– Zabiłeś ją! – wrzeszczał, ruszając między rzędami regałów z płytami CD w stronę mężczyzny w zieleni.

W biegu wyciągnął miecz, a raczej próbował, licząc, że jednym płynnym ruchem uda mu się wydobyć broń z pochwy i rozplatać krtani zabójcy Rachel. Ale miecz w lasce leżał na zapleczu już od dłuższego czasu i nie licząc trzech przypadków, kiedy to Abby, przyjaciółka Lily, próbowała go zabrać (raz chciała go kupić, a gdy Charlie odmówił sprzedaży, dwa razy usiłowała go ukraść), w ogóle nie wyciągano go z pochwy. Mały mosiężny zaczep, który należało nacisnąć, by uwolnić ostrze, zaciął się. Kiedy więc Charlie zadawał śmiertelny cios, machnął całą laską, która była cięższa – i powolniejsza – od miecza. Mężczyzna w zieleni, szybki, jak na swoje gabaryty, uchylił się, a Charlie stracił cały rząd płyt Judy Garland, stracił równowagę, odbił się od lady, obrócił, po czym ponownie spróbował wykonać sekwencję wysunięcie-cios, którą tyle razy widział w samurajskich filmach i którą tyle razy przetrenował po drodze w myślach. Tym razem klinga wyszła z futerału i zatoczyła śmiertelny łuk metr przed mężczyzną, co skończyło się dekapitacją naturalnej wielkości kartonowej sylwetki Barbary Streisand.

– Należało się! – zagrzemiał mężczyzna.

Gdy Charlie odzyskał równowagę i chciał uderzyć z bekhendu, zobaczył, że leci na niego coś dużego i ciemnego. W ostatniej chwili poznał, co to takiego, nim stara kasa sklepowa walnęła go w głowę. Błysnęło, brzęknęło, a potem wszystko stało się ciemne i lepkie.



\* \* \*

Kiedy Charlie odzyskał przytomność, siedział przywiązany do krzesła na zapleczu sklepu płytowego, które zauważalnie przypominało zaplecze jego własnego sklepu, jeśli nie liczyć faktu, że tutaj pudła były pełne płyt, a nie rozmaitego używanego badzewia. Stał nad nim wysoki czarnoskóry mężczyzna. Z początku Charlie miał wrażenie, że tamten zmienia się w mgłę albo w dym, ale potem zdał sobie sprawę, że to jego wzrok zaczyna falować. Po chwili w głowie odezwał się ból niczym reflektor stroboskopowy.

– Au.

– Jak kark? – spytał tamten. – Czy nie złamany? Masz czucie w stopach?

– No już, zabij mnie, pieprzony tchórze – powiedział Charlie, rzucając się na krzesło.

Próbował dosięgnąć swojego prześladowcę i czuł się trochę jak czarny rycerz z filmu „Monty Python i Święty Graal”, po tym, jak odcięto mu ręce i nogi. Jeśli ten facet podejdzie o krok bliżej, Charlie będzie mógł walnąć go z główki w klejnoty, był tego pewien.

Mężczyzna nadepnął mu na palce u nóg. Skórzany bucior w rozmiarze osiemnaście, sterowany przez studwudziestokilowego sprzedawcę płyt.

– Au! – Charlie podskoczył z bólu, zataczając wraz z krzesłem małe kółko. – Niech to szlag! Au!

– Czyli masz czucie w stopach?

– Skończ to. No, dalej. – Wyciągnął szyję, jakby nadstawiał gardło do poderżnięcia.

Jego strategia zakładała zwabienie tamtego na niewielką odległość, a następnie rozszarpanie mu zębami tętnicy udowej i napawanie się widokiem krwi spływającej na podłogę po zielonych nogawkach. Charlie śmiałby się długo i złowieszczo, patrząc, jak z tego wrednego sukinsyna uchodzi życie, a później, podskakując razem z krzesłem, wydostałby się na ulicę, wskoczył do tramwaju przy Market Street, przesiadł do autobusu linii czterdzieści jeden przy Van Ness, wyskoczył przy Columbus i przekiecał dwie przecznice do domu, gdzie ktoś by go rozwiązał. Miał plan – oraz bilet autobusowy ważny jeszcze przez cztery dni – więc ten skurwiel zadarł nie z tym gościem, co powinien.

– Nie mam zamiaru cię zabijać, Charlie – oznajmił mężczyzna, utrzymując bezpieczny dystans. – Przykro mi, że musiałem walnąć cię kasą. Nie dałeś mi innej możliwości.

– Mogłeś posmakować straszliwego ciosu mojego ostrza! – Charlie rozejrzał się w poszukiwaniu laski z mieczem, na wypadek gdyby facet zostawił ją w zasięgu.

– Tak, jasne, taka możliwość akurat była, ale wolałem wybrać opcję bez plam i bez pogrzebu.

Charlie naprężył się pod więzami, które, jak właśnie stwierdził, zrobiono z foliowych torebek na zakupy.

– Zadarłeś ze Śmiercią, wiesz? Jestem Śmiercią.

– Tak, wiem.

– Serio?

– Jasne.

Wysoki obrócił inne drewniane krzesło i usiadł na nim okrakiem, przodem do Charliego. Kolana miał uniesione do wysokości łokci i wyglądał jak wielka rzekotka, przyczajona przed atakiem na owada. Charlie dopiero teraz zauważył, że tamten ma zielone oczy, ostro kontrastujące z ciemną skórą.

– Ja też – powiedział zły miętowo-zielony człowiek-rzekotka.

– Ty? To ty jesteś śmiercią?

– Jedną ze Śmierci. Nie jedyną. Nie sądzę, by istniała jedyna Śmierć. Teraz już nie.

Charlie nie umiał tego ogarnąć, więc zaczął się wić i rzucać, aż wysoki musiał wyciągnąć rękę, by powstrzymać go przed upadkiem.

– Zabiłeś Rachel.

– Nie.

– Widziałem cię tam.

– Owszem, widziałeś. W tym sęk. Może łaskawie przestaniesz się rzucać? – Potrząsnął krzesłem Charliego. – Ale nie odegrałem kluczowej roli w śmierci Rachel. Nie zajmujemy się tym. Teraz już nie. Nawet nie zajrzałeś do książki?

– Jakiej książki? Coś o niej wspominałeś przez telefon.

– *Bardzo wielkiej książki Śmierci*. Wysłałem ci ją do sklepu. Powiedziałem kobiecie za ladą, że ją przyślę, i dostałem potwierdzenie odbioru, więc wiem, że dotarła.

– Jakiej kobiecie? Lily? To nie kobieta, to dziecko.

– Nie, to była kobieta mniej więcej w twoim wieku, z fryzurą w stylu nowej fali.

– Jane? Nie. Nic mi nie powiedziała. I nie dostałem żadnej książki.

– O, szlag. To wyjaśnia, dlaczego się pojawiały. Nawet nie wiedziałeś.

– Kto? Co? One?

Śmierć w Miętowej Zieleni ciężko westchnął.

– Zdaje się, że trochę tu posiedzimy. Chcesz kawy?

– Jasne, spróbuj uspić moją czujność złudnym poczuciem bezpieczeństwa, a potem zadaj cios.

– Jesteś związany, do kurwy nędzy, nie muszę usypiać żadnej twojej czujności. Majstrowałeś przy strukturze ludzkiej egzystencji i ktoś musiał kopnąć cię w dupę.

– No jasne, nawijaj jak czarny. Wprowadź w to wątek etniczny.

Facet w zieleni wstał i poczłapał ku drzwiom sklepu.

– Z mlekiem?

– I dwie kostki cukru, poproszę – powiedział Charlie.

\* \* \*

– To jest naprawdę super, dlaczego chcesz oddać? – spytała Abby Normal.

Abby była najlepszą przyjaciółką Lily. Siedziały na podłodze na zapleczu Komisu Ashera i przeglądały *Bardzo wielką księgę Śmierci*. Abby tak naprawdę miała na imię Alison, ale nie zamierzała dłużej znosić tego „imienia niewolnicy światła”. Ludzie dość chętnie zwracali się do niej przybranym imieniem, inaczej niż w przypadku Lily. Elficka Czarna Wierzba – każdy chciał, żeby mu to przeliterować.

– Okazało się, że to Asher, a nie ja – odparła Lily. – Mocno się wkurzy, kiedy się dowie, że ją wzięłam. A teraz jest Śmiercią, zdaje się, więc mogłabym mieć kłopoty.

– Zamierzasz mu powiedzieć, że to ty miałaś tę książkę?

– Nie. Powiem, że się zapodziała. To często się tu zdarza.

– Długo myślałaś, że to ty?

– Jakiś miesiąc.

– A co ze snami, nazwiskami i takimi rzeczami, o których w niej piszą? Nie miałaś nic takiego, prawda?

– Myślałam, że dopiero nabieram mocy. Zrobiłam mnóstwo list ludzi, których chciałam wykończyć.

– Tak, też to robię. I wczoraj się dowiedziałas, że to Asher?

– Tak – przyznała Lily.

– Do dupy – powiedziała Abby.

– Życie jest do dupy – stwierdziła Lily.

– I co teraz? – spytała Abby. – Szkoła średnia?

Obie z żalem pokiwały głowami, spoglądając w głąbie barw polakierowanych paznokci, by nie dzielić tego upokorzenia – jedna z nich w ułamku sekundy zmieniła się z półbogini w ostatnią oferę. Szły przez życie w nadziei, że wydarzy się coś wielkiego, mrocznego i nadnaturalnego, więc kiedy już się zdarzyło, podeszły do tego z niezdrowym spokojem. W końcu strach to mechanizm obronny, decydujący o przetrwaniu.

– Więc to wszystko są przedmioty duchowe? – spytała Abby. Machnęła ręką w stronę sterty rzeczy, które Charlie oznaczył napisami „Nie sprzedawać”. – W środku są jakby czyjeś dusze?

– Według księgi, tak – odparła Lily. – Asher twierdzi, że widzi, jak świecą.

– Podobają mi się te czerwone Converse All Stars.

– Bierz. Są twoje – powiedziała Lily.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdziła Lily. Zdjęła trampki z półki i podała przyjaciółce. – Nie zauważy, że ich brakuje.

– Super. Mam czerwone siatkowe pończochy, które świetnie do nich pasują.

– Pewnie mają w sobie duszę jakiegoś spoconego sportowca – stwierdziła Lily.

– Może teraz oddawać cześć moim stopom – powiedziała Abby, wykonując piruet i arabeskę (które wraz z zaburzeniami jazdy stanowiły ślad po dziesięciu latach lekcji baletu).

\* \* \*

– Czyli jestem takim jakby pomocnikiem Mikołaja, to znaczy Śmierci? – spytał Charlie, kołyszając kubkiem z kawą.

Wysoki uwolnił mu jedną rękę, by mógł się napić kawy, i teraz Charlie przy każdym gościu chrzczył podłogę magazynu kroplami mieszanki francuskiej. Pan Fresh zmarszczył brwi.

– O czym ty, do diabła, mówisz, Asher? – Miał wyrzuty sumienia, że walnął Charliego Ashera kasą, a potem go związał. Zastanawiał się, czy uderzenie nie spowodowało jakiegoś uszkodzenia mózgu.

– Mówię o Świętym Mikołaju w domu towarowym Macy's. Kiedy jesteś mały, zauważasz, że Mikołaj w Macy's ma sztuczną brodę i że przynajmniej sześciu Mikołajów z Armii Zbawienia stoi na Union Square. Pytasz o to rodziców, a oni ci mówią, że prawdziwy Mikołaj mieszka na biegunie północnym i jest bardzo zajęty, więc ci pozostali to jego pomocnicy. Właśnie to mi chcesz powiedzieć, że jesteśmy

takimi pomocnikami Śmierci?

Fresh stał wcześniej przy swoim biurku, ale teraz usiadł z powrotem naprzeciwko Charliego, by spojrzeć mu w oczy.

– Charlie, już wiesz, że to nieprawda, co? – powiedział bardzo cicho. – Znaczący, to z pomocnikami Mikołaja i tak dalej?

– No pewnie, wiem, że nie ma Świętego Mikołaja. To była taka przenośnia, młotku.

Tamten skorzystał z okazji, by wyciągnąć rękę i plasnąć Charliego w głowę. Natychmiast tego pożałował.

– Ej! – Charlie odstawił kubek i potarł jedno ze swych zakoli, które poczerwieniało od uderzenia.

– To było niegrzeczne – stwierdził Fresh. – Nie bądźmy niegrzeczni.

– Więc mówisz, że Mikołaj istnieje? – powiedział Charlie, kuląc się w oczekiwaniu na następny cios. – O, mój Boże, jak daleko sięga ten spisek?

– Nie, nie ma żadnego cholernego Mikołaja. Mówię tylko, że nie wiem, czym jesteśmy. Nie wiem, czy istnieje naczelną Śmierć przez duże Ś, chociaż księga sugeruje, że kiedyś była. Chcę powiedzieć, że jest nas wielu, tu, w samym mieście znam mniej więcej dziesięć osób. Wszyscy zbieramy naczynia duchowe i pilnujemy, by trafiły we właściwe ręce.

– I wszystko bazuje na tym, że przypadkowi ludzie wchodzą do twojego sklepu i kupują płyty? – Oczy Charliego stały się okrągłe, gdy coś do niego dotarło. – Sarah McLachlan. Płyta Rachel. Ty ją wziąłeś?

– Tak. – Fresh wbił wzrok w podłogę, nie dlatego, że poczuł wstyd, ale dlatego, że nie chciał patrzeć na cierpienie w oczach Charliego Ashera.

– Gdzie ona jest? Chcę ją zobaczyć – powiedział Charlie.

– Sprzedałem ją.

– Komu? Znajdź ją. Chcę Rachel z powrotem.

– Nie wiem. Kobiecie. Nie zapisałem nazwiska, ale jestem pewien, że była przeznaczona właśnie dla niej. Nauczysz się to rozpoznawać.

– Nauczę się? Po co? – spytał. – Dlaczego ja? Nie chcę zabijać ludzi.

– Nikogo nie zabijamy. To błędne myślenie. My tylko ułatwiamy przejście duszy.

– Zaraz, jeden facet zginął, bo coś do niego powiedziałem, a drugi miał atak serca z powodu czegoś, *co* zrobiłem. Śmierć, która wynika z twoich działań, to w gruncie rzeczy zabójstwo, o ile nie jesteś politykiem, tak? Więc dlaczego ja? Nie mam wielkiej wprawy we wciskaniu kitu. No? Dlaczego ja?

Fresh zastanowił się nad słowami Charliego i poczuł, że coś złowrogiego przebiegło mu po plecach. Nie pamiętał, by kiedykolwiek jego działania doprowadziły wprost do czyjegoś zgonu, nie słyszał też, by coś takiego przydarzyło się innym Handlarzom Śmierci. Oczywiście, czasami pojawiali się w momencie odejścia danej osoby, ale nieczęsto – i nigdy jako przyczyna.

– No? – powiedział Charlie.

Fresh wzruszył ramionami.

– Bo mnie widziałeś. Na pewno zauważyłeś, że nikt cię nie widzi, kiedy idziesz po naczynie duchowe.

– Nigdy nie szedłem po naczynie duchowe.

– Owszem, szedłeś, i będziesz chodził, a przynajmniej powinieś. Musisz postępować zgodnie z programem, panie Asher.

– Tak, mówiłeś. Więc jesteś... ee... jesteśmy niewidzialni, kiedy idziemy po te naczynia?

– Niezupełnie niewidzialni, że tak powiem, tyle że nikt nas nie dostrzega. Możesz wejść ludziom do domu i nie zauważą, że stoisz obok, ale jeśli odezwiesz się do kogoś na ulicy, to cię zobaczy, kelnerka przyjmie od ciebie zamówienie, taksówka zatrzyma się przy tobie... no, przy mnie nie, bo jestem czarny, ale, wiesz, ogólnie tak. To chyba kwestia woli. Sprawdzałem. Zwierzęta nas widzą. Lepiej uważaj na psy, kiedy zabierasz naczynie.

– Więc tak zostałeś tym... jak się na nas mówi?

– Handlarze Śmierci.

– No co ty? Poważnie?

– W księdze tego nie ma. Sam wymyśliłem tę nazwę.

– Jest super.

– Dzięki. – Fresh uśmiechnął się. Ulżyło mu, że przez chwilę nie myśli o jedynej w swoim rodzaju drodze Charliego do roli Handlarza Śmierci. – Właściwie wydaje mi się, że to postać z okładki płyty, facet przy sklepowej kasie, z oczami świecącymi na czerwono. Ale nie wiedziałem o nim, kiedy przyszło mi to do głowy.

– To ma sens.

– Tak sobie właśnie pomyślałem – powiedział Fresh. – Jeszcze kawy?

– Poproszę. – Charlie wyciągnął rękę z pustym kubkiem. – Więc ktoś cię zobaczył. I tak zostałeś Handlarzem?

– Nie. To ty tak zostałeś Handlarzem. Myślę, że możesz, ee... – Fresh nie chciał wprowadzić biedaka w błąd, ale z drugiej strony, właściwie nie wiedział, co się

stało. – Myślę, że możesz być inny niż reszta. Nikt mnie nie zobaczył. Pracowałem jako ochroniarz w kasynie w Vegas, ale miałem dosyć... mówią, że mam problem z autorytetem... więc przyjechałem do San Francisco, otworzyłem ten sklep, zacząłem sprzedawać używane płyty, na początku głównie jazz. Po jakimś czasie samo się zaczęło. Świeące naczynia duchowe, czasem ludzie sami je przynosili, czasem znajdowałem je w domach. Nie wiem, dlaczego ani jak, po prostu się zaczęło, a ja nic nikomu nie powiedziałem. Potem pocztą dostałem księgę.

– Znowu ta księga. Nie masz jej gdzieś pod ręką?

– Jest tylko jeden egzemplarz. Przynajmniej ja wiem tylko o jednym.

– I po prostu wysłałeś go pocztą?

– Przesyłką poleconą! – zagrzmiał Fresh. – Ktoś w twoim sklepie ją odebrał i się podpisał. Myślę, że zrobiłem, co do mnie należało.

– Dobra, przepraszam, mów dalej.

– Tak czy owak, kiedy przyjechałem do Castro, było tu strasznie smutno. Na ulicach widziałem albo bardzo starych ludzi, albo bardzo młodych. Wszyscy w średnim wieku nie żyli albo mieli AIDS. Ludzie chodzili o lasce, ciągnęli za sobą zbiorniki z tlenem. Śmierć była wszędzie. Zupełnie jakby to miejsce potrzebowało stacji dla dusz, a ja tu byłem i handlowałem płytami. A potem w poczcie pojawiła się księga. Przychodziło wiele dusz. Przez parę pierwszych lat codziennie zbierałem naczynia, czasami dwa albo trzy razy w ciągu dnia. Zdziwiłbyś się, ilu gejów ma swoją duszę w muzyce.

– Wszystkie sprzedałeś?

– Nie. Przychodzą, wychodzą. Zawsze coś jest na składzie.

– Ale skąd możesz mieć pewność, że odpowiednia osoba dostaje odpowiednią duszę?

– To nie mój problem, prawda? – Fresh wzruszył ramionami.

Na początku się tym przejmował, ale wyglądało na to, że wszystko odbywa się tak, jak powinno, i zaczął po prostu ufać sile czy mechanizmowi, który tym sterował.

– No, skoro tak do tego podchodzisz, po co w ogóle się tym zajmować? Nie chcę tej roboty. Mam pracę. I dziecko.

– Musisz to robić. Wierz mi, kiedy dostałem księgę, próbowałem tego nie robić. Wszyscy próbowaliśmy. Przynajmniej ci, z którymi rozmawiałem. Chyba już widziałeś, co się dzieje, jeśli odpuścisz. Zaczynasz słyszeć głosy, później pojawiają się cienie. Księga nazywa ich Zaświatowcami.

– Te wielkie kruki? One?

– Dopóki się nie zjawiałeś, to były tylko niewyraźne cienie i głosy. Coś się dzieje. Zaczynając od ciebie, i na tobie kończąc. Pozwoliłeś im zabrać naczynie duchowe, prawda?

– Ja? Mówiłeś, że jest wielu Handlarzy Śmierci.

– Inni są rozsądniejsi. To ty spieprzyłeś sprawę. Zdawało mi się, że w tym tygodniu widziałem jednego, jak latał. A dzisiaj poszedłem na spacer i głosy były takie, że hej. Wtedy do ciebie zadzwoniłem. To ty, prawda?

Charlie skinął głową.

– Nie wiedziałem. Skąd miałem wiedzieć?

– Więc mają naczynie?

– Dwa – odparł Charlie. – Z kanału wyłoniła się ręka. To był mój pierwszy dzień.

– No to koniec – powiedział Fresh, łapiąc się za głowę. – Teraz to już na pewno mamy przejebane.

– Nie wiesz tego – powiedział Charlie, szukając dobrych stron sytuacji. – Może wcześniej mieliśmy przejebane. Znaczący, prowadzimy punkty skupu i sprzedaży dla trupów. To jakby definicja słowa „przejebane”.

Fresh podniósł wzrok.

– Księga mówi, że jeśli nie wywiążemy się z zadania, wszystko może się pograć w ciemnościach, stać się takie, jak Zaświaty. Nie wiem, jakie są Zaświaty, panie Asher, ale parę razy widywałem przybyszy stamtąd na gościnnych występach i na pewno nie chcę się dowiedzieć. A ty?

– Może to Oakland? – powiedział Charlie.

– Co Oakland?

– Zaświaty.

– Oakland to nie Zaświaty. – Fresh skoczył na równe nogi. Nie był brutalem, przy takich rozmiarach nie musiał być. Ale...

– Dzielnica Tenderloin? – podsunął Charlie.

– Nie zmuszaj mnie, żebym ci przyłożył. Żaden z nas tego nie chce, mam rację, panie Asher?

Charlie pokręcił głową.

– Widziałem kruki – stwierdził – ale nie słyszałem żadnych głosów. Jakie głosy?

– Mówią do ciebie, kiedy jesteś na ulicy. Czasami słyszysz głos z kanału wentylacyjnego, rynny, rzadziej studzienki kanalizacyjnej. To tamci. Damskie głosy, uwodzicielskie. Przez długi czas ich nie słyszę, potem biorę naczynie i



któryś się odzywa. Kiedyś dzwoniłem do innych handlarzy, pytałem, czy coś zrobili, ale skończyliśmy z tym.

– Dlaczego?

– Bo wydaje nam się, że to jedna z rzeczy, które je przyciągają. Nie powinniśmy utrzymywać żadnych kontaktów. Minęło trochę czasu, zanim do tego doszliśmy. Wtedy znałem w mieście tylko szóstkę handlarzy i raz w tygodniu szliśmy na lunch, rozmawialiśmy o tym, co wiemy, porównywaliśmy notatki... i wtedy zobaczyliśmy pierwsze cienie. Właściwie, tak na wszelki wypadek, to będzie pierwszy i ostatni raz, kiedy ze sobą rozmawiamy.

Fresh znowu wzruszył ramionami i zaczął uwalniać Charliego z więzów, myśląc: „Wszystko zmieniło się tamtego dnia w szpitalu. Ten facet wszystko zmienił, a ja wysyłam go jak owcę na rzeź... A może to on dokona rzezi? Może to on jest tym jedynym... ?”.

– Czekaj, ciągle nic nie wiem – powiedział Charlie błagalnym tonem. – Nie możesz mnie wysłać z tak skąpych informacjami. Co z moją córką? Skąd mam wiedzieć, komu sprzedawać dusze? – Ogarniała go panika i próbował zadać wszystkie możliwe pytania, zanim zostanie uwolniony. – Co to za liczby za nazwiskami? Nazwiska pojawiają się ot tak, po prostu? Jak długo mam to robić, zanim przejdę na emeryturę? Dlaczego zawsze ubierasz się w miętową zieleń?

Gdy Fresh odwiązywał od krzesła jedną z kostek Charliego, on próbował przywiązać drugą z powrotem.

– Chodzi o imię.

– Słucham? – Charlie przestał przywiązywać się do krzesła.

– Ubieram się w miętową zieleń z powodu mojego imienia. Minty.

Charlie zupełnie zapomniał o swoich zmartwieniach.

– Minty? Nazywasz się Minty Fresh? Miętowa Świeżość?

Wydawało się, że próbuje stłumić kichnięcie, ale potem parsknął głośnym śmiechem. A potem się uchylił.

## SMOK, NIEDŹWIEDŹ I RYBA

W korytarzu na trzecim piętrze budynku Charliego trwało spotkanie dwóch azjatyckich potęg: pani Ling i pani Korjev. Pani Ling, która trzymała Sophie, miała strategiczną przewagę. Z kolei pani Korjev, która była od niej dokładnie dwa razy większa, dysponowała potężną siłą odwetową. Łączyło je kilka cech wspólnych, oprócz faktu, że obie były wdowami i imigrantkami – głęboka miłość do małej Sophie, brak pewności w języku angielskim i absolutny brak wiary w to, że Charlie Asher jest w stanie sam wychować córkę.

– On zły, kiedy dziś wychodzić. Jak niedźwiedź – powiedziała pani Korjev, znana z atawistycznej słabości do porównań z niedźwiedziami.

– On mówi: bez szwaba – powiedziała pani Ling, która stosowała czasowniki jedynie w czasie teraźniejszym, jako wyraz wierności wobec wierzeń buddyzmu czan, a przynajmniej tak twierdziła. – Kto daje szwaba dziecku?

– Schab dobry dla dziecka. Ona być po nim duża i silna – powiedziała pani Korjev, po czym szybko dodała: – Jak niedźwiedź.

– On mówi, że to zmienia ją w shi tzu. Shi tzu to pies. Jaki ojciec myśli, że mała dziewczynka zmienia się w psa?

Pani Ling była szczególnie opiekuńcza wobec małych dziewczynek, jako że dorastała w prowincji Chin, gdzie co rano mężczyzna z wózkiem robił obchód i zbierał ciała dziewczynek, które urodziły się w nocy i zostały wyrzucone na ulicę. Miała szczęście, bo jej matka zabrała ją na pola i nie zgodziła się wrócić do domu, dopóki córeczka nie zostanie przyjęta w poczet rodziny.

– Nie shi tzu – poprawiła pani Korjev. – *Szikse*.

– Dobrze, *szikse*. Pies to pies – stwierdziła pani Ling. – To horrendalna nieodpowiedzialność. – W słowie „horrendalna” nie dało się słyszeć ani jednej głoski „r”, gdy wymawiała je pani Ling.

– To słowo w jidysz, które oznacza nieżydowską dziewczynę. Rachel to Żydówka, wie pani.

Pani Korjev, w przeciwieństwie do większości imigrantów z Rosji, którzy pozostali w tej okolicy, nie była Żydówką. Jej rodzina pochodziła z rosyjskich stepów. Właściwie pochodziła od Kozaków, nieuważanych w gruncie rzeczy za szczególnych miłośników Żydów. Pokutowała za grzechy przodków w ten sposób,

że była zaciekle opiekuńcza (trochę jak niedźwiedzica) wobec Rachel, a teraz Sophie.

– Trzeba dziś podlać kwiaty – powiedziała pani Korjev.

Na końcu korytarza znajdowało się duże okno z widokiem na budynek naprzeciwko i okienną skrzynkę z pelargoniami. Wieczorami dwie azjatyckie potęgi stawały w korytarzu, podziwiały pelargonie, rozmawiały o cenach różnych towarów i narzekały na coraz mniej wygodne buty. Żadna nie odważyła się założyć własnej skrzynki z pelargoniami, żeby nie zostać posądzoną o kradzież pomysłu i nie rozpocząć nakręcającej się kwiatowej rywalizacji, która mogłaby doprowadzić do rozlewu krwi. Panowała między nimi milcząca zgoda, że czerwone kwiaty można podziwiać, ale nie można ich pożądać.

Pani Korjev lubiła je za samą czerwień. Zawsze była zła, że komuniści zaanektowali kolor, który inaczej wywoływałby w niej niepohamowane szczęście. Z drugiej strony, rosyjska dusza, uwarunkowana tysiącami lat strachu, nie zniosłaby zapewne niepohamowanego szczęścia, więc może i dobrze się złożyło.

Pani Ling też była urzeczona czerwiecią pelargonii, jako że w jej kosmologii kolor ten oznaczał powodzenie, dostatek i długie życie. Nawet bramy świątyń malowano na ten sam odcień czerwieni, a zatem czerwone kwiaty symbolizowały jedną z licznych ścieżek do wu – wieczności, oświecenia – w zasadzie w kwiatach krył się cały wszechświat. Pani Ling uważała też, że świetnie smakowałyby w zupie.

Sophie dopiero ostatnio odkryła barwy, i czerwone plamy na tle szarości wystarczały, by wywołać bezzębny uśmiech na jej drobnej buzi.

Cała trójka zaczynała się zatem cieszyć czerwonymi kwiatami, gdy w okno uderzył czarny ptak i na szybie pojawiło się pęknięcie w kształcie pajęczyny. Zamiast jednak spaść, ptak najwyraźniej wtopił się w owo pęknięcie i niczym czarny tusz rozlał się po szybie, a potem po ścianach korytarza.

Azjatyckie potęgi uciekły na schody.

\* \* \*

Charlie rozcierał lewy nadgarstek, obwiązany wcześniej foliową torebką.

– Co, mama nazwała cię na cześć reklamy płynu do ust?

Pan Fresh, który wydawał się dość wrażliwy jak na tak wielkiego mężczyznę, odparł:

– Pasty do zębów, ściśle rzecz biorąc.

– Naprawdę?

– Tak.

– Przepraszam, nie wiedziałem – powiedział Charlie. – Mogłeś to zmienić, nie?

– Tylko przez jakiś czas możesz się sprzeciwiać temu, kim jesteś. W końcu postanawiasz poddać się losowi. Dla mnie to oznaczało, że jestem czarny, mam dwa metry dziesięć wzrostu, a jednak nie gram w NBA, nazywam się Minty Fresh i zostałem zwerbowany na Handlarza Śmierci. – Uniósł brwi, jakby oskarżał Charliego. – Nauczyłem się akceptować i ogarniać wszystkie te sprawy.

– Myślałem, że powiesz „jestem gejem” – przyznał Charlie.

– Co? Nie trzeba być gejem, żeby nosić miętową zieleń.

Charlie przyjrzał się zielonemu garniturowi Fresha, uszytemu z kory i zdecydowanie zbyt cienkiemu, jak na tę porę roku – i poczuł dziwną sympatię wobec tego Handlarza Śmierci o higienicznym nazwisku. Nie zdając sobie z tego sprawy, rozpoznał u niego cechy innego samca beta. (Oczywiście istnieją także geje beta: taki partner jest bardzo ceniony w środowisku homoseksualnym. Możesz go nauczyć, jak ma się ubierać, a jednocześnie być niemal pewnym, że nigdy nie wyrobi sobie lepszego gustu ani nie będzie wspanialszy od ciebie).

– Chyba masz rację – powiedział Charlie. – Przepraszam za swoje pochopne wnioski.

– W porządku – odparł Fresh. – Ale naprawdę powinieneś już iść.

– Nie, nadal nie rozumiem, skąd mam wiedzieć, komu oddać dusze? Znaczący, kiedy to się stało, w moim domu objawiły się najróżniejsze naczynia duchowe, o których nie miałem pojęcia. Skąd mam wiedzieć, czy nie sprzedałem naczynia komuś, kto już jedno ma? A jeśli ktoś ma cały komplet?

– To się nie może zdarzyć. Przynajmniej o ile nam wiadomo. Słuchaj, po prostu się zorientujesz. Masz na to moje słowo. Kiedy ludzie są gotowi, by przyjąć duszę, to ją biorą. Interesowałeś się kiedyś którąś religią Wschodu?

– Mieszkam w Chinatown – odparł Charlie.

Choć, technicznie rzecz biorąc, była to w jakimś sensie prawda, znał tylko trzy zwroty po mandaryńsku: „Dzień dobry”, „Mało krochmalu, proszę” i „Jestem niedouczonym białym diabłem”. Wszystkich nauczyła go pani Ling. Był przekonany, że to ostatnie zdanie oznacza: „Życzę miłego dnia”.

– Pozwól, że inaczej sformułuję pytanie – powiedział Fresh. – Interesowałeś się kiedyś którąś religią Wschodu?

– A, religią Wschodu – powtórzył Charlie, udając, że poprzednio źle zrozumiał pytanie. – Wiem tylko to i owo z Discovery Channel. Wiesz, Budda, Siwa,

Gandalf, tylko grube ryby.

– Rozumiesz koncepcję karmy? Wiesz, że nierozwiązane sprawy wracają w następnym życiu?

– Tak, pewnie. Phi. – Charlie wywrócił oczyma.

– Dobra, możesz uznać się za agenta przydziału dusz. Jesteśmy agentami karmy.

– Tajnymi agentami – dodał marzycielsko Charlie.

– No, to się chyba rozumie samo przez się, że nie możesz nikomu powiedzieć, kim jesteś. Czyli tak, myślę, że jesteśmy tajnymi agentami karmy. Trzymamy duszę, dopóki ktoś nie będzie gotowy, by ją wziąć.

Charlie potrząsnął głową, jakby próbował się pozbyć wody z oczu.

– Czyli jeśli ktoś przyjdzie do mojego sklepu i kupi naczynie duchowe, to znaczy, że do tego czasu szedł przez życie bez duszy? To okropne.

– Naprawdę? – spytał Minty Fresh. – A ty wiesz, czy masz duszę?

– Jasne, że mam.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo ja to ja. – Poklepał się po piersi. – Oto jestem.

– To tylko osobowość – odparł Minty. – I to raptem jedna. Możesz być pustym naczyniem i nigdy nie poznałbyś różnicy. Mogłeś jeszcze nie dojść w życiu do tego punktu, w którym będziesz gotowy, by przyjąć swoją duszę.

– Hę?

– Dusza może się znajdować na wyższym stopniu rozwoju niż ty w tej chwili. Jeśli dzieciak nie zda do dziesiątej klasy, to każesz mu powtarzać wszystkie, od zerówki do dziewiątej?

– Nie. Raczej nie.

– Właśnie. Musi tylko zacząć od początku dziewiątą klasę. No i z duszami jest tak samo. Mogą jedynie piąć się w górę. Człowiek dostaje duszę wtedy, gdy może przenieść ją na wyższy poziom. Kiedy jest gotów na następną lekcję.

– To znaczy, że jeśli sprzedaję komuś któryś świecący przedmiot, ten ktoś żył dotąd bez duszy?

– Taką mam teorię – odparł Minty Fresh. – Przez lata sporo czytałem na ten temat. Teksty z różnych kultur i religii. Ta koncepcja wyjaśnia to wszystko lepiej, niż cokolwiek, co zdołałem wykombinować.

– Czyli nie wszystko jest w księdze, którą mi przysłałeś.

– To tylko praktyczne zalecenia. Nie ma tam wyjaśnień. Wszystko jest proste jak bzykanie. Księga mówi, żeby kupić sobie kalendarz i trzymać go przy łóżku, a

nazwiska same przyjdą. Nie mówi, jak znaleźć ich właścicieli ani jaki jest cel. Tylko tyle, że musisz ich znaleźć. Kup sobie kalendarz biurowy. Ja tak robię.

– Ale co z liczbą? Kiedy znajduję przy łóżku zapisane nazwisko, obok zawsze jest liczba.

Fresh skinął głową i uśmiechnął się, jakby lekko zmieszany.

– Oznacza, że tyle masz dni na odzyskanie naczynia duchowego.

– Innymi słowy, ile czasu zostało do śmierci danej osoby? Nie chcę tego wiedzieć.

– Nie, nie do śmierci, tylko ile dni masz na odzyskanie naczynia. Długo się temu przyglądałem i liczba nigdy nie jest wyższa niż czterdzieści dziewięć. Pomyślałem, że to może być ważne, więc zacząłem szperać w źródłach o śmierci i umieraniu. Tak się składa, że czterdzieści dziewięć to liczba dni w bardo. Pojęcie to pojawia się w tybetańskiej *Księdze umarłych* i oznacza stan przejściowy między życiem a śmiercią. My, Handlarze Śmierci, przenosimy dusze, ale z jakiegoś powodu musimy do nich dotrzeć w ciągu czterdziestu dziewięciu dni. Taką mam przynajmniej teorię. Nie zdziw się, jeśli się okaże, że dana osoba nie żyje od paru tygodni, a ty dopiero dostałeś nazwisko.

– A jeśli nie zdążę? – spytał Charlie.

Minty Fresh smętnie pokręcił głową.

– Cienie, kruki, mroczne gówny z Zaświatów, kto wie? Rzecz w tym, że musisz znaleźć naczynie na czas. I znajdziesz.

– Jak, skoro nie ma adresu ani wskazówek, na przykład „pod materacem”.

– Czasami, właściwie zazwyczaj, same do ciebie przychodzą. To szczęśliwe sploty okoliczności.

Charlie pomyślał o ślicznej rudowłosej dziewczynie, która przyniosła mu srebrną papierośnicę.

– Powiedziałeś „czasami”?

Fresh wzruszył ramionami.

– Czasami trzeba naprawdę poszukać, znaleźć właściwą osobę, iść do jej domu... Raz wynająłem nawet detektywa, żeby pomógł mi kogoś poszukać, ale to zaczęło przyciągać głósy. Możesz się przekonać, czy jesteś blisko, wystarczy sprawdzić, czy ludzie cię widzą.

– Ale muszę zarabiać na życie. Mam dziecko...

– Będziesz zarabiał, Charlie. Pieniądze to część tej roboty. Zobaczysz.

Charlie już zobaczył. Ubrania z rezydencji Mainhearta – mógłby zarobić na nich grube tysiące dolarów.

– Musisz już iść – oznajmił Minty Fresh.

Wyciągnął rękę na pożegnanie i na jego twarz wypłynął uśmiech, niczym księżyc na nocne niebo. Dłoń Charliego zniknęła w uścisku Handlarza Śmierci.

– Na pewno będę miał jeszcze jakieś pytania. Mogę zadzwonić?

– Nie – odparł miętowy.

– Dobra, to ja już pójdę – powiedział Charlie, nie wykonując najmniejszego ruchu. – Zdany na łaskę i niełaskę mrocznych sił z Zaświatów i w ogóle.

– Trzymaj się – rzucił Minty Fresh.

– Nie mam pojęcia, co robię – ciągnął Charlie, stawiając niepewne, chwiejne kroki w stronę drzwi. – Ciężar całej ludzkości spoczywa na moich barkach.

– Aha, pamiętaj, żeby rano porządnie się przeciągnąć – poradził tamten.

– A przy okazji – powiedział Charlie, gubiąc rytm swoich jęków – jesteś gejem?

– Jestem – odparł Minty Fresh – samotny. Całkowicie i absolutnie.

– Dobra – powiedział Charlie. – Przepraszam.

– Nie szkodzi. Przepraszam, że walnąłem cię w głowę.

Charlie skinął głową, wziął zza lady swój miecz w lasce, a następnie wyszedł z *muzyki u fresha*.

No i w zasadzie nie był Śmiercią, ale nie był także pomocnikiem Mikołaja. Nie miał znaczenia fakt, że nikt by mu nie uwierzył. Handlarz Śmierci – to brzmiało dość złowieszczo, ale podobała mu się myśl, że jest tajnym agentem. Jego agencją była KARMA – KARMICZNA AGENCJA REDYSTRYBUCJI MORDERSTW I AWANTUR... No, dobra, nad skrótem musiał jeszcze popracować, ale tak czy inaczej był tajnym agentem.

Właściwie Charlie, choć sam o tym nie wiedział, dobrze się nadawał do tego zawodu. Samce beta, starając się działać poniżej zasięgu radarów, stają się doskonałymi szpiegami. Nie w stylu „James Bond, Aston Martin z pociskami kierowanymi, tarzający się w gronostajowym łożu z rosyjską specjalistką do spraw rakiet”. Raczej w stylu „Źle uczesany, głęboko zakamuflowany biurokrata, wyciągający zaplamione kawą dokumenty ze śmietnika”. Przesadna bojaźliwość pozwala mu na dostęp do miejsc zamkniętych dla samca alfa, z jego testosteronem na rękawie. Samiec beta potrafi być groźny, choć znowu nie w stylu „Całe ciało Jet Li to śmiercionośna broń”, tylko raczej „Pijak na rozpędzonej kosiarce, udający Luke’a Skywalkera w ataku na komórkę z narzędziami”.

Gdy więc Charlie zdążył na przystanek tramwajowy przy Market Street, w myślach już przywdziewał swój nowy kostium tajnego agenta i czuł się w nim

całkiem dobrze. Nagle, gdy przechodził nad studzienką kanalizacyjną, usłyszał szorstki, kobiecy szept:

– Dorwiemy małą. Zobaczycie świeże mięsko. Niedługo ją złapiemy.

\* \* \*

Gdy tylko Charlie wszedł z zaułka do sklepu, Lily wparowała do niego na zaplecze.

– Ten gliniarz znowu tu przyszedł. Tamten facet nie żyje. Zabiłeś go? – Po czym po żołniersku dodała: – Sir?

Później zaszalutowała i dygnęła, by w końcu złożyć ręce i uklonić się po japońsku.

Charlie był zupełnie zaskoczony, zwłaszcza że, zdjęty paniką o bezpieczeństwo córki, właśnie przejechał jak szalowiec przez pół miasta. Był pewien, że te gesty szacunku to tylko przykrywką dla jakiegoś występku lub prośby o przysługę. Możliwe też, że nastolatka, jak to często bywało, robiła sobie z niego jaja. Usiadł więc ciężko na jednym z wysokich drewnianych stołków obok biurka i zapytał:

– Gliniarz? Facet? Jaśniej, proszę. I nikogo nie zabiłem.

Lily wzięła głęboki wdech.

– Ten gliniarz, który był tu parę dni temu. Okazuje się, że gość, z którym poszedłeś się spotkać w Pacific Heights... – zerknęła na coś, co zapisała sobie czerwonym tuszem na przedramieniu – Michael Mainheart, popełnił samobójstwo. I zostawił list do ciebie. Że masz zabrać ubrania jego i jego żony, i sprzedać je po cenie rynkowej. I jeszcze napisał... – znowu popatrzyła na pomazaną na czerwono rękę – ... a co ze słowami „chcę tylko umrzeć”? Nie zrozumiał pan? – Podniosła wzrok.

– Tak powiedział, kiedy udzieliłem mu pierwszej pomocy – oznajmił Charlie.

– Więc go zabiłeś? Czy jak to tam nazywasz. Mnie możesz powiedzieć.

Znowu dygnęła, co poważnie zaniepokoiło Charliego. Dawno uznał, że jego relacje z Lily opierają się na solidnej podstawie czulej pogardy, a takie jej zachowanie wywracało wszystko do góry nogami.

– Nie zabiłem go. Co to za pytanie?

– Zabiłeś faceta z papierosnicą?

– Nie! Nigdy go nie widziałem.

– Wiesz, że jestem twoją wierną służebnicą – powiedziała, dodając tym razem jeszcze jeden ukłon.



– Lily, do diabła, co się z tobą dzieje?

– Nic. W ogóle nic się nie dzieje, panie Asher... eee, Charles. Wolisz Charles czy Charlie?

– Teraz mnie o to pytasz? Co jeszcze mówił ten policjant?

– Chciał z tobą pogadać. Zdaje się, że znaleźli tego Mainhearta przebranego w fatałaszki żony. Wrócił ze szpitala po godzinie, odprawił pielęgniarkę, przebrał się od stóp do głów i połknął garść środków przeciwbólowych.

Charlie skinął głową, myśląc o tym, jak nieugięty był Mainheart w kwestii zabrania ciuchów żony z domu. Próbował wszelkich sposobów, by czuć bliskość z nią, ale nic nie działało. A kiedy noszenie jej ubrań też nie zdało egzaminu, ruszył za nią w jedyny sposób, jaki znał, i połączył się z nią po śmierci. Charlie go rozumiał. Gdyby nie Sophie, może spróbowałby połączyć się z Rachel.

– Niezły zbok, co? – powiedziała Lily.

– Nie! – warknął Charlie. – Wcale nie, Lily. To zupełnie nie tak. Nawet tak nie myśl. Pan Mainheart zmarł z żalu. Może wygląda to inaczej, ale tak właśnie było.

– Przepraszam – powiedziała Lily. – To ty jesteś specem.

Charlie wbił wzrok w podłogę, próbując dostrzec w tym wszystkim jakiś sens. Zastanawiał się, czy zgubienie futra, które było naczyniem duchowym pani Mainheart, oznaczało, że ta para już nigdy nie będzie razem? Z jego powodu.

– A, właśnie – dodała Lily. – Pani Ling zadzwoniła do sklepu cała wystraszona i wrzeszczała coś po chińsku o czarnym ptaku walącym w okno...

Charlie zerwał się ze stołka i popędził po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

– Jest w twoim mieszkaniu! – zawołała za nim Lily.

\* \* \*

Gdy Charlie dotarł do mieszkania, na powierzchni wody w akwariium unosiła się pomarańczowa warstwa telewizyjnych prawników. Azjatyckie potęgi stały w kuchni, pani Korjev trzymała przy piersi Sophie, która wyglądała, jakby pływała, próbując uciec z wielkiego, gąbczastego kanionu bezpieczeństwa między potężnymi kozackimi balonami. Charlie złapał córkę, gdy ta trzeci raz zapadła się w dekolt, i mocno ją przytulił.

– Co się stało? – spytał.

Nastąpiła kanonada chińskiego i rosyjskiego, przerywana od czasu do czasu jakimś angielskim słowem: „ptak”, „okno”, „rozbite”, „czarny” i „zesrała się”.

– Stop! – Charlie uniósł wolną rękę. – Pani Ling, co się stało?

Pani Ling już oprzytomniała po uderzeniu ptaka w okno i szaleńczej gonitwie schodami w dół, ale okazywała teraz niezwykłą dla siebie nieśmiałość, bała się bowiem, że Charlie zauważy mokrą plamę na kieszeni jej sukienki. Niedawno zmarły, pomarańczowy Barnaby Jones czekał tam na spotkanie z zupą wonton, zieloną cebulą, szczyptą ziół i miseczką na zupę. „Ryba to ryba”, powiedziała w myślach, wyciągając łobuza z akwarium. W końcu w akwarium było jeszcze pięciu martwych prawników, więc kto mógłby tęsknić za jednym?

– A, nic – powiedziała pani Ling. – Ptak rozbija okno i nas straszy. Teraz już nie tak źle.

Charlie spojrzął na panią Korjev.

– Gdzie?

– Na naszym piętrze. Rozmawiamy w korytarzu, co najlepsze dla Sophie, i nagle bum, ptak wali w okno i czarny tusz się rozlewa. Uciekamy tutaj i zamykamy drzwi. – Obie wdowy miały klucze do mieszkania Charliego.

– Jutro wezwę kogoś do naprawy – powiedział Charlie. – To wszystko? Nic... nikt nie wszedł?

– To trzecie piętro. Nikt nie wchodzi.

Popatrzył na akwarium.

– Co tu się wydarzyło?

Pani Ling otworzyła szerzej oczy.

– Muszę iść. Umawiam się na partyjkę madžonga w świątyni.

– Wchodzimy, zamykamy drzwi – zaczęła tłumaczyć pani Korjev. – Ryby są zdrowe. Siedzimy Sophie w foteliku, jak zawsze robimy, a potem patrzymy na korytarz, czy wszystko w porządku. Kiedy pani Ling się ogląda, ryby nie żyją.

– Nie ja! To Ruska pierwsza widzi zdechłe ryby – powiedziała pani Ling.

– W porządku – odrzekł Charlie. – Widziały panie jakieś ptaki albo w ogóle coś ciemnego w tym mieszkaniu?

Obie pokręciły głowami.

– Tylko na górze – stwierdziła pani Ling.

– Chodźmy zobaczyć – powiedział Charlie, opierając sobie Sophie na biodrze i biorąc do ręki miecz w lasce.

Poprowadził kobiety do niewielkiej windy, po czym szybko przekalkulował gabaryty pani Korjev i objętość kabiny, by w końcu wybrać schody. Na widok rozbitego okna poczuł lekką słabość w kolanach. Nie tyle z powodu samego okna, ile tego, co widniało na dachu po drugiej stronie ulicy. W kawałkach stłuczonej

szyby widniało tysiące odbić cienia kobiety, widocznego na budynku. Podał niemowlę pani Korjev, podszedł do okna i wybił otwór w szybie, by lepiej widzieć. W tym momencie cień zsunął się po ścianie budynku przemknął po chodniku i zniknął w kratce kanalizacyjnej obok miejsca, w którym tuzin turystów wysiadł właśnie z tramwaju linowego. Najwyraźniej żaden z nich nic nie zauważył. Dopiero minęła pierwsza i promienie słońca rzuciły cienie prosto w dół. Charlie odwrócił się z powrotem i popatrzył na obie wdowy.

– Widziały panie to?

– Rozbite okno? – spytała pani Ling, powoli podchodząc do okna i wyglądając przez otwór, który zrobił Charlie. – O, nie.

– Co? Co?

Pani Ling obejrzała się na panią Korjev.

– Ma pani rację. Trzeba podlać kwiaty.

Charlie zerknął przez otwór w oknie i zobaczył, że chodziło jej o skrzynkę pełną zwiędłych, czarnych pelargonii.

– Kraty we wszystkich oknach. Jutro – powiedział.

\* \* \*

Całkiem niedaleko – w linii prostej – pod Columbus Avenue, w miejscu przecięcia kilku kanałów burzowych, Orcus, Starożytny, chodził zgarbiony w tę i z powrotem. Grube kolce sterczące mu z ramion drapały ściany i rury, sypiąc iskrami i rozsiewając woń płonącego torfu.

– Rozwalisz sobie kolce, jak będziesz tak zapierdzeniał – odezwała się Babd.

Przykucnęła w jednej z mniejszych rur, obok swoich sióstr o imionach Nemain i Macha. Za wyjątkiem Nemain, na której ciele zaczął się pojawiać czarny relief ptasich piór, wszystkie były pozbawione głębi. Płaskie plamy bez światła, zupełnie czarne nawet w półmroku sączącym się ze studzienek kanalizacyjnych – same sylwetki, mroczne pierwowzory chlapaczy z wizerunkami dziewcząt. Cienie, delikatne, żeńskie i dzikie.

– Siadaj. Zjedz coś. Po co zdobywać Powierzchnię, skoro i tak będziesz wyglądał jak śmierć?

Orcus warknął i odwrócił się do trzech sióstr Morrigan.

– Za długo na powietrzu! Za długo. – Wetknął zakrzywiony pazur do koszyka przy pasie i wyciągnął ludzką czaszkę, po czym wsunął ją sobie do ust i schrupał.

Morrigan wybuchły śmiechem, który brzmiał jak wycie wiatru w rurach,

zadowolone, że prezent się spodobał. Spędziły większą część dnia pod cementarzami San Francisco, wykopując czaszki (Orcus lubił te bez kofeiny), a potem ścierając z nich brud i błoto, dopóki nie lśniły jak porcelana.

– Latałyśmy – powiedziała Nemain. Przez chwilę podziwiała niebiesko-czarne, podobne do piór kształty na swojej powierzchni. – Na Powierzchni – dodała bez potrzeby. – Są wszędzie, jak czereśnie, które czekają, aż ktoś je ukradnie.

– Nie ukradnie – zaproponował Orcus. – Myślisz jak kruk. Są nasze, trzeba tylko brać.

– Tak? No to gdzie ty byłeś? Ja zdobyłam to. – W jednej ręce cień uniósł parasol Williama Creeka, a w drugiej futro zabrane Charliemu Asherowi. Wciąż świeciły na czerwono, ale poświata szybko bledła. – Z ich powodu byłam na Powierzchni. Latałam. – Gdy nikt nie zareagował, Nemain dodała: – Na Powierzchni.

– Jateż latałam – odezwała się nieśmiało Babd. – Troszkę. – Miała lekkie kompleksy, ponieważ nie pojawiły się u niej kształty piór ani głębia.

Orcus zwiesił wielki łeb. Siostry Morrigan podeszły do niego i zaczęły głaskać długie kolce, które kiedyś były skrzydłami.

– Wkrótce wszyscy będziemy na Powierzchni – powiedziała Macha. – Ten nowy nie wie, co robi. Dzięki niemu wszyscy będziemy mogli iść na Powierzchnię. Spójrz, jak daleko zaszliśmy, jesteśmy już naprawdę blisko. Dwie na Powierzchni w tak krótkim czasie. To nowe mięso, ten ignorant, to wszystko, czego nam potrzeba.

Orcus uniósł byczą głowę i uśmiechnął się, odsłaniając piłowate zęby.

– Będą jak owoce, które wystarczy zerwać.

– Widzisz? – powiedziała Nemain. – Tak jak mówiłam. Wiedziałeś, że na Powierzchni widać naprawdę daleko? Na wiele mil. I te cudowne zapachy. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że tutaj wszystko jest takie wilgotne i zatęchłe. Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie możemy mieć okna?

– Zamknij się! – ryknął Orcus.

– Kurde, może odgryziesz mi głowę? Czemu nie?

– Nie kuś – odparł byczogłowy Śmierć.

Wstał i poprowadził pozostałe Śmierci, siostry Morrigan, kanałem w stronę dzielnicy finansowej, do zakopanego statku z czasów Gorączki Złota, w którym urządzili sobie dom.

## **CZĘŚĆ DRUGA**

### **DUSZE Z ODZYSKU**

*Nie szukaj śmierci. Śmierć sama cię znajdzie.  
Lecz szukaj takiej drogi, by śmierć była spełnieniem.*

Dag Hammarskjöld

## ŚMIERĆ IDZIE NA SPACER

Rankami Charlie spacerował. O szóstej, po wczesnym śniadaniu, powierzał opiekę nad Sophie pani Korjev albo pani Ling (zależy, czyja kolej wypadła) na czas dnia pracy, po czym wyruszał na przechadzkę. Przemierzał miasto z mieczem w lasce, który stał się częścią jego codziennego wyposażenia. Nosił miękkie buty z czarnej skóry i drogi garnitur z drugiej ręki, który oddał do poprawki do swojej pralni w Chinatown. Chociaż udawał, że ma jakiś cel, spacerował po to, by mieć czas na rozmyślenia, by przymierzyć się do roli Śmierci i poobserwować ludzi. Zastanawiał się, czy dziewczyna z kwiatami, u której często kupował goździk do butonierki, ma duszę i czy ją odda, gdy będzie patrzył na jej śmierć. Obserwował faceta na North Beach, robiącego cappuccino z rysuneczkami w pianie, przedstawiającymi buzie i liście paproci, i zastanawiał się, czy ktoś taki mógłby w ogóle funkcjonować bez duszy – a może to jego dusza kurzyła się u Charliego na zapleczu? Chciał zobaczyć wielu ludzi i przemyśleć wiele spraw.

Przebywając w mieście wśród ludzi, którzy dopiero ruszali z miejsca, witali dzień, czynili przygotowania, zaczął odczuwać nie tylko odpowiedzialność związaną ze swoją nową rolą, ale także władzę, a w końcu – swoją wyjątkowość. Nie liczyło się to, że nie ma pojęcia, co robi, albo że być może z tego powodu stracił miłość swojego życia. Został wybrany. Gdy zdał sobie z tego sprawę, pewnego dnia poszedł przez California Street, w dół Nob Hill do dzielnicy finansowej, gdzie zawsze czuł się gorszy i pozbawiony kontaktu ze światem, wśród pędzących wokół maklerów i bankierów, którzy gadali przez komórki z Hongkongiem, Londynem czy Nowym Jorkiem i nigdy nie patrzyli mu w oczy. Tym razem nie tyle szedł, ile dumnie kroczył. Tego dnia Charlie Asher pierwszy raz od dzieciństwa wsiadł do tramwaju linowego na California Street i uwiesił się na zewnątrz, trzymając się poręczy i dierzając laskę z ukrytym ostrzem, jakby ruszał do ataku. Hondy i mercedesy mknęły obok, przejeżdżały pod jego pachą w bardzo niewielkiej odległości. Wsiadł na pętli, kupił w automacie „Wall Street Journal”, a potem poszedł do najbliższej studzienki kanalizacyjnej, rozłożył gazetę, by nie pobrudzić spodni, po czym opadł na czworaki i wrzasnął do kanału:

– Zostałem wybrany, więc nie zadzierajcie ze mną!

Kiedy wstał, obok stało z dziesięć osób czekających na zielone światło.

Wszyscy na niego patrzyli.

– Musiałem to zrobić – powiedział, nie tonem przeprosin, lecz wyjaśnienia.

Bankierzy, maklerzy, asystenci menedżerów, specjaliści od HR i kobieta, która podawała zupę z małży w Boudin Bakery – wszyscy pokiwali głowami, nie do końca pewni dlaczego. Pracowali w dzielnicy finansowej i mieli do czynienia z różnymi osobnikami, którzy próbowali z nimi zadzierać. W głębi duszy wiedzieli, że Charlie krzyczał we właściwym kierunku. Złożył gazetę i wcisnął ją sobie pod pachę, po czym odwrócił się i wraz z nimi przeszedł przez ulicę, gdy światło wreszcie się zmieniło.

Czasami Charlie przemierzał ulice, myśląc tylko o Rachel, i tak pogrążał się we wspomnieniach jej oczu, uśmiechu, dotyku, że wpadał prosto na ludzi. Bywało i tak, że to ludzie wpadali na niego, a potem nawet nie podnosili mu portfela z chodnika i nie mówili „przepraszam”, co w Nowym Jorku byłoby może normalne, ale w San Francisco oznaczało, że zbliżał się do naczynia duchowego, które należało zabrać. Znalazł jedno z nich, pogrzebacz do kominka – był z brązu, ułożony przy krawężniku razem ze śmieciami na Russian Hill. Innym razem zauważył świecący wazon, wystawiony w oknie wiktoriańskiego budynku na North Beach. Zebrał się na odwagę i zapukał do drzwi, a kiedy młoda kobieta otworzyła i wyszła na ganek, zdumiona, że nikogo nie widzi, Charlie prześliznął się obok, złapał wazon i uciekł bocznymi drzwiami, zanim wróciła. Serce waliło mu jak wojskowy werbel, adrenalina mknęła przez żyły niczym hormonalna karuzela. Gdy tego poranka ruszył z powrotem do sklepu, zdał sobie sprawę – nie bez pewnej ironii – że zanim został Śmiercią, nigdy tak bardzo nie czuł, że żyje.

\* \* \*

Co rano Charlie starał się spacerować w innym kierunku. W poniedziałki lubił pójść do Chinatown tuż po świcie, kiedy odbywały się wszystkie dostawy – przywożono skrzynie ze zbożami, marchwią, sałatą, brokułami, kalafiorami, melonami i tuzinem odmian kapusty. Wszystko to było uprawiane przez Latynosów w Central Valley i konsumowane przez Chińczyków w Chinatown, lecz wcześniej przechodziło przez anglosaskie ręce, które wyciskały z tego pożywne pieniądze. W poniedziałki firmy rybne przywoziły świeży połów. Silni Włosi, których rodziny działały w tej branży od pokoleń, przekazywali towar enigmatycznym chińskim handlarzom, których przodkowie sto lat temu kupowali ryby od Włochów jeżdżących konnymi wozami. Chodnikiem przemieszczały się

najróżniejsze żywe i do niedawna żywe ryby: łupacze, halibuty i makrele, okonie morskie, dorsze i pozbawione szczypiec pacyficzne homary o żółtych ogonach, kraby kieszeńce, upiorne żabnice o długich, sztyletowatych zębach i sterzących z głowy kolcach ze świetlnymi wabikami, które przyciągały zdobycz w odmętach oceanu, gdzie nie docierały promienie słońca. Charliego fascynowały stworzenia z głębin – wielkookie kałamarnice, mątwy, ślepe rekiny, które lokalizowały ofiary za pomocą impulsów elektrycznych – stworzenia, które nigdy nie widziały światła. Patrząc na nie, myślał o tym, co może go czekać w Zaświatach. Mimo że wszedł w rytm znajdowania nazwisk przy łóżku i naczyń duchowych w najróżniejszych miejscach, a kruki i cienie przestały się pojawiać, wciąż czuł ich obecność pod ulicą, za każdym razem, gdy mijał studzienkę kanalizacyjną. Czasami, w tych rzadkich chwilach, gdy na ulicach zapadała cisza, słyszał, jak do siebie szepczą.

\* \* \*

Przechodząc o świcie przez Chinatown, człowiek uczestniczył w niebezpiecznym tańcu. Nie było tu bowiem tylnych drzwi ani zaułków dla dostawców i wszystkie towary przenoszono przez chodnik, i chociaż do tej pory Charlie nie lubił ani niebezpieczeństw, ani tańca, podobał mu się taniec z tysiącem maleńkich, chińskich babć w czarnych kapciach albo przejrzystych, plastikowych butach, które skakały od handlarza do handlarza, ścisnęły, wachały i opukiwały towar. Szukały dla swoich rodzin tego co najświeższe i najlepsze, zamawiały i zadawały pytania po mandaryńsku, wciąż o włos od przejechania przez półtusze wołowe, wielkie wieszaki ze świeżymi kaczkami czy wózki wyładowane skrzynkami żywych żółwi. Charlie nie znalazł jeszcze naczynia duchowego podczas przechadzek po Chinatown, był jednak gotowy, bo ten szaleńczy ruch zwiastował, że kiedyś jedna z babć padnie trupem.

Pewnego ranka, tak dla zabawy, Charlie złapał bakłazana, po który wyciągała rękę pewna szczególnie pomarszczona staruszka. Kobięcina jednak nie wytrąciła mu go z ręki jakimś mistycznym ciosem kung-fu – czego się spodziewał – a tylko popatrzyła mu w oczy i pokręciła głową. Było to zaledwie drgnięcie, ledwie widoczne, które mogłoby wyglądać na tik, lecz w istocie stanowiło nadzwyczaj wymowny gest. Charlie odczytał go tak: „O, Biały Diable, nie chcesz sobie przywłaszczyć tego fioletowego owocu, bo mam nad tobą przewagę czterech tysięcy lat przodków i cywilizacji. Moi dziadkowie budowali kolej i wydobywali srebro w kopalniach, a rodzice przeżyli trzęsienie ziemi, pożar i społeczeństwo,



które zakazywało nawet być Chińczykiem. Jestem matką tuzina, babką setki i prababką legionu. Rodziłam dzieci i obmywałam zmarłych. Jestem historią, cierpieniem i mądrością. Jestem Buddą i smokiem. Więc łapy precz od mojego pieprzonego bakłazana, zanim je stracisz”.

I Charlie odpuścił.

A ona uśmiechnęła się, odrobinę. Trzy zęby. A on zaczął rozmyślać, czy jeśli będzie musiał wziąć naczynie duchowe jednej z tych staruch, starych jak sam Czas, w ogóle zdoła je unieść. I uśmiechnął się w odpowiedzi.

I poprosił ją o numer telefonu, który dał Rayowi.

– Wydawała się miła – powiedział mu. – Taka dojrzała.

\* \* \*

Czasami podczas spaceru Charlie trafiał do Japan Town, gdzie mijał najbardziej tajemniczy zakład w mieście – Naprawę Niewidzialnych Butów. Naprawdę chciał zajrzeć tam któregoś dnia, ale wciąż jeszcze nie oswoił się z olbrzymimi krukami, przeciwnikami z Zaświatów, i rolą Handlarza Śmierci, nie był więc pewien, czy jest gotów na niewidzialne buty, a już tym bardziej niewidzialne buty, które wymagają naprawy! Gdy tamtędy przechodził, często starał się zajrzeć do środka przez japońskie litery na szybie, ale nic nie widział, choć ten fakt, ma się rozumieć, jeszcze nic nie oznaczał. Po prostu nie był jeszcze gotowy. Ale w Japan Town mieścił się sklep ze zwierzętami (Dom Miłych Rybek i Gryzoni), gdzie kupił rybki dla Sophie i dokąd wrócił, by zastąpić telewizyjnych prawników pięcioma telewizyjnymi detektywami, którzy tydzień później też jednocześnie odeszli do Wiecznego Akwenu. Charlie był oszołomiony, gdy zobaczył, że jego córka ślini się na widok martwych detektywów, których było więcej niż na festiwalu filmów noir. Natychmiast spuścił wszystkie rybki w sedesie, po czym użył przepychacza, by usunąć Magnuma i Mannixa. Poprzysiągł sobie, że następnym razem znajdzie małej żywotniejszych przyjaciół. Pewnego popołudnia wychodził z Domu MRiG, niosąc plastikową klatkę firmy Habitrail z parą solidnych chomików, i wpadł na Lily, która zmierzała do kafejki przy Van Ness, gdzie zamierzała spotkać się ze swoją przyjaciółką Abby i oddać pospieszonym rozmyślaniom nad latte.

– Cześć, Lily, jak się masz? – Charlie silił się na obojętny ton, ale stwierdził, że niezręczna atmosfera, panująca między nimi od jakiegoś czasu, nie poprawiła się, gdy Lily zobaczyła go na ulicy z gryzoniami w pudełku.

– Ładne myszoscoczki – powiedziała Lily.

Miała na sobie spódniczkę w kratkę, niczym dziewczyna ze szkoły katolickiej, oraz czarne rajstopy i martensy, a do tego czarny, gumowany gorset, z którego od góry wystawały ściśnięte fragmenty Lily, przypominające kawał ciasta, którym walnięto w krawędź blatu. Jej włosy miały dziś fioletowo-czerwoną barwę, podkreślona liliowym cieniem do powiek, który pasował do fioletowych koronkowych rękawiczek, sięgających łokci. Spojrzała w jedną stronę, potem w drugą. Nie zobaczywszy nikogo znajomego, zrównała krok z Charliem.

– To nie myszoscoczki, tylko chomiki – odparł.

– Asher, czy coś przede mną ukrywałeś? – Lekko przechyliła głowę, ale nie patrzyła na niego, tylko przed siebie, szukając wzrokiem kogoś, kto mógłby ją poznać, gdy szła obok Charliego, tym samym zmuszając do popełnienia seppuku.

– Jezu, Lily, to dla Sophie! – powiedział Charlie. – Jej rybki zdechły, więc kupiłem jej nowe zwierzaki. Poza tym cała ta sprawa z myszoscoczkami to tylko miejska legenda...

– Chodziło mi o to, że jesteś Śmiercią – wyjaśniła Lily.

Charlie omal nie upuścił chomików.

– E?

– To takie niesprawiedliwe – ciągnęła, idąc dalej, choć Charlie stanął jak wryty. Teraz musiał podbiec, by do niej dołączyć. – Takie niesprawiedliwe, że zostałeś wybrany. Muszę powiedzieć, że ze wszystkich życiowych rozczarowań właśnie to ma palmę pierwszeństwa.

– Masz szesnaście lat – zauważył Charlie, który trochę się jąkał, zdumiony faktem, że dziewczyna traktuje temat z taką swobodą.

– Pewnie, rzuć mi to w twarz. Jeszcze tylko przez dwa miesiące będę miała szesnaście lat, a potem co? Moja uroda w mgnieniu oka stanie się ucztą dla robaków, a ja będę zapomnianym westchnieniem w morzu nicości.

– Za dwa miesiące masz urodziny? No, musimy ci sprawić ładny tort – powiedział Charlie.

Znowu przystanął i odwrócił się, by na nią popatrzeć. Tym razem ona też się zatrzymała.

– Lily, wiem, że od śmierci Rachel zachowuję się trochę dziwnie, i przepraszam, że miałaś z mojego powodu kłopoty w szkole, ale próbowałem sobie z tym wszystkim poradzić, z dzieckiem, z firmą. Cały ten stres...

– Mam *Bardzo wielką księgę Śmierci* – oznajmiła. Złapała klatkę z chomikami, gdy wypuścił ją z ręki. – Wiem o naczyniach duchowych, o mrocznych siłach, które przybędą, jeśli spieprzysz sprawę, i tak dalej. Wszystko. Dowiedziałam się

wcześniej od ciebie, zdaje się.

Nie wiedział co powiedzieć. Odczuwał panikę i ulgę jednocześnie. Panikę, bo Lily wiedziała, lecz i ulgę, że w końcu ktoś wie i w to wierzy, a w dodatku widział księgę. Księga!

– Lily, nadal masz księgę?

– Jest w sklepie. Schowałam ją z tyłu gabloty, tam gdzie trzymasz cenne rzeczy, których nikt nigdy nie kupi.

– Do tej gabloty nikt nie zagląda.

– Poważnie? A ja myślałam, że jeśli ją znajdziesz, powiem, że zawsze tam była.

– Muszę iść. – Odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę, ale potem się zorientował, że szli we właściwym kierunku, więc znowu zawrócił. – Dokąd się wybierasz?

– Na kawę.

– Przejdę się z tobą.

– Nie. – Znowu się rozejrzała, w obawie że ktoś mógłby ich zobaczyć.

– Ale, Lily, jestem Śmiercią. Dzięki temu chyba powinienem być choć w niewielkim stopniu fajny.

– Aha, tak się wydaje. Jednak ty najwyraźniej zdołałeś pozbawić Śmierć wszystkiego co fajne.

– Ale jesteś ostra.

– Witaj w moim świecie, Asher.

– Wiesz, że nie wolno ci nikomu o tym mówić?

– Tak jakby kogoś obchodziło, co robisz ze swoimi myszosczkami.

– To chomiki! Nie...

– Wyluzuj, Asher. – Lily zachichotała. – Wiem, o co ci chodzi. Nie zamierzam nikomu mówić, oprócz Abby, która wie, ale ma to gdzieś. Mówi, że poznała jakiegoś faceta, który jest jej mrocznym panem. Ona przechodzi ten etap. Myśli, że fiut to jakaś mistyczna czarodziejska różdżka.

Charlie poprawił klatkę z chomikami, maskując zmieszanie.

– Dziewczyny przechodzą przez taki etap? – Dlaczego dowiaduje się o tym dopiero teraz? Nawet chomiki wydawały się zakłopotane.

Lily odwróciła się na pięcie i ruszyła chodnikiem.

– Nie będę o tym z tobą rozmawiać.

Charlie stał i patrzył za nią, balansując chomikami i zupełnie bezużytecznym mieczem w lasce, i jednocześnie próbując wydostać telefon komórkowy z kieszeni marynarki. Musiał zobaczyć tę księgę, i to szybciej niż za godzinę, gdy dotrze do

domu.

– Lily, zaczekaj! – zawołał. – Dzwonię po taksówkę. Podwiozę cię.

Pomachała ręką, nawet się nie oglądając, i szła dalej. Gdy czekał, aż ktoś w korporacji taksówkowej odbierze telefon, usłyszał ten głos. Zdał sobie sprawę, że stoi dokładnie nad studzienką kanalizacyjną. Od dnia, w którym je ostatnio słyszał, minął ponad miesiąc, i myślał, że zniknęły.

– Ją też dorwiemy, Mięso. Jest nasza.

W gardle poczuł lęk, niczym bilardową bilę. Z trzaskiem zamknął telefon i popędził za Lily. Gdy biegł, laska grzechotała, a chomiki podskakiwały.

– Lily, czekaj! Czekaj!

Odwróciła się błyskawicznie, a jej fioletowa peruka wykonała tylko ćwierć obrotu, a nie pół, więc twarz miała zasłoniętą włosami, gdy mówiła:

– Tort lodowy z Trzydziestu Jeden Smaków, dobra? A potem rozpacz i nicość.

– Napiszemy to na torcie – powiedział.

## DZIEWCZĘTA BYWAJĄ TROCHĘ MROCZNE

Okazało się, że *Bardzo wielka księga Śmierci* wcale nie jest taka wielka, a już z pewnością nie wyczerpująca. Charlie przeczytał ją z dziesięć razy, robił notatki i wypisy, kartkował ją w poszukiwaniu szczegółowych informacji, ale cały materiał, zawarty na dwudziestu ośmiu bogato ilustrowanych stronach, sprowadzał się do poniższego:

1. Gratulujemy, zostałeś wybrany, by działać jako Śmierć. To brudna robota, ale ktoś musi się tym zajmować. Twoim obowiązkiem jest odzyskiwanie naczyń duchowych od zmarłych i umierających oraz przekazywanie ich następnemu ciału. Jeśli zawiedziesz, Ciemności skryją świat i zapanuje Chaos.

2. Jakiś czas temu Luminatus, czyli Wielka Śmierć, który utrzymywał równowagę między światłem a ciemnością, przestał istnieć. Od tamtej pory Siły Ciemności próbują powstać spod ziemi. Tylko ty stoisz pomiędzy nimi a zniszczeniem wspólnej duszy całej ludzkości.

3. Aby powstrzymać Siły Ciemności, potrzebujesz ołówka „dwójki” i kalendarza, najlepiej takiego bez zdjęć z kociakami.

4. Otrzymasz nazwiska i liczby. Liczba wskazuje, ile masz dni na zabranie naczynia duchowego. Poznasz naczynia po karmazynowym blasku.

5. Nikomu nie mów, czym się zajmujesz, bo inaczej mroczne siły itd., itp.

6. Ludzie mogą cię nie widzieć, gdy wykonujesz obowiązki Śmierci, więc uważaj, gdy przechodzisz przez ulicę. Nie jesteś nieśmiertelny.

7. Nie szukaj innych. Nie wahaj się w swojej pracy Śmierci, bo inaczej Siły Ciemności zniszczą wszystko, na czym ci zależy.

8. Nie powodujesz śmierci ani jej nie zapobiegasz, jesteś sługą Przeznaczenia, nie jego wykonawcą. Weź się w garść.

9. Nigdy, pod żadnym pozorem, nie pozwól, by naczynie duchowe wpadło w łapy tych z dołu, bo będzie źle.

\* \* \*

Minęło kilka miesięcy, zanim Charlie znów znalazł się w sklepie sam na sam z

Lily.

– I jak, kupiłeś sobie ołówek „dwójkę”? – spytała go.

– Nie, kupiłem jedynekę.

– Ty łobuzie! Asher, halo! Siły Ciemności...

– Jeśli równowaga w świecie bez tego Luminatusa jest tak chwiejna, że mój ołówek z trochę twardszym grafitem strąci nas wszystkich w otchłań, to może najwyższa pora.

– Ej, ej, ej, ej – powiedziała Lily, jakby chciała uspokoić spłoszonego konia.

– Mój nihilizm i tak dalej to jedno, dla mnie to deklaracja, mam do tego odpowiednie ubrania. Ale tobie na pewno nie tak spieszo do grobu, skoronosisz ten głupi garnitur z Savile Row.

Charlie był dumny, że rozpoznała jeden z jego kosztownych garniturów z drugiej ręki, uszytych przy londyńskim Savile Row. Wbrew samej sobie uczyła się fachu.

– Strach już mnie zmęczył – powiedział. – Miałem do czynienia z Siłami Ciemności, czy z czym tam, Lily, i wiesz co, to jest pojedynek.

– Powinieneś mi o tym opowiadać? To znaczy księga mówi...

– Chyba jestem inny od tego, co mówi księga. Mówi, że nie przyczyniam się do śmierci, ale już dwie osoby zginęły, ogólnie rzecz biorąc, z powodu moich działań.

– Powtarzam: czy powinieneś mi o tym opowiadać? Jak wiele razy podkreślałeś, jestem jeszcze dzieckiem, i to szalenie nieodpowiedzialnym. Jestem szalenie nieodpowiedzialna, tak? Nigdy nie słucham cię zbyt uważnie.

– Tylko ty wiesz – stwierdził. – I masz już siedemnaście lat, nie jesteś dzieckiem, tylko młodą kobietą.

– Nie pogrywaj ze mną, Asher. Jeśli nie przestaniesz tak do mnie gadać, zrobię sobie następny piercing, będę brała ecstasy, aż odwodnię się jak mumia, będę gadała przez komórkę do wyczerpania baterii, a potem znajdę jakiegoś chudego, bladego faceta i będę go ssała, aż zacznie krzyczeć.

– Czyli będzie jak w piątek?

– Co robię w weekendy, to moja sprawa.

– Wiem!

– No to się zamknij!

– Strach już mnie zmęczył, Lily!

– No to przestań się bać, Charlie!

Oboje odwrócili wzrok, zawstydzeni. Lily udawała, że szpera w paragonach, a Charlie udawał, że szuka czegoś w tym, co on nazywał neserem, a Jane torebką

dla faceta.

– Przepraszam – powiedziała Lily, nie podnosząc wzroku znad paragonów.

– W porządku – odparł. – Ja też.

Wciąż na niego nie patrząc, spytała:

– Ale serio, powinieneś mi to mówić?

– Pewnie nie – przyznał. – To jest wielki ciężar. Taka jakby...

– Brudna robota? – Teraz uniosła wzrok i wyszczerzyła się.

– Tak. – Charlie uśmiechnął się z ulgą. – Więcej nie poruszę tego tematu.

– W porządku. To całkiem fajne.

– Poważnie? – Nie pamiętał, by w odniesieniu do niego ktoś używał słowa „fajny”. Był wzruszony.

– Nie ty. Cała ta sprawa ze śmiercią.

– Aha – mruknął. Tak! We współczynniku niefajności wciąż osiągał tysiąc. – Ale masz rację, to nie jest bezpieczne. Koniec rozmów o moim, eee, zajęciu.

– I już nigdy nie powiem do ciebie „Charlie” – dodała. – Przenigdy.

– W porządku – powiedział. – Będziemy zachowywali się tak, jakby to nigdy się nie zdarzyło. Doskonale. Dobry pomysł. Traktuj mnie jak zwykle, czyli ze słabo skrywaną pogardą.

– Odpierdol się, Asher.

– O, właśnie.

\* \* \*

Czekały na niego następnego ranka, kiedy poszedł na spacer. Spodziewał się tego i się nie rozczarował. Wszedł do sklepu, by zabrać włoski garnitur, dopiero co przyjęty na skład, a także zapalniczkę do cygar, od dwóch lat marniejącą w szafce z osobliwościami. Wcisnął je do torby razem ze świecącym porcelanowym niedźwiadkiem, który był naczyniem duchowym kogoś, kto odszedł już dawno temu. A potem wyszedł na ulicę i stanął tuż nad studzienką kanalizacyjną. Pomachał turystom w tramwaju linowym, który z brzękiem przejechał ulicą.

– Dzień dobry – powiedział radośnie.

Gdyby ktoś go widział, pomyślałby, że wita nowy dzień, bo nikogo obok nie było.

– Wydziobiemy jej oczy jak śliwki – syknął żeński głos ze studzienki. – Weź nas na górę, Mięso. Weź nas na górę, żebyśmy mogły chleptać krew z ziejącej rany, którą wyrwiemy ci w piersi.

- I schrupać twoje kości jak cukierki – dorzucił inny głos, także żeński.
- Właśnie – podchwycił pierwszy głos. – Jak cukierki.
- Właśnie – powiedział trzeci głos.

Charlie poczuł, że na całym ciele dostaje gęsiej skórki, ale otrząsnął się i starał panować nad głosem.

– Dzisiaj byłby dobry dzień – powiedział. – Jestem wypoczęty, bo wyspałem się w swoim wygodnym łóżku pod puchową kołdrą. Nie spędziłem nocy w kanałach czy coś w tym rodzaju.

- Łajdak! – zasyczał żeński chór.
- No, pogadamy przy następnej studziencie.

Przeszedł do Chinatown, raźnie krocząc chodnikiem ze swoim mieczem w lasce i garniturem w lekkim pokrowcu, narzuconym na ramię. Próbował gwizdać, ale po chwili pomyślał, że to zbyt banalne. Były już pod następnym skrzyżowaniem, gdy tam dotarł.

– Wyszę duszę tej małej na twoich oczach, Mięso.

– O, fajnie! – powiedział Charlie, starając się ukryć przerażenie w głosie. – Zaczyna już całkiem nieźle raczkować, więc zjedz tego dnia porządnie śniadanie. Jeśli będzie miała swoją gumową łyżeczkę, pewnie spuści ci bęcki.

Z kanałów dobiegł gniewny pisk, a potem ochrypla, szeptana rozmowa.

- Nie może tak mówić! Może? Czy on wie, kim jesteśmy?
- Idę w lewo, do następnego skrzyżowania. Na razie.

Młody Chińczyk w hip-hopowym stroju popatrzył na Charliego i szybko odskoczył w bok, jakby się bał, że ten dobrze ubrany *Lo pak* [biały człowiek] zarazi go swoim świrem. Charlie postukał się w ucho i powiedział:

– Przepraszam, zestaw słuchawkowy.

Hip-hopowiec skinął głową, jakby o tym wiedział i, mimo że to wyglądało inaczej, wcale nie spanikował, tylko wrzucił luz i pieprzony bluesman, więc wypad z baru, ziom. Przeszedł przez ulicę, lekko utykając pod ciężarem rymów.

Charlie wszedł do Pralni pod Złotym Smokiem. Mężczyzna za ladą, pan Hu, którego Charlie znał, odkąd miał osiem lat, powitał go wylewnym i ciepłym uniesieniem brwi, co stanowiło u niego standardowe powitanie, a także znak, że staruszek jeszcze żyje. Z jego uzębienia sterczała fífka, w której dymił papieros.

– Dzień dobry, panie Hu – powiedział Charlie. – Piękny dzień, prawda?

– Garnitur? – spytał pan Hu, patrząc na garnitur przewieszony przez ramię Charliego.

– Tak, dzisiaj tylko ten – odparł Charlie.



Najlepszy towar *zawsze* prał w Złotym Smoku i przez kilka ostatnich miesięcy zapewniał pralni niezły zysk, bo przyjął sporo ubrań z tamtej rezydencji. Tutaj też zlecał poprawki krawieckie. Pan Hu był uważany za najlepszego trójpalczastego krawca na całym Zachodnim Wybrzeżu, a zapewne i na świecie. W Chinatown zwano go Trójpalczasty Hu, choć – bądźmy uczciwi – tak naprawdę posiadał osiem palców, brakowało mu tylko dwóch u prawej dłoni.

– Krawiec? – spytał Hu.

– Nie, dziękuję – odparł Charlie. – Ten będzie na sprzedaż, nie dla mnie.

Hu wyrwał mu garnitur z ręki, przypiął metkę, a potem zawołał po mandaryńsku:

– Jeden garnitur dla Białego Diabła!

Z zaplecza wybiegła któraś z jego wnuczek, zabrała garnitur i zniknęła za kotarą, zanim Charlie zdążył zobaczyć jej twarz.

– Jeden garnitur dla Białego Diabła – powtórzyła do kogoś na zapleczu.

– Środa – oznajmił Trójpalczasty Hu. Podał Charliemu kwit.

– Jest jeszcze coś – powiedział Charlie.

– Dobra, wtorek – odparł Hu. – Ale bez zniżki.

– Nie, panie Hu. Wiem, że minęło sporo czasu, od kiedy tego potrzebowałem... ale zastanawiam się, czy ma pan jeszcze swoją drugą firmę?

Pan Hu przymknął oko i patrzył na Charliego przez pełną minutę, zanim odpowiedział. W końcu rzekł:

– Chodź. – I zniknął za kotarą, zostawiając za sobą obłok papierosowego dymu.

Charlie poszedł za nim, przez hałaśliwe, spowite parą piekło płynów do prania, maglownic i uwijających się pracowników, do małego, obitego sklejką gabinetu. Hu zamknął drzwi na klucz i załatwili sprawę – coś, czego nie robili od ponad dwudziestu lat.

\* \* \*

Gdy Trójpalczasty Hu pierwszy raz poprowadził Charliego Ashera przez czeluście zaplecza Pralni pod Złotym Smokiem, dziesięcioletni samiec beta miał pewność, że zostanie porwany i sprzedany do niewolniczej pracy, zaszlachtowany i spieniężony za okrągłą sumkę albo zmuszony do palenia opium i walki z pięćdziesięcioma wojownikami kung-fu w piżamach (jako dziesięcioletek miał blade pojęcie o kulturze swoich sąsiadów). A jednak mimo lęku powodował nim impuls, wyryty w jego genach od pięciu milionów lat: zdobywanie ognia. Tak, to

pomysłowy samiec beta odkrył ogień. Oczywiście, samiec alfa niemal natychmiast mu go odebrał. (Odkrycie ognia nie przypadło w udziale samcom alfa, ci bowiem nie rozumieli, że nie należy chwycić za gorący, pomarańczowy koniec kija. Można im za to przypisać odkrycie oparzeń trzeciego stopnia). Po dziś dzień pierwotna iskra płonie jasno w żyłach każdego samca beta. Podczas gdy chłopcy alfa przerzucają się na sport i dziewczyny, beta pasjonują się pirotechniką do późnej młodości albo i dłużej. Może i samce alfa dowodzą wszystkimi armiami świata, ale to ręce samców beta wysadzają różne rzeczy w powietrze.

A co może być lepszym znakiem rozpoznawczym dostawcy fajerwerków niż brak palców? Trójpalczasty Hu. Gdy otworzył szeroką szafę za biurkiem, ukazując towar, młody Charlie poczuł, że przeszedł przez ognie piekielne, by wreszcie dotrzeć do rajów, i z radością oddał Chińczykowi zwitek zmiętych, przepoconych banknotów. Srebrny popiół z papierosa Hu opadł na lonty fajerwerków niczym śmiercionośny śnieg, a Charlie wziął swoje skarby. Był tak podekscytowany, że niemal się zsikał.

Zajmujący się śmiercią Charlie, który tego ranka wyszedł z Pralni pod Złotym Smokiem ze zgrabną, owiniętą w papier paczuszką, czuł podobne podniecenie, bo – co prawda wbrew swojej naturze – znowu szedł w paszczę lwa. Skierował się w stronę studzienki kanalizacyjnej i, wymachując świecącym porcelanowym niedźwiadkiem, krzyknął:

– Do następnego skrzyżowania prosto, a potem czwarta ulica po lewej, zdziury! Idziecie ze mną?!

– Biały Diabeł w końcu do reszty zwariował – powiedziała jedenasta wnuczka Trójpalczastego Hu, Cindy Lou Hu, która stała przy ladzie obok czcigodnego i ograniczonego manualnie przodka.

– Ale jego pieniądze nie zwariowały – odparł Trójpalczasty Hu.

\* \* \*

Charlie zauważył ten zaułek podczas jednego ze spacerów do dzielnicy finansowej. Znajdował się pomiędzy Montgomery Street a Kearney Street i było w nim wszystko, co zaułek z prawdziwego zdarzenia mieć powinien: wyjścia pożarowe, kontenery na śmieci, różne stalowe drzwi pobazgrane graffiti, szczur, dwie mewy, różne odcienie brudu, nieprzytomny facet pod kawałem kartonu i kilka znaków „zakaz parkowania”, w tym trzy podziurawione kulami. Był to platoński ideał zaułka. Od innych okolicznych zaułków odróżniało go to, że były tu dwa

wyloty kanałów burzowych, znajdujące się mniej niż pięćdziesiąt metrów od siebie, jeden na końcu uliczki, a drugi pośrodku, skryty między dwoma kontenerami na śmieci. Charlie od niedawna miał oko na studzienki kanalizacyjne, nie mógł więc ich nie zauważyć.

Wybrał studzienkę ukrytą od strony ulicy, przykucnął nieco ponad metr od niej i otworzył paczkę od Trójpalczastego Hu. Wyjął osiem M-80 i skrócił pięciocentymetrowe wodoodporne lonty do około centymetra za pomocą obcinacza do paznokci, który nosił przy kluczach. (M-80 to bardzo duży fajerwerk, siłą eksplozji odpowiadający ponoć ćwiartce laski dynamitu. Wiejskie dzieci używają takich do wysadzania skrzynek pocztowych lub rur w szkołach, ale w miastach do takich psotnych żartów częściej służy dziś pistolet Glock kaliber 9 mm).

– Dzieci! – zawołał Charlie do studzienki. – Jesteście? Przepraszam, ale nie znam waszych imion. – Wyciągnął miecz z laski i położył go przy kolanie, a następnie wydobyl z torby porcelanowego niedźwiadka, którego umieścił przy drugim kolanie. – Proszę bardzo! – zawołał.

Ze studzienki rozległ się wściekły syk i choć już wcześniej wydawało mu się, że panuje tam zupełna ciemność, teraz zrobiło się jeszcze ciemniej. Dostrzegał srebrne okrągłe kształty, poruszające się w mroku. Przypominały monety w morskich odmętach, były to jednak patrzące w górę oczy.

– Dawaj, Mięso. Dawaj – wyszeptał żeński głos.

– Chodźcie i weźcie to sobie – powiedział Charlie, zmagając się z najsilniejszą falą lęku, jaka go kiedykolwiek ogarnęła. Zupełnie jakby ktoś układał mu na plecach suchy lód. Wszystko, co mógł zrobić, to nie trząść się na całym ciełe.

Cień z kanału zaczął wylewać się na chodnik, ledwie na parę centymetrów, ale Charlie go widział – tak jakby zmieniło się światło. A wcale się nie zmieniło. Cień przybrał kształt kobiecej dłoni i przesunął się o piętnaście centymetrów w kierunku świecącego niedźwiadka. W tym momencie mężczyzna złapał miecz i ciachnął ostrzem cień. Klinga nie uderzyła w chodnik, lecz trafiła w coś bardziej miękkiego. Rozległ się ogłuszający wrzask.

– Ty gnoju! – krzyknął głos, tym razem pełen gniewu, a nie bólu. – Ty mały, bezwartościowy... ty...

– Szybcy i martwi, moje panie – powiedział. – Szybcy i martwi. Śmiało, jeszcze jedna próba.

Drugi cień w kształcie dłoni wychynał ze studzienki po lewej, a potem jeszcze jeden, po prawej. Charlie odsunął niedźwiadka od studzienki i wyjął z kieszeni zapalniczkę. Podpalił krótkie lonty czterech M-80 i cisnął je do kanału w chwili,

gdy cienie wyciągały ręce.

– Co to było?

– Co on rzucił?

– Posuń się, nie mogę...

Charlie zatkał uszy palcami. M-80 eksplodowały, a on uśmiechnął się szeroko. Wsunął miecz do laski, pozbierał swoje rzeczy i sprintem popędził do drugiej studzienki. W zamkniętej przestrzeni hałas będzie dojmujący, wręcz brutalny. Charlie wciąż się uśmiechał.

Słyszał chór wrzasków i przekleństw w kilku martwych językach. Jedne nakładały się na inne, jakby ktoś kręcił gałką radia, odbierającego fale z czasu i przestrzeni. Opadł na kolana i nasłuchiwał nad studzienką, uważając, by nie zbliżyć się do niej na odległość ramienia. Słyszał, jak nadchodzą, śledzą go pod ulicą. Liczył na to, że miał rację – że naprawdę nie mogą wyjść. Gdyby jednak nawet wyszły, miał miecz, a w świetle słońca był na swoim terenie. Podpalił jeszcze cztery M-80, te z długimi lontami, i pojedynczo wrzucił je do kanału.

– I kto jest teraz Nowym Mięsem? – spytał.

– Co? Co powiedział?

– Gównu słyszałam.

Charlie pomachał nad studzienką porcelanowym niedźwiadkiem.

– Tego chcecie?

Cisnął do środka kolejny M-80.

– Podoba wam się, co?! – krzyknął, wrzucając trzeci fajerwerk. – To was oduczy dziobania mnie w rękę, pieprzone harpie!

– Panie Asher – rozległ się czyjś głos za jego plecami.

Charlie obejrzał się i zobaczył, że stoi za nim Alphonse Rivera, inspektor policji.

– A, witam – powiedział i po chwili zdał sobie sprawę, że trzyma M-80 z zapalonym lontem, więc dodał: – Przepraszam na chwilę.

Wrzucił fajerwerk do studzienki. W tym momencie wszystkie zaczęły wybuchać.

Rivera cofnął się o kilka kroków, trzymając rękę w kieszeni, zapewne zaciśniętą na pistolecie. Charlie włożył niedźwiadka do torby i dźwignął się na nogi. Słyszał ich głosy – krzyczały, miały przekleństwa.

– Pieprzony frajerze! – wrzasnęła jedna z mrocznych istot. – Z twoich flaków uplotę koszyk i będę w nim nosić twoją odciętą głowę!

– Właśnie – dodała druga. – Koszyk.

– Zdaje się, że już mu tym groziłaś – odezwała się trzecia istota.

– Wcale nie – zaprzeczyła pierwsza.

– Zamknijcie się, kurwa! – krzyknął Charlie do studzienki, po czym spojrzał na Riverę, który wyciągnął broń i trzymał ją przy boku.

– Co? – spytał Rivera. – Kłopoty z kimś w kanale?

Charlie uśmiechnął się.

– Nie słyszy pan tego, prawda?

Ze studzienki dochodziły kolejne przekleństwa, tym razem w języku, który, jak się zdawało, wymagał ogromnej ilości śluzu, by brzmieć, jak należy. Był to celtycki albo niemiecki, albo jakiś inny.

– Słyszę wyraźne dzwonienie w uszach, panie Asher, z powodu pańskich absolutnie nielegalnych fajerwerków, ale oprócz tego... nie, nic.

– Szczury – powiedział Charlie, nieświadomie unosząc brwi w grymasie pod tytułem: „No co, kupisz tę kupę bredni?”. – Nienawidzę szczurów.

– Mhm – mruknął beznamytnie inspektor. – Szczury dziobały pana w rękę. I najwyraźniej uważa pan, że w głębi duszy pragną tandetnych zwierzęcych figurek?

– A, więc pan słyszał? – spytał Charlie.

– Tak.

– To pewnie ma pan zagwozdkę, co?

– Tak – powtórzył gliniarz. – Ładny garnitur. Armani?

– Canali, ściśle rzecz biorąc – odparł Charlie. – Ale dzięki.

– Nie to, co sam bym włożył na bombardowanie kanałów, ale co kto lubi.

Rivera ani drgnął. Stał tuż przy krawężniku, o jakieś trzy metry od Charliego, wciąż trzymając pistolet przy boku. Minał ich mężczyzna uprawiający jogging i zaraz skorzystał z okazji, by przyspieszyć. Zarówno Charlie, jak i Rivera uprzejmie skinęli mu głową.

– No – odezwał się Charlie – jest pan zawodowcem. Co pan zamierza?

Rivera wzruszył ramionami.

– Nie bierze pan żadnych leków, z którymi mógł pan przesadzić?

– Chciałbym – odparł Charlie.

– Pił pan przez całą noc, żona pana rzuciła, dobijają pana wyrzuty sumienia?

– Moja żona nie żyje.

– Przykro mi. Od jak dawna?

– Już prawie rok.

– No to nic z tego – stwierdził Rivera. – Cierpiał pan na choroby psychiczne?

– Nie.

– Teraz już tak. Gratuluję, panie Asher. Może pan to wykorzystać następnym razem.

– Przeprowadzą mnie przed reporterami? – spytał Charlie, zastanawiając się, jak to wytłumaczy pracownikom oświaty. Biedna Sophie, z tatusiem skazańcem, a do tego Śmiercią, w szkole nie będzie jej łatwo. – To marynarka szyta na miarę, nie sądzę, bym mógł naciągnąć ją na głowę, kiedy będą mnie prowadzić przed reporterami. Pójdę do więzienia?

– Nie ze mną. Nie. Myśli pan, że mnie byłoby łatwiej to wyjaśnić? Jestem inspektorem, nie aresztuję ludzi za wrzucanie fajerwerków i krzyczenie do kanałów.

– Więc czemu wyciągnął pan broń?

– Czuję się z nią bezpiecznie.

– Rozumiem – powiedział Charlie. – Pewnie wydawałem się trochę niezrównoważony.

– Tak pan myśli?

– Więc dokąd nas to prowadzi?

– To reszta pańskiego arsenału? – Rivera zerknął na papierową paczkę z fajerwerkami pod pachą Charliego.

Charlie skinął głową.

– Może wrzuci pan to do kanału i będzie po sprawie?

– Nie ma mowy. Nie mam pojęcia, co mogą zrobić, jeśli wpadną im w ręce fajerwerki.

Teraz to inspektor uniósł brwi.

– Szczury?

Charlie wrzucił paczkę do studzienki. Słyszał dochodzące z dołu szepty, ale starał się nie pokazać po sobie, że ma stracha.

Rivera schował broń i klepnął go w klapy marynarki.

– Często przyjmuje pan takie garnitury do sklepu? – spytał.

– Teraz częściej niż kiedyś. Sporo kupuję z rezydencji – odparł Charlie.

– Nadal ma pan moją wizytówkę. Proszę zadzwonić, jeśli trafi się panu czterdziestka, dowolnej włoskiej marki, ze średniej albo cienkiej wełny. A, z jedwabiu też.

– Tak, jedwab jest w sam raz na naszą pogodę. Jasne, chętnie, coś panu zostawię. Przy okazji, inspektorze, jak pan trafił do zaułka przy bocznej uliczce we wtorek rano?

– Nie muszę panu mówić – odparł z uśmiechem Rivera.

- Nie?
- Nie. Miłego dnia, panie Asher.
- Wzajemnie – powiedział Charlie.

Zatem teraz śledzono go nie tylko pod ulicą, ale i na ulicy? Gdyby było inaczej, skąd by się tu wziął policjant z wydziału zabójstw? Ani *Bardzo wielka księga*, ani Minty Fresh nie wspominali ani słowem o gliniarzach. Jak można było utrzymać w tajemnicy całą tę sprawę ze śmiercią, gdy obserwowała cię policja? Z Charliego wyparowała cała radość wywołana faktem, że stawił czoło wrogowi, to znaczy zrobił coś całkowicie wbrew swej naturze. Nie miał pewności dlaczego, ale coś mu mówiło, że właśnie nawalił.

\* \* \*

Pod ulicą Morrigan patrzyły na siebie ze zdumieniem.

– On nie wie – powiedziała Macha, oglądając swoje szpony, które lśniły niczym szcztokowana stal w bladym blasku sączącym się z góry.

Na jej ciele zaczęły pojawiać się czarno-granatowe kształty piór, a oczy nie były już tylko srebrnymi krążkami, lecz miały w sobie czujność oczu drapieżnego ptaka. Kiedyś fruwała nad polami bitew na Północy pod postacią zakapturzonego kruka, lądując na ciałach tych żołnierzy, którzy umierali od ran, i wydziobując im dusze. Celtowie nazywali odcięte głowy wrogów „żołędziami Machy”. Nie mieli pojęcia, że w ogóle nie dba o ofiary składane przez ich plemiona, a jedynie o ich krew i dusze. Tysiąc lat minęło, odkąd widziała swoje kobiece pazury w takim kształcie.

– Nadal słyszę – powiedziała jej siostra Nemain, która czesała własne czarno-granatowe pióra.

Syczała z rozkoszą, gdy przesuwiała ostrymi końcami pazurów po swoich piersiach. Wyrastały jej też kły, pozostawiające ślady na delikatnych wargach. Miała zwyczaj skrapiać jadem tych, których wyznaczała na śmierć. Nie było zacieklejszego wojownika niż ten, na którego spadł jad Nemain. Ktoś taki bowiem nie miał nic do stracenia, ruszał do boju bez lęku, w bitewnym szale, który dawał im siłę dziesięciu chłopów i udzielał się innym, pchając ich ku zagładzie.

Babd przesunęła swoimi nowo odkrytymi pazurami po ścianie kanału, żłobiąc w betonie głębokie rysy.

– Bardzo mi się podobają. W ogóle zapomniałam, że je mam. Założę się, że możemy iść na Powierzchnię. Chcecie iść na Powierzchnię? Czuję się tak, jakbym

mogła. Tej nocy pójdziemy na Powierzchnię. Możemy oderwać mu nogi i patrzeć, jak pełza we własnej krwi. Ale będzie ubaw. – Babd była krzykaczką. Jej wrzask na polu bitwy nakazywał armiom odwrót. Szeregi żołnierzy umierały ze strachu. Była wszystkim co dzikie, wściekłe i niezbyt inteligentne.

– Mięso o niczym nie wie – odparła Macha. – Po co tracić przewagę z powodu tego przedwczesnego ataku?

– Bo będzie fajnie – odparła Babd. – Rozumiesz? Powierzchnia? Zabawa? Wiem, zamiast koszyka, możesz upleść z jego flaków kapelusz.

Nemain strąciła z pazurów trochę jadu, który utworzył na betonie syczącą, parującą kreskę.

– Trzeba powiedzieć Orcusowi. On będzie miał jakiś plan.

– O kapeluszu? – spytała Babd. – Musisz mu powiedzieć, że to był mój pomysł. Uwielbia kapelusze.

– Musimy mu powiedzieć, że Nowe Mięso nie wie.

Cała trójka ruszyła przez rurę, niczym dym, w kierunku wielkiego statku, by podzielić się wieścią, że ich nowy wróg nie wie, kim jest ani co ściągnął na świat.



## KSIĘGA UMARŁYCH Z BAY CITY

Charlie nazwał chomiki Parmezan i Romano (albo dla skrótów Parm i Romy), bo kiedy nadeszła pora na wymyślenie imion, akurat czytał etykietę na sosie Alfredo. Był to cały wysiłek intelektualny, jaki w to włożył, i wystarczyło. W zasadzie przyszło mu nawet do głowy, że przesadził, bo kiedy wrócił do domu w dniu wielkiej klęski fajerwerkowo-kanalowej, zastał swoją córkę radośnie walącą sztywnym chomikiem w tacę wysokiego, niemowlęcego krzeselka.

Zabawką okazał się Romano, co Charlie poznał po kropce lakieru do paznokci między uszami, mającej odróżniać chomika od jego kumpla Parmezana, który równie sztywny leżał w plastikowej klatce Habitrail. W karuzelce, ściśle rzecz biorąc. Padł w kieracie.

– Pani Ling! – zawołał Charlie.

Wyjął przeterminowanego gryzonia z rączki ukochanej córki i wrzucił go do klatki.

– To ja, Vladlena, panie Asher – dobiegł donośny głos z łazienki. Potem rozległ się szum spuszczonej wody i z łazienki wyłoniła się pani Korjev, zapinająca zatrzaski ogrodniczek. – Przepraszam, muszę srać jak niedźwiedź. Sophie była bezpieczna w krzeselku.

– Bawiła się martwym chomikiem.

Pani Korjev popatrzyła na dwa zwierzątka w plastikowym pojemniku. Lekko w niego stuknęła, potrząsnęła w przód i w tył.

– One śpią.

– Nie śpią, tylko zdechły.

– Dobrze się czują, kiedy idę do łazienki. Bawią się, biegają w kółku, są wesołe.

– Nie były wesołe. Były martwe. Sophie miała jednego w rączce. – Uważnie obejrzała gryzonia, którego miała usiłowała zmiękczyć. Jego głowa wydawała się mokra. – W buzi. Miała go w buzi.

Oderwał papierowy ręcznik z rolki na blacie i zaczął wycierać wnętrze ust Sophie. Wydała z siebie dźwięk, który brzmiał jak „la-la-la”, i spróbowała zjeść ręcznik. Sądziła, że na tym polega zabawa.

– A w ogóle gdzie jest pani Ling?

– Musi odebrać receptę, więc ja pilnuję Sophie przez jakiś czas. A małe niedźwiadki się cieszą, kiedy idę do łazienki.

– Chomiki, pani Korjev, nie niedźwiadki. Długo tam pani siedziała?

– Może pięć minuta. Myślę, że może teraz mam naciągnięte jelito, tak się staram.

– Aaaaaiiii! – rozległ się krzyk od strony drzwi, gdy pani Ling weszła do środka i wpadła na Sophie. – Już późno na spanie – warknęła do pani Korjev.

– Teraz ja się nią zajmę – powiedział Charlie. – Niech jedna z pań jej chwilę popilnuje, a ja pójdę się pozbyć chomików.

– Mówi o małych niedźwiadkach – wyjaśniła pani Korjev.

– Ja się pozbywam – zaoferowała się pani Ling. – Nie ma sprawa. Co im się staje?

– Śpią – powiedziała pani Korjev.

– Proszę już iść. Rano zajrzę do jednej z pań.

– Moja kolej – powiedziała ze smutkiem pani Korjev. – Mam zakaz? Nie ma Sophie dla Vladleny, tak?

– Nie. Eee, tak. W porządku, pani Korjev. Przyjdę rano.

Pani Ling potrząsała klatką. Mocno spały te gryzonie. Lubiała gryźć.

– Zajmuję się tym – powiedziała.

Wzięła pojemnik pod pachę i wycofała się do drzwi, machając na pożegnanie.

– Pa, pa, Sophie. Pa, pa.

– Pa, pa, bąbelek – dodała pani Korjev.

– Pa, pa – powiedziała Sophie i pomachała rączką.

– Kiedy nauczyłaś się robić „pa, pa”? – spytał ją Charlie. – Nie można cię zostawić nawet na chwilę.

Zostawił ją jednak już następnego dnia, by znaleźć jakieś zastępstwo dla chomików. Tym razem do sklepu ze zwierzętami pojechał furgonetką. Odwaga czy brawura, którą zebrał w sobie, by zaatakować harpie z kanałów, zupełnie stopniała i nie chciał się nawet zbliżyć do studzienek. W sklepie wybrał dwa malowane żółwie, oba mniej więcej wielkości wieczek od słoików z majonezem. Kupił też dla nich duże naczynie w kształcie nerki z własną wysepką, plastikową palemką, paroma roślinami wodnymi i ślimakiem. Ślimak miał zapewne podnieść żółwiom poczucie własnej wartości: „Mówisz, że my wolno chodzimy? No to popatrz na tego gościa”. Był też kamień, który na tej samej zasadzie podnosił morale ślimaka. Każdy lepiej się czuje, gdy może na kogoś patrzeć z góry, a także podziwiać kogoś z dołu, zwłaszcza jeśli gardzi jednym i drugim. To nie tylko typowa dla samców

beta strategia przetrwania, ale też podstawa kapitalizmu, demokracji i większości religii.

Po piętnastominutowym wypytywaniu sprzedawcy o żywotność żółwi i uzyskaniu zapewnienia, że prawdopodobnie mogłyby przeżyć atak jądrowy, o ile zostałyby wtedy jakieś robale do jedzenia, Charlie wypisał czek, po czym zaczął go odrywać nad swoimi żółwiami.

– Wszystko w porządku, panie Asher? – spytał facet ze sklepu ze zwierzętami.

– Przepraszam – powiedział Charlie. – To ostatni blankiet w książeczce.

– I bank nie dał panu nowej?

– Nie, mam nową, ale to ostatni blankiet, który wypełnia moja żona. Kiedy go zużyję, już nigdy nie zobaczę jej pisma w książeczce.

– Przykro mi – powiedział sprzedawca, który do tej chwili myślał, że największe wyzwanie tego dnia to pocieszenie faceta, któremu zdechły dwa chomiki.

– To nie pański problem – odparł Charlie. – Zabiorę żółwie i już pójdę.

Tak też zrobił. Podczas jazdy ścisnął w ręce książeczkę czekową. Rachel oddalała się, z każdym dniem coraz bardziej.

\* \* \*

Tydzień temu Jane zeszła na dół, by pożyczyć trochę miodu, i z tyłu lodówki znalazła dżem śliwkowy, który lubiła Rachel. Był pokryty zielonym meszkiem.

– Braciszku, trzeba to wyrzucić – oznajmiła, krzywiąc się.

– Nie. To było Rachel.

– Wiem, mały, ale ona po to nie wróci. Co jeszcze... o, Boże! – Wyłoniła się z lodówki. – Co to było?

– Lasagne. Rachel ją zrobiła.

– To... leżało tu ponad rok?

– Nie mogłem się zmusić, żeby to wyrzucić.

– Słuchaj, przyjdę w sobotę i posprzątam to mieszkanie. Zabiorę wszystkie rzeczy Rachel, których nie chcesz.

– Chcę je wszystkie.

Jane zawahała się, wyrzucając do kosza zielono-fioletową lasagne razem z patelnią.

– Nie, Charlie. Takie rzeczy nie pomagają ci pamiętać Rachel. One cię tylko ranią. Musisz się skupić na Sophie i waszym dalszym życiu. Jesteś młodym

facetem, nie możesz się poddawać. Wszyscy kochaliśmy Rachel, ale musisz iść naprzód. Albo wyjść do ludzi.

– Nie jestem gotowy. A ty nie możesz przyjść w sobotę, bo wtedy pracuję w sklepie.

– Wiem – odparła. – Lepiej, żeby cię tu nie było.

– Ale tobie nie można ufać, Jane – powiedział, jakby to było równie oczywiste, jak fakt, że Jane jest denerwująca. – Wyrzucisz wszystkie rzeczy Rachel i ukradniesz mi ubrania. – Jane faktycznie regularnie podprowadzała mu garnitury, od kiedy zaczął się ubierać bardziej z klasą. Miała na sobie szytą na miarę dwurzędową marynarkę, którą raptem dwa dni temu odebrał od Trójpalczastego Hu. Charlie ani razu jej jeszcze nie włożył. – A w ogóle dlaczego ciągle nosisz garnitury? Czy twoja nowa dziewczyna nie jest instruktorką jogi? Nie powinnaś nosić tych szerokich spodni z konopi i włókien tofu, tak jak ona? Wyglądasz jak David Bowie, Jane. No, powiedziałem to. Przykro mi, ale musiałem to powiedzieć.

Jane objęła go i pocałowała w policzek.

– Jesteś taki słodki. Bowie to jedyny facet, który kiedykolwiek wydawał mi się atrakcyjny. Pozwól mi posprzątać swoje mieszkanie. Zajmę się tego dnia Sophie. Dajmy wdowom jeden dzień, żeby mogły powalczyć w sklepie „Wszystko za Dolar”.

– Dobra, ale tylko ubrania i takie tam. Zdjęć nie ruszaj. Spakuj wszystko w pudła i wynieś do piwnicy, niczego nie wyrzucaj.

– Nawet jedzenia? Chuck, ta lasagne, wiesz...

– Dobra, jedzenie możesz wywalić. Ale niech Sophie nie wie, co robisz. I zostaw perfumy Rachel. I jej szczotkę do włosów. Chcę, żeby Sophie wiedziała, jak pachniała jej matka.

Tego wieczoru, gdy skończył pracę w sklepie, szedł do piwnicy, do małej, odgródzonej części z rzeczami z mieszkania, i popatrzył na pudła, które spakowała Jane. Kiedy to nie wystarczyło, otworzył każde z nich i po kolei pożegnał wszystkie przedmioty – kawałki Rachel.

W drodze ze sklepu ze zwierzętami do domu zatrzymał się w Czystej, Jasno Oświetlonej Księgarni, bo to także był kawałek Rachel, z którym chciał się zetknąć. Zarazem jednak musiał się doksztalić. Szperał po Internecie w poszukiwaniu informacji o śmierci. Wprawdzie dowiedział się, że wielu ludzi chce się ubierać jak śmierć, rozbierać przy zmarłych, oglądać zdjęcia rozebranych i zmarłych, sprzedawać pigułki na erekcję dla zmarłych, lecz nie znalazł nic o tym, jak być zmarłym albo Śmiercią. Nikt nie słyszał o Handlarzach Śmierci, o harpiach

z kanałów ani o niczym podobnym. Wyszedł z księgarni z półmetrowym stosem książek o śmierci i umieraniu. Zwyczajem samców beta uważał, że jeśli znowu ma walczyć z wrogami, powinien się najpierw dowiedzieć, z czym dokładnie ma do czynienia. Tego wieczoru usiadł na kanapie obok swojej córeczki i czytał, podczas gdy nowe żółwie, Brutal i Jeep (nazwane tak w nadziei, że imiona przełożą się na ich trwałość) jadły suszone robale i oglądały „Safariland” w kablówce.

– No, kochanie, zdaniem tej pani Kübler-Ross, pięć etapów śmierci to gniew, odrzucenie, walka, depresja i akceptacja. Przeszliśmy przez te wszystkie etapy, kiedy straciliśmy mamusię, prawda?

– Mama – powiedziała Sophie.

Gdy pierwszy raz powiedziała „mama”, Charlie się rozplakał. Patrzył nad jej maleńkim ramieniem na zdjęcie Rachel. Gdy powiedziała to po raz drugi, emocje były mniejsze. Siedziała w swoim wysokim krzeselku, jadła śniadanie i mówiła do tosterka.

– To nie mama, Sophie. To toster.

– Mama – upierała się Sophie, wyciągając rączkę do urządzenia.

– Zadzierasz ze mną, tak? – spytał.

– Mama – powiedziała Sophie do lodówki.

– Super – jęknął Charlie.

Czytał dalej, zdając sobie sprawę, że doktor Kübler-Ross miała świętą rację. Co rano, gdy się budził i w notesie przy łóżku znajdował kolejne nazwisko i liczbę, przechodził cały pięcioetapowy proces, zanim jeszcze dokończył śniadanie. Teraz jednak, gdy te fazy zyskały swoje nazwy, zaczął rozpoznawać je jako uczucia członków rodziny swoich klientów. Tak właśnie nazywał ludzi, których dusze zabierał. Klienci.

A potem przeczytał książkę pod tytułem *Ostatni worek*, o tym, jak się zabić za pomocą torebki foliowej. Książka nie mogła być jednak bardzo skuteczna, bo na tylnej okładce zobaczył, że ukazały się dwa kolejne tomy. Wyobraził sobie list od czytelnika:

*Szanowny Autorze Ostatniego worka.*

*Już prawie umarłem, ale moja torebka cała zaparowała i nie widziałem telewizora, więc zrobiłem sobie dziurkę na oko. Spróbuję jeszcze raz, korzystając z Pańskiej następnej książki.*

Lektura nic Charliemu nie przyniosła, z wyjątkiem wzbudzenia w nim nowej

paranoi w związku z plastikowymi torebkami.

W ciągu kilku następnych miesięcy przeczytał: egipską *Księgę umarłych*, która nauczyła go, jak za pomocą haka wyciągnąć komuś mózg przez otwór nosowy, co z pewnością mogło się pewnego dnia przydać; tuzin książek o śmierci, żałobie, zwyczajach pogrzebowych i mitach, dotyczących Zaświatów – dowiedział się, że uosobienia Śmierci istniały od zarania dziejów i że żadne z nich nie wyglądało jak on; a także tybetańską *Księgę umarłych*, gdzie wyczytał, że *bardo*, okres przejściowy między tym życiem a następnym, trwa czterdzieści dziewięć dni, i że w tym czasie spotykasz około trzydziestu tysięcy demonów – każdego opisano z najdrobniejszymi szczegółami i żaden nie przypominał harpii z kanałów, a wszystkie należało ignorować i nie bać się ich, nie były bowiem prawdziwe, jako że pochodziły z materialnego świata.

– Dziwne – powiedział Charlie do Sophie. – Wszystkie te książki mówią, jak nieważny jest świat materialny, a jednak muszę zbierać ludzkie dusze, które są powiązane z materialnymi przedmiotami. Wygląda na to, że śmierć jest przynajmniej ironiczna, nie sądzisz?

– Nie – powiedziała Sophie.

Półtoraroczna Sophie odpowiadała na wszystkie pytania albo „nie”, albo „ciacho”, albo „jak niedźwiedź”. To ostatnie Charlie przypisywał zbyt częstemu pozostawianiu córki pod opieką pani Korjev. Po tym, jak dwa żółwie, dwa kolejne chomiki, krab pustelnik, legwan i dwie żaby trafiły do wielkiego woka w niebiosach (a dokładniej na trzecim piętrze), Charlie w końcu ustąpił i przyniósł do domu siedmiocentymetrowego karaczana madagaskarskiego, któremu dał na imię Niedźwiedź, by jego córka nie kroczyła przez życie, wygadując same wierutne bzdury.

– Jak niedźwiedź – powiedziała Sophie.

– Mówi o robalu – oznajmił Charlie pewnego wieczoru, gdy wpadła do niego Jane.

– Nie mówi o robalu – odparła Jane. – A w ogóle, jaki ojciec kupuje karalucha małej dziewczynce? To obrzydliwe.

– Nic nie powinno go zabić. Te owady istnieją od jakichś stu milionów lat. Miałem do wyboru karalucha albo żarłacza białego, ale te drugie ponoć ciężko się hoduje.

– Dlaczego nie odpuścisz? Wypchane zwierzęta załatwią sprawę.

– Dziecko powinno mieć zwierzątko. Zwłaszcza dziecko, które dorasta w mieście.

– My dorastaliśmy w mieście i nie mieliśmy żadnych zwierząt.

– Wiem, i zobacz, co z tego wyszło – powiedział Charlie, wskazując na przemian siebie i siostrę.

Jedno zajmowało się śmiercią i miało wielkiego karalucha imieniem Niedźwiedź, drugie spotykało się z trzecią już instruktorką jogi w ciągu pół roku i nosiło zabrany rodzeństwu tweedowy garnitur od Harrisa.

– Wyszło świetnie, przynajmniej z jednym z nas – stwierdziła Jane, gestem wskazując wspaniałość swojego garnituru, jakby była modelką, prezentującą nagrody w teleturnieju „Bądźmy androgeniczni”. – Musisz trochę przytyć. Jest za ciasny w tyłku – powiedziała, znowu popadając w obsesję na własnym punkcie. – Czy odznaczają mi się genitalia?

– Nie patrzę, nie patrzę, nie patrzę – zaśpiewał Charlie.

– Nie potrzebowałyby zwierząt, gdyby kiedykolwiek oglądała świat poza tym mieszkaniem – powiedziała Jane, obciągając spodnie w kroku, by zniwelować koszmarny efekt przekrojonej bułki. – Zabierz ją do zoo, Charlie. Niech zobaczy coś oprócz tego domu. Wyjdź z nią.

– Dobrze, jutro. Pokażę jej miasto – postanowił.

I zrobiłby to, tyle że gdy się obudził, zobaczył w kalendarzu nazwisko Madeline Alby, a obok jedynekę.

Aha, i jeszcze karaluch zdechł.

\* \* \*

– Wyjdziemy stąd – mówił Charlie, wkładając Sophie do wysokiego krzeselka, by zjadła śniadanie. – Wyjdziemy, skarbie. Obiecuję. Wyobrażasz sobie, że dali mi tylko jeden dzień?

– Nie – powiedziała Sophie. – Sok – dodała, ponieważ siedziała w swoim krzeselku i nadeszła pora na sok.

– Przykro mi z powodu Niedźwiedzia, kochanie – rzekł Charlie, czesząc ją na jedną stronę, potem na drugą, i w końcu rezygnując. – To był dobry robal, ale już go nie ma. Pani Ling go pochowa. Ziemia w jej skrzynce z kwiatami robi się strasznie zatłoczona. – Nie pamiętał, by w oknie pani Ling była skrzynka z kwiatami, ale czy miał prawo mieć wątpliwości?

Otworzył książkę telefoniczną i na szczęście znalazł nazwisko M. Alby z adresem na Telegraph Hill – niecałe dziesięć minut piechotą. Jeszcze żaden klient nie mieszkał tak blisko. Od sześciu miesięcy harpie z kanałów nie dawały znaku

życia i Charlie powoli nabierał pewności, że jako Handlarz Śmierci zaczyna mieć wszystko pod kontrolą. Przekazał nawet większość naczyń duchowych, które zebrał. Ten krótki termin go martwił. Bardzo.

Dom we włoskim stylu wiktoriańskim stał na wzgórzu tuż pod Coit Tower, wielką kolumną z granitu, wzniesioną na cześć strażaków z San Francisco, którzy polegli w akcji. Choć podobno zaprojektowano ją na wzór dyszy węża strażackiego, na widok kolumny niemal nikt nie potrafił się powstrzymać od komentarza na temat jej podobieństwa do ogromnego penisa. Dom Madeline Alby, biały prostokąt z płaskim dachem i falistymi zdobieniami, a także gzymsem, na którym wyrzeźbiono amorki, wyglądał jak tort weselny umieszczony na mosznie pomnika.

Charlie wspinał się na wzgórze i zastanawiał, jak wejść do tego domu. Zwykle miał sporo czasu, mógł poczekać i wśliznąć się za kimś do środka lub obmyślić jakiś fortel, by się tam dostać. Tym razem jednak miał tylko jeden dzień, by wejść, odnaleźć naczynie duchowe i wyjść. Miał nadzieję, że Madeline Alby już nie żyje. Bardzo nie lubił bliskości ludzi chorych. Kiedy przed domem ujrzał zaparkowany samochód z niewielką zieloną naklejką hospicjum, jego nadzieja na martwego klienta pękła niczym ciastko pod oburęcznym młotem.

Wszedł po schodach na ganek po lewej stronie domu i czekał przy drzwiach. Czy może sam je otworzyć? Czy ludzie to zauważą? A może jego szczególna „niezauważalność” obejmowała także przedmioty, które poruszał? Nie przypuszczał, by tak było. Nagle drzwi się otworzyły i na ganek wyszła kobieta mniej więcej w jego wieku.

– Idę tylko zapalić! – zawołała do wnętrza domu.

Zanim zdążyła zamknąć drzwi za sobą, Charlie wśliznął się do środka.

Drzwi wejściowe prowadziły do holu. Po prawej Charlie widział pomieszczenie, które pierwotnie pełniło funkcję salonu. Na wprost niego znajdowały się schody, a za nimi inne drzwi, które, jak przypuszczał, wiodły do kuchni. W salonie usłyszał głosy. Zajrzał tam i zobaczył cztery starsze kobiety, siedzące na dwóch sofach, które ustawiono naprzeciwko siebie. Miały na głowach kapelusze, zupełnie jakby właśnie wyszły z kościoła, Charlie jednak przypuszczał, że przyszły pożegnać przyjaciółkę.

– Można by się spodziewać, że rzuci palenie, kiedy na górze jej matka umiera na raka – odezwała się jedna z dam, która miała na sobie szarą spódnicę i zakiet oraz dopasowany do nich kapelusz, a także błyszczący znaczek w kształcie krowy rasy holsztyńskiej.



– Zawsze była z niej uparta dziewczucha – powiedziała druga, w sukience, którą na oko uszyto z tego samego materiału w kwiatki, co sofę. – Wiecie, że spotykała się z moim synem Jimmym, w Pioneer Park, kiedy byli mali.

– Mówiła, że za niego wyjdzie – dodała inna kobieta, która wyglądała jak siostra pierwszej.

Wszystkie wybuchły śmiechem, w którym pobrzmiwały nutki drwiny i smutku.

– No, nie wiem, co sobie wyobrażała. On jest taki niestały – stwierdziła Mamusia.

– Tak, i chory na umyśle – dodała Siostra.

– Tak, teraz to prawda.

– Od kiedy przejechał go samochód – powiedziała Siostra.

– Czy nie wybiegł prosto przed maskę? – spytała kobieta, która do tej pory milczała.

– Nie, wbiegł na nią – sprostowała Mamusia. – Był pod wpływem narkotyków.

– Westchnęła. – Zawsze mówiłam, że mam trzy w jednym: chłopca, dziewczynkę i Jimmy’ego.

Wszystkie pokiwały głowami. Charlie domyślał się, że robią to wspólnie nie pierwszy raz. Należały do osób, które hurtowo kupują kartki z wyrazami współczucia, a kiedy słyszą przejeżdżającą karetkę, przypominają sobie o odebraniu czarnej sukienki z pralni.

– Wiecie, Maddy źle wygląda – powiedziała ta w szarym.

– Cóż, umiera, biedaczka, ot co.

– Chyba tak. – Kolejne westchnienie.

Brzęk lodu w szklaneczkach.

Wszystkie trzymały małe, zgrabne drinki. Charlie podejrzewał, że przyrządziła je ta młodsza kobieta, która wyszła na papierosa. Rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu czegoś, co by świeciło na czerwono. W kącie stało dębowe biurko, do którego chętnie by zajrzał, ale to musiało poczekać. Cofnął się od drzwi i poszedł do kuchni, gdzie dwaj mężczyźni pod czterdziestkę, a może już po czterdziestce, siedzieli przy dębowym stole i grali w scrabble.

– Czy Jenny wróci? Jej kolej.

– Może poszła na górę z którąś z pań, żeby sprawdzić, co u mamy. Pielęgniarka z hospicjum wpuszcza je pojedynczo.

– Chciałbym, żeby to się już skończyło. Nie mogę znieść tego oczekiwania. Powinienem wrócić do rodziny. Wychodzę, kurde, ze skóry.

Starszy wyciągnął rękę nad stołem i położył dwie niebieskie pigułki przy płytkach z literami leżącymi obok brata.

– To ci pomoże.

– A co to?

– Morfina o przedłużonym działaniu.

– Poważnie? – Młodszy wydawał się zaniepokojony.

– Prawie tego nie czujesz, po prostu łagodzi napięcie. Jenny bierze to od dwóch tygodni.

– Więc dlatego wy znosicie to tak dobrze, a ja jestem wrakiem człowieka? Jesteście naćpani lekiem przeciwbólowym mamy?

– Mhm.

– Nie biorę narkotyków. To narkotyki. Nie wolno ich brać.

Starszy z braci odchylił się na krzesło.

– Środki przeciwbólowe, Bill. Co czujesz?

– Nie będę zażywał leków mamy.

– Jak chcesz.

– A jeśli będzie ich potrzebować?

– W tym pokoju jest dość morfiny, żeby powalić niedźwiedzia, a jeśli nie wystarczy dla mamy, z hospicjum przywiozą więcej.

Charlie miał ochotę potrząsnąć młodszym z braci i wrzasnąć: „Bierz te prochy, idioto!”. Może była to kwestia doświadczenia. Widział podobne sytuacje już wiele razy. Rodziny czekające na śmierć, odchodzące od zmysłów z żalu i zmęczenia. Przyjaciele, którzy wchodzili i wychodzili niczym duchy, by się pożegnać, albo po prostu móc potem powiedzieć, że przyszli, i być może później uchronić siebie samych od samotnej śmierci. Dlaczego w księgach umarłych nie było o tym ani słowa? Dlaczego instrukcje nie mówiły o cierpieniu i zamięcie, których będzie świadkiem?

– Idę poszukać Jenny – oznajmił starszy. – Spytam, czy nie chce czegoś do jedzenia. Możemy dokończyć grę później, jeśli chcesz.

– W porządku, i tak przegrywałem. – Młodszy pozbierał płytki i odłożył planszę na bok. – Pójdę na górę i spróbuję się zdrzemnąć. Dzisiejszej nocy to ja mam czuwać przy mamie.

Kiedy starszy z braci wyszedł, młodszy wrzucił niebieskie pigułki do kieszeni koszuli i również wyszedł z kuchni, pozostawiając ją Handlarzowi Śmierci, by ten mógł przetrząsnąć kredens i szarki w poszukiwaniu naczynia duchowego. Charlie jednak, jeszcze zanim zaczął, wiedział, że go tam nie znajdzie. Musiał iść na górę.

Naprawdę nie znosił bliskości ludzi chorych.

Madeline Alby na wpół siedziała, wciśnięta w łóżko, z puchową kołdrą wokół szyi. Była tak wychudzona, że pod pościelą ledwie było widać jej ciało. Charlie sądził, że waży trzydzieści, maksymalnie trzydzieści pięć kilogramów. Miała ściągniętą twarz i przez skórę, która nabrała żółtej barwy, dostrzegał kontury oczodołów i szczęki. Przypuszczał, że to rak wątroby. Jedna z przyjaciółek chorej siedziała przy łóżku, a pracownica hospicjum, postawna kobieta w kitlu, na krześle po drugiej stronie pokoju i czytała. Mały piesek, na oko yorkshire terier, wcisnął się między ramię a szyję Madeline i spał.

Kiedy Charlie wszedł do pokoju, Madeline powiedziała:

– Cześć, mały.

Stał jak wryty. Patrzyła na niego swoimi kryształowo-błękitnymi oczami i uśmiechała się. Czyżby zaskrzybiała podłoga? A może coś potrącił?

– Co tu robisz, mały? – Zachichotała.

– Kogo widzisz, Maddy? – spytała przyjaciółka. Podażyła za spojrzeniem Madeline, ale patrzyła na wskroś przez Charliego.

– Dzieciaka, o tam.

– W porządku, Maddy. Chcesz wody? – Kobieta sięgnęła po dziecięcy kubek z wbudowaną słomką, stojący na szafce nocnej.

– Nie. Ale powiedz temu dzieciakowi, żeby podszedł bliżej. Chodź, mały. – Madeline wysunęła ręce spod kołdry i zaczęła przebierać palcami, jakby tkala dywan.

– Lepiej już pójde – powiedziała przyjaciółka. – Odpocznij trochę.

Popatrzyła na kobietę z hospicjum, która zerknęła na nią znad okularów do czytania i uśmiechnęła się oczami. Jedyne specjalistka w całym domu wydała pozwolenie.

Przyjaciółka wstała i ucałowała Madeline Alby w czoło. Chora przerwała na chwilę tkanie, zamknęła oczy i nadstawiła się do pocałunku niczym mała dziewczynka. Przyjaciółka ścisnęła jej dłoń i powiedziała:

– Do widzenia, Maddy.

Charlie odsunął się na bok, by przepuścić kobietę. Gdy przechodziła przez drzwi, jej ramionami wstrząsnął spazm szlochu.

– Ej, mały – powiedziała Madeline. – Podejdz tu i usiądź.

Znów przerwała tkanie, by popatrzeć mu w oczy, co przestraszyło go bardziej niż odrobinę. Zerknął na pracownicę hospicjum, która podniosła wzrok znad książki, po czym wróciła do lektury. Charlie wskazał swoją pierś.

– Tak, ty – potwierdziła.

Wpadł w panikę. Chora go widziała, ale kobieta z hospicjum nie, a przynajmniej tak to wyglądało.

W zegarku pielęgniarki zadźwięczał alarm i Madeline podniosła pieska, przykładając go sobie do ucha.

– Halo? Cześć, jak się masz? – Popatrzyła na Charliego. – To moja najstarsza córka.

Piesek też na niego spojrzał, a jego wzrok wyraźnie mówił „ratuj”.

– Pora na lekarstwo, Madeline – oznajmiła pielęgniarka.

– Sally, nie widzisz, że rozmawiam przez telefon? – odparła kobieta. – Poczekaj chwilę.

– Dobrze, poczekam – zgodziła się pielęgniarka.

Uniosła brązową buteleczkę z wsuniętym do środka zakraplaczem, napełniła zakraplacz, sprawdziła dawkę i czekała.

– Pa. Też cię kocham – powiedziała Madeline. Wyciągnęła pieska w stronę Charliego. – Potrzymaj, dobra?

Pielęgniarka złapała czworonoga w powietrzu i położyła go przy łóżku pacjentki.

– Otwórz buzię, Madeline – powiedziała.

Madeline otworzyła szeroko usta i pielęgniarka trysnęła w nie lekarstwem z zakraplacza.

– Mmm, truskawkowe – stwierdziła chora.

– Zgadza się, truskawkowe. Chcesz wody do popicia? – Kobieta wzięła kubek.

– Nie. Sera. Zjadłabym trochę sera.

– Mogę ci przynieść ser.

– Cheddar.

– Dobrze, cheddar – powiedziała pielęgniarka. – Zaraz wrócę. – Poprawiła kołdrę na Madeline i wyszła z pokoju.

Staruszka znowu spojrzała na Charliego.

– Możesz już mówić, skoro poszła?

Wzdrygnął się i rozejrzał dookoła, jak ktoś, kto szuka odpowiedniego miejsca, by wypluć niesmaczne owoce morza.

– Nie rób min, skarbie – powiedziała Madeline. – Nikomu się to nie podoba.

Charlie westchnął ciężko. Co miał teraz do stracenia? Widziała go.

– Witaj, Madeline. Jestem Charlie.

– Zawsze lubiłam to imię – stwierdziła. – Dlaczego Sally cię nie widzi?

– Teraz tylko ty mnie widzisz – odparł.

– Bo umieram?

– Tak sądzę.

– Dobra. Sympatyczny z ciebie dzieciak, wiesz?

– Dzięki. Też nie jesteś taka najgorsza.

– Boję się, Charlie. To nie boli. Kiedyś się bałam, że będzie bolało, ale teraz się boję tego, co będzie dalej.

Usiadł na krześle przy łóżku.

– Chyba dlatego tu jestem, Madeline. Nie musisz się bać.

– Piłam dużo brandy. Dlatego to się stało.

– Maddy... Mogę ci mówić „Maddy”?

– Jasne, mały, jesteśmy przyjaciółmi.

– Zgadza się. Maddy, to musiało się stać. W żaden sposób tego nie spowodowałaś.

– No to dobrze.

– Maddy, masz coś dla mnie?

– Jakiś prezent?

– Prezent, który podarowałabyś sama sobie. Coś, co mógłbym dla ciebie przechować i oddać później, żeby to była niespodzianka.

– Poduszka na igły – odparła Madeline. – Chciałabym ci ją dać. Należała do mojej babci.

– Będę zaszczycony, jeśli pozwolisz mi ją dla ciebie przechować. Gdzie mam jej szukać?

– W pudełku z przyborami do szycia, na najwyższej półce w tej szafie. – Wskazała starą szafę po przeciwnej stronie pokoju. – Oj, przepraszam, telefon.

Gdy Madeline rozmawiała z najstarszą córką przez róg kołdry, Charlie wziął pudełko z przyborami do szycia z najwyższej półki w szafie. Było uplecione z wikliny i ze środka sączył się czerwony blask naczynia duchowego. Wyjął poduszkę na igły z czerwonego aksamitu, owiniętą wstążkami z prawdziwego srebra, i uniósł tak, by ją widziała Madeline. Uśmiechnęła się i pokazała mu uniesiony kciuk. W tym momencie wróciła pielęgniarka, niosąc na talerzyku ser i krakersy.

– To moja najstarsza córka – wyjaśniła jej Madeline, przyciskając róg kołdry do piersi, by córka nie usłyszała. – Ojej, to mój ser?

Pielęgniarka skinęła głową.

– I krakersy.

– Oddzwonię, kochanie. Sally przyniosła ser i nie chcę być niegrzeczna. – Odłożyła róg kołdry i pozwoliła, by Sally nakarmiła ją kawałkami sera i krakersami.

– To chyba najlepszy ser, jaki w życiu jadłam – stwierdziła Madeline.

Po wyrazie jej twarzy Charlie poznał, że w istocie był to najlepszy ser, jaki jadła. Każdy gram jej jestestwa angażował się w smakowanie tych skrawków cheddara. Gdy żuła, wydawała ciche jęki zadowolenia.

– Chcesz trochę sera, Charlie? – spytała, zasypując odłamkami krakersa pielęgniarkę, która spojrzała w kąt pokoju, gdzie stał Charlie z poduszką na igły bezpiecznie wciśniętą w kieszeń marynarki.

– O, ty go nie widzisz, Sally – oznajmiła Madeline, klepiąc ją po dłoni. – Ale to przystojny łobuz. Chociaż trochę chudy. – A potem szepnęła do Sally na tyle głośno, by na pewno usłyszał: – Trochę pieprzonego sera by mu nie zaszkodziło.

Roześmiała się, znów opluwając okruszkami pielęgniarkę, która też się śmiała i usiłowała nie upuścić talerzyka.

– Co powiedziała? – dobiegł głos z korytarza.

Po chwili do pokoju weszli dwaj synowie oraz córka, z początku zaniepokojeni tym, co usłyszeli, ale po chwili śmiejący się wraz z pielęgniarką i matką.

– Powiedziałam, że ser jest dobry – odparła Madeline.

– Tak, mamo, to prawda – powiedziała córka.

Charlie stał w kącie, patrzył, jak jedzą ser, i śmiał się, myśląc: o tym powinno być w księdze. Potem patrzył, jak podają jej basen i wodę, jak ocierają jej twarz wilgotną ściereczką, jak ona gryzie tę ściereczkę – to samo robiła Sophie, gdy obmywał jej buzię. Najstarsza córka, która, jak się okazało, od jakiegoś czasu nie żyła, zadzwoniła jeszcze trzy razy, raz przez psa i dwa razy przez poduszkę. Mniej więcej w porze obiadu Madeline poczuła zmęczenie i zasnęła. Jakies pół godziny później zaczęła dyszeć przez sen, potem przestała i nie oddychała przez całą minutę. Później wzięła głęboki wdech, potem już nie.

A Charlie wymknął się przez drzwi z jej duszą w kieszeni.

## WOŁAĆ BĘDZIE „MORDOWAĆ!” I SPUŚCI PIEFKI WOJNY

Obserwowanie śmierci Madeline Alby wstrząsnęło Charliem. Chodziło nie tyle o samą śmierć, ile o życie, które ujrzał w ciągu tych kilku minut przed jej odejściem. Pomyślał: jeśli musisz spojrzeć śmierci w oczy, by cieszyć się pozostałymi chwilami życia – kto nadaje się lepiej niż facet, który goli twarz Śmierci?

– Sera nie było w księdze – powiedział Charlie do Sophie, wywożąc ją ze sklepu w nowym joggingowym wózku, który wyglądał tak, jakby z dziecięcym wózkiem ktoś skrzyżował rower z włókien węglowych. Powstał z tego wehikuł, którym można się było wybrać na wycieczkę pod Kopułę Gromu, był jednak solidny i łatwy do pchania, a do tego okalał Sophie bezpieczną, aluminiową ramą. Z powodu sera nie wkładał jej kasku. Chciał, by mogła się rozglądać, chłonać otaczający świat, być jego częścią.

Gdy patrzył, jak Madeline Alby je ser każdym gramem swojego jestestwa, jakby to był pierwszy i najlepszy raz w życiu, zdał sobie sprawę, że nigdy tak naprawdę nie smakował sera, ani krakersów, ani życia. Nie chciał, by jego córka też tak żyła. Poprzedniego wieczoru przeniósł dziewczynkę do jej pokoju, który Rachel ozdobiła namalowanymi na suficie chmurkami i wesołym balonem, wiozącym w gondoli grupę wesołych zwierzątek. Nie spał zbyt dobrze, w nocy wstawał pięć razy, by sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku, i przekonać się, że spokojnie śpi. Mógł jednak poświęcić trochę snu, by jego córka szła przez życie bez lęków i ograniczeń. Chciał, by doświadczała w życiu jak najwięcej wspaniałego sera.

Szli przez North Beach. Zatrzymał się i kupił kawę dla siebie oraz sok jabłkowy dla małej. Podzielili się wielkim ciastkiem z masłem orzechowym i stado gołębi podążało za nimi chodnikiem, objadając się okruszkami, których pasmo ciągnęło się za wózkiem Sophie. Na ekranach telewizyjnych w barach i kawiarniach toczyły się mistrzostwa świata w piłce nożnej. Na chodniki i na ulicę wylewali się ludzie, którzy oglądali mecz, krzyczeli, szydzili z przeciwników, obściskiwali się, przeklinali i ogólnie okazywali radość w towarzystwie nowo poznanych osób, które z całego świata zjechały do tej amerykańsko-włoskiej dzielnicy. Sophie krzyczała wraz z kibicami i pisała z radości, bo tamci byli szczęśliwi. Kiedy tłum

okazywał rozczarowanie – zablokowany strzał, przejęte podanie – Sophie było przykro. Spoglądała wtedy na tatę, by ten wszystko naprawił i na powrót wszystkich uszczęśliwił. I tata to robił, bo kilka sekund później znowu wszyscy krzyczeli z radości. Jakiś wysoki Niemiec nauczył Sophie krzyczeć „gooooooooooooooooooooool!” tak jak komentator, ćwicząc z nią tak długo, aż umiała rozciągnąć to słowo na pełne pięć sekund. Pięć ulic dalej mała wciąż ćwiczyła, a Charlie musiał wzruszać ramionami do zdziwionych przechodniów, jakby chciał powiedzieć: „Mała pasjonuje się piłką, co zrobić?”.

Gdy zbliżała się pora drzemki, Charlie zatoczył pętlę i skierował się do parku przy Washington Square, gdzie ludzie czytali i wylegiwali się w cieniu, jakiś facet grał na gitarze i tak dla odmiany śpiewał piosenki Boba Dylana, dwóch młodych, białych rastamanów kopało zośkę i wszyscy napawali się miłym, bezwietrznym letnim dniem. Charlie wypatrzył czarnego kotka, który wychynął z żywopłotu przy ruchliwej Columbus Avenue, najwyraźniej podkradając się do porzuconego papierka po pączku. Pokazał go Sophie.

– Zobacz, Sophie, kotek. – Było mu przykro z powodu śmierci karalucha Niedźwiedzia. Może tego popołudnia wybierze się do sklepu ze zwierzętami i przywiezie córce nowego przyjaciela.

Sophie zapiszczała z radości i wyciągnęła rękę w stronę kociaka.

– Umiesz powiedzieć „kotek”? – spytał Charlie.

Pokazywała zwierzątko rączką i uśmiechała się, tocząc z ust kropelki śliny.

– Chciałabyś kotka? Umiesz powiedzieć „kotek”?

Sophie wciąż pokazywała kotka.

– Kotek – powiedziała.

I wtedy kotek padł trupem.

\* \* \*

– Muzyka u Fresha – powiedział Minty Fresh, odbierając telefon. Jego głos brzmiał jak cool-jazzowy utwór na saksofon basowy.

– Co to, kurwa, jest?! Nic o tym nie mówiłeś?! Księża nic o tym nie mówiła? Co się, kurwa, dzieje?

– Proszę się udać do kościoła albo do biblioteki. To sklep płytowy, nie odpowiadamy na pytania ogólne.

– Mówi Charlie Asher. Coś ty, kurwa, zrobił?! Co zrobiłeś z moją córeczką?!

Minty zmarszczył brwi i przeciągnął dłonią po głowie. Tego ranka zapomniał o



golaniu. Mógł się domyślić, że coś się wydarzy.

– Charlie, nie możesz do mnie dzwonić. Mówiłem ci. Przykro mi, jeśli twojej małej coś się stało, ale słowo daję, że ja...

– Pokazała kotka, powiedziała „kotek”, a ten padł martwy.

– To nieszczęśliwy zbieg okoliczności, śmiertelność wśród kotków jest dość wysoka.

– Tak, tylko że potem pokazała staruszka, który karmił gołębie, powiedziała „kotek” i on też umarł na miejscu.

Minty Fresh mógł się cieszyć, że w sklepie nie było akurat nikogo i nikt nie mógł zobaczyć wyrazu jego twarzy. Miał bowiem pewność, że dreszcze, które przebiegły mu po plecach, popsły jego zwykłą, pełną spokoju i luzu minę.

– To dziecko ma wadę wymowy, Charlie. Powinieneś zrobić jej badania.

– Wadę wymowy! Wadę wymowy! Wada wymowy to urocze seplenienie, a moja córka zabija ludzi słowem „kotek”. Przez całą drogę do domu musiałem zakrywać jej usta ręką. Pewnie ktoś to nagrał na wideo. Ludzie brali mnie za jednego z tych, którzy biją swoje dzieci w sklepach.

– Nie wygłupiaj się, ludzie kochają rodziców, którzy biją dzieci w sklepach. Nie lubią tych, którzy pozwalają dzieciom bezkarnie siać zamęt.

– Możemy trzymać się tematu? Co o tym wiesz? Czego się domyśliłeś przez te wszystkie lata w roli Handlarza Śmierci?

Minty Fresh usiadł na stołku za ladą i wbił spojrzenie w oczy kartonowej sylwetki Cher, w nadziei że tam znajdzie odpowiedzi. Ale ta suka nic sobie z tego nie robiła.

– Charlie, nic nie wiem. Mała była w pokoju, kiedy mnie zobaczyłeś, i widzisz, co się wtedy z tobą stało. Kto wie, co się stało z nią. Mówiłem ci, myślę, że grasz w innej lidze niż reszta z nas, no i może twoja córka też jest kimś innym. Nigdy nie słyszałem o Handlarzu Śmierci, który potrafiłby zabijać słowem „kotek” albo w ogóle zabijać w jakiś niezwykły sposób. Próbowaleś ją skłonić, żeby używała innych słów? Na przykład „piesek”?

– Miałem taki zamiar, ale pomyślałem, że jeśli ktoś w sąsiedztwie nagle padnie trupem, mogą spaść ceny nieruchomości! Nie, nie próbowałem żadnych innych słów. Nie chcę jej nawet karmić fasolką, ze strachu, że na mnie też powie „kotek”.

– Na pewno masz na to jakąś odporność.

– *Bardzo wielka księga* mówi, że jesteśmy śmiertelni. Kiedy następnym razem na Discovery Channel pokażą kotka, moja siostra będzie wybierała trumnę.

– Przykro mi, Charlie. Nie wiem co ci poradzić. Sprawdzę w swojej domowej

bibliotece, ale wygląda na to, że mała znacznie bardziej od nas odpowiada mitycznym przedstawieniom Śmierci. Ale zazwyczaj w przyrodzie istnieje równowaga, więc może są jakieś pozytywne strony tego jej, eee, zaburzenia. Tymczasem powinieneś się wybrać do Berkeley, poszukać czegoś w tamtejszej bibliotece. Trafia do niej wszystko, co zostanie wydane.

– A ty nie próbowałaś?

– Owszem, ale nie szukałem niczego tak konkretnego. Słuchaj, tylko uważaj, kiedy będziesz jechał. Nie korzystaj z metra.

– Myślisz, że w tunelach metra są harpie z kanałów? – spytał Charlie.

– Harpie z kanałów? A co to?

– Tak je nazwałem – wyjaśnił Charlie.

– A. Nie wiem. Po prostu metro jest pod ziemią, a ja nim kiedyś jechałem, kiedy wysiadł prąd. Chyba nie chcesz ryzykować. Można odnieść wrażenie, że to ich teren. A skoro o tym mowa, to u mnie mniej więcej od pół roku panuje cisza. Nawet nie pisnęły.

– Tak, u mnie to samo – powiedział Charlie. – Przypuszczam jednak, że nasza rozmowa może to zmienić.

– Pewnie tak. Ale biorąc pod uwagę to, co się dzieje z twoją córką, być może gramy według zupełnie nowych reguł. Uważaj na siebie, Charlie Asher.

– Ty też, Minty.

– Panie Fresh.

– Znaczy, panie Fresh.

– Do widzenia, Charlie.

\* \* \*

W swojej kabinie na wielkim statku Orcus dłubał w zębach złamaną kością udową dziecka. Babd czesała pazurami jego czarną sierść, a byczogłowy stwór rozmyślał o tym, co Morrigan widziały z kanału pod Columbus Avenue: Charliego i Sophie w parku.

– Już czas – powiedziała Nemain. – Chyba czekamy wystarczająco długo?

Zaklekotała szponami niczym kastanietami, rozrzucając krople jadu na ściany i podłogę.

– Mogłabyś uważać – upomniała ją Macha. – Ten szajs zostawia plamy. Dopiero położyłam nowy dywan.

Nemain wysunęła czarny język.

- Czyścioszka – powiedziała.
- Dziwka – odparła Macha.
- Nie podoba mi się to – stwierdził Orcus. – To dziecko mnie niepokoi.
- Nemain ma rację. Zobacz, jakie stałyśmy się silne – odezwała się Babd, głaszcząc błonę rosnącą między kolcami na ramionach Orcusa. Wyglądało to tak, jakby miał przyczepione wachlarze, niczym w jakiejś ozdobnej zbroi samurajskiej.
- Wpuść nas. Może po ofierze z tego dziecka odzyskasz skrzydła.
- Myślicie, że możecie?
- Możemy, kiedy zrobi się ciemno – potwierdziła Macha. – Jesteśmy silniejsze niż kiedykolwiek od tysiąca lat.
- Pójdzie tylko jedna, i to po kryjomu – powiedział Orcus. – To jest prastary talent, choć w nowym ciele. Jeśli nad nim zapanuje, nasza szansa może przepaść na kolejne tysiąc lat. Zabij dziecko i przynieś mi ciało. Nie może cię zobaczyć przed atakiem.
- A jej ojciec? Zabić go?
- Nie jesteście aż tak silne. Ale kiedy się obudzi i zobaczy, że dziecko zniknęło, żal może go zniszczyć.
- Nie masz pojęcia, co robisz, prawda? – spytała Nemain.
- Dziś w nocy zostaniesz tutaj – powiedział Orcus.
- Cholera – zakłęła Nemain, rozrzucając po ścianach parujący jad. – Przepraszam, że ośmieliłam się zapytać jaśnie pana. Ej, bycza głowa... Ciekawe, co jest z drugiej strony?
- Ha – powiedziała Babd. – Ha. Dobrze.
- A jaki mózdek można znaleźć pod piórami? – spytał Orcus.
- O! Załatwił cię, Nemain. Pomyśl o tym, jak cię załatwił, kiedy ja w nocy będę zabijała dziecko.
- Mówiłem do ciebie – oznajmił Orcus. – Pójdzie Macha.

\* \* \*

Weszła przez dach, wyrwała okrągłe okienko dachowe nad czwartym piętrzem i zeskoczyła do korytarza. Cicho jak cień przemknęła korytarzem do schodów, a potem dosłownie spłynęła na dół, niemal nie dotykając stopni. Na drugim piętrze zatrzymała się przy drzwiach i obejrzała zamki. Oprócz głównej zasuwki zamontowano w nich dwa dodatkowe, mocne rygle. Uniosła wzrok i ujrzała witrażowe naświetle, zamknięte na mały mosiężny haczyk. Pazur szybko wsunął

się w szczelinę i po szybkim ruchu nadgarstka haczyk odpadł, po czym zabrzączał na podłodze od wewnątrz. Wśliznęła się przez otwór i rozpląsała na podłodze w środku, przyczajona niczym kałuża cienia.

Czuła zapach dziecka i słyszała delikatne chrapanie dobiegające z drugiego końca mieszkania. Przesunęła się na środek salonu i przystanęła. Nowe Mięso też tu był, wyczuwała go, śpiącego w pokoju naprzeciwko pokoju dziecka. Jeśli się wtrąci, oderwie mu głowę i zanieś ją na statek, by dowieść Orcusowi, że nigdy nie powinien jej lekceważyć. Kusilo ją, by i tak go załatwić, ale dopiero kiedy upora się z dzieckiem.

Do salonu wpadał snop łagodnego, różowego światła z nocnej lampki w pokoju małej. Macha machnęła szponiastą dłonią i światło zgasło. Wydała cichy pomruk zadowolenia. Był czas, że umiała w ten sam sposób zgasić ludzkie życie. Być może ten czas powracał.

Wśliznęła się do pokoju dziecka i zatrzymała się. W blasku księżyca, który się sączył przez okno, widziała w łóżeczku małą, śpiącą na boku i tulącą pluszowego królika. Nie widziała jednak kątów pomieszczenia – cienie były tam tak mroczne i płynne, że nawet jej oczy nocnego drapieżcy nie mogły ich przeniknąć. Podeszła do łóżeczka i pochyliła się. Dziecko spało z szeroko otwartymi ustami. Macha postanowiła wbić jej pazur przez podniebienie do mózgu. Wszystko odbędzie się bezgłośnie, a w pokoju zostanie dużo krwi, którą znajdzie ojciec. Poza tym będzie mogła nieść zwłoki niczym rybę na haku. Powoli opuściła rękę i pochyliła się, by cios miał jak największą siłę. Światło księżyca zaskrzyło na ośmiocentymetrowym szponie. Cofnęła się, bo ten piękny blask na moment odwrócił jej uwagę, i nagle poczuła zęby zaciskające się na jej ręce.

– Skurw... – zaskrzeczała, zataczając łuk i waląc o ścianę.

Kolejne zęby wbiły się w jej kostkę. Szybko przybrała kilka różnych postaci, ale nie zdołała się uwolnić. Niczym szmaciana lalka poleciała na szafę, na łóżeczko, znów na ścianę. Machnęła szponami w kierunku napastnika i na coś natrafiła, potem jednak poczuła, że zaraz coś wyrwie jej pazury, więc puściła. Nic nie widziała, poczuła jedynie dziki, dezorientujący ruch, a potem uderzenie. Mocno kopnęła w to, co trzymało ją za kostkę. Puściło, ale napastnik, który trzymał ją za ramię, cisnął nią przez okno w zamontowane od zewnątrz kraty. Usłyszała brzęk szkła na ulicy poniżej. Naparła z całej siły, w ogromnym tempie zmieniając kształty, aż w końcu przedostała się przez kraty i spadła na chodnik.

\* \* \*

– Au. Kurwa! – dobiegł głos z ulicy. Żeński głos. – Au!

Charlie zapalił światło i ujrzał Sophie, która siedziała w łóżeczku, ścisnęła królika i śmiała się. Okno za nią było strzaskane. Każdy mebel z wyjątkiem łóżeczka został przewrócony, a w tynku na dwóch ścianach widniały dziury wielkości piłki do koszykówki – drewniane listwy pod spodem też były połamane. Na podłodze wszędzie wałały się czarne pióra, były też plamy, które wyglądały jak krew, ale na oczach Charliego pióra wyparowały, zmieniając się w obłoczki dymu.

– Piefek, tata – powiedziała Sophie. – Piefek. – A potem zachichotała.

\* \* \*

Resztę nocy Sophie przespała w łóżku Charliego, podczas gdy tata siedział obok niej na krześle i patrzył na zamknięte drzwi, trzymając w pogotowiu laskę z mieczem. W sypialni Charliego nie było okien, więc wejść albo wyjść można było jedynie przez drzwi. Gdy Sophie obudziła się tuż po świcie, Charlie ją przebrał, wykapał i ubrał. Potem zawołał Jane, by zrobiła jej śniadanie. W tym czasie sprzątnął szkło i tynk w pokoju Sophie, po czym zszedł na dół, by znaleźć jakąś sklejkę i zasłonić nią rozbite okno.

\* \* \*

Drażniło go, że nie może zadzwonić na policję ani w ogóle do nikogo, ale skoro telefon do innego Handlarza Śmierci wywoływał takie skutki, nie mógł ryzykować. Zresztą, co powiedziałyby policja na czarne pióra i krew, które zmieniały się w dym?

– W nocy ktoś rzucił cegłą w okno Sophie – oznajmił siostrze.

– No, no, a to drugie piętro. Myślałam, że zwariowałeś, kiedy powstawiałeś kraty we wszystkie okna, ale teraz zdaje się, że wcale nie. Powinieneś wstawić w to okno zbrojoną szybę, tak dla bezpieczeństwa.

– Tak zrobię – powiedział.

Dla bezpieczeństwa? Nie miał pojęcia, co się wydarzyło w pokoju Sophie, ale fakt, że nic jej się nie stało pośród całego tego zniszczenia, bardzo go wystraszył. Wymieni okno, ale córka będzie spała w jego pokoju do trzydziestki, do czasu, gdy wyjdzie za wielkiego faceta o umiejętnościach ninja.

Kiedy Charlie wrócił z piwnicy z kawałem sklejkę, młotkiem i gwoździami,

zastał Jane siedzącą przy blacie i palącą papierosa.

– Jane, myślałem, że rzuciłaś.

– Tak, rzuciłam. Miesiąc temu. Znalazłam to w swojej torebce.

– Dlaczego palisz w moim domu?

– Weszłam do pokoju, żeby przynieść Sophie królika. – Tak? Gdzie Sophie? Na podłodze ciągle może być szkło, chyba nie...

– Tak, jest tam. A ty nie jesteś zabawny, Asher. Mocno przesadziłeś z tymi zwierzętami. Muszę odbyć trzy lekcje jogi, zrobić sobie masaż i wypalić skręta wielkości termosu, jeśli ma mi opaść adrenalina. Tak mnie przestraszyły, że się trochę posikałam.

– O czym ty, do diabła, mówisz?

– Śmieszne – powiedziała, uśmiechając się. – Naprawdę śmieszne. Mówię o piefkach, tato.

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć siostrze „czy można wyrażać się mniej spójnie i jasno, niż ty?” – doskonalił ten gest od trzydziestu dwóch lat. Potem pobiegł do pokoju Sophie i otworzył drzwi na oścież.

Po obu bokach jego ukochanej córeczki siedziały dwa największe i najczarniejsze psy, jakie w życiu widział. Sophie siedziała oparta o jednego z nich, a drugiego waliła w głowę swoim pluszowym królikiem. Charlie zrobił krok naprzód, by ratować małą, gdy wtem jeden z psów skoczył przez pomieszczenie, powalił go na podłogę i unieruchomił. Drugi stanął między Charliem a dzieckiem.

– Sophie, tatuś idzie po ciebie, nie bój się. – Próbował wypełznąć spod psa, ten jednak tylko opuścił głowę i warknął na niego. Nawet się nie ruszył. Charlie miał wrażenie, że bestia jednym kłapnięciem może mu wyrwać kawał nogi i torsu. Miała większy łeb niż tygrys w zoo w San Francisco.

– Jane, na pomoc. Zdejmij to ze mnie.

Wielki pies podniósł wzrok, trzymając łapy na ramionach Charliego. Jane obróciła się na stołku i mocno zaciągnęła papierosem.

– Raczej nie, braciszku. Jesteś zdany na siebie, skoro wyciąłeś mi taki numer.

– Nie wyciąłem. Nigdy wcześniej ich nie widziałem. Nikt nie widział.

– Wiesz, my, lesby, mamy wysoki poziom tolerancji względem psów, ale to nie daje ci prawa do takiego postępowania. No, zostawię cię już – powiedziała. Wzięła torebkę i klucze z blatu. – Baw się dobrze ze swoimi czworonożnymi przyjaciółmi.

– Jane, poczekaj.

Ale już poszła. Usłyszał trzaśnięcie drzwi.

Wielki pies najwyraźniej nie był zainteresowany zjedzeniem Charliego, po

prostu go trzymał. Za każdym razem, gdy mężczyzna próbował się spod niego wyśliznąć, pies warczał i naciskał mocniej.

– Siad. Noga. – Charlie próbował komend, które słyszał w telewizji wypowiedane przez treserów psów. – Aport. Leżeć. Złaż ze mnie, pieprzony potworze. (Ostatnią dodał od siebie).

Pies zaszczekał mu w lewe ucho, tak głośno, że potem Charlie słyszał w nim tylko dzwonienie. W drugim uchu usłyszał śmiech małej dziewczynki po drugiej stronie pokoju.

– Sophie, kochanie, wszystko w porządku.

– Piefek, tata – powiedziała Sophie. – Piefek. – Niepewnym krokiem podeszła bliżej i popatrzyła z góry na Charliego. Ogromny pies polizał ją po twarzy, niemal przewracając. (Półtoraroczna Sophie poruszała się na ogół jak pijana). – Piefek – powiedziała znowu.

Złapała psa za ucho i odciągnęła go od ojca. A dokładniej, pies pozwolił jej poprowadzić się za ucho. Charlie skoczył na równe nogi i zaczął wyciągać ręce do Sophie, ale drugi pies zastąpił mu drogę i głośno zawarczał. Głowa psa sięgała piersi mężczyzny, choć zwierzę nie odrywał nóg od podłoża.

Charlie stwierdził, że psy ważą po jakieś dwieście kilogramów. Były przynajmniej dwa razy większe od największego psa, z jakim się dotąd zetknął – nowofundlanda, którego widział pływającego w parku wodnym przy Muzeum Morskim. Miały krótką sierść dobermanów, szerokie ramiona i piersi rottweilerów, ale kwadratowe głowy i odwrócone uszy doga. Były tak czarne, że odnosiło się wrażenie, że dosłownie pochłaniają światło, a Charlie tylko raz w życiu widział stworzenia, które tak robiły: kruki z Zaświatów. Było jasne, że psy nie pochodzą z tego świata. Ale było też jasne, że nie przybyły po to, by skrzywdzić Sophie. Dla zwierząt tej wielkości nie wystarczyłaby nawet na przekąskę i z pewnością już dawno by ją rozszarpały, gdyby chciały zrobić jej coś złego.

Zniszczenia w pokoju Sophie poprzedniej nocy mogły spowodować psy, ale to nie one były napastnikami. Coś tu przyszło, by skrzywdzić małą, a one jej broniły, tak jak teraz. Charlie nie dbał o przyczynę, był po prostu wdzięczny, że stoją po jego stronie. Nie miał pojęcia, gdzie się podziewały, kiedy wpadł do pokoju po stłuczeniu okna, ale wyglądało na to, że teraz, skoro już tu są, nigdzie sobie nie pójda.

– Dobra, nic jej nie zrobię – powiedział Charlie. Pies rozluźnił mięśnie i cofnął się o kilka kroków. – Musi iść na nocnik – dodał mężczyzna, czując się trochę głupio.

Zauważył, że oba psy mają szerokie, srebrne obroże, które, o dziwo, niepokoiły go bardziej niż rozmiary zwierząt. Po półtorarocznym treningu jego wyobraźnia samca beta z łatwością mieściła dwa ogromne psy, pojawiające się zniemacka w pokoju jego córki, ale myśl, że ktoś założył im obroże, wydawała mu się przerażająca.

Rozległo się pukanie do drzwi wejściowych i Charlie wycofał się z pokoju.

– Kochanie, tatuś zaraz wróci.



## PIESKI ŚWIAT

Gdy Charlie otworzył drzwi, minęła go Lily.

– Jane powiedziała, że masz tu dwa wielkie psy. Muszę je zobaczyć.

– Lily, poczekaj! – zawołał za nią Charlie, ale ona przemierzyła salon i weszła do pokoju Sophie, zanim zdołał ją zatrzymać.

Rozległo się warczenie i po chwili wycofała się rakiem.

– O rany, ja pierdołę, facet – powiedziała z szerokim uśmiechem. – Są rewelacyjne. Skąd je wytrzasnąłeś?

– Znikąd ich nie wytrzasnąłem. Po prostu były tu.

Stanął z Lily przed drzwiami pokoju Sophie. Dziewczyna odwróciła się i złapała go za ramię.

– To są narzędzia, którymi się posługujesz jako Śmierć?

– Lily, umówiliśmy się, że nie będziemy o tym rozmawiać.

Faktycznie. Zresztą Lily i tak dzielnie się spisywała. Od kiedy się dowiedziała, że Charlie jest Handlarzem Śmierci, niemal nie poruszała tego tematu. Ukończyła też szkołę średnią, i to bez bogatej kartoteki nagan i występków, po czym zapisała się do Instytutu Kulinarnego. Ów fakt miał tę zaletę, że wkładała do pracy kucharski fartuch, kraciaste spodnie i gumowe chodaki, co trochę łagodziło efekt jej włosów i makijażu. Te pozostały surowe, mroczne i nieco przerażające.

Sophie zachichotała i podeszła do jednego z psów. Już wcześniej ją lizały i była pokryta psią śliną. Włosy miała sklejone w niesamowite strąki, przez co wyglądała trochę jak wielkooka postać z filmu anime.

Sophie zobaczyła w drzwiach Lily i pomachała rączką.

– Piefek, Lily, piefek.

– Cześć, Sophie. Tak, ładne pieski – powiedziała Lily, po czym zwróciła się do Charliego: – Co zrobisz?

– Nie wiem co robić. Nie pozwalają mi podejść.

– No to dobrze. Są tutaj, by ją chronić.

Skinął głową.

– Tak mi się zdaje. Ostatniej nocy coś się wydarzyło. Wiesz, co *Bardzo wielka księga* mówi o „innych”? Myślę, że jeden z nich przybył tu po nią w nocy, i wtedy pojawiły się te zwierzaki.

– Jestem pod wrażeniem. Można by się spodziewać, że będziesz przerażony.

Charlie nie chciał jej mówić, że wyczerpało go przerażenie poprzedniego dnia, kiedy jego córeczka zabiła staruszkę słowem „kotek”. Lily i tak za dużo wiedziała, a teraz stało się jasne, że cokolwiek znajduje się poniżej, jest niebezpieczne.

– Chyba powinienem być, ale one nie zamierzają jej skrzywdzić. Muszę poszperać w bibliotece w Berkeley, sprawdzić, czy znajdę coś na ich temat. I muszę zabrać od nich Sophie.

Lily parsknęła śmiechem.

– Akurat. Słuchaj, dzisiaj mam pracę i szkołę, ale jutro poszukam dla ciebie jakichś materiałów. Tymczasem spróbuj się z nimi zaprzyjaźnić.

– Nie chcę się z nimi zaprzyjaźnić.

Lily popatrzyła na psy. Sophie tłukła jednego z nich swoją małą piąstką i śmiała się radośnie. Potem odwróciła się do Charliego.

– Owszem chcesz.

– Tak, chyba masz rację – przyznał. – Widziałaś już kiedyś psa tej wielkości?

– Nie ma takich psów.

– Więc jak nazwiesz te tutaj?

– To nie są zwykłe psy, Asher, to piekielne ogary.

– Skąd wiesz?

– Wiem, bo zanim zaczęłam się uczyć o przyprawach, kaloriach i tak dalej, w wolnym czasie czytałam o ciemnej stronie i czasem natrafiałam na opisy tych zwierzaków.

– Skoro już to wiemy, to jakich informacji zamierzasz szukać?

– Spróbuję się dowiedzieć, co je przysłało. – Poklepała go po ramieniu. – Muszę otworzyć sklep. A ty idź pogodzić się z piętami.

– Czym je karmić?

– Puriną dla piekielnych ogarów.

– Produkuje taką karmę?

– A jak myślisz?

– Dobra – powiedział Charlie.

\* \* \*

Trwało to kilka godzin, ale gdy Sophie zaczęła pachnieć jak niespodzianka w pieluszce, jeden z wielkich psów pchnął dziewczynkę nosem w kierunku Charliego, jakby chciał powiedzieć „wyczyść ją i przynieś z powrotem”. Charlie

czuł, że psy na niego patrzą, gdy przewijał córkę, szczęśliwy, że jednorazowe pieluchy nie wymagają używania agrafek. Gdyby przypadkiem ukłuł Sophie, jeden z piekielnych ogarów z pewnością odgryzłby mu głowę. Patrzyły uważnie, jak sadza ją przy kuchennym blacie, i siedziały po obu stronach jej wysokiego krzeselka, gdy dawał jej śniadanie.

W ramach eksperymentu zrobił dodatkowy tost i rzucił go jednemu z ogarów. Pies złapał kąsek w powietrzu, połknął i natychmiast się oblizał, po czym wbił wzrok w Charliego i bochenek chleba. A zatem Charlie upiekł jeszcze cztery kromki. Psy na przemian łapały je w powietrzu z taką szybkością, że zdawało się, iż spomiędzy ich zaciskających się szczęk leci para.

– Czyli jesteście piekielnymi bestiami z innego wymiaru i lubicie tosty. Dobra.

Potem Charlie włożył do tosterka cztery kolejne kromki, ale przerwał, czując się głupio.

– Właściwie wszystko wam jedno, czy są upieczone, czy nie, prawda? – Rzucił kromkę bliższemu psu, który złapał ją w powietrzu. – Dobra, tak będzie szybciej.

Nakarmił je resztą chleba. Kilka kromek posmarował warstwą masła orzechowego, co nie wywarło żadnego efektu, a kilka kolejnych cytrynowym żelem do zmywarek, który najwyraźniej nie miał na psy żadnego niekorzystnego wpływu, nie licząc faktu, że odbijało im się ładnymi banieczkami o barwie akwamaryny.

– Spacer, tata – powiedziała Sophie.

– Dzisiaj nie będzie spaceru, skarbie. Chyba zostaniemy w domu i spróbujemy poznać naszych nowych przyjaciół.

Wyjął Sophie z krzeselka, starł galaretkę z jej buzi i włosów, po czym usiadł z nią na kanapie, by poczytać jej ogłoszenia z „Chronicle”, z których często korzystał w swojej działalności biznesowej. Ale gdy zaczął czytać, zbliżył się jeden z ogarów piekielnych, chwycił pyskiem jego przedramię i zaciągnął do sypialni, mimo że Charlie protestował, klął i bił go po głowie mosiężną lampką biurkową. Pies puścił go, a potem stał, patrząc na kalendarz Charliego, jakby wysmarowano go mięsnym sosem.

– Co? – spytał Charlie, ale potem to zobaczył. Z jakiegoś powodu w całej ekscytacji nie zauważył, że pojawiło się nowe nazwisko.

– Zobacz, trzydzieści. Mam na to cały miesiąc. Zostaw mnie w spokoju. – Charlie dostrzegł też, że na wielkiej, srebrnej obrożi piekielnego ogara wygrawerowano imię ALVIN.

– Alvin? Najgłupsze imię, jakie w życiu słyszałem.

Wrócił na kanapę, lecz pies zaciągnął go z powrotem do sypialni, tym razem za nogę. Gdy przechodzili przez drzwi, Charlie sięgnął po swój miecz w lasce. A kiedy Alvin go puścił, zerwał się na nogi i wyciągnął ostrze. Ogromny pies przewrócił się na grzbiet i zaskamlał. W drzwiach pojawił się jego towarzysz, ciężko dysząc. (Nazywał się Mohammed, zgodnie z napisem na obroży). Charlie zastanowił się, jakie ma szanse. Zawsze czuł, że ten miecz budzi grozę, i pragnął nawet użyć go przeciwko harpiom z kanałów. Zdał sobie jednak sprawę, że te bestie najwyraźniej wytarły podłogę jednym z tych stworów ciemności, by parę godzin później jak gdyby nigdy nic pochłonąć bochenek pniącego się tostowego pieczywa. Krótko mówiąc, nie miał szans. Chciały, żeby poszedł po naczynie duchowe, to pójdzie po naczynie duchowe. Ale nie zamierzał zostawić z nimi swojej kochanej córeczki.

– Alvin to i tak głupie imię – powiedział, chowając miecz.

Gdy przyszła pani Korjev, Charlie położył już córeczkę do snu, a przy jej łóżeczku drzemały piekielne ogary, z głośnym chrapaniem wyrzucając w powietrze opary pachnącego cytrynową świeżością psiego oddechu. Najwyraźniej w Charliem budziła się natura łotra, wpuścił bowiem panią Korjev do pokoju Sophie, uprzedzając ją jedynie, że mała ma nowe zwierzęta. Stłumił chichot, gdy potężna kozacka babcia cofnęła się z pomieszczenia, miotając rosyjskie przekleństwa.

– Tam jest duże psy.

– Zgadza się.

– Ale nie jak normalne duże psy. To superduże czarne zwierze, jak...

– Jak niedźwiedź? – podsunął Charlie.

– Nie, nie chciałam powiedzieć „niedźwiedź”, panie mądrała. Nie jak niedźwiedź. Jak wilcy, tylko większe, silniejsze...

– Jak niedźwiedź? – nieśmiało spróbował Charlie.

– Zawstydzą pan swoją matkę, kiedy pan złośliwy, panie Asher.

– Nie jak niedźwiedź? – spytał.

– To nieważne. Ja się dziwię. Vladlena to stara kobieta ze słabym sercem, ale pan idzie się dobrze bawić, a ja siedzę z Sophie i ogromnymi psami.

– Dziękuję, pani Korjev, wabią się Alvin i Mohammed. Mają to napisane na obrożach.

– Ma pan dla nich jedzenie?

– W lodówce są steki. Proszę dać im kilka i się cofnąć.

– Jakie lubią steki?

– Mrożone będą w sam raz, te psy żrą jak...

Kobieta uniosła palec w geście ostrzeżenia. Utworzył jedną linię z dużym pieprzykiem na jej nosie. Wyglądało to tak, jakby trzymała broń.

– ... jak konie. Żrą jak konie – dokończył.

\* \* \*

Pani Ling nie zniosła pierwszego spotkania z Alvinem i Mohammedem tak spokojnie, jak jej rosyjska sąsiadka.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaa! Wielkie siksy sraaaaja! – krzyczała, biegnąc korytarzem za Charliem. – Pan wraca! Wielkie siksy sraaaaja!

Charlie wrócił do mieszkania i na podłodze w salonie ujrzał wielkie, parujące kupy. Alvin i Mohammed siedzieli po bokach drzwi do pokoju Sophie niczym ogromne chińskie psy Fu przy bramie świątynnej. Wydawały się nie tyle przerażające, ile zawstydzone i skruszone.

– Niedobre psy – powiedział Charlie. – Przestraszyłyście panią Ling. Niedobre psy. – Przez chwilę rozważał, czy nie wsadzić im w to za karę nosów, ale nie mając koparki, do której mógłby je przykuć, nie wiedział, czy to się uda. – Nie żartuję – dodał nadzwyczaj surowym tonem.

– Przepraszam, pani Ling – powiedział do drobnej kobiety. – To są Alvin i Mohammed. Powinienem wyrazić się bardziej konkretnie, kiedy mówiłem, że Sophie ma nowe zwierzaki.

Tak naprawdę celowo ograniczył się do ogólników, licząc na jakąś histeryczną reakcję. Nie dlatego, żeby naprawdę chciał przerazić staruszkę. Po prostu samce beta rzadko mogą kogoś fizycznie przestraszyć, więc kiedy mają po temu okazję, czasem tracą zdrowy rozsądek.

– W porządku – powiedziała pani Ling, gapiąc się na piekielne ogary.

Wydawała się czymś pochłonięta, głównie dlatego, że w istocie była. Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, dokonywała w głowie obliczeń – błyskawiczne liczydło jej umysłu dzieliło masę tych psów o rozmiarach kuców na gulasze, steki, żeberka i paczki mielonego.

– Nic pani nie będzie? – spytał Charlie.

– Pan nie wraca późno, dobrze? – powiedziała. – Dzisiaj idę do Searsa i oglądam duże zamrażarki. Pan ma piłę elektryczną, którą mogę pożyczyć?

– Piłę elektryczną? No nie, ale Ray na pewno ma. Wrócę za parę godzin – oznajmił. – Ale najpierw to posprzątam. – Ruszył do piwnicy, w nadziei że znajdzie szufłę do węgla, którą kiedyś trzymał tam jego ojciec.

Gdy się pożegnali, oboje – Charlie i pani Ling – liczyli na zdolności Sophie do uśmiercania zwierząt, które mogłyby rozwiązać kwestie kupy i zupy. Ich nadzieje jednak nie miały się spełnić.

\* \* \*

Gdy minęło kilka tygodni i piekielne ogary wciąż czuły się doskonale, Charlie pogodził się z możliwością, że to jedyne zwierzęta, które mogą przetrwać kontakt z Sophie. Wiele razy kusiło go, by zadzwonić do Minty’ego Fresha i poprosić go o radę, ale powstrzymał się, jako że jego poprzedni telefon stanowił zapewne przyczynę pojawienia się ogarów.

Informacje, które znalazła Lily, nie przydały się na wiele więcej.

– Ciągłe o nich wspominają – oznajmiła, dzwoniąc przez komórkę z biblioteki w Berkeley. – Głównie o tym, że lubią gonić za bluesmanami, jest też niemiecka drużyna piłkarska o nazwie Piekielne Ogary, ale to chyba bez znaczenia. Jest coś, co pojawia się co rusz w różnych kulturach: że pilnują przejścia między światem żywych i umarłych.

– No, to by się zgadzało – stwierdził Charlie. – Chyba tak. Nie piszą, gdzie jest to przejście? Na której stacji metra?

– Nie, Asher. Ale znalazłam taką książkę zakonnic, którą ekskomunikowali pod koniec dziewiętnastego wieku. Ekstra, co? Ta biblioteka jest niesamowita. Mają tu dziewięć milionów książek.

– Tak, to świetnie, Lily, i co pisze ta eks-zakonnica?

– Znalazła różne wzmianki o piekielnych ogarach i wszystkie źródła zgadzają się w jednym: te psy służą bezpośrednio władcy Zaświatów.

– Będąc katoliczką, nazywała to Zaświatami?

– Wywalili ją z Kościoła za napisanie tej książki. Ale zgadza się, tak to właśnie nazywała.

– Nie podała numeru, pod który możemy zadzwonić, gdyby zaginęły?

– Przyszłam tu w wolny dzień, Asher, i próbuję ci pomóc. Zamierzasz robić sobie z tego wygłupy?

– Nie, przepraszam cię, Lily. Mów dalej.

– To tyle. Żadnych porad na temat opieki i karmienia. Generalnie, z tego wszystkiego wynika, że obecność piekielnych ogarów to nic dobrego.

– Jaki tytuł ma ta książka? *Encyklopedia wszystkiego co oczywiste?*

– Zapłacisz mi za to, wiesz? Za czas i koszty dojazdu.

– Przepraszam. Tak. Czyli powinienem próbować się ich pozbyć.

– One jedzą ludzi, Asher. I kto się teraz pośmieje?

W obliczu takich wieści Charlie postanowił, że musi podjąć zdecydowane kroki w celu pozbycia się potwornych psów.

Mógł być pewien tylko jednego: że pójda wszędzie, gdzie weźmie Sophie. Zabrał je zatem na wycieczkę do Ogrodu Zoologicznego w San Francisco, po czym zostawił je zamknięte w furgonetce z włączonym silnikiem i węzem, którym połączył rurę wydechową i małe okienko. Po wycieczce, którą uznał za bardzo udaną, bo żadne zwierzę nie kopnęło w kalendarz pod zachwyconym spojrzeniem jego córeczki, wrócił do samochodu, gdzie zastał mocno naćpane, ale poza tym nieuszkodzone ogary, ziejące zapachem spalonego plastiku po tym, jak zjadły pokrowce z siedzeń.

Różne eksperymenty dowiodły, że Alvin i Mohammed nie tylko są odporne na większość trucizn, ale też lubią smak spreju na muchy. W dodatku zlizwały cały środek owadobójczy z listew przypodłogowych po cokwartalnej wizycie specja od dezynsekcji.

Z biegiem czasu Charlie zaczął rozmyślać, kładąc na szali zagrożenie, wynikające z obecności wielkich psów, oraz potencjalne szkody dla psychiki Sophie, jeśli ona ujrzy ich śmierć. Wyraźnie coraz bardziej się do nich przywiązywała, zaprzestał więc bardziej bezpośrednich ataków i zrezygnował z rzucania kiełbasek przed rozpędzony autobus pospieszny linii 90. (Tę decyzję ułatwił fakt, że urząd miasta San Francisco zagroził pozwaniem Charliego, jeśli jego psy zniszczą kolejny autobus).

Bezpośrednie ataki stanowiły dla Charliego trudne zadanie (zwłaszcza że u samców beta jedyna prawdziwa sztuka walki opiera się na uprzejmości nieznajomych), a zatem zwrócił przeciwko ogarom całą niezwykłą moc kung-fu biernej agresji.

Zaczął tradycyjnie. Zabrał je na przejażdżkę do East Bay, za pomocą żeberek wołowych zwabił na bagnisty teren, a potem szybko odjechał, by po powrocie zastać w mieszkaniu zarówno psy, jak i patynę schnącego błota na podłodze. Potem próbował jeszcze oryginalniejszego sposobu: zapakował psy do skrzyni i wysłał samolotem do Korei, w nadziei że trafią do jakichś przystawek, okazało się jednak, że wróciły do sklepu, zanim zdążył pozamiatać wszystkie kłaki psiej sierści w mieszkaniu.

Pomyślał, że może do przepędzenia czworonogów zdoła wykorzystać ich własne naturalne instynkty, przeczytał bowiem w Internecie, że wyciąg z moczu

pumy bywa rozpryskiwany na krzakach i kwiatkach, by nie sikały na nie psy. Po dość wyczerpujących poszukiwaniach w książce telefonicznej znalazł w końcu numer sklepu dla ogrodników w południowej części San Francisco, który był certyfikowanym punktem sprzedaży siuśków kuguara.

– Jasne, sprzedajemy mocz pum – potwierdził facet ze sklepu. Głos brzmiał tak, jakby jego właściciel nosił kurtkę z jeleniego futra i długą brodę, ale może Charlie tylko to sobie wyobrażał.

– I to odstrasza psy?

– Działa jak zakłęcie. Psy, sarny, króliki. Ile pan potrzebuje?

– Nie wiem, może ze czterdzieści litrów.

Nastąpiła chwila milczenia i Charlie był pewien, że słyszy, jak tamten wydłubuje sobie z brody zaschnięte strzępki mleka klepy.

– Sprzedajemy w butelkach po trzydzieści, sześćdziesiąt i sto pięćdziesiąt mililitrów.

– No, to nie załatwi sprawy – stwierdził Charlie. – Nie może mi pan załatwić opakowania hurtowego, najlepiej z pumy, którą od paru miesięcy karmiono wyłącznie psim mięsem? Domyślam się, że to siki udomowionych pum, prawda? Znaczą, nie chodzi pan do lasu, żeby zbierać je samemu.

– Nie, proszę pana, przypuszczam, że pozyskują je z ogrodów zoologicznych.

– Z dzikich pum byłyby pewnie lepsze, co? – spytał Charlie. – Jeśli mógłby je pan zdobyć. To znaczy, nie pan osobiście. Nie sugeruję, że ma pan biegać z menzurką po głuszy za jakąś pumą. Chodziło mi o profesjonalną... halo?

Brodacz w kurtce z jeleniego futra odłożył słuchawkę.

A zatem Charlie wysłał Raya w furgonetce do południowego San Francisco, nakazując mu kupić cały zapas sików pumy, jaki będą mieli w sklepie, ale skutek był tylko taki, że całe drugie piętro budynku Charliego cuchnęło niczym kocia kuweta.

Gdy wyglądało na to, że nawet najbardziej biernie agresywne próby nic nie dają, Charlie uciekł się do ostatecznego ataku samców beta: tolerować obecność Alvina i Mohammeda, ale gardzić nimi ze wszystkich sił i rzucać kąśliwe uwagi przy każdej nadarzającej się okazji.

\* \* \*

Karmienie piekielnych ogarów przypominało sypanie węgla w dwie przepastne lokomotywy. Co dwa dni przychodziła dostawa dwudziestu kilogramów karmy.



Psy przerabiały ją na potężne, torpedowate kupy, które zostawiały na ulicach i w zaułkach wokół Komisu Ashera, jakby wypowiedziały całej okolicy prywatną wojnę błyskawiczną.

Ich obecność miała tę zaletę, że Charlie od miesięcy nie słyszał ze studzienek nawet piśnięcia, nie widywał też potwornych kruczych cieni na ścianach, gdy szedł po naczynie duchowe. Dobrze mu służyły, gdy wykonywał swoje obowiązki śmierci. Po każdym pojawieniu się w kalendarzu nowego nazwiska, psy co rano ciągały go do sypialni, dopóki nie wrócił z danym przedmiotem, więc przez dwa lata ani razu się nie spóźnił i nie przegapił żadnego naczynia. Wielkie psy, ma się rozumieć, towarzyszyły Charliemu i Sophie podczas spacerów, na które znowu zaczęli wychodzić, gdy Charlie zyskał pewność, że córeczka opanowała swoje szczególne zdolności „językowe”. Ogary, choć były największymi psami, jakie ktokolwiek widział, nie miały aż takich rozmiarów, by ich istnienie wydawało się niemożliwe, i dokądkolwiek poszli, Charliego zasypywano pytaniami, jaka to rasa. W końcu, zmęczony udzielaniem wyjaśnień, zaczął po prostu odpowiadać: „To piekielne ogary”. A gdy go pytano, skąd je ma, mówił: „Pewnej nocy po prostu pojawiły się w pokoju mojej córki i nie chciały sobie pójść”. Po czymś takim ludzie uważali go nie tylko za kłamcę, ale i za dupka. Zmienił więc odpowiedź na: „To piekielne ogary irlandzkie”. Z jakiegoś powodu wszyscy od razu uznawali takie wyjaśnienie (z wyjątkiem jednego irlandzkiego kibica piłki nożnej w odległym zakątku North Beach, który stwierdził: „Jestem Irlandczykiem, a te bestie nie są Irlandczykami”). Charlie odparł wtedy: „To czarni Irlandczycy”. Kibic skinął głową, jakby wiedział o tym od początku, po czym zwrócił się do kelnerki: „Dasz mi następną cholerną pintę browarka, mała, zanim tu wyschnę i odfrunę?”).

Do pewnego stopnia Charliego cieszyła sława faceta z uroczą dziewczynką i dwoma olbrzymimi psami. Kiedy człowiek ma sekretną tożsamość, siłą rzeczy napawa się choćby odrobiną publicznej uwagi. I Charlie się napawał, do pewnego dnia, gdy brodaty mężczyzna w długim bawełnianym kaftanie i w dzierganej czapce zatrzymał jego i Sophie w bocznej uliczce na Russian Hill. Sophie była już dość duża, by znaczną część drogi pokonywać na własnych nogach, lecz Charlie zawsze zabierał nosidełko, by ją nosić, kiedy się zmęczy (a częściej po prostu podtrzymywał ją, gdy jechała na grzbiecie Alvina lub Mohammeda).

Brodacz podszedł trochę za blisko do Sophie, więc Mohammed zawarczał i stanął między mężczyzną a małą.

– Mohammed, wracaj – powiedział Charlie.

Okazało się, że piekielne ogary można było tresować, zwłaszcza jeśli

nakazywało się im rzeczy, które i tak by zrobiły. („Jedź, Alvin. Dobry piesek. Teraz zrób kupę. Brawo”).

– Dlaczego woła pan na tego psa „Mohammed”? – spytał brodac.

– Bo tak się wabi.

– Nie powinien pan nadawać temu psu imienia Mohammed.

– Nie ja mu nadałem to imię – odparł Charlie. – Już się tak nazywał, kiedy do mnie przyszedł. Imię miał wygrawerowane na obroży.

– To bluźnierstwo, nazywać psa „Mohammed”.

– Próbowałem wołać na niego inaczej, ale nie słucha. Pokażę panu. Steve, ugryź pana w nogę. Widzi pan? Nic. Spot, ugryź tego pana w nogę. Nic. Równie dobrze mógłbym mówić po persku. Rozumie pan, do czego zmierzam?

– No, a ja nazwałem swojego psa „Jezus”. I co pan na to?

– W takim razie bardzo mi przykro. Nie wiedziałem, że zaginął panu pies.

– Wcale nie zaginął.

– Naprawdę? Widziałem w całym mieście ulotki z napisem „Czy odnalazłeś Jezusa?”. Widocznie niejednemu psu Jezus. Ciekawe czy wyznaczyli nagrodę? Nagroda naprawdę pomaga. – Charlie zauważył, że coraz trudniej mu stłumić w sobie ochotę, by nabijać się z ludzi, zwłaszcza jeśli uparcie zachowywali się jak idioci.

– Nie mam psa, który wabi się Jezus, a pana to nie obchodzi, bo jest pan niewiernym bezbożnikiem.

– Nie, no, serio, może pan nazwać psa, jak chce, i nie będzie mnie to obchodziło. Ale... tak. Jestem niewiernym bezbożnikiem. Przynajmniej tak głosowałem w ostatnich wyborach. – Charlie uśmiechnął się do niego.

– Śmierć niewiernym! Śmierć niewiernym! – zawołał brodac w odpowiedzi na nieodparty urok Charliego.

Zatańczył w kółko, potrząsając pięścią przed twarzą Handlarza Śmierci, co przestraszyło Sophie, która zakryła oczy i zaczęła płakać.

– Proszę przestać, straszy mi pan córkę.

– Śmierć niewiernym! Śmierć niewiernym!

Mohammed i Alvin szybko znudziły się obserwacją tańca i usiadły, czekając, aż ktoś każe im zjeść tego faceta w koszuli nocnej.

– Mówię poważnie – oznajmił Charlie. – Radzę przestać.

Rozejrzał się, zawstydzony, ale na ulicy nie było nikogo więcej.

– Śmierć niewiernym, śmierć niewiernym – zawodził brodac.

– Widział pan, jak duże są te psy, panie Mohammed?

– Śmierć... hej, skąd pan wie, że nazywam się Mohammed? Zresztą nieważne. Śmierć niewiernym, śmierć...

– No, no, odwagi to panu nie brakuje – przyznał Charlie – ale to jest mała dziewczynka, a pan ją straszy, więc naprawdę proszę przestać.

– Śmierć niewiernym! Śmierć niewiernym!

– Kotek! – powiedziała Sophie, odsłaniając oczy i wskazując mężczyznę.

– Oj, skarbie – jęknął Charlie. – Myślałem, że nie będziemy już tak robić.

Charlie powiesił sobie na ramionach nosidełko z Sophie i ruszył dalej, odciągając piekielne ogary od brodatego trupa, spoczywającego w pokoju na asfalcie. Jego dzierganą czapkę włożył sobie do kieszeni. Świeciła na czerwono. O dziwo, nazwisko brodatego mężczyzny pojawiło się w kalendarzu dopiero następnego dnia.

– Widzisz, poczucie humoru to ważna rzecz – stwierdził Charlie, oglądając się przez ramię i robiąc śmieszny minę do córki.

– Tata głupi – powiedziała Sophie.

\* \* \*

Później Charlie miał wyrzuty sumienia, że córka używa słowa „kotek” jako broni, i miał poczucie, że porządny ojciec powinien nadać temu doświadczeniu odpowiednie znacznie – udzielić dziecku jakiejś lekcji. Posadził więc Sophie z parą pluszowych misiów, kilkoma miniaturowymi filiżankami niewidzialnej herbaty, talerzem zmyślonych ciasteczek i dwoma ogromnymi psami z piekła rodem, po czym odbył pierwszą, płynącą z serca rozmowę tata-córka.

– Kochanie, rozumiesz, dlaczego tata powiedział, żebyś nigdy więcej tego nie robiła, prawda? Dlaczego ludzie nie mogą wiedzieć, że to umiesz?

– Bo jesteśmy inni? – spytała Sophie.

– Zgadza się, kochanie, bo jesteśmy inni – powiedział do najmądrzejszej i najpiękniejszej dziewczynki pod słońcem. – I wiesz dlaczego, prawda?

– Bo jesteśmy Chińczykami, a Białym Diabłom nie można ufać?

– Nie, nie dlatego.

– Bo jesteśmy Rosjanami i w sercach mamy dużo smutku?

– Nie, nie mamy w sercach smutku.

– Bo jesteśmy silni jak niedźwiedź?

– Tak, kochanie, właśnie. Jesteśmy silni, bo jesteśmy silni jak niedźwiedź.

– Wiedziałam. Jeszcze herbatki, tatusiu?

– Tak, chętnie napiję się jeszcze herbatki, Sophie.

\* \* \*

– No – powiedział Cesarz – widzę, że doświadczyłeś przeróżnych przejawów, w jakie towarzystwo dobrych psów wzbogaca życie człowieka.

Charlie siedział na schodkach z tyłu sklepu, wyciągając ze skrzynki mrożone kurczaki (w całości) i rzucając je na przemian Alwinowi i Mohammadowi. Każdy kurczak był pochłaniany z taką zaciekłością, że Cesarz, oraz Bummer i Lazarus, przykucnąwszy po drugiej stronie zaułka i podejrzliwie zerkając na piekielne ogary, wzdrygali się, jakby ktoś strzelał z pistoletu.

– Przeróżne przejawy, w jakie wzbogaca – powtórzył Charlie, rzucając kolejnego kurczaka. – Sam bym tego lepiej nie określił.

– Dobry pies to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel – stwierdził Cesarz.

Charlie zamarł na chwilę, wyciągnąwszy ze skrzyni nie kurczaka, lecz przenośny mikser elektryczny.

– Faktycznie, przyjaciel – powiedział. – Faktycznie, przyjaciel. – Mohammad połknął mikser nawet nie gryząc. Z boku pyska wisiało mu pół metra kabla. – Tak naprawdę to nie są moje psy. Należą do Sophie.

– Dziecko potrzebuje zwierzaka – rzekł Cesarz. – Towarzysza, przy którym może dorastać. Chociaż te psiaki wyglądają, jakby już dorosły.

Charlie skinął głową, rzucając alternator z buicka rocznik 1983 w łakome szczęki Alvina. Rozległ się trzask i pies beknął, ale ogonem chłostał śmietnik, prosząc o więcej.

– Są jej nieustannymi towarzyszami – powiedział Charlie. – Przynajmniej wytresowaliśmy je, żeby pilnowały każdego budynku, do którego wejdzie. Wcześniej nie odstępowały jej na krok. Kąpiel to było prawdziwe wyzwanie.

– Zdaje się – odrzekł Cesarz – że to poeta Billy Collins napisał: „Nikt tu nie lubi mokrego psa”.

– Tak, i pewnie nigdy nie musiał wyciągać z wanny wiercącego się dzieciaka i dwóch dwustukilowych psów.

– Ale mówiłeś, że złagodniały?

– Nie miały wyjścia. Sophie zaczęła chodzić do przedszkola. Wychowawczyni krzywiła się na wielkie psy w sali.

Charlie rzucił automatyczną sekretarkę Alwinowi, który schrupał ją niczym psi herbatnik. Z jego pyska sypały się pokryte psią śliną strzępy plastiku.

– No i co zrobisz?

– Zajęło to parę dni i wymagało długiego tłumaczenia, ale wyćwiczyłem je, żeby po prostu siedziały przed wejściem.

– I przedszkole się zgodziło?

– Co rano spryskuję je farbą, która udaje fakturę granitu, i każę siedzieć zupełnie nieruchomo po obu stronach drzwi. Wygląda na to, że nikt ich nie zauważa.

– A one są posłuszne? Przez cały dzień?

– No, na razie to tylko pół dnia, Sophie chodzi do przedszkola, a nie do szkoły. I trzeba im obiecać ciastko.

– Wszystko ma swoją cenę. – Cesarz wyciągnął ze skrzynki zamrożonego kurczaka. – Mogę?

– Proszę. – Charlie gestem pokazał mu, by sobie nie przeszkadzał.

Cesarz rzucił kurczaka Mohammedowi, który połknął go na jeden raz.

– A niech mnie, to prawdziwa frajda – stwierdził Cesarz.

– To jeszcze nic – odparł Charlie. – Jeśli rzucasz im małe butle z propanem, to bekają ogniem.

## ZEW SEKSU

Lalki do rżnięcia – rozległ się nagle głos Raya.

Ćwiczył na urządzeniu imitującym wchodzenie po schodach, obok Charliego. Obaj byli złani potem i patrzyli na rząd sześciu kształtnych damskich tyłków na maszynach przed nimi.

– Co to miało znaczyć? – spytał Charlie.

– Lalki do rżnięcia – powtórzył Ray. – Oto, czym są.

Ray namówił Charliego na wspólne wyjście do klubu fitness, pod pretekstem, że zacznie go wprowadzać w tryb życia singla. Prawdę mówiąc, Ray, jako były gliniarz, przyglądał się ludziom dokładniej, niż to było zdrowe. I ponieważ miał zbyt wiele wolnego czasu, a sam w zasadzie nie wychodził z domu, to prawdziwym powodem, dla którego zaprosił Charliego na wspólne ćwiczenia, był fakt, że chciał poznać szefa lepiej poza pracą. Zauważył, że po śmierci Rachel pojawiła się dziwna prawidłowość: Charlie przynosił do sklepu czyjąś własność wkrótce po tym, jak nekrolog danej osoby ukazał się w gazecie. Charlie był zamknięty w sobie i nie mówił, co robi po wyjściu ze sklepu, a w dodatku w jego mieszkaniu wiele zwierzątek zakończyło swój żywot, więc Ray podejrzewał, że szef może być seryjnym zabójcą. Postanowił się do niego zbliżyć i zyskać pewność.

– Mów ciszej, Ray – powiedział Charlie. – Jezu.

Ponieważ Ray nie mógł odwrócić głowy, mówił prosto do damskich tyłków.

– Nie słyszają mnie. Zobacz, wszystkie mają zestawy słuchawkowe. – Miał rację, kobiety, co do jednej, rozmawiały przez telefony komórkowe. – Jesteśmy dla nich niewidzialni.

Charlie, który naprawdę bywał niewidzialny, albo prawie, zareagował z opóźnieniem. Był późny poranek i w klubie ćwiczyło wiele odzianych w syntetyczne kostiumy kobiet po dwudziestce o nieproporcjonalnie wielkich piersiach, doskonałej cerze i kosztownych fryzurach. Wszystkie najwyraźniej posiadały umiejętność patrzenia przezeń na wskroś, niczym ludzie, których spotykał, gdy zabierał naczynia duchowe. Gdy tu przyszli, Charlie odruchowo rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś pulsującego na czerwono przedmiotu, myśląc, że może tego ranka przegapił czyjeś nazwisko w kalendarzu.

– Po postrzale przez jakiś czas spotykałem się z fizjoterapeutką, która tu pracuje

– oznajmił Ray. – Tak je nazywała: „lalki do rżnięcia”. Każda ma mieszkanie, za które płaci jakiś starszy menedżer, tak jak zapłacił za członkostwo w klubie fitness i sztuczne cycki. Dni spędzają u kosmetyczki i manicurzystki, a noce pod jakimś gościem w garniturze, tyle że bez garnituru.

Charlie czuł się nieswojo, słuchając litanii Raya, opowiadającego o kobietach, które znajdowały się tuż obok. Jak każdy samiec beta, który i tak czułby się nieswojo w obecności pięknych kobiet, ale to tylko pogarszało sprawę.

– Czyli to takie żonki na pokaz?

– Nieee, niedoszte żonki na pokaz. Nie dostają faceta, domu ani nic. Mają być idealnymi dupami i tyle.

– Lalki do rżnięcia? – spytał Charlie.

– Lalki do rżnięcia – powtórzył Ray. – Ale zapomnijmy o nich. Nie dla nich tu przyszliśmy.

Ray miał rację, ma się rozumieć. Charlie nie przyszedł tu dla nich. Od śmierci Rachel minęło pięć lat i wszyscy mu powtarzali, że powinien wrócić do gry, ale nie z tego powodu zgodził się towarzyszyć byłemu gliniarzowi w wyprawie do klubu fitness. Zbyt wiele czasu spędzał sam, zwłaszcza od kiedy Sophie chodziła do przedszkola, a że miał ukrytą tożsamość i tajne zajęcia, zaczął podejrzewać, że mają je wszyscy. Ray był zamknięty w sobie, często mówił o tych mieszkańcach okolicy, którzy zmarli, i najwyraźniej nie prowadził życia towarzyskiego, jeśli nie liczyć poznawanych w sieci kobiet z Filipin, więc Charlie podejrzewał, że były policjant może być seryjnym zabójcą. Postanowił się do niego zbliżyć i zyskać pewność.

– Czyli to takie metresy? – spytał Charlie. – Jak w Europie?

– Chyba tak – potwierdził Charlie. – Ale czy kiedyś przyszło ci do głowy, że metresy tak ciężko pracują, żeby ładnie wyglądać? Myślę, że „lalka do rżnięcia” to bardziej precyzyjne określenie, bo kiedy staną się za stare, by utrzymać zainteresowanie faceta, zostaną z niczym. Będą skończone, jak marionetki bez kogoś przy sznurkach.

– Jezu, Ray, to straszne.

Może Ray czai się na którąś z tych kobiet? – pomyślał Charlie.

Ray wzruszył ramionami.

Charlie obejrzał rząd idealnych pośladek, po czym poczuł ciężar lat spędzonych w samotności albo w towarzystwie dziecka i dwóch ogromnych psów, i powiedział:

– Chcę zerznąć lalkę.

Aha! – pomyślał Ray. Wybiera ofiarę.

– Ja też – odrzekł. – Ale tacy faceci jak my nie rzną lalek. One nas po prostu ignorują.

Aha! – pomyślał Charlie. Wyłazi z niego zgorzkniały socjopata.

– Więc po to mnie tu ściągnąłeś? Żebym swój brak formy pokazywał przed cudownymi kobietami, które mnie nie zauważają?

– Nie, na lalki do rżnięcia fajnie popatrzeć, ale przychodzą tu i normalne kobiety.

Które też nie chcą ze mną gadać, dodał w myślach Ray.

– Które też nie chcą z tobą gadać – powiedział Charlie.

Bo widzą, że jesteś psychopatycznym zabójcą.

– Po treningu zobaczymy przy barze z sokami – powiedział Ray.

Tam będę mógł siedzieć i patrzeć, jak wybierasz ofiarę.

Ty pojebie, pomyśleli obaj.

\* \* \*

Charlie obudził się i ujrzał nie jedno, ale trzy nowe nazwiska w swoim kalendarzu. W wypadku ostatniego, Madison McKerny, miał tylko trzy dni na znalezienie naczynia duchowego. Charlie trzymał w domu stertę gazet i nieraz przeglądał te z ostatniego miesiąca, szukając nekrologu nowego klienta. Częściej, o ile piekielne ogary dały mu trochę spokoju, po prostu czekał, aż nazwisko pojawi się w dziale nekrologów – potem znalezienie naczynia było już prostsze, dzięki danym żałobników i możliwości podszycia się pod agenta nieruchomości. Tym razem jednak miał tylko trzy dni, a Madison McKerny nie było wśród nekrologów, co oznaczało, że zapewne jeszcze żyje, a nazwiska nie mógł znaleźć także w książce telefonicznej, więc musiał działać szybko. Pani Ling i pani Korjev lubiły w soboty chodzić na targ, więc zadzwonił do swojej siostry Jane i poprosił, by popilnowała Sophie.

– Chcę braciszka – oznajmiła Sophie swojej cioci.

– Oj, skarbie, przykro mi, nie możesz mieć braciszka, bo wtedy tatuś musiałby uprawiać seks, a to już nigdy nie nastąpi.

– Jane, nie mów do niej w ten sposób – powiedział Charlie. Robił dla nich kanapki i zastanawiał się, dlaczego zawsze dawał się wrobić w robienie kanapek. Do Sophie powiedział: – Kochanie, może pójdziesz do swojego pokoju i pobawisz się z Alvinem i Mohammedem, tata musi pogadać z ciocią Jane.



– Dobra – zgodziła się Sophie i pognęła do swojego pokoju.

– I nie zmieniaj znowu ubrania, to jest w porządku – dodał. – To czwarty strój, który ma dzisiaj na sobie – wyjaśnił Jane. – Zmienia ubrania tak, jak ty dziewczyny.

– Au. Bądź delikatny, Chuck, jestem wrażliwa i mogę ci skopać tyłek.

Wytrząsnął trochę majonezu na całą białą kromkę, by pokazać, że mówi poważnie.

– Jane, nie wiem, czy to dla niej zdrowe, że ma wokół siebie te wszystkie różne ciotki. Już strata matki była ciężkim przeżyciem, a teraz mieszkasz daleko... Nie powinna się za każdym razem przywiązywać do tych kobiet tylko po to, by wyrwano jej z jej życia. Potrzebuje stałego kobiecego wpływu.

– Po pierwsze, nie mieszkam daleko, tylko w tym samym mieście, i widuję ją równie często, jak wtedy, gdy mieszkałam w tym budynku. Po drugie, rzecz nie w tym, że jestem rozwiązła, tylko w tym, że źle sobie radzę w związkach. Po trzecie, Cassie i ja jesteśmy razem od trzech miesięcy, i na razie dobrze nam idzie, właśnie dlatego się przeprowadziłam. A po czwarte, Sophie nie straciła matki. Nigdy jej nie miała, miała ciebie, a jeśli chcesz być porządną istotą ludzką, musisz się z kimś przespać.

– Właśnie o to mi chodzi. Nie możesz tak mówić w obecności Sophie.

– Charlie, to prawda! Nawet Sophie to widzi. Nie wie, co to jest, a i tak umie poznać, że tego nie masz.

Charlie przerwał robienie kanapek i podszedł bliżej.

– To nie seks, Jane. To kontakt międzyludzki. Przedwczoraj poszedłem obciąć włosy. Piersi fryzjerki otarły się o moje ramię i omal się nie spuściłem. A potem omal nie krzyknąłem.

– Dla mnie brzmi to jak seks, braciszku. Byłeś z kimś po śmierci Rachel?

– Wiesz, że nie.

– To niedobrze. Rachel by tego dla ciebie nie chciała. Musisz to wiedzieć. Znaczący zlitowała się i związała z tobą, a to nie mogło być dla niej łatwe. Na pewno wiedziała, że mogła trafić znacznie lepiej.

– Zlitowała się?

– Tak uważam. Była uroczą kobietą, a ty jesteś dużo bardziej żaloszny teraz niż wtedy. Miałaś więcej włosów, a nie miałaś dziecka ani dwóch psów wielkości volvo. Do diabła, pewnie istnieją jakieś zakonnice, które teraz by się z tobą bzyknęły, w ramach czystego aktu miłosierdzia. Albo pokuty.

– Przestań, Jane.

– Siostry Wieczystego Cierpienia Bez Seksu.

– Nie jestem taki zły.

– Zakon Świętego Wacka od Obciągania, patrona sieciowej pornografii i nieuleczalnych onanistów.

– Dobra, Jane, przepraszam, że powiedziałem to wszystko o zmienianiu partnerek. Nie powinienem.

Jane odchyliła się na stołku barowym i skrzyżowała ręce na piersi. Wyglądała na zadowoloną, ale pełną sceptycyzmu.

– Tyle że problem pozostaje.

– Nic mi nie jest. Mam Sophie i mam firmę, nie muszę mieć dziewczyny.

– Dziewczyny? To by był nadmiar ambicji. Potrzebujesz tylko kogoś, z kim mógłbyś się przespać.

– Wcale nie.

– Właśnie, że tak.

– Właśnie, że tak – powtórzył Charlie, pokonany. – Ale muszę już iść. Możesz zostać z Sophie?

– Jasne, zabiorę ją do siebie. Mam niezdolnego sąsiada, którego chciałabym przedstawić pieskom. Robią kupę na zawołanie?

– Tak, jeśli Sophie im każe.

– Doskonale. Do zobaczenia wieczorem. Obiecuj, że się z kimś umówisz. A przynajmniej poszukasz kogoś, z kim mógłbyś się umówić.

– Obiecuję.

– Dobrze. Dałeś już do poprawki ten garnitur w prążki?

– Nie zbliżaj się do mojej szafy.

– Chyba musisz już iść?

\* \* \*

Ray przypuszczał, że wszystko zaczęło się wtedy, gdy Charlie pozabijał wszystkie te małe zwierzątka, które przynosił do domu dla córeczki. Może zakup wielkich czarnych psów był wołaniem o pomoc – gdyby takie zwierzęta zniknęły, ktoś by to na pewno zauważył. Według tego, co pokazywano w filmach, wszyscy tak zaczynali: od zwierząt. Niebawem przerzucali się na autostopowiczów i dziwki, a potem mumifikowali całe stado instruktorów z jakiegoś obozu letniego, sadzając ich szczątki wokół stolika do kart w swojej górskiej kryjówce. Górską kryjówkę nie pasowała do profilu Charliego, który cierpiał na różne alergie, ale to mogło tylko

wskazywać na jego diaboliczny geniusz. (Ray był gliniarzem od patroli ulicznych, nie musiał więc uczyć się kryminalistyki, a jego własne teorie były dość barwne – skutek uboczny wyobraźni samca beta oraz dużej kolekcji DVD).

Ale kilka razy Charlie prosił Raya, by ten wykorzystał swoje kontakty w policji i Wydziale Komunikacji. Chodziło o odnalezienie ludzi, którzy kilka tygodni później umierali. Nie były to jednak morderstwa. W ostatnich latach w sklepie pojawiły się liczne przedmioty należące do zmarłych (na niektórych z tych rzeczy Ray znalazł wyryte numery, mające zapobiec kradzieży, i zadzwonił do kumpla z policji, by ten pomógł mu zidentyfikować właścicieli), z których także żaden nie został zamordowany. Zdarzały się wypadki, ale na ogół chodziło o zgony z przyczyn naturalnych. Albo Charlie był nadzwyczaj przebiegły, albo Ray był wariatem – nie wykluczał całkowicie tej możliwości, choćby dlatego, że miał trzy byłe żony, które by to poświadczyły. A zatem wymyślił podstęp z klubem fitness, by wyciągnąć Charliego ze sklepu. Z drugiej strony, szef zawsze dobrze go traktował, i gdyby się okazało, że nie ma górskiej kryjówki pełnej zmumifikowanych instruktorów, Ray wiedział, że miałby wyrzuty sumienia, że tak go wyrolował.

A jeśli z Charliem wszystko było w porządku, z wyjątkiem faktu, że powinien się z kimś przespać?

Ray siedział na chacie z Eduardo, swoją nową dziewczyną z witryny *Zdesperowana-Filipinka.com*, gdy Charlie zszedł po tylnych schodach.

– Ray, chciałbym, żebyś kogoś dla mnie znalazł.

– Poczekaj chwilę, muszę się wylogować. Zobacz moją nową laskę. – Otworzył na ekranie okno ze zdjęciem dobrze zbudowanej, ale atrakcyjnej Azjatki.

– Jest ładna, Ray. Ale teraz nie mogę ci dać wolnego, żebyś leciał na Filipiny. Najpierw musimy zatrudnić kogoś, kto przejmie dyżury Lily. – Charlie nachylił się do monitora. – Stary, ona nazywa się Eduardo.

– Wiem. To takie filipińskie imię, jak Edwina.

– Ma lekki zarost.

– Rasista z ciebie, i tyle. Niektóre rasy są bardziej owłosione od innych. Nie dbam o to, chcę po prostu kogoś, kto jest szczerzy, czuły i atrakcyjny.

– Ma jabłko Adama.

Ray zmrużył oczy, patrząc w monitor, po czym szybko zamknął zdjęcie i obrócił się na stołku.

– No to kogo mam znaleźć?

– W porządku, Ray – powiedział Charlie. – Grdyka nie wyklucza, że dana

osoba jest szczerą, czułą i atrakcyjną. Po prostu czyni tę możliwość mniej prawdopodobną.

– Tak. Myślę, że to była kwestia złego oświetlenia. Tak czy owak, kogo chcesz znaleźć?

– Mam tylko nazwisko, Madison McKerny. Wiem, że on lub ona mieszka w mieście, ale nic poza tym.

– To ona.

– Słucham?

– Madison. To imię striptizerki.

Charlie pokręcił głową.

– Znasz tę kobietę?

– Nie znam jej, chociaż nazwisko brzmi znajomo. Ale Madison to imię striptizerek młodego pokolenia. Jak Reagan i Morgan.

– Pogubiłem się, Ray.

– Spędziłem trochę czasu w barach ze striptizem. Nie jestem z tego dumny, ale robisz takie rzeczy, będąc gliną. I zaczynasz dostrzegać prawidłowości w imionach striptizerek.

– Nie wiedziałem.

– Tak, i od lat pięćdziesiątych trwa pewien postęp: Bubbles, Boom Boom i Blaze zrodziły Bambi, Candy i Jewel, które zrodziły Sunshine, Brandy i Cinnamon, które zrodziły Amber, Brittany i Brie, które zrodziły Reagan, Morgan i Madison. Madison to imię striptizerki.

– W latach pięćdziesiątych nie było cię nawet na świecie.

– Fakt, w czterdziestych też mnie nie było, ale wiem o drugiej wojnie światowej i big-bandach. Lubię historię.

– Racja. Czyli mam szukać striptizerki? To niewielka pomoc. Nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Sprawdź w Wydziale Komunikacji i dokumentach podatkowych. Jeśli jest w mieście, do południa będziemy mieli adres. Dlaczego musisz ją znaleźć?

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której Charlie udał, że zauważył smugę na gablotce stojącej na ladzie. Stał ją, po czym powiedział:

– Ee, chodzi o to, że w takim jednym domu, z którego ostatnio dostaliśmy trochę towaru, było kilka rzeczy, które zostawiono właśnie jej.

– Czy nie powinien się tym zająć wykonawca testamentu albo jego prawnik?

– To drobiazgi i nie wymieniono ich w testamencie. Wykonawca poprosił, żebym się tym zajął. Zarobisz na tym pięćdziesiąt dolców.

Ray wyszczerzył się w uśmiechu.

– W porządku, i tak zamierzałem ci pomóc, ale jeśli się okaże, że to striptizerka, pójdę z tobą, dobra?

– Umowa stoi.

\* \* \*

Trzy godziny później Ray podał adres Charliemu i patrzył, jak szef wybiega ze sklepu i łapie taksówkę. Po co taksówkę? Czemu nie wziął furgonetki? Ray chciał jechać za nim, bardzo chciał, ale musiałby znaleźć kogoś, kto zaopiekuje się sklepem. Mógł to przewidzieć, ale był rozkojarzony.

Był rozkojarzony od chwili rozmowy z Charliem, nie tylko z powodu poszukiwania Madison McKerny, ale także dlatego, że zastanawiał się, jak w rozmowę z Eduardo wpleść od niechcienia pytanie: „Czy masz penisa?”. Po kilku uwodzicielskich mej lach nie mógł już tego znieść i napisał po prostu: „Eduardo, co prawda, to dla mnie żadna różnica, ale chcę ci wysłać w prezencie seksowną bieliznę i nie wiem, czy masz jakieś specjalne życzenia w kwestii majtek”.

A potem czekał. I czekał. Choć w Manili była piąta rano, Ray się zastanawiał. Czy był zbyt konkretny, czy też nie dość konkretny? A teraz musiał iść. Wiedział, dokąd pojechał Charlie, ale musiał tam dotrzeć przed nim, zanim coś się stanie. Zadzwoił na komórkę do Lily, z nadzieją że nie przebywa akurat w drugiej pracy i wyświadczy mu przysługę.

– Mów, niewdzięczniku – odebrała Lily.

– Skąd wiedziałaś, że to ja? – spytał Ray.

– Ray?

– Tak, skąd wiedziałaś, że to ja?

– Nie wiedziałam – odparła. – Czego chcesz?

– Mogłabyś przyjść i zastąpić mnie w sklepie przez parę godzin? – Potem, słysząc, że Lily bierze głęboki wdech, który miał zapewne poprzedzać werbalny atak, dodał: – Dostaniesz pięćdziesiąt dolców ekstra.

Usłyszał odgłos wypuszczanego powietrza. Tak! Po ukończeniu Instytutu Kulinarного Lily dostała pracę w bistro na North Beach, ale nie zarabiała jeszcze dosyć, by wyprowadzić się od matki. Dała się więc Charliemu namówić na zachowanie dyżurów w Komisie Ashera, przynajmniej do czasu, aż szef nie znajdzie kogoś nowego.

– Dobra, Ray, przyjdę, ale przed piątą muszę być w restauracji, więc wróc albo

wcześniej zamknę, dobra?

– Dzięki, Lily.

\* \* \*

Charlie miał szczerą nadzieję, że Ray nie jest seryjnym zabójcą, mimo że wiele na to wskazywało.

W życiu nie znalazłby tej kobiety, gdyby nie kontakty Raya w policji. Co zrobi w przyszłości, jeśli będzie musiał kogoś znaleźć, a Ray pójdzie do więzienia? Z drugiej strony, dzięki doświadczeniu w policji Ray mógł wiedzieć, jak nie zostawiać dowodów. Ale w takim razie dlaczego wyszukiwał w Internecie filipińskie kobiety, skoro chciał zabijać? A może to właśnie robił, kiedy latał na Filipiny? Może zabijał zdesperowane Filipinki? Może był turystą-seryjnym zabójcą. Później się tym zajmę, pomyślał Charlie. Na razie muszą odnaleźć naczynie duchowe.

\* \* \*

Charlie wysiadł z taksówki przed Fontaną, apartamentowcem stojącym przecnicę od Ghirardelli Square, gdzie nabrzeżną fabrykę czekolady zmieniono w centrum handlowe dla turystów. Fontana był to wielki, pełen krzywizn budynek z betonu i szkła, skąd rozciągał się widok na Alcatraz i most Golden Gate. Od lat sześćdziesiątych, kiedy to powstał, stanowił obiekt pogardy mieszkańców San Francisco. Rzec nie w tym, że budynek był brzydki, choć nikt nie spierałby się, że nie jest, ale przy wiktoriańskich i edwardiańskich budowlach dookoła wyglądał jak olbrzymi klimatyzator z kosmosu, atakujący dziewiętnastowieczne miasto. Mimo wszystko widoki z mieszkań roztaczały się wspaniałe, w budynku był portier, podziemny parking i basen na dachu. Jeśli więc chciałeś chodzić z piętnem mieszkańca architektonicznego koszmaru, miejsce było znakomite.

Adres Madison, który Charlie dostał od Raya, wskazywał mieszkanie na dwudziestym drugim piętrze i tam też zapewne znajdowało się naczynie duchowe. Charlie nie wiedział, jaki dokładnie zasięg ma jego niezauważalność (bronił się przed słowem „niewidzialność”, to nie było to), ale miał nadzieję, że sięga dwudziestego drugiego piętra. Musiał jakoś minąć portiera i dostać się do windy, a wiedział, że numer z agentem nieruchomości na pewno nie przejdzie.

Dobra, kto nie ryzykuje, ten nie zyskuje. Jeśli go złapią, po prostu poszuka

innego sposobu, żeby wejść do środka. Poczekał przy drzwiach, aż do budynku wejdzie młoda kobieta w garsonce, a potem ruszył za nią do holu. Portier nawet na niego nie spojrział.

\* \* \*

Ray zobaczył, że Charlie wysiada z taksówki, i kazał swojemu taksówkarzowi zatrzymać się przecznicę dalej, gdzie wyskoczył z samochodu, dał kierowcy piątaka, powiedział, że reszty nie trzeba, a potem zaczął szperać w kieszeniach w poszukiwaniu brakującej sumy. Tymczasem taksówkarz bębnił niespokojnie palcami w kierownicę i klął pod nosem w języku urdu.

– Przepraszam, dawno nie jechałem taksówką – wyjaśnił Ray.

Miał samochód, śliczną małą toyotę, ale jedyne miejsce parkingowe, jakie udało mu się znaleźć, było oddalone o osiem przecznic od jego mieszkania, w hotelu, którym zarządzał jego przyjaciel. A kiedy masz miejsce parkingowe w San Francisco, to je trzymasz, więc Ray najczęściej korzystał z komunikacji miejskiej, a samochodem jeździł w dni wolne, i to tylko po to, by nie rozładował się akumulator. Wskoczył do taksówki przed sklepem Charliego i – budząc przerażenie japońskiej rodziny – krzyknął:

– Za tymtym samochodem! – A potem powiedział – Przepraszam. *Konichiwa*. Dawno nie jechałem taksówką. – Wysiadł i złapał taksówkę, która nie miała zapalonego koguta.

Teraz skradał się ulicą, od latarni do automatu z gazetami, a potem kiosku, chowając się za nimi. Nie osiągnął nic z wyjątkiem tego, że dzieciakowi, który czekał na autobus po drugiej stronie ulicy, wydał się zupełnym świrem. Dotarł do wejścia na parking pod apartamentowcem Fontana w chwili, gdy Charlie kierował się do drzwi. Ray przykucnął za czytnikiem magnetycznych kart wstępu.

Nie miał pewności, co robi, jeśli Charlie wejdzie do budynku. Na szczęście zapamiętał numer telefonu Madison McKerny i mógł ją uprzedzić o przyjsciu Charliego. Po drodze, w taksówce, przypomniał sobie, gdzie widział jej nazwisko: na liście w klubie fitness. Madison McKerny należała do późnoporannych lalek do rżnięcia i Ray podejrzewał, że Charlie się na nią zaczął.

Widział, jak Charlie rusza za młodą bizneswoman, która wchodziła do apartamentowca. A potem zniknął. Po prostu zniknął.

Ray wyszedł na chodnik, by mieć lepszy widok. Kobieta ciągle tam była, pokonała ledwie kilka kroków, ale nie widział Charliego. Nie było żadnych roślin,

ścian. Cały hol był ze szkła, więc gdzie on się, do diabła, podział? Ray był pewien, że ani na chwilę nie odwrócił wzroku, chyba nawet nie mrugnął, i zobaczyłby każdy gwałtowny ruch Charliego.

Zgodnie z właściwą samcom beta tendencją do obwiniania siebie samych, Ray zastanawiał się, czy nie miał jakiegoś maleńkiego ataku, który na chwilę pozbawił go przytomności. Tak czy owak, musiał ostrzec Madison McKerny. Sięgnął do pasa i poczuł pusty pokrowiec na telefon komórkowy, a potem przypomniał sobie, że, gdy tego ranka przyszedł do pracy, położył telefon przy kasie.

\* \* \*

Charlie znalazł właściwe mieszkanie i zadzwonił do drzwi. Jeśli skłoni Madison McKerny, by wyszła na korytarz, będzie mógł wśliznąć się za nią do środka i poszukać w mieszkaniu jej naczynia duchowego. Na końcu korytarza stał stół z bukietem sztucznych kwiatów. Przewrócił go w nadziei, że kobieta okaże się na tyle nerwowa lub ciekawska, że wyjdzie z mieszkania, by zobaczyć, co się stało. A jeśli nie było jej w domu, to, cóż, będzie się musiał włamać. Istniała szansa, że skoro na dole był portier, w mieszkaniu nie ma systemu alarmowego. A co, jeśli ona go zobaczy? Niektórzy klienci go widzieli. Niezbyt często, ale się zdarzało, więc...

Otworzyła drzwi.

Charlie był oszołomiony, a ona była oszałamiająca. Przestał oddychać i gapił się na jej biust.

Rzecz nie w tym, że była młodą, prześliczną brunetką o idealnych włosach i cerze. Ani nie w tym, że miała na sobie cieniutką koszulę nocną z białego jedwabiu, która ledwo skrywała jej figurę modelki. Ani nie w tym, że miała nieproporcjonalnie duże, lecz jędrne piersi, napierające od wewnątrz na koszulę i wyglądające znad linii dekolту, gdy wychyliła się za drzwi, choć to wszystko wystarczyłoby, żeby nieszczęsnemu samcowi beta zaparło dech w każdych okolicznościach.

Chodziło o to, że jej piersi świeciły na czerwono. Blask sączył się przez biały jedwab, pod dekoltem jaśniały dwa wschodzące słońca, pulsujące niczym żarówki w cymbałach tandetnej hawajskiej lampy w kształcie dziewczyny. Dusza Madison McKerny zamieszkała w jej implantach.

– Muszę się do nich dostać – powiedział Charlie, zapominając, że nie jest sam i nie mówi do siebie.



A potem Madison McKerny zauważyła obecność Charliego i zaczęła krzyczeć.

## ZEW SEKSU II: REKWIEM DLA LALKI DO RZNIĘCIA

Ray otworzył drzwi z taką siłą, że mały dzwoneczek oderwał się z zaczepu i zabrzączał na podłodze.

– O, rany – powiedział Ray. – Nie uwierzysz. Sam nie wierzę.

Lily popatrzyła na Raya znad okularów do czytania i odłożyła francuską książkę kucharską, którą przeglądała. Tak naprawdę nie potrzebowała okularów do czytania, ale spoglądanie znad nich sugerowało poczucie wyższości i pogardę, dlatego jej imponowało.

– Też muszę ci o czymś powiedzieć – oznajmiła.

– Nie – powiedział Ray, rozglądając się, by sprawdzić, czy w sklepie na pewno nie ma klientów. – To, co mam ci do powiedzenia, jest bardzo ważne.

– W porządku – odparła. – To moje nie jest dla mnie takie ważne. Ty pierwszy.

– Dobra. – Wziął głęboki wdech i wyrzucił z siebie: – Myślę, że Charlie może być seryjnym zabójcą o zdolnościach ninja.

– O, niezłe – powiedziała Lily. – Dobra, moja kolej. Dzwoniła do ciebie panna Ja-Taka-Napalona. Chciała ci powiedzieć, że ma dwadzieścia centymetrów soczystego, męskiego mięska. – Podała mu komórkę, którą zostawił przy kasie.

– O, Boże, znowu! – Ray ukrył twarz w dłoniach i osunął się na ładę.

– Powiedziała, że chce się nim z tobą podzielić. – Lily oglądała swoje paznokcie. – Więc Asher to ninja, tak?

Podniósł wzrok.

– Tak, i zaczął się na lalkę do rżnięcia z mojego klubu fitness.

– Jak myślisz, Ray, masz bogatą wyobraźnię?

– Zamknij się, Lily, to katastrofa. Dzięki Charliemu mam pracę i mieszkanie. Nie wspominając o tym, że on ma dziecko, a nowe światło mojego życia to facet.

– Wcale nie. – Zastanawiała się, czemu tak szybko odpuszcza. Torturowanie Raya nie sprawiało jej takiej frajdy, jak kiedyś.

– Hę? Co?

– Robię cię w konia, Ray. Nie dzwoniła. Przeczytałam wszystkie twoje mejle i wiadomości z komunikatora.

– To prywatna korespondencja.

– I dlatego trzymasz ją na sklepowym komputerze?

– Spędzam tutaj wiele godzin, a przy różnicy czasu...

– Skoro o prywatności mowa, o co chodzi z tym Asherem? Jest ninja? Seryjnym zabójcą? Znaczący jednym i drugim? W tym samym czasie?

Ray podszedł bliżej i zaczął mówić do swojego kołnierzyka, jakby ujawniał wielki spis.

– Obserwowałem go. Charlie przynosi dużo rzeczy od zmarłych osób. Trwa to od lat. Zawsze jedzie gdzieś w pośpiechu, prosi mnie o zastępstwo i nigdy nie mówi, dokąd się wybiera. A niedługo potem w sklepie pojawiają się rzeczy któregoś ze zmarłych. Więc dzisiaj poszedłem za nim. Czaił się na kobietę, która chodzi do mojego klubu. Być może widzieliśmy ją parę dni temu.

Lily cofnęła się i popatrzyła na Raya z niesmakiem, co nie było trudne po latach praktyki.

– Ray, nie przyszło ci do głowy, że Asher jeździ do domów różnych ludzi i że interesy idą znacznie lepiej, od kiedy zaczął do nich jeździć częściej? Że jakość towarów bardzo się poprawiła? Zapewne dlatego, że dociera tam stosunkowo wcześniej?

– Wiem, ale to nie to. Ostatnio rzadziej tu bywasz. Ja byłem policjantem, zauważam takie rzeczy. Po pierwsze, wiedziałaś, że detektyw z wydziału zabójstw miał Charliego pod obserwacją? Tak, tak. Dał mi swoją wizytówkę i kazał zadzwonić, gdyby zdarzyło się coś niezwykłego.

– Nie, Ray, nie zrobiłeś tego.

– Charlie zniknął, Lily. Patrzyłem na niego, a on po prostu rozpułnął się w powietrzu, na oczach wszystkich. A kiedy go ostatnio widziałem, szedł do mieszkania tej lalki do rżnięcia.

Lily miała ochotę porwać z lady zszywacz i błyskawicznie wystrzelić jakieś sto zszywek prosto w łśniące czoło Raya.

– Ty niewdzięczny pojebie! Wezwałeś gliny do Ashera? Faceta, który daje ci pracę i dach nad głową od, czekaj, dziesięciu lat?

– Nie zadzwoniłem do mundurowych, tylko do inspektora Rivery. Znam go z czasów mojej pracy w policji. Nie będzie nagłaśniał sprawy.

– Idź po książeczkę czekową i samochód. Wpłacimy kaucję i go wyciągniemy.

– Pewnie nawet go jeszcze nie aresztowano – powiedział Ray.

– Ty żałosny dupku. Idź. Zamknę sklep i poczekam na zewnątrz.

– Lily, nie wolno ci tak do mnie mówić. Nie muszę tego znosić.

Ray nie był w stanie odwrócić głowy, więc nie mógł się uchylić przed dwiema pierwszymi zszywkami, które wystrzeliła mu w czoło. W końcu stwierdził, że

najlepiej iść po książeczkę czekową i samochód, więc się wycofał.

– A w ogóle co to jest lalka do rżnięcia?! – krzyknęła za nim Lily, nieco zaskoczona swoją gwałtowną i rosnącą lojalnością wobec Charliego.

\* \* \*

Policjantka dziewięć razy próbowała pobrać od Charliego odciski palców, zanim podniosła wzrok na inspektora Alphonse'a Riverę i oznajmiła:

– Ten skurwiel nie ma linii papilarnych.

Rivera wziął dłoń Charliego i obrócił ją wnętrzem do góry, po czym popatrzył na jego palce.

– Wyraźnie je widzę. Ma zupełnie normalne linie papilarne.

– No to sam to zrób – powiedziała kobieta. – Bo ja mam na kartce tylko gładkie odciski.

– No dobra – powiedział Rivera. – Chodźmy. Poprowadził Charliego do ściany, na której namalowano wielką linijkę, i kazał mu stanąć twarzą do aparatu fotograficznego.

– Jak moja fryzura? – spytał Charlie.

– Proszę się nie uśmiechać.

Charlie zmarszczył brwi.

– Proszę nie robić min. Niech pan patrzy prosto i... Fryzura w porządku, chociaż teraz ma pan tusz na czole. To nie takie trudne, panie Asher, przestępcy ciągle to robią.

– Nie jestem przestępcą.

– Włamał się pan do strzeżonego budynku i nękał młodą kobietę, więc jest pan przestępcą.

– Nigdzie się nie włamałem i nikogo nie nękałem.

– Zobaczmy. Panna McKerny powiedziała, że groził jej pan śmiercią. Z pewnością wniesie oskarżenie. Gdyby mnie ktoś pytał, oboje macie szczęście, że się akurat pojawiłem.

Charlie analizował wydarzenia: lalka do rżnięcia zaczęła krzyczeć i cofnęła się do mieszkania, a on wszedł za nią. Próbował wszystko wyjaśnić, jakoś sensownie to rozegrać, przy okazji darząc nadmierną uwagą jej piersi.

– Nie groziłem jej.

– Powiedział pan, że ona umrze. Dzisiaj.

Tu go mieli. Faktycznie, wśród zamieszania i krzyków napomknął, że

dziewczyna powinna pilnować piersi, bo dzisiaj umrze. Wspominając całe zdarzenie, pomyślał, że zapewne powinien był zachować tę informację dla siebie.

Rivera poprowadził go po schodach na górę, do małego pomieszczenia, w którym stał stół i dwa krzesła. Charlie poszukał wzrokiem lustra weneckiego, jak w telewizji, ale ku swemu rozczarowaniu zobaczył tylko ściany z pustaków, pomalowane zmywalną zieloną farbą w odcieniu mchu. Rivera kazał mu usiąść, ale potem ruszył do drzwi.

– Zostawię pana na parę minut, dopóki panna McKerny nie zgłosi zarzutów. Przytulniej tu niż w celi. Chce się pan czegoś napić?

Charlie pokręcił głową.

– Powinienem zadzwonić do adwokata?

– To zależy od pana, panie Asher. Ma pan do tego prawo, ale ja nie mogę nic panu doradzić. Wrócę za pięć minut. Wtedy będzie pan mógł zadzwonić, jeśli zechce.

Rivera wyszedł z pomieszczenia i Charlie ujrzał jego partnera, łysego, potężnego faceta imieniem Cavuto, który czekał przed drzwiami. Ten gość naprawdę budził w nim lęk. Może nie aż taki, jak perspektywa wydobycia implantów z piersi Madison McKerny albo widmo wszystkiego, co mu groziło, gdyby tego nie zrobił, ale zawsze.

\* \* \*

– Wypuść go – powiedział Cavuto.

– Co? Mam go wypuścić? Dopiero go przymknąłem, ta McKerny...

– Nie żyje. Zastrzelił ją jej chłopak. Potem, kiedy nasi chłopcy przyjechali na wezwanie sąsiadów, zastrzelił siebie.

– Co?

– Chłopak był żonaty, McKerny chciała mieć większe poczucie bezpieczeństwa i postanowiła powiedzieć żonie. Facetowi odbiło.

– I już to wszystko wiesz?

– Sąsiad powiedział to mundurowym, kiedy tylko przyjechali. Chodź, to nasz rejon. Trzeba jechać. Wypuść tego faceta. Ray Macy i jakaś mroczna laska w kucharskim stroju czekają na niego na dole.

– Ray Macy to ten, który do mnie zadzwonił. Myślał, że Asher chce ją zabić.

– Wiem. Zbrodnia się zgadza, ale facet nie. Puść go.

– Ciągle możemy mu postawić zarzut posiadania ukrytej broni.

– Laski z mieczem w środku? Chcesz stanąć przed sądem i powiedzieć, że aresztowałeś faceta jako seryjnego zabójcę, ale ostatecznie oskarżono go o to, że jest pieprzonym dziwakiem?

– Dobra, puszczę go, ale mówię ci, Nick, ten gość powiedział McKerny, że dzisiaj umrze. Tu się dzieją dziwne rzeczy.

– A nie mamy i tak zbyt wielu dziwnych rzeczy na głowie?

– Słuszna uwaga – stwierdził Rivera.

\* \* \*

Madison McKerny wyglądała pięknie w beżowej, jedwabnej sukni. Jak zwykle miała doskonałą fryzurę i makijaż, a brylantowe kolczyki i platynowy naszyjnik z brylantem dobrze się komponowały ze srebrnymi uchwyty trumny z drewna orzechowego. Widok kogoś, kto nie oddychał, zapierał dech w piersiach, a zwłaszcza Charliemu, który dodatkowo widział w trumnie pulsujące na czerwono cycki.

Charlie był w życiu na niewielu pogrzebach, ale pogrzeb Madison McKerny wydawał się całkiem miły i przyciągnął zaskakująco wielu ludzi, jak na kogoś, kto miał ledwie dwadzieścia sześć lat. Okazało się, że Madison wychowała się w Mili Valley, tuż pod San Francisco, i miała licznych znajomych. Najwyraźniej większość obecnych, z wyjątkiem rodziny, dawno straciła z nią kontakt i była dość zaskoczona wieścią, że zastrzelił ją żonaty kochanek, który opłacał jej kosztowne mieszkanie w mieście.

– W szkolnej książce pamiątkowej nie zaznaczyłbyś tej historii jako „bardzo prawdopodobna” – powiedział Charlie, próbując nawiązać rozmowę z jednym z jej kolegów z klasy, obok którego stał przy pisuarze w męskiej toalecie.

– Jak poznałeś Madison? – spytał tamten protekcjonalnym tonem. Wyglądał na takiego, o którym pisano „bardzo prawdopodobnie będzie wkurzał wszystkich tym, że jest bogaty i ma ładne włosy”.

– Kto? Ja? Jestem przyjacielem pana młodego – odparł Charlie. Zasunął rozporek i ruszył do umywalki, zanim tamten zdołał obmyślić kolejne pytanie.

Charlie był zaskoczony, że spotkał na pogrzebie paru ludzi, których znał, i za każdym razem, gdy uwolnił się od jednego, wpadał na innego.

Pierwszy był inspektor Rivera, który skłamał:

– Musiałem przyjść. To nasza sprawa. Musiałem trochę poznać rodzinę.

Potem Ray, który skłamał:

– Chodziła do mojego klubu fitness. Pomyślałem, że powinienem okazać szacunek.

Potem partner Rivery, Cavuto, który nie skłamał:

– Nadal uważam pana za zboka, tak samo jak pańskiego kumpla, tego byłego policjanta.

I Lily, która także była szczerą:

– Chciałam zobaczyć martwą lalkę do rżnięcia.

– Kto jest w sklepie?

– Sklep zamknięty. Z powodu śmierci w rodzinie. Wiesz, że Ray nasłał na ciebie gliny?

Nie mieli okazji porozmawiać, od kiedy Charliego uwolniono.

– Powinienem się domyślić – stwierdził Charlie.

– Powiedział, że widział, jak wchodzisz do domu tej martwej laski i jak znikasz. Myśli, że masz zdolności ninja. To część, no wiesz, sprawy? – Uniosła porozumiewawczo brwi niczym Groucho Marx, choć wymowność tego gestu osłabił fakt, że brwi miały grubość kreski narysowanej ołówkiem, w dodatku w liliowym kolorze.

– Zgadza się. Ray nic nie wie o sprawie, prawda?

– Nie, cały czas cię kryłam. Ale nadal podejrzewa, że możesz być seryjnym zabójcą.

– A ja myślałem, że to on może być seryjnym zabójcą.

Lily wzruszyła ramionami.

– Boże, powinniście się z kimś przespać, panowie.

– Możliwe, ale teraz jestem tu w związku ze sprawą.

– Jeszcze nie masz tej jej sprawy?

– Nawet nie wiem, jak się do tego zabrać. Sprawa jest ciągle w środku. – Skinął głową w kierunku trumny.

– Jesteś pojebany – stwierdziła Lily.

– Muszę teraz usiąść – powiedział Charlie i zaprowadził ją do kaplicy, gdzie zaczynała się ceremonia.

\* \* \*

Za nim Nick Cavuto, który stał o metr dalej, odwrócony do Charliego plecami, podszedł do swojego partnera i spytał:

– Nie możemy po prostu zastrzelić Ashera i później poszukać powodu? Na

pewno skurwiel zrobił coś, żeby na to zasłużyć.

\* \* \*

Charlie nie wiedział co zrobić, jak zdobyć duchowe implanty, ale naprawdę liczył, że coś mu pomoże. Że w ostatniej chwili ujawni się jakaś jego nadnaturalna zdolność. Myślał o tym przez całą ceremonię. Nadzieja powoli go opuszczała, gdy żałobnicy się rozchodzili i opuszczono trumnę. A kiedy ekipa grabarzy zaczęła koparką zrzucić do grobu ziemię, musiał przyznać przed samym sobą, że nie ma żadnego pomysłu.

Istniało coś takiego, jak rabowanie grobów, ale to w zasadzie nie był pomysł, prawda? Mimo lat doświadczenia w zajmowaniu się śmiercią, Charlie raczej nie byłby w stanie włamać się na cmentarz i przez całą noc kopać, by dostać się do trumny, a następnie wyciąć implanty ze zwłok kobiety. To nie było to samo, co zabranie wazonu z parapetu. Czemu dusza Madison McKerny nie mogła być w wazonie na parapecie?

– Nie zdobyłeś tych rzeczy – rozległ się za nim czyjś głos.

Charlie odwrócił się ujrzał tuż obok siebie inspektora Riverę. Nie widział go, od kiedy wyszli z domu pogrzebowego.

– Jakich rzeczy?

– Właśnie, jakich? – zapytał Rivera. – Nie pochowali jej z tymi brylantami, które pan widział, wie pan o tym, prawda?

– Szkoda by było – stwierdził Charlie.

– Wzięły je siostry – oznajmił inspektor. – Wie pan, niewielu ludzi zostaje, żeby patrzeć, jak zasypują grób.

– Naprawdę? – spytał. – Byłem po prostu ciekaw. Chciałem zobaczyć, czy używają łopat, czy czegoś innego. A pan?

– Ja? Obserwuję pana. Przeszło panu to dziwactwo ze studzienkami kanalizacyjnymi?

– A, to? Potrzebowałem tylko zmiany leku. – To zdanie Charlie podchwycił od Jane. Tak naprawdę nie brała leków, ale wymówka najwyraźniej zdawała egzamin.

– Niech się pan pilnuje. A ja będę pilnował pana. *Adios*. – Rivera odwrócił się i odszedł.

– *Adios*, inspektorze – powiedział Charlie. – Ładny garnitur.

– Dzięki, kupiłem go w pańskim sklepie – odparł tamten, nie oglądając się.

Kiedy on był w moim sklepie? – pomyślał Charlie.



\* \* \*

Przez kilka następnych tygodni Charlie czuł się tak, jakby ktoś przekręcił gałkę napięcia w jego systemie nerwowym ponad zalecany poziom, i aż drżał z niepokoju. Myślał, że może powinien zadzwonić do Minty'ego Fresha, uprzedzić go o swoim niepowodzeniu w odzyskaniu naczynia duchowego Madison McKerny, ale harpie nie wychodziły z kanałów, a telefon do innego Handlarza Śmierci mógłby je skłonić do pojawienia się na górze. Zamiast więc dzwonić, trzymał Sophie w domu i pilnował, by nigdy nie znalazła się poza zasięgiem wzroku piekielnych ogarów. Przez większość czasu trzymał nawet psy zamknięte w jej pokoju. W przeciwnym razie ciągnęły go do kalendarza, w którym nie było żadnych nowych nazwisk, jedynie nieszczęsna Madison McKerny oraz dwie inne kobiety – Esther Johnson i Irena Posokovanovich – które pojawiły się tego samego dnia, ale miały jeszcze długi termin ważności, czy jak to tam nazwać.

Znowu zaczął chodzić na spacer, nasłuchując, gdy mijał odpływy i studzienki, ale nie miał wrażenia, by ciemność się podnosiła.

Czuł się nagi, chodząc ulicami bez miecza w lasce, który zatrzymał Rivera, więc postanowił poszukać jakiejś innej broni i w rezultacie znalazł w mieście dwóch innych Handlarzy Śmierci. Na pierwszego trafił w antykwariacie z książkami w dzielnicy Mission. Tak naprawdę nie był to już antykwariat z książkami – wciąż stało tam kilka wysokich regałów z książkami, ale resztę powierzchni zajmował zbiór najróżniejszych rzeczy, od armatury po kaski futbolowe. Charlie doskonale rozumiał, jak do tego doszło. Zaczęło się od książek, potem nastąpiła jedna niewinna transakcja, na przykład zestaw podstawek pod cenne egzemplarze, potem kolejna – siedleś z pudełkiem na wyprzedaż garażową po jedną, jedyną rzecz – i niebawem miałeś cały zestaw niepasujących do siebie sztuców i przestarzałych odbiorników radiowych. Za nic w świecie nie pamiętałeś, skąd masz pułapkę na niedźwiedzie, a jednak leżała tam, obok zielonego kostiumu tancerki i pompki do penisa. Rzeczy z odzysku, które nie przynosiły zysku. Z tyłu sklepu, przy ladzie, stał regał, na którym wszystkie tomy pulsowały czerwonym światłem.

Charlie potknął się o sopluszczkę i chwycił wieszak na ubrania z poroża łosia, by się nie przewrócić.

– Wszystko w porządku? – spytał właściciel, podnosząc wzrok znad książki, którą właśnie czytał.

Miał jakieś sześćdziesiąt lat i plamy na skórze, wywołane nadmiarem słońca, którego jednak od jakiegoś czasu nie oglądał, był bowiem bardzo blady. Miał długie, przerzedzone, siwe włosy i nosił duże okulary, które nadawały mu wygląd wykształconego żółwia.

– Nic mi nie jest – odparł Charlie, odrywając spojrzenie od książek – naczyń duchowych.

– Wiem, że trochę tu zagracone – powiedział żółwiowaty. – Miałem posprzątać, ale, prawdę mówiąc, zamierzam posprzątać od czterdziestu lat i jakoś jeszcze nie dałem rady.

– W porządku, podoba mi się pański antykwariat – stwierdził Charlie. – Świetny asortyment.

Właściciel popatrzył na kosztowny garnitur i buty Charliego, po czym zmrużył oczy. Było jasne, że poznał się na wartości ubioru i zaklasyfikował Charliego jako bogatego kolekcjonera albo łowcę antyków.

– Szuka pan czegoś szczególnego? – spytał.

– Miecza w lasce – odparł Charlie. – Nie musi być stary.

Chciał postawić facetowi kawę i podzielić się opowieściami o zabieraniu naczyń duchowych, o starciach z Zaświatowcami, o działaniach Handlarza Śmierci. Ten gość był jego bratnią duszą, a z rozmiarów kolekcji naczyń duchowych i książek można było wnioskować, że zajmuje się tym dłużej niż Minty Fresh.

Żółwiowaty pokręcił głową.

– Nie widziałem takiego od lat. Jeśli zechce mi pan zostawić wizytówkę, zbadam dla pana rynek.

– Dzięki – odparł Charlie. – Będę szukał dalej. Na tym polega frajda. – Zaczął się cofać do drzwi, ale nie mógł wyjść, nie powiedziawszy jeszcze czegoś, nie uzyskawszy pewnych informacji. – Jak idą interesy w tej okolicy?

– Teraz lepiej niż kiedyś – stwierdził tamten. – Gangi trochę się uspokoiły i ta część Mission stała się modna, artystyczna, fafa-rafa. To dobre dla interesów. Pan z City?

– Tam się urodziłem i wychowałem – powiedział Charlie. – Tyle że rzadko bywałem tutaj. Więc przez ostatnie tygodnie na ulicy nie działo się nic dziwnego?

Żółwiowaty popatrzył teraz na Charliego, zdjął nawet swoje ogromne okulary.

– Z wyjątkiem włączających się systemów alarmowych, było cicho jak w kościele. Jak się pan nazywa?

– Charlie. Charlie Asher. Mieszkam na North Beach, okolice Chinatown.

– A ja jestem Anton Dubois. Miło było cię poznać.

– Dobra – powiedział Charlie. – Muszę już iść.

– Charlie. Przy Fillmore Street jest lombard. Róg Fultone i Fillmore, zdaje się. Właścicielka ma dużo broni białej. Może znajdziesz tam tę laskę.

– Dzięki – powiedział Charlie. – Uważaj na siebie, Anton. Dobra?

– Zawsze na siebie uważam – stwierdził Anton Dubois, po czym znów skupił wzrok na książce.

Charlie wyszedł ze sklepu jeszcze bardziej zaniepokojony, ale nie tak samotny, jak pięć minut wcześniej. Następnego dnia znalazł nowy miecz w lasce w lombardzie przy Fillmore, gdzie ujrzał także pudło ze sztuccami i przyborami kuchennymi, które pulsowało na czerwono. Właścicielka okazała się młodsza niż Anton Dubois, na oko była przed czterdziestką. Nosila rewolwer kaliber 9 milimetrów w kaburze zawieszony na ramieniu, co wstrząsnęło Charliem w mniejszym stopniu niż fakt, że była kobietą. Wyobrażał sobie wszystkich Handlarzy Śmierci jako mężczyzn, choć oczywiście nie miał żadnego powodu, by tak myśleć. Nosila dzinsy i prostą lnianą koszulę, a przy tym była obwieszona niedopasowaną biżuterią – Charlie sądził, że to słabostka, którą usprawiedliwiała pracą „w branży”, tak samo jak on usprawiedliwiał swoje drogie garnitury. Była ładna, tak jak ładne są policjantki, miała ładny uśmiech, i zaczął się zastanawiać, czyjej gdzieś nie zaprosić, ale potem usłyszał w swojej głowie wyraźny odgłos pękającej bańki autodestrukcyjnej głupoty. Jasne, kolacja i kino, a potem niech Siły Ciemności opanują świat. Kapitalna pierwsza randka. Wszyscy mieli rację – naprawdę potrzebował seksu.

Kupił laskę z mieczem za gotówkę, bez targowania, i wyszedł ze sklepu, nie wdając się w rozmowę z właścicielką. Wychodząc, wziął wizytówkę z lady. Nazywała się Carrie Lang. Nie powiedział jej, by uważała, nie ostrzegł, co może nadejść spod ziemi, ale zdawał sobie sprawę, że z każdą spędzoną tam sekundą zwiększa zagrożenie dla nich wszystkich.

– Uważaj na siebie, Carrie – szepnął pod nosem, oddalając się.

\* \* \*

Wieczorem postanowił przejść do działania i zmniejszyć napięcie w swoim życiu. Zresztą decyzja zapadła za niego, gdy w mieszkaniu pojawiły się Jane i jej dziewczyna Cassandra, proponując, że zajmą się Sophie.

– Idź, znajdź sobie kobietę – powiedziała Jane. – Biorę małą.

– To tak nie działa – stwierdził Charlie. – Nie było mnie cały dzień, w ogóle nie

spędziłem czasu ze swoją córką.

Jane i Cassandra – wysportowana, atrakcyjna, rudowłosa kobieta po trzydziestce, którą Charlie chętnie by dokądś zaprosił, gdyby nie mieszkał ze swoją córką – wypchnęły go za drzwi, zatrzęsły mu je przed nosem i przekreśliły zasuwkę.

– Nie wracaj, dopóki kogoś nie poderwiesz! – krzyknęła Jane przez drzwi.

– Tobie to wychodzi?! – odkrzyknął. – Idziesz znaleźć kogoś, kto się z tobą prześpi, jak sęp na łowach?

– Masz tu pięćset dolarów. To działa na każdego.

Zwitek banknotów wyleciał przez szczelinę w drzwiach, a za nimi jego laska z mieczem, sportowy płaszcz i portfel.

– To ty musisz się z kimś przespać! – zawołała Jane. – Idź. Nie wracaj, dopóki nie odtańczysz tańca dwugarbnej bestii.

– Mógłbym skłamać.

– Nie, nie możesz – odparła Cassie. Miała słodki głos, aż chciało jej się opowiedzieć bajkę do poduszki. – Byłoby widać desperację w twoich oczach. W miłym sensie, Charlie.

– Jasne, jak inaczej mógłbym to odebrać?

– Pa, tato – odezwała się Sophie z drugiej strony drzwi. – Baw się dobrze.

– Jane!

– Spokojnie, dopiero tu weszła. Idź.

A zatem Charlie, wyrzucony z własnego domu przez własną siostrę, pożegnał się z córką, którą uwielbiał, i wyruszył na poszukiwanie nieznajomej, by przeżyć z nią chwilę intymności.

\* \* \*

– Tylko masaż – powiedział Charlie.

– Okej – odparła dziewczyna, ustawiając na półce olejki i balsamy.

Była Azjatką, lecz Charlie nie umiał stwierdzić, z jakiej części Azji pochodzi, może z Tajlandii. Miała drobną budowę i czarne włosy, które sięgały jej do pasa. Nosila czerwone, jedwabne kimono z haftem w kształcie chryzantemy. W ogóle nie patrzyła mu w oczy.

– Naprawdę, jestem spięty, i tyle. Nie chcę niczego poza w pełni etycznym i higienicznym masażem, tak jak na tabliczce przed wejściem. – Charlie stał w wąskiej kabinie, całkowicie ubrany. Po jednej stronie miał stół do masażu, a po

drugiej masażystkę i jej półkę z olejkami.

– Okej – powiedziała dziewczyna.

Charlie tylko na nią patrzył, niepewny, co ma dalej robić.

– Ubranie zdejmie – nakazała.

Położyła czysty, biały ręcznik na stole do masażu obok Charliego, skinęła głową w jego stronę, po czym się odwróciła.

– Okej?

– Okej – odparł Charlie, czując, że skoro już tu jest, musi przez to przejść.

Wchodząc, zapłacił kobiecie pięćdziesiąt dolarów, po czym dała mu do podpisania oświadczenie, że płaci tylko za masaż, że napiwki są mile widziane, ale nie oznaczają żadnych dodatkowych usług oprócz masażu, i że jeśli liczy na coś więcej niż masaż, to będzie bardzo zawiedzionym Białym Diabłem. Kazała mu parafować tekst we wszystkich sześciu językach, w których go napisano, a potem puściła oczko – długie, powolne mrugnięcie, podkreślone przez przesadnie długie, sztuczne rzęsy – wykonując przy tym międzynarodowy gest, oznaczający obciążanie: otwierając usta i rytmicznie wypychając policzek językiem.

– Kwiat Lotosu zrobi dobry relaks, panie Macy.

Charlie podpisał się nazwiskiem Raya. Nie chodziło o małą zemstę za nasłanie na niego policji, liczył po prostu, że dyrekcja rozpozna nazwisko i da Rayowi zniżkę.

Został w bokserkach i wspiał się na stół, ale Kwiat Lotosu zsunęła je z wprawą magika wyciągającego szalik z rękawa. Ułożyła ręcznik na jego tyłku i zrzuciła kimono. Charlie zobaczył, że kimono opada, i zerknął w tył. Ujrzał drobną, półnągą kobietę, rozcierającą olejek w dłoniach, by go rozgrzać. Odwrócił wzrok i kilkakrotnie uderzył czołem w łóżko, czując, jak niżej jego wzwód walczy o wolność.

– Siostra kazała mi tu przyjść – oznajmił. – Ja nie chciałem.

– Okej – odparła.

Wtarła mu olejek w ramiona. Pachniał migdałami i drzewem sandałowym. Musiał zawierać mentol, lawendę albo coś w tym rodzaju, bo Charlie poczuł lekkie mrowienie skóry. Każde miejsce, którego dotknęła, bolało. Jakby dzień wcześniej wykopał rów do Ekwadoru albo przeciągnął na linie barękę przez całą zatokę. Zdawało się, że kobieta w niezwykle sposób wyczuwa dokładnie te miejsca, w których nosił swój ból, i uwalniała go dotykiem. Jęknął.

– Bardzo napięty – powiedziała, wędrując palcami w stronę jego szyi.

– Od dwóch tygodni się nie wyspałem – oznajmił. – To miło. – Sięgnęła

głębiej, by wymasować mu klatkę piersiową, i poczuł na plecach jej małe piersi.

Wstrzymał na chwilę oddech, a ona zachichotała.

– Bardzo napięty – powtórzyła.

– Coś mi się przydarzyło w pracy. No, nie w pracy, ale obawiam się, że zrobiłem coś, co narazi na niebezpieczeństwo wszystkich, których znam. Nie umiem się zmusić i zrobić co należy, żeby to naprawić. Mogą przez to zginąć ludzie.

– To miło – odparła Kwiat Lotosu, ugniatając mu bicepsy.

– Nie mówisz po angielsku, co?

– O. Trochę. Spokojnie. Chce szczęśliwy koniec? Charlie uśmiechnął się.

– Możesz po prostu masować?

– Nie chce szczęśliwy koniec? Okej. Dwadzieścia dolar, piętnaście minut.

A zatem jej zapłacił i rozmawiał z nią, a ona masowała mu plecy, i zapłacił znowu, po czym powiedział jej wszystko, czym nie mógł się podzielić z innymi: o swoich zmartwieniach, lękach i żalach. Powiedział, jak tęskni za Rachel, a jednak czasami zapomina jak wyglądała i pędzi w środku nocy do komody, by popatrzeć na jej zdjęcie. Zapłacił za dwie godziny z góry i zasnął, czując jej dłonie na skórze. Śnił o Rachel i o seksie, a gdy się obudził, Kwiat Lotosu pocierała jego skronie, a łzy spływały mu do uszu. Powiedział jej, że wszystko przez ten mentol w olejku, ale to była wzbierająca w nim samotność, podobna do bólu w plecach – nie wiedział, że jest, dopóki ktoś go tam nie dotknął.

Masowała mu klatkę piersiową, sięgając ponad jego głowę i dotykając piersiami jego twarzy, a kiedy pod ręcznikiem znowu mu stanął, spytała:

– Chce teraz szczęśliwy koniec?

– Nie – odparł. – Szczęśliwe zakończenia są takie hollywoodzkie.

Potem złapał ją za nadgarstki, usiadł, pocałował jej dłonie i podziękował. Dał jej sto dolarów napiwku.

Uśmiechnęła się, włożyła kimono i wyszła z kabiny.

Charlie ubrał się i opuścił Orientalny Salon Masażu, Relaksu i Szczęścia, obok którego przechodził tysiące razy, zawsze zastanawiając się, co znajduje się za czerwonymi drzwiami z szybą zaklejoną brązowym papierem. Teraz już wiedział: żałosna kupa samotnej frustracji, czyli Charlie Asher, dla którego nie będzie szczęśliwego końca.

\* \* \*

Dotarł na Broadway i ruszył pod górę, na North Beach. Znajdował się kilka przecznic od domu, gdy wyczuł za plecami czyjaś obecność. Odwrócił się, ale ujrzał tylko faceta, który kilkadziesiąt metrów dalej kupował gazetę z automatu. Przeszedł jeszcze kawałek i zobaczył tętniącą życiem ulicę przed sobą: turyści spacerowali i czekali na stoliki we włoskich restauracjach, naganiacze próbowali zaciągnąć ich do klubów ze striptizem, marynarze chodzili od baru do baru, młodzi gniewni palili papierosy przed księgarnią City Lights, wyglądając odlatowo i literacko przed kolejną poetycką dysputą w barze po drugiej stronie ulicy.

– Hej, żołnierzu! – rozległ się głos gdzieś z boku. Kobiety, łagodny i seksowny.

Odwrócił się i spojrzał w zaułek, który właśnie mijał. Ujrzał kobietę, skrytą w cieniu i opierającą się o ścianę. Miała na sobie opalizujący trykot czy coś podobnego, a światło lampy rtęciowej z drugiej strony zaułka rysowało srebrzysty kontur jej sylwetki. Włosy zjeżyły mu się na karku, poczuł jednak dreszcz także w łędźwiach. To była jego dzielnica, a dziwki wołały do niego od kiedy miał dwanaście lat, ale pierwszy raz w życiu przystanął, nie ograniczając się do uśmiechu i pomachania ręką.

– Hej – powiedział.

Poczuł zawroty głowy, jakby był pijany albo. naćpany – może wszystkie toksyny uwolniły się po długim masażu – i musiał podeprzeć się laską, by nie stracić równowagi.

Odeszła od ściany i światło padło na nią, wyławiając niezwykle krągłości. Charlie zdał sobie sprawę, że zgrzyta zębami, a jego prawe kolano zaczęło drgać. To nie było przechodzone ciało ćpunka. Może tancerka. Bogini.

– Czasami – odezwała się, przeciągając „s” – ostre rżnięcie w ciemnym zaułku to najlepsze lekarstwo dla strudzonego wojownika.

Rozejrzał się: grupa ludzi na następnej ulicy, facet czytający gazetę pod latarnią dwie ulice z tyłu. W zaułku nie było nikogo, kto mógłby go napaść.

– Ile? – spytał.

Nie pamiętał nawet, jak wygląda seks, ale jedyne, o czym mógł teraz myśleć, to ulga, ostre rżnięcie w ciemnym zaułku z tą... z tą boginią. Nie widział jej twarzy, tylko kontur kości policzkowych, które wyglądały wspaniale.

– Twoje miłe towarzystwo – odparła.

– Dlaczego ja? – spytał. Nie mógł się powstrzymać, tak kazała natura samca beta.

– Chodź, to się dowiesz – powiedziała. Zamknęła dłonie na swoich piersiach i osunęła się z powrotem na mur, opierając o niego jeden obcas. – Chodź.

Wszedł do zaułka i oparł łaskę o ścianę, po czym jedną dłonią chwycił jej uniesione kolano, drugą – pierś, i przyciągnął ją do pocałunku. W dotyku jej ubranie wydawało się aksamitem, usta były ciepłe i smakowały dziko, surowo, niczym dziczyzna albo wątróbka. Nawet nie wiedział, kiedy rozpięła mu dżinsy, poczuł tylko silną dłoń na swoim wzwiedzionym członku.

– A, mocne mięso – syknęła.

– Dziękuję, chodziłem do klubu fitness.

Ugryzła go w szyję, mocno, a on ścisnął jej biust i zaczął się poruszać w jej dłoni. Uniesioną nogą objęła go w pasie i przyciągnęła mocno do siebie. Poczował, że coś ostrego boleśnie wbija mu się w krocze i chciał się cofnąć. Przytrzymała go nogą. Była bardzo silna. Powiedziała:

– Nowe Mięso. Nie walcz ze mną, bo je urwę.

Charlie poczuł pazur na jądrach i oddech uwiązał mu w gardle. Jej twarz znalazła się o centymetry od jego twarzy i poszukał wzrokiem jej oczu, ale ujrzał tylko obsydianową czerń, odbijającą światło latarni.

Uniosła wolną dłoń przed jego twarz i widział, jak z czubków palców wyrastają pazury, w których światło połyskiwało jak w szcztokowanym chromie, aż osiągnęły długość siedmiu centymetrów. Przysunęła mu je do oczu, a on sięgnął po swoją łaskę z ukrytym ostrzem. Odtrąciła ją i pazury natychmiast znów znalazły się przy jego twarzy.

– O, nie, Mięso, nie tym razem. – Wsunęła mu pazur w nozdrze. – Mam ci go wbić w mózg? Tak by było najszybciej, ale ja nie chcę szybko. Długo na to czekałam.

Przestała naciskać na jego jądra, a on, ku swojemu przerażeniu, zorientował się, że wciąż ma erekcję. Zaczęła pocierać jego członek, wpychając mu szpon głębiej do nosa, by się nie ruszał.

– Wiem! Wiem! Kiedy już dojdiesz, wsunę ci go do ucha i pociągnę. Raz w ten sposób oderwałam facetowi pół głowy. Spodoba ci się. Masz szczęście, gdyby przysłano Nemain, już byś nie żył.

– Dziwka – zdołał powiedzieć Charlie.

Pocierała go coraz mocniej, a on przeklinał swoje ciało, które go zdradziło. Spróbował się wyrwać, a noga na plecach ścisnęła go tak mocno, że zaparło mu dech.

– Nie, najpierw dojdiesz, a potem cię zabiję.

Wyciągnęła pazur z jego nosa i przyłożyła mu go do ucha.

– Nie chcę odchodzić niezadowolona, Mięso – powiedziała, ale w tym



momencie pazur zaczepił o bok jego głowy.

Z całej siły uderzył ją w żebra obiema pięściami.

– Ożeż, ty chuju! – wrzasnęła.

Opuściła nogę, pociągnęła go w bok za penisa i odchyliła się, by chlasnąć go szponami w głowę. Charlie próbował unieść rękę, by się zasłonić, ale wtedy nastąpiła eksplozja i kawałek jej ramienia rozbryzwał się na ścianie, obracając ją dookoła.

Poczuł, że puszcza jego penisa, i rzucił się w przeciwny koniec zaułka. Odbiła się od ściany, celując pazurami obu rąk w jego twarz. Rozległ się kolejny wybuch i znowu odrzuciło ją w tył. Tym razem podniosła się odwrócona przodem do ulicy, ale zanim zdołała zebrać się do skoku, dwa następne strzały trafiły ją w pierś. Wrzasnęła tak, jakby tysiąc wściekłych kruków stanęło w ogniu.

Jeszcze pięć szybkich strzałów, przy każdym zataczała się w tył. Jednocześnie zmieniała się – jej ręce stawały się szersze, a ramiona płaskie. Jeszcze dwa strzały i kolejny wrzask w najmniejszym stopniu nie przypominał już ludzkiego głosu, tylko krakanie ogromnego kruka. Wzbiła się ku nocnemu niebu, rozrzucając pióra i tryskając ciecżą, która wyglądała jak krew, tyle że była czarna.

Charlie dzwignął się na nogi i chwiejnym krokiem wyszedł z zaułka. Inspektor Alphonse Rivera wciąż trwał w pozycji do strzału, mierząc w ciemne niebo z beretty kaliber 9 milimetrów.

– Czy w ogóle chcę wiedzieć, co to, kurwa, było?

– Raczej nie – odparł Charlie.

– Niech pan zawiąże sobie płaszcz wokół pasa – poradził gliniarz.

Charlie spojrzął w dół i zobaczył, że przód jego dżinsów wygląda jak pochlastany żyłką.

– Dzięki – powiedział.

– Wie pan – odezwał się znów Rivera – można było tego uniknąć, gdyby zdecydował się pan na szczęśliwy koniec, tak jak wszyscy.

**DOBRCZE CI BYŁO?**

Następnego ranka dziewczyna Jane, Cassie, usłyszała kroki w korytarzu i otworzyła drzwi. Stał za nimi Charlie, uwalany krwią, czarną breją i pachnący drewnem sandałowym oraz olejkiem migdałowym. Miał skaleczenie nad uchem, zakrzepłą krew w nosie i spodnie w strzępach, a w dodatku był oblepiony czarnymi piórami.

– Ojej, Charlie – powiedziała, lekko zaskoczona. – Zdaje się, że cię nie doceniłam. Kiedy postanowisz zaszaleć, to się nie obcyndalasz.

– Pysznic – rzekł Charlie.

– Tata! – zawołała ze swojego pokoju Sophie.

Przybiegła z szeroko rozłożonymi rękami, a za nią do pomieszczenia wpadły dwa ogromne psy i lesbijska ciotka w garniturze od Brooks Brothers. W połowie drogi dziewczynka ujrzała ojca i z piskiem zawróciła i uciekła z salonu.

Jane stanęła przy kanapie i wbiła w niego wzrok.

– Jezu, Chuck, coś ty zrobił? Próbowalesz wyruchać lamparta?

– Coś w tym rodzaju – odparł. Na chwiejnych nogach przeszedł obok niej i przez swoją sypialnię ruszył do łazienki.

Jane spojrzała na Cassandrę, która próbowała powstrzymać wybuch śmiechu.

– Chciałaś, żeby częściej wychodził.

– Powiesz mu o mamie? – spytała Jane.

– Myślałam, że powinien to usłyszeć od ciebie.

\* \* \*

Pistolety są do dupy, mówię wam – oznajmiła Babd, która jako ostatnia z trzech śmiercionośnych laleczek pojawiła się na Powierzchni. – Jasne, z dołu wyglądają super, ale z bliska... głośne, bezosobowe... zdecydowanie wolę topór albo nadziak.

– Nadziak? Lubię nadziewać – powiedziała Macha, która trzymała szpony we wnętrzu odciętej głowy Madison McKerny i poruszała jej ustami jak pacynką.

– To tylko twoja wina – ofuknęła ją Nemain. Trzymała jeden z silikonowych implantów Madison McKerny, wciąż uwalany krwią lalki do rżnięcia, i przyciskała go do ran Babd, by się zagoiły. Gdy czarne ciało regenerowało się, czerwony blask

implantu przygaszał. – Tracimy ich moc. I to po latach czekania na następną duszę.

Babd westchnęła.

– Z perspektywy czasu myślę, że z tym robieniem mu dobrze ręką to nie był najlepszy pomysł.

– Z tym robieniem mu dobrze ręką to nie był najlepszy pomysł – przedrzeźniała Babd pacynka Machy.

– Robiłam to na pobojuwiskach na Północy z dziesięć tysięcy razy – powiedziała Babd. – Ostatnie walenie konia umierającemu wojownikowi, przynajmniej tyle mogłam zrobić. Jestem w tym bardzo dobra, wiecie. Potrzeba szczególnego dotyku, żeby żołnierzowi stanął, kiedy flaki wypływają mu między rękami.

– Jest w tym dobra – potwierdził Orcus. – Mogę za to ręczyć. – Rozparł się na tronie, na dowód swojego entuzjazmu ukazując metrowe, bycze, śmiercionośne prącie.

– Nie teraz, dopiero nałożyłam szminkę – powiedziała Macha za pomocą głowy Madison McKerny, wypychając szponami jej oczy do przodu, by wydawało się, że martwa dziewczyna jest pod wrażeniem kolosalnej pały.

Wszyscy się roześmiali. Przez cały ranek zabawiła Orcusa i swoje siostry Morrigan tym lalkowym przedstawieniem, układając implanty na półce i poruszając nad nimi głową Madison. „Pewnie, że są prawdziwe, w końcu za nie zapłacił, nie?”.

Byli upojeni zwycięstwem, odkąd wyciągnęli naczynia duchowe z grobu lalki do rżnięcia. Sukces przyćmił niepowodzenie Babd, która nie zdołała zabić Handlarza Śmierci. Ale gdy światło implantów zaczęło zanikać, spochmurnieli. Nemain cisnęła bezużytecznym implantem o przegrodę statku. Pękł, obryzgując pomieszczenie przejrzystą breją.

– Co za strata – warknęła. – Zajmiemy Powierzchnię, a ja zjem mu wątrobę na jego oczach.

– Co ty masz z tymi wątrokami? – spytała Babd. – Nie cierpię wątróbki.

– Cierpliwości, księżniczki – powiedział Orcus, ważąc w łapie ocalały implant. – Przez tysiąc lat szykowaliśmy się do tej bitwy. Jeszcze trochę czasu na zebranie sił tylko osłodzi nam zwycięstwo. – Wziął głowę Madison i odgryzł kawałek, jakby to była dojrzała śliwka. – Chociaż naprawdę mogłaś sobie darować to walenie konia – powiedział, opluwając Babd kawałkami mózgu.

\* \* \*

– Załatwiłam nam lot do Phoenix na drugą – oznajmiła Jane. – Tam się przesiądziemy do pociągu i przed kolacją będziemy w Sedonie.

Charlie dopiero wyszedł spod prysznica i miał na sobie tylko czyste dżinsy. Wycierał włosy beżowym ręcznikiem, zostawiając na nim czerwone smugi, głowa bowiem wciąż mu krwawiła. Usiadł na łóżku.

– Zaraz, zaraz, zaraz. Od jak dawna wie?

– Zdiagnozowali ją pół roku temu. Są już przerzuty z okrężnicy na inne organy.

– I czekała aż do dziś, żeby nam powiedzieć?

– Nie powiedziała nam. Dzwonił facet o imieniu Buddy. Najwyraźniej mieszkają razem. Powiedział, że nie chciała nas martwić. Załamał się podczas naszej rozmowy.

– Mama mieszka z facetem? – Charlie wbił spojrzenie w czerwone paski na ręczniku. Nie spał całą noc, próbując wyjaśnić inspektorowi, co się wydarzyło w zaułku, nie mówiąc mu przy tym niczego. Był pokaleczony, poobijany, wyczerpany, a jego matka umierała. – Nie wierzę. Dostała szafu, kiedy Rachel wprowadziła się przed ślubem – powiedział.

– No tak, możesz nakrzyczeć na nią za hipokryzję, kiedy spotkacie się wieczorem.

– Nie mogę jechać, Jane. Mam sklep i Sophie. Jest za mała na coś takiego.

– Dzwoniłam do Raya i Lily, zajmą się sklepem. Cassandra popilnuje małej przez noc, a panie z bloku komunistycznego zaopiekują się nią, dopóki Cassie nie wróci z pracy.

– Cassie nie jedzie z tobą?

– Charlie, mama ciągle mówi o mnie jako o swojej chłopczycy.

– A, tak, wybacz. – Charlie westchnął. Tęsknił za czasami, gdy to Jane uchodziła w rodzinie za dziwną, a on był tym normalnym. – Spróbujesz ją z tym oswoić?

– Nie wiem. Tak naprawdę nie mam żadnego planu. Nie mam nawet pojęcia, czy wszystko kojarzy. Od kiedy się dowiedziałam, leciałam na autopilocie. Czekałam, aż wrócisz do domu, żebym się mogła rozsypać.

Charlie wstał, podszedł do siostry i ją objął.

– Świetnie się spisałaś. Wróciłam. Czego ci potrzeba?

Też go objęła, po czym otarła łzy.

– Muszę iść do domu i się spakować. W południe przyjadę taksówką i cię zabiorę, dobra?

– Będę gotowy. – Pokręcił głową. – Nie mogę uwierzyć, że mama mieszka z facetem.

– Z facetem o imieniu Buddy – dodała Jane.

– A to suka – powiedział.

Parsknęła śmiechem i właśnie o to mu chodziło.

\* \* \*

Lois Asher spała, gdy Charlie i Jane dotarli do jej domu w Sedonie. Wpuścił ich brzuchaty, opalony mężczyzna w bermudach i koszuli typu safari: Buddy. Usiadł z nimi przy kuchennym stole, po czym wyznał swoją miłość do ich matki, opowiedział o swoim życiu sprzed emerytury, gdy był mechanikiem lotniczym w Illinois, a potem zdał im relację z tego, co robili, od kiedy u Lois rozpoznano chorobę. Przeszła trzy cykle chemioterapii, a potem, chora i bezwłosa, poddała się. Charlie i Jane popatrzyli po sobie z poczuciem winy, że nie było ich przy niej.

– Nie chciała zawracać wam głowy – stwierdził Buddy. – Zachowywała się tak, jakby śmierć była czymś, co może załatwić w wolnym czasie, między wizytami u fryzjera.

Charlie nadstawił uszu. Kilka razy myślał o tym, gdy zbierał naczynia duchowe, widywał też ludzi, którzy tak dalece szli w zaparte wobec tego, co się z nimi działo, że wciąż kupowali kalendarze na pięć lat.

– Ech, kobiety. Co zrobić? – powiedział Buddy, puszcżając oko do Jane.

Nagle Charliego ogarnęła fala ciepłych uczuć wobec tego łysego, opalonego faceta, z którym jego mama żyła na kocią łapę.

– Dziękujemy, że byłeś przy niej, Buddy.

– Tak. – Jane skinęła głową. Wciąż wydawała się lekko oszołomiona.

– Będę tu, gdybyście mnie potrzebowali w tym całym kramie.

– Dzięki – powtórzył Charlie. – Pewnie będziemy.

Sprawa była ewidentna: Buddy będzie się trzymał tak długo, jak długo będzie się czuł potrzebny.

– Buddy – usłyszeli cichy, kobiecy głos.

Charlie odwrócił się i ujrzał odzianą w kitel, potężną kobietę po trzydziestce. Kolejna pracownica hospicjum, kolejna z niesamowitych kobiet, które widywał w domach umierających. Pomagały ludziom przenieść się na tamten świat z takim spokojem, godnością, a nawet radością, na jakie tylko mogli się zdobyć. Dobroduszne walkirie, akuszerki ostatniego światła. Obserwując je, Charlie

zauważył, że zamiast podchodzić do swojego zajęcia z dystansem lub bezduszością, angażowały się w sprawy każdego pacjenta i każdej rodziny. Były obecne. Widział, jak przeżywają żałobę z setką innych rodzin, uczestniczą w intensywnych uczuciach, których większość ludzi doświadczała ledwie kilka razy w życiu. Patrząc na nie przez lata, zaczął z większym szacunkiem traktować swoją rolę Handlarza Śmierci. Może i było to jego przekleństwo, ale ostatecznie nie chodziło o niego, lecz o służbę i transcendencję. Właśnie pracownicy hospicjów go tego nauczyły.

Na plakietce przypiętej do ubrania kobiety widniało imię Grace. Charlie uśmiechnął się.

– Buddy – powiedziała. – Obudziła się i pyta o ciebie.

Charlie wstał.

– Grace, jestem Charlie, syn Lois. To moja siostra Jane.

– O, ciągle o was mówi.

– Naprawdę? – spytała z lekkim zdziwieniem Jane.

– Tak. Mówi, że niezła była z ciebie chłopczyca – odparła Grace. – A ty – zwróciła się do Charliego – podobno byłeś miły, ale potem coś się stało.

– Nauczyłem się mówić – powiedział.

– Wtedy przestałam go lubić – stwierdziła Jane.

\* \* \*

Lois Asher siedziała oparta w gnieździe z poduszek. Miała doskonale dopasowaną siwą perukę, z takim uczesaniem, jakie zawsze nosiła, srebrny naszyjnik z indiańskimi motywami oraz odpowiednio dobrane kolczyki i pierścionki, jasnofioletową koszulę nocną z jedwabiu, która tak doskonale pasowała do południowo-zachodniego wystroju pomieszczenia, jakby Lois chciała wtopić się w tło. I tak było, tyle że miejsce, które przygotowała sobie w świecie, było nieco za duże na jej aktualne potrzeby. Między głową a peruką Lois była pusta przestrzeń, nocna koszula zwieszała się z ciała niemal pusta, a pierścionki pobrzękiwały na jej palcach. Charlie dobrze wiedział, że wcale nie spała, gdy przyjechali, tylko wysłała Buddy'ego z taką wymówką, by Grace zdążyła ją ubrać i przygotować na spotkanie z dziećmi.

Charlie zauważył, że indiański naszyjnik świeci czerwonym blaskiem na tle koszuli nocnej matki, i poczuł, jak w piersi wzbiera mu przeciągłe, smutne westchnienie. Przytulił ją i wymacał kości w jej plecach i ramionach, delikatne i

kruche niczym kości ptaka. Jane próbowała stłumić szloch, gdy tylko ujrzała matkę, w rezultacie wydając dźwięk, który przypominał pełne bólu parsknięcie. Opadła na kolana przy łóżku.

Charlie wiedział, że jest to zapewne najgłupsze pytanie, jakie można zadać umierającej, a jednak zapytał:

– Jak się masz, mamó?

Poklepała jego dłoń.

– Przydałby mi się koktajl z burbona. Buddy nie pozwala mi pić alkoholu, bo zawsze przesadzam. Poznaliście Buddy'ego?

– Sprawia wrażenie miłego faceta – stwierdziła Jane.

– O, jest miły. Był dla mnie bardzo dobry. Wiecie, jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Charlie posłał spojrzenie Jane, która uniosła brwi.

– W porządku, wiemy, że mieszkacie ze sobą – powiedział Charlie.

– Mieszkamy ze sobą? Ja? Za kogo mnie uważacie?

– Nieważne, mamó.

Kobieta machnęła ręką, jakby odganiała natrętą muchę.

– A jak ta twoja żydowska dziewczynka, Charlie?

– Sophie? Świetnie, mamó.

– Nie, to nie to.

– Co „nie to”?

– Nie nazywała się Sophie, tylko jakoś inaczej. Piękna dziewczyna, za dobra dla ciebie, prawdę mówiąc.

– Myślisz o Rachel, mamó. Zmarła pięć lat temu, pamiętasz?

– Trudno mieć do niej pretensje, prawda? Byłeś takim uroczym chłopcem, nie wiem, co się z tobą stało.

– Tak, mamó, byłem uroczy.

Lois popatrzyła na córkę.

– A ty, Jane? Znalazłaś sobie porządnego mężczyznę? Nie mogę znieść myśli, że jesteś sama.

– Ciągle szukam tego jedyne – odparła Jane, czyniąc w stronę Charliego ruch głową, który oznaczał „musimy wyjść i odbyć nadzwyczajną rozmowę”. Wypraktykowała go w obecności matki już w wieku ośmiu lat.

– Mamó, Jane i ja zaraz wrócimy. Możemy zadzwonić do Sophie i z nią pogadać?

– Kto to jest Sophie? – spytała Lois.

– To twoja wnuczka, mamó. Pamiętasz małą, śliczną Sophie?

– Nie gadaj głupstw, Charles, nie jestem na tyle stara, żeby zostać babcią.

Po wyjściu z sypialni Jane zaczęła szperać w torebce i wyjęła paczkę papierosów, ale nie mogła się zdecydować, czy zapalić, czy nie.

– Słodki Jezu, co tam się, kurwa, dzieje?!

– Jest pod wpływem morfiny. Czujesz ten ostry zapach? To jej gruczoły potowe próbują się pozbyć toksyn, które normalnie odfiltrowałyby nerki i wątroba. Jej organy zaczynają wysiadać, a to oznacza, że wiele toksyn trafia do mózgu.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Czytałem o tym. Słuchaj, nigdy nie miała pełnego kontaktu z rzeczywistością. Nienawidziła sklepu i nienawidziła pracy taty, chociaż z niej się utrzymywała. Nie znosiła, kiedy zbierał towar, chociaż sama nie była lepsza. A ten tekst, że Buddy tu nie mieszka... Próbuje pogodzić to, za kogo zawsze się miała, z tym, kim jest naprawdę.

– To dlatego ciągle mam ochotę jej przyłożyć? – spytała Jane. – To nie w porządku, prawda?

– No, wydaje mi się...

– Jestem okropna. Moja matka umiera na raka, a ja chcę jej przywalić.

Charlie położył rękę na ramieniu siostry i poprowadził ją w stronę drzwi, by mogła wyjść i zapalić.

– Nie bądź wobec siebie taka surowa – poprosił. – Robisz to samo. Próbujesz pogodzić wszystkie mamy, jakimi nasza mama była – tę, której chciałaś, tę, którą była, kiedy jej potrzebowałaś, a ona stała przy tobie, i tę która cię nie rozumiała. Większość z nas nie przechodzi przez życie jako jedna, kompletna osoba, która stawia czoło światu, jesteśmy całym zbiorowiskiem postaci. Kiedy ktoś umiera, scala się w duszę, esencję tego, kim jesteśmy, niezależną od masek, jakie nosimy w życiu. Nienawidzisz tych postaci, których zawsze nienawidziłaś, a kochasz te, które zawsze kochałaś. Siłą rzeczy coś takiego musi namieszać ci w głowie.

Jane przystanęła, po czym się cofnęła.

– Więc czemu nie miesza tobie?

– Nie wiem. Może dlatego że przeszedłem przez to z Rachel.

– Czyli uważasz, że jeśli ktoś tak nagle umiera, następuje cała ta historia z godzeniem różnych postaci?

– Nie wiem. Nie sądzę, że to świadomy proces. Może bardziej dla ciebie niż dla mamy. Wiesz, co mam na myśli? Czujesz się tak, jakbyś musiała wszystko poukładać, zanim odejdzie. To rodzi frustrację.

– A co się dzieje, jeśli przed śmiercią tego wszystkiego nie pogodzisz? Albo



jeśli ja nie pogodzę?

– Myślę, że dostajesz drugą szansę.

– Naprawdę? Jakaś reinkarnacja? A co z Jezusem i tak dalej?

– Sądzę, że istnieje wiele rzeczy, o których nie piszą w księdze. W żadnej z ksiąg.

– Skąd się to bierze? Nigdy nie miałam wrażenia, że jesteś uduchowiony. Nie chciałeś nawet chodzić ze mną na jogę.

– Nie chciałem chodzić na jogę, bo nie jestem gibki, a nie dlatego, że nie jestem uduchowiony.

Podeszli do drzwi, a kiedy Charlie je otworzył, wydały taki dźwięk, jak drzwi lodówki. Kiedy wyszli na ganek, zrozumiał dlaczego, od razu bowiem uderzył w nich czterdziestostopniowy skwar.

– Rany, czy przypadkiem otworzyłeś wrota piekieł? – spytała Jane. – Aż tak strasznie nie muszę zapalić. Do środka, do środka, do środka. – Wepchnęła go do domu i zamknęła drzwi. – To ohydne. Dlaczego ktoś chce mieszkać w takim klimacie?

– Nie łapię – powiedział Charlie. – Zaczęłaś znowu palić czy nie?

– Tak naprawdę nie – odparła. – Zapalę czasem jednego, kiedy jestem naprawdę zestresowana. To jak granie śmierci na nosie. Nigdy się tak nie czułeś?

– Jeszcze jak – odparł Charlie.

\* \* \*

Ponieważ Charlie i Jane byli na miejscu, odesłali pracownicę hospicjum do domu i czuwali przy Lois, zmieniając się co cztery godziny. Charlie podał matce lek, otarł jej usta, nakarmił niewielkimi kęsami, które była w stanie zjeść, choć teraz głównie piła małe łyeczki wody albo soku jabłkowego. Słuchał, jak narzekała na utratę urody, pamiętała bowiem, że była wielką piękną, królową balu na przyjęciach, zanim się urodził, obiektem pożądania – z pewnością kochała to bardziej niż rolę żony, matki czy każdą z dziesięciu innych masek, które w życiu nosiła. Czasami nawet zwracała uwagę na swojego syna...

– Kochałam cię jako małego chłopca. Prowadzałam cię do kafejek na North Beach i wszyscy świata poza tobą nie widzieli. Byłeś taki uroczy. Piękny. Oboje tacy byliśmy.

– Wiem.

– Pamiętasz, jak wysypywaliśmy wszystkie płatki z pudełek, żebyś mógł wyjąć

swoją promocyjną nagrodę? Małą łódź podwodną, zdaje się? Pamiętasz?

- Pamiętam, mamo.
- Byliśmy sobie bliscy.
- To prawda.

Charlie wziął ją za rękę i przypomniał jej wszystkie wspaniałe chwile, które razem przeżyli. Przez długi czas korygowali fakty i wspomnienia.

Kiedy się zmęczyła, pozwolił jej usnąć i czytał przy migoczącej lampie obok jej łóżka. Siedział tam w środku nocy i czytał powieść kryminalną, gdy drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł szczupły mężczyzna około pięćdziesiątki, przystanął przy drzwiach i rozejrzał się. Miał na sobie trampki i czarne dżinsy, a także czarną bawełnianą bluzę z długim rękawem, i gdyby nie duże okulary w drucianych oprawkach, wyglądałby jak komandos – brakowało mu tylko granatu ręcznego i noża.

- Tylko bądź cicho – powiedział Charlie półgłosem. – Ona śpi.

Niski mężczyzna skoczył na pół metra w powietrze, po czym przykucnął. Ciężko oddychał i Charlie bał się, że może zemdleć, jeśli się nie odpręży.

– W porządku. Jest w górnej szufladzie tamtej komody. To indiański naszyjnik. Weź go.

Tamten skrył się za drzwiami, po czym wyjrzał zza ich krawędzi.

- Widzisz mnie?
- Tak. – Charlie odłożył książkę, podniósł się z krzesła i podszedł do komody.
- Oj, to źle. Bardzo, bardzo źle.
- Wcale nie tak źle – odparł Charlie.

Niski mężczyzna potrząsnął głową.

- Nie, to źle. Odwróć się. Popatrz tam. Nie ma mnie. Nie ma mnie. Nie widzisz.

– Tu jest – oznajmił Charlie. Wyjął naszyjnik z aksamitnego pudełka w szufladzie i uniósł go.

- Co?
- To, czego szukasz.
- Skąd wiesz?
- Bo robisz to, co ja. Jestem Handlarzem Śmierci.
- Co takiego?

Wtedy Charlie przypomniał sobie, że to Minty Fresh wymyślił to określenie, możliwe więc, że znali je tylko Handlarze Śmierci w San Francisco.

- Zbieram naczynia duchowe.
- Nieprawda. Nie widzisz mnie. Nie widzisz. Śpij. Śpij. – Mężczyzna machał

rękami w górę i w dół, jakby rysował niewidzialną kurtynę albo sprzątał pajęczyny w pokoju.

– To nie są roboty, których szukacie – powiedział Charlie z uśmiechem.

– Co?

– Nie masz mocy Jedi, frajerze. Weź naszyjnik i już.

– Nie rozumiem.

– Chodź ze mną – powiedział Charlie. – I tak już pora, żeby posiedziała przy niej moja siostra. – Wyprowadził niskiego mężczyznę z pokoju matki do salonu. Stanęli przy oknie, spoglądając na słońce, które wznosiło się na niebie i rzucało cienie połamanych zębów na otaczające ich góry z czerwonej skały. – Jak się nazywasz?

– Vern. Vern Glover.

– Ja jestem Charlie. Ile jej zostało, Vern?

– Co masz na myśli?

– Ile w twoim kalendarzu. Ile dni?

– Skąd o tym wiesz?

– Mówiłem. Robię to samo, co ty. Widzę cię. Widzę, że naszyjnik świeci na czerwono. Wiem, kim jesteś.

– Nie możesz. *Bardzo wielka księga* mówi, że jeśli ze mną porozmawiasz, przyjdą straszliwe Siły Ciemności.

– Widzisz to skaleczenie nad moim uchem, Vern?

Vern skinął głową.

– Siły Ciemności. Pierdol je. Pierdol Siły Ciemności, Vern. Ile zostało mojej matce?

– To twoja matka? Przykro mi, Charlie. Ma jeszcze dwa dni.

– Dobra – powiedział Charlie i skinął głową. – W takim razie chodźmy zjeść pączka.

– Słucham?

– Pączka! Pączka! Chyba lubisz pączki, nie?

– Tak, ale dlaczego?

– Bo ciągłość ludzkiego istnienia zależy od wspólnego jedzenia pączków.

– Naprawdę? – Oczy Verna zrobiły się większe.

– Nie, nie naprawdę. Robię sobie jaja. – Charlie położył mu rękę na ramieniu. – Ale i tak zjedźmy po pączku. Obudzę siostrę, teraz jej dyżur.

\* \* \*

Charlie zadzwonił z komórki do domu, by się dowiedzieć, co u Sophie. Potem, zadowolony, że nic jej nie grozi, wrócił do budki Dunkin' Donuts, gdzie czekał na niego Vern z pączkiem. Vern zdjął czapkę i nad wielkimi okularami widniała teraz potargana, siwa czupryna, z którą wyglądał jak opalony, żyłasty szalony naukowiec.

– Czyli była naprawdę seksowna?

– Nie uwierzyłbyś. Mówię ci, boskie ciało. Pokryte bardzo drobnymi piórami, miękkimi jak puch.

Charlie instynktownie rozpoznał innego samca beta, tak jak wcześniej rozpoznał innego Handlarza Śmierci, więc nie mógł się powstrzymać i opowiedział swoją przygodę z atrakcyjną harpią z kanałów, wiedząc, że znalazł wdzięcznego słuchacza.

– Ale chciała wbić ci swój szpon w mózg, tak?

– Tak powiedziała, ale wiesz co, myślę, że była w tym jakaś chemia.

– A nie sądzisz, że po prostu trzymała wtedy twojego fiuta, bo wiesz, u facetów może to trochę przyćmić ogląd rzeczywistości.

– Tak, to też, ale jednak weź pod uwagę, że ze wszystkich Handlarzy Śmierci we wszystkich miastach na Ziemi wybrała właśnie mnie do tego przedśmiertnego walenia konia. Myślę, że coś do mnie czuła.

– No, mieszkasz w Mieście Dwóch Mostów – powiedział Vern, ścierając kawałek lukru z kącika ust. – Właśnie tam powinno się to zdarzyć.

– Gdzie i co powinno się zdarzyć? – Charliemu naprawdę podobała się rola starszego Handlarza Śmierci, z pozycji nestora traktującego Verna, który zaczął zbierać dusze raptem pół roku temu. Teraz jednak był w kropce.

– W *Bardzo wielkiej księdze Śmierci* napisali, że nie możemy rozmawiać o naszym zajęciu ani szukać się nawzajem, bo wtedy Siły Ciemności powstaną w Mieście Dwóch Mostów, wybuchnie wielka bitwa i Zaświaty zagarną całą Ziemię, jeśli przegramy. W San Francisco macie dwa mosty, prawda?

Charlie usiłował ukryć zaskoczenie. Vern miał najwyraźniej inną wersję *Bardzo wielkiej księgi* niż ta, którą dostawali Handlarze w San Francisco.

– No, dwa najważniejsze, tak. Wybacz, minęło wiele czasu, odkąd czytałem księgę. Przypomnij mi, czemu Dwa Mosty są takie ważne?

Vern spojrzał na niego i wzruszył ramionami.

– Bo tam przejmie władzę nowy Luminatus, Wielka Śmierć.

– A, tak, jasne, Luminatus. – Charlie klepnął się w bok głowy. Nie miał pojęcia,

o czym tamten mówi.

– Myślisz, że nie będą nas już potrzebować, kiedy Wielka Śmierć przejmie władzę? – spytał Vern. – Znaczą, będą zwolnienia? Bo *Bardzo wielka księga* mówi o tym tak, jakby przyjscie Luminatusa było dobre. Ale ja zarabiam kupę forsy, od kiedy dostałem tę fuchę.

Faktycznie, to będzie nasz problem, zwolnienia, pomyślał Charlie.

– Myślę, że nic nam nie grozi. Jak mówi księga, to brudna robota, ale ktoś musi ją wykonywać.

– Racja, racja. Czyli ten gliniarz, który strzelał do tej bogini seksu, nic nie zrobił?

– Nie, nie do końca. Najpierw wsadził mnie do swojego samochodu i chciał ze mnie wyciągnąć, co się właściwie działo, kiedy tam przyszedł, i co się działo przez te parę lat, kiedy mnie śledził.

– I co mu powiedziałaś?

– Że dla mnie to taka sama tajemnica, jak dla niego.

– I uwierzył?

– Nie. Ale uwierzył, że jeśli powiem mu więcej, to będzie gorzej, więc wymyśliliśmy historyjkę, która uzasadniała użycie broni. Jakiś facet strzelił z pistoletu do mnie, a potem do niego. Rysopis i w ogóle. A kiedy wszystko mieliśmy ustalone, zabrał mnie na komisariat i spisaliśmy moje zeznanie.

– I już cię wypuścił?

– Nie, potem opowiadał mi historie o swojej karierze i dziwnych zjawiskach, na jakie się natknął, i dodał, że z tego powodu zamierza mnie wypuścić. Facet to przypadek kliniczny. Wierzy w wampiry, demony i olbrzymie sowy. Mówił, że kiedyś zajmował się wezwaniem w sprawie ataku niedźwiedzia polarnego w Santa Barbara.

– No, no – powiedział Vern. – Wywinąłeś się.

– Zadzwoiłem do niego przed wyjazdem z miasta. Ma obserwować mój dom, dopóki nie wrócę, sprawdzi, czy u mojej córki wszystko w porządku. – Charlie nie powiedział Vernowi o piekielnych ogarach.

– Pewnie strasznie się o nią martwisz – stwierdził Vern. – Też mam córkę, chodzi już do szkoły średniej. Mieszka z moją byłą żoną w Phoenix.

– Tak, no to wiesz, jak to jest – powiedział Charlie. – Więc nigdy nie widziałeś tych mrocznych istot? Nie słyszałeś głosów z kanałów? Nic takiego?

– Nie. Nie tak, jak o tym opowiadasz. W Sedonie nie ma odpływów kanalizacyjnych. Mamy pustynię, przez którą płyną rzeki.

– Aha, ale czy zdarzyło się kiedyś, że nie wzięłeś naczynia duchowego?

– Tak, na początku, kiedy dostałem *Bardzo wielką księgę*, myślałem, że to żart. Nie ruszyłem trzech albo czterech naczyń.

– I nic się nie stało?

– No, nie powiedziałbym. Budziłem się wcześniej, patrzyłem na górę nad swoim domem i widziałem cień. Wyglądał jak wielka plama oleju.

– Co w tym dziwnego?

– To, że znajdował się po niewłaściwej stronie góry. Po tej samej, co słońce. A w ciągu dnia przesuwiał się w dół zbocza. Jeśli nie patrzyło się prosto na niego, nie było go widać. Obniżał się nad miasto, godzina po godzinie. Pojechałem tam, dokąd zmierzał, i czekałem.

– I co?

– Było słycać krakanie. Czekałem, aż cień się oddali. Poruszał się tak wolno, że ledwie go było widać, ale stawał się głośniejszy, niczym wielkie stado wron. Wystraszyłem się jak nie wiem co. Pojechałem do domu, sprawdziłem nazwisko, które zapisałem w nocy. Mieszkali w tej samej dzielnicy, w której wcześniej byłem. Cień schodził z góry po naczynie duchowe.

– I co? Wziął je?

– Chyba tak. Ja nie wzięłem.

– I nic się nie stało?

– A tak, coś się stało. Następnym razem cień poruszał się szybciej, jak gnana wiatrem chmura. Ruszyłem za nim i oczywiście okazało się, że zmierzał prosto do domu kobiety, której nazwisko znalazło się w moim kalendarzu. Właśnie wtedy zrozumiałem, że *Bardzo wielka księga* to nie brednie.

– Ale ten cień nigdy przyszedł po ciebie?

– Za trzecim razem – odparł Vern.

– To był i trzeci raz?

– Tak. A może ty na początku nie myślałeś, że to wszystko stek bzdur?

– Dobra, słusznie – przyznał Charlie. – Przepraszam. Mów dalej.

– Za trzecim razem cień zniżał się z góry po drugiej stronie miasta, w nocy, podczas pełni. Tym razem było widać latające w nim wrony. To znaczy nie było ich tak wyraźnie widać, to były raczej cienie. Wtedy niektórzy je zauważyli. Znow wsiadłem do samochodu, wzięłem swojego psa Scottiego. Już wiedziałem, dokąd to coś zmierza. Zatrzymałem się niedaleko domu tego faceta, żeby go ostrzec. Nie wiedziałem jeszcze, że według księgi inni nas nie widzą, inaczej poszedłbym po prostu po to naczynie duchowe. Tak czy owak, stanąłem przed drzwiami, a cień

zbliżał się przez ulicę. Jego krawędzie wyglądały jak kruki. Scottie zaczął szczekać jak szalony i rzucił się na to coś. Dzielny piesek. Ale kiedy cień go dotknął, Scottie zawył i padł martwy. Tymczasem jakaś kobieta otworzyła drzwi. Zająrzałem do środka i zobaczyłem statuetkę, jakiegoś podrobionego Remingtona z brązu, na stoliku w przedpokoju za nią. Wyraźnie świeciła na czerwono. Minałem tę kobietę i wziąłem statuetkę. Wtedy cień wyparował. Tak po prostu, zniknął. Wtedy ostatni raz spóźniłem się po naczynie duchowe.

– Współczuję z powodu psa – powiedział Charlie. – Co powiedziałaś tej kobiecie?

– I to jest właśnie zabawne. Nic jej nie powiedziałem. Ona powiedziała coś do męża w pokoju obok, a on się nie odezwał, więc pobiegła sprawdzić, co mu się stało. Nawet na mnie nie spojrzała. Okazało się, że facet miał atak serca. Zabrałem statuetkę, wróciłem po ciało Scottiego i odjechałem.

– Musiało być ciężko.

– Przez jakiś czas myślałem, że jestem Śmiercią, wiesz, kimś szczególnym. Bo facet wykitował przy mnie, ale okazało się, że to tylko zbieg okoliczności.

– Tak, mnie też się to przydarzyło – odparł Charlie. Cały czas jednak niepokoiła go sprawa „wielkiej bitwy”. – Vern, mógłbym zerknąć na twój egzemplarz *Bardzo wielkiej księgi*?

– Raczej nie. Prawdę mówiąc, myślę, że powinniśmy się już pożegnać. To znaczy, jeśli *Bardzo wielka księga* mówi prawdę, a nie mam powodu uważać, że jest inaczej, to nie powinniśmy nawet rozmawiać.

– Ale ja mam inną wersję.

– Nie sądzisz, że istnieje jakiś powód? – spytał Vern. Z oczami powiększonymi przez grube okulary wyglądał przez chwilę jak szaleniec.

– No dobra – powiedział Charlie. – Ale napisz do mnie mejla, dobra? To nie powinno zaszkodzić.

Vern spojrział w zamyśleniu do swojego kubka z kawą, zupełnie jakby opowiadając historię spływającego z góry cienia przestraszył sam siebie. W końcu podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Wiesz, to by mi się podobało. Przyda mi się parę wskazówek. A jeśli zacznie się dziać coś dziwnego, to przestaniemy.

– Zgoda – powiedział Charlie.

Odprowadził Verna do samochodu zaparkowanego za rogiem domu jego matki i tam się pożegnali.

\* \* \*

Jane czekała na niego przy drzwiach.

– Gdzie się podziewałeś? Potrzebuję samochodu, żeby kupić jej nić.

– Przyniosłem pączki – oznajmił Charlie, chyba z przesadną dumą.

– Ale to nie to samo, prawda?

– Jaką nić?

– Dentystyczną. Uwierzysz? Słuchaj, jeśli na łożu śmierci będę jeszcze używała nici dentystycznej, możesz mnie nią udusić. Masz moje pozwolenie. A nawet polecenie.

– Dobra – odparł. – A poza tym wszystko u niej w porządku?

Jane poszperała w torebce, znalazła papierosy i zaczęła szukać zapalniczki.

– Jakby choroba dziąseł stanowiła w tym momencie zagrożenie. Cholera jasna! Zabrali mi zapalniczkę na lotnisku?

– Nadal nie palisz, Jane – powiedział. Uniosła wzrok.

– O co ci chodzi?

– O nic. – Podał jej kluczyki do samochodu z wypożyczalni. – Możesz mi przy okazji kupić pastę do zębów?

Zaprzestała poszukiwań zapalniczki i wrzuciła papierosy z powrotem do torebki.

– Skąd w tej rodzinie obsesja na punkcie higieny jamy ustnej?

– Zapomniałem zabrać.

– Dobra. – Złapała kluczyki i wsunęła torebkę pod pachę. Przykucnęła i uniosła lustrzane okulary przeciwsłoneczne, które wraz z krótkimi, platynowymi włosami i czarnym, pasiastym garniturem Charliego nadawały jej wygląd cyborga-zabójcy z przyszłości, gotowego stawić czoło trującej atmosferze planety Duran Duran. – Upał jak skurwysyn, co?

Pokiwał głową i znów uniół pudełko z pączkami.

– Lukier się rozpuścił.

– A – powiedziała Jane, znowu unosząc okulary. – Dzwoniła Cassandra. Po twoim porannym telefonie zauważyła twój kalendarz na szafce nocnej. Właściwie powiedziała, że to Alvin i Mohammed ją tam zaciągnęły. Pomyślała, że może ten kalendarz jest ci potrzebny.

– Co z Sophie? Wszystko w porządku?

– Nie, porwali ją kosmici, ale najpierw chciałam ci przekazać złą wieść, że zapomniałeś kalendarza.



– Wiesz, właśnie dlatego mama się za ciebie wstydzi.

Roześmiała się.

– Wiesz co? Wcale nie.

– Nie?

– Nie. Dziś rano powiedziała, że zawsze wiedziała, kim jestem, i że zawsze mnie kochała.

– Wylegitymowałaś ją? W łóżku mamy leży oszustka!

– Zamknij się, to było miłe. I ważne.

– Pewnie mówi tak tylko dlatego, że umiera.

– Chociaż powiedziała, że byłoby lepiej, gdybym nie nosiła ciągle męskich garniturów.

– Nie jest osamotniona w tej opinii – stwierdził Charlie.

Jane znowu przełączyła się na tryb bojowy.

– Zaczynam operację „nić”. Zadzwoń do Cassandry.

– Dobra – zgodził się.

– A Buddy chce pączka. – Otworzyła drzwi na oścież i wybiegła w skwar, wrzeszcząc niczym wiking podczas natarcia.

Charlie zamknął za nią drzwi, by nie wypuszczać ochłodzonego klimatyzacją powietrza, i patrzył przez okno, jak siostra pędzi przez ogródek, jakby stała w płomieniach. Dalej ujrzał czerwone skalne wzgórze, wyrastające z pustyni. Najwyraźniej biegła przez nie szczelina, której wcześniej nie zauważył. Znowu spojrzął i stwierdził, że to wcale nie szczelina, tylko podłużny, ostry cień.

Wybiegł na podjazd i popatrzył na położenie słońca, a potem na cień. Padał po złej stronie wzgórza. Na tym zboczcu nie mogło być cienia, bo oświetlały go słoneczne promienie. Osłonił oczy i obserwował cień, aż wydało mu się, że w tym upale zaraz usmaży mu się mózg. Cień poruszał się, wolno, ale jednak, i to nie w sposób, w jaki zwykle poruszają się cienie. Zmierzał w wyraźnie określonym kierunku, na przekór słońcu, do domu jego matki.

– Mój kalendarz – powiedział Charlie. – Cholera.

## A TWOJA MAMA NIE ŻYJE

Ostatniego dnia Lois Asher się ożywiła. Po tym, jak przez trzy tygodnie nie mogła podejść do stołu na śniadanie ani iść do salonu, żeby pooglądać telewizję, teraz wstała i tańczyła z Buddym do starej piosenki Ink Spots. Była wesoła i roześmiana, żartowała z dzieci i je przytulała. Zjadła czekoladowo-ślazowy deser lodowy, po czym umyła zęby i użyła nici dentystycznej. Włożyła ulubioną srebrną biżuterię, a gdy nie mogła znaleźć indiańskiego naszyjnika, wzruszyła ramionami, jakby chodziło o drobiazg – widocznie gdzieś się zawieruszył. No, trudno.

Charlie wiedział, co się dzieje, bo spotkał się z tym już wcześniej, a Buddy'emu i Jane wyjaśniła to Grace, pielęgniarka z hospicjum.

– To się często zdarza. Widziałam ludzi, którzy wychodzili ze śpiączki i śpiewali ulubioną piosenkę, i jedyne, co mogę wam radzić, to się tym cieszyć. Ludzie widzą światło i pokładają w nim nadzieję. Nie jest to oznaka poprawy zdrowia, tylko okazja, by się pożegnać. To dar.

Charlie zaobserwował też, że radosna atmosfera udziela się wszystkim łatwiej, jeśli wezmą choć niewielką dawkę leków, więc zażyli z Jane pigułki przedwiekowe, które przepisał jej terapeuta, a Buddy łyknął szkocką morfinę o przedłużonym działaniu. Leki i przebaczenie mogą zapewnić wesołe chwile z umierającym. Zupełnie jakby wracało się do dzieciństwa. A ponieważ przyszłość się nie liczy – nie trzeba ich przygotowywać na życie, udzielać lekcji, kłaść w głowę przydatnych mądrości – to z tych ostatnich chwil można czerpać całą radość i zachować ją w sercu. Była to najlepsza i najcudowniejsza chwila, jaką Charlie kiedykolwiek przeżył ze swoją matką, i z siostrą, i z Buddym, który przez te wspólne emocje też stał się dla nich rodziną.

Lois Asher położyła się do łóżka o dziewiątej i zmarła o północy.

\* \* \*

– Nie mogę zostać na pogrzebie – oznajmił Charlie siostrze następnego ranka.

– Jak to nie możesz zostać na pogrzebie?

Wyjrzał przez okno na wielki cień, który podążał w dół zbocza w stronę domu jego matki. Widział, że krawędzie wibrują, jakby to było stado ptaków czy rój

owadów. Wierzchołek cienia znajdował się najwyżej osiemset metrów od niego.

– Mam coś do zrobienia w domu, Jane. Zapomniałem o tym i naprawdę nie mogę zostać.

– Nie bądź taki tajemniczy. Co, do cholery, musisz zrobić, że nie możesz iść na pogrzeb własnej matki?

Charlie wyteżał swoją wyobraźnię samca beta, próbując na poczekaniu wymyślić jakąś wiarygodną wymówkę. I wtedy w jego głowie zapaliła się lampka.

– Pamiętasz tę noc, kiedy mnie wysłałaś, żebym się z kimś przespał?

– Tak?

– No, to była przygoda, bez dwóch zdań. Ale kiedy poszedłem na szycie głowy, zrobili mi też badanie. Dzisiaj rozmawiałem z doktorem i muszę się poddać leczeniu. Natychmiast.

– Ty kretynie, nie namawiałam cię na niebezpieczny seks. Co ci odbiło?

– To był bezpieczny seks. – Ta, jasne, dodał w myślach, omal nie parszcząc śmiechem. – Lekarzy niepokoją skaleczenia. Ale jeśli szybko wezmę te lekarstwa, istnieje spora szansa, że nic mi nie będzie.

– Dadzą ci jakąś miksturę? Tak prewencyjnie?

Jasne, no właśnie, miksturę! – pomyślał. Z powagą pokiwał głową.

– No dobra, w takim razie jedź.

– Może zdążę wrócić na pogrzeb – powiedział. Czy to możliwe? W parę dni musiał znaleźć dwa naczynia duchowe i liczyć, że w kalendarzu nie pojawiły się nowe nazwiska.

– Zrobimy to za tydzień – zaproponowała Jane, odwracając się do niego plecami i ocierając łzy. – Jedź do domu, wykuruj się i wracaj. Buddy i ja wszystko połatwimy.

– Przepraszam – powiedział i objął siostrę.

– Tylko ty też mi nie umrzyj, palancie – rzuciła.

– Nic mi nie będzie. Wrócę, kiedy się tylko da.

– Przywieź tę grafitową marynarkę od Armaniego, włożę ją na pogrzeb. I weź czarne czółenka z klamerką od Cassie, dobrze?

– Ty? W czarnych czółenkach?

– Mama by sobie tego życzyła – odparła Jane.

\* \* \*

Kiedy Charlie wylądował w San Francisco, odsłuchał w komórce cztery

alarmujące wiadomości od Cassandry. Zawsze wydawała się taka spokojna, poukładana – stanowiła stabilną przeciwwagę dla napadów fantazji jego siostry. Przez telefon wydawała się istnym wrakiem człowieka.

– Charlie, uwięziła go i chcą go zjeść, a ja nie wiem co robić. Nie chcę dzwonić na policję. Odezwij się, jak wylądujesz.

Charlie dzwonił z lotniskowego mikrobusu przez całą drogę do miasta, ale ciągle przełączało go na pocztę głosową. Kiedy wysiadł z mikrobusu przed swoim sklepem, usłyszał syczenie ze studzienki na rogu.

– Szkoda, że nie skończyliśmy, kochanku – wysyczał głos.

– Nie mam czasu – odparł Charlie, przeskakując nad krawężnikiem i wbiegając do sklepu.

– Nawet nie zadzwoniłeś – wymruczała Morrigan.

Ray siedział za ladą i klikał na jakieś azjatyckie ślicznotki na ekranie komputera, gdy Charlie wparował do środka.

– Lepiej idź na górę – poradził Ray. – Tam odchodzi jakieś szaleństwo.

– Nie mów – powiedział Charlie, nie zatrzymując się. Wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Usiłował wsunąć klucz do zamka, gdy Cassandra otworzyła drzwi na oścież i wciągnęła go do mieszkania.

– Nie chce go puścić. Boję się, że go zjedzą.

– Kto? Co? To samo nagrałaś mi na pocztę. Gdzie Sophie?

Cassie pociągnęła go do pokoju Sophie, a tam w drzwiach powitał go warczący Mohammed.

– Tata! – krzyknęła mała. Przebiegła przez pokój i rzuciła mu się w ramiona. Mocno go wyściskała i czule pocałowała w policzek, zostawiając na nim czekoladowy odcisk ust. – Postaw mnie – poprosiła. – Postaw, postaw.

Charlie postawił ją na podłodze i Sophie wbiegła z powrotem do swojego pokoju, ale Mohammed nie pozwolił Charliemu wejść tam za nią. Wepchnął nos w jego koszulę, zostawiając czekoladowy odcisk wielkiego psiego nosa. Najwyraźniej pod nieobecność Charliego odbyła się tu czekoladowa orgia.

– Jego matka ma go odebrać o pierwszej – powiedziała Cassandra. – Nie wiem co robić.

Charlie wychylił się i zobaczył Sophie trzymającą rękę na obroży Alvina, który straszył małego chłopca, skulonego w kącie. Chłopiec miał szeroko otwarte oczy, ale najwyraźniej nie spotkała go żadna krzywda, zresztą wcale nie wydawał się taki przerażony. Trzymał pudełko Chrupkich Serowych Jaszczurek. Zjadał jedną, a

potem drugą dawał Alwinowi, który ociekał piekielną psią śliną na buty malca, czekając na kolejny kasek.

– Kocham go – powiedziała Sophie. Podeszła do chłopca i pocałowała go w policzek, zostawiając smugę czekolady. Zresztą nie pierwszą. Wyglądało na to, że malec już od dłuższego czasu znosi umizgi Sophie, był bowiem pokryty czekoladą i pomarańczowymi okruchami Serowych Jaszczurek. – Chcę go zatrzymać.

Chłopiec się uśmiechnął.

– Przyszedł się pobawić. Pewnie ustaliłeś to przed wyjazdem – wyjaśniła Cassandra. – Myślałam, że wszystko będzie w porządku. Próbowałam go stamtąd zabrać, ale psy nie chciały mnie wpuścić. Kiedy powiem jego matce?

– Chcę go zatrzymać. – I głośny całus.

– Ma na imię Matthew – powiedziała Cassie.

– Znam jego imię. Chodzi z Sophie do szkoły.

Charlie ruszył do pokoju. Mohammed zablokował drzwi.

– Matty, wszystko gra? – spytał Charlie.

– Mhm – powiedział umazany czekoladą, chrupkami i psią śliną dzieciak.

– Chcę, żeby został, tato – oznajmiła Sophie. – Alvin i Mohammed też tego chcą.

Pomyślał, że może nie był dość konsekwentny w wyznaczaniu granic swojej córce. Po tym, jak straciła matkę, nie miał serca, by mówić jej „nie”. A teraz brała zakładników.

– Kochanie, Matty’ego trzeba umyć. Niedługo przyjdzie po niego mama, żeby mógł się stresować we własnym domu.

– Nie! Jest mój.

– Skarbie, powiedz Mohammedowi, żeby mnie wpuścił. Jeśli nie umyjemy Matty’ego, nie będzie mógł wrócić.

– Może spać w twoim pokoju – odparła Sophie. – Zaopiekuję się nim.

– Nie, młoda damo, powiedz Mohammedowi, żeby...

– Muszę zrobić siusiu – powiedział Matthew. Wstał i przemaszerował obok Alvina, który ruszył za nim, później przeszedł pod Mohammedem i, minawszy Charliego i Cassandrę, zniknął w łazience. – Cześć – rzucił po drodze. Zamknął drzwi i usłyszeli dzwoneczek.

Alvin i Mohammed przepchnęły się przez drzwi i czekały pod łazienką.

Sophie usiadła ciężko, rozrzucając nogi, z dolną wargą wysuniętą na podobieństwo pługu w lokomotywie. Jej ramiona zaczęły drżeć, potem Charlie usłyszał pociągnięcie nosem, jakby oszczędzała oddech. Po chwili rozległ się

szloch i popłynęły łzy. Charlie podszedł do niej i wziął ją na ręce.

– Ja... ja... ja... ja... on... on... on... on...

– W porządku, kochanie. W porządku.

– Ale ja go kocham.

– Wiem, skarbie. Wszystko będzie dobrze. Pójdzie do swojego domu, a ty go możesz dalej kochać.

– Niiieeeeeeeeeeeeeeeeeee...

Wcisnęła buzię w jego marynarkę. Choć krajało mu się serce, myślał też o tym, ile Trójpalczasty Wu zażyczy sobie za usunięcie z marynarki plam z czekolady.

– Pozwoliły mu iść siusiu – powiedziała Cassandra, wlepiając wzrok w piekielne ogary. – Tak po prostu. Myślałam, że go zjedzą. Nie pozwalały mi do niego podejść.

– W porządku – odparł Charlie. – Nie wiedziałaś.

– Czego nie wiedziałam?

– Że uwielbiają Chrupkie Serowe Jaszczurki.

– Żartujesz?

– Przepraszam. Słuchaj, Cassie, możesz się tym zająć, umyć Sophie i Matty’ego? Mam pewne pilne sprawy do załatwienia.

– Jasne, ale...

– Sophie da sobie radę. Prawda, skarbie?

Sophie pokiwała ze smutkiem główką i wytarła oczy w jego płaszcz.

– Tęskniłam za tobą, tato.

– Ja za tobą też, moja słodka. Wieczorem wrócę do domu.

Pocałował ją, wziął kalendarz z sypialni i zaczął biegać po mieszkaniu, szukając kluczyków, laski i torby.

– Dzięki, Cassie. Nie masz pojęcia, jaki ci jestem wdzięczny.

– Przykro mi z powodu twojej matki – powiedziała Cassandra, gdy przechodził.

– Tak, dzięki – odparł, w biegu sprawdzając ostrze miecza w lasce. – Dobra, muszę też pożyczyć twoje czarne czółenka z klamerkami – oznajmił, zmierzając ku drzwiom.

– Chyba wyraziłam się jasno! – zawołała za nim Cassie.

\* \* \*

Ray zatrzymał Charliego u stóp schodów.

– Masz minutkę, szefie?

– Nie bardzo, Ray. Spieszę się.

– Chciałem tylko przeprosić.

– Za co?

– No, teraz wydaje się to głupie, ale tak jakby podejrzewałem cię, że jesteś seryjnym zabójcą.

Charlie pokiwał głową, jakby rozmyślał o poważnych konsekwencjach tego wyznania, podczas gdy w istocie próbował sobie przypomnieć, czy zatankował samochód.

– Dobra, Ray, przyjmuję przeprosiny i przykro mi, że wywołałem w tobie takie wrażenie.

– Chyba przez te wszystkie lata w policji stałem się podejrzliwy, ale przyszedł inspektor Rivera i trochę mi wytłumaczył.

– Naprawdę? A co dokładnie powiedział?

– Że badasz dla niego pewne sprawy, chodzisz do miejsc, gdzie on nie mógłby wejść bez nakazu, i tak dalej. Że obaj mielibyście spore kłopoty, gdyby ktoś się dowiedział, ale że dzięki temu przymykacie przestępców. Powiedział, że dlatego jesteś taki tajemniczy.

– Tak – odparł z powagą Charlie. – W wolnym czasie walczę z przestępczością, Ray. Przykro mi, że nie mogłem ci powiedzieć.

– Rozumiem – powiedział Ray, cofając się od schodów. – Jeszcze raz przepraszam. Czuję się jak zdrajca.

– W porządku, Ray. Ale naprawdę muszę już iść. Wiesz, walczyć z Siłami Ciemności i w ogóle. – Uniósł laskę, jakby to był miecz i jakby ruszał z nim do boju, co o dziwo odpowiadało prawdzie.

\* \* \*

Charlie miał sześć dni na odnalezienie trzech naczyń duchowych, jeśli chciał zdążyć przed powrotem do Arizony na pogrzeb matki. Z dwoma z nich – nazwiskami, które pojawiły się w kalendarzu wraz z Madison McKerny – miał już duże opóźnienie. Ostatnie zaś pojawiło się zaledwie kilka dni temu, kiedy przebywał w Arizonie – a jednak było to wyraźnie jego własne, odręczne pismo. Zawsze sądził, że w jakiś sposób pisze przez sen, ale to, co teraz zobaczył, zupełnie zmieniało postać rzeczy. Postanowił, że wpadnie z tego powodu w przerażenie, gdy tylko będzie miał trochę czasu.

Tymczasem przez niemal śmiercionośną masturbację i całą sprawę ze śmiercią

mamy, nie dokonał nawet wstępnych poszukiwań dwóch pierwszych osób, które nazywały się Esther Johnson i Irena Posokovanovich. W obu przypadkach data zabrania naczynia już minęła, w jednym aż trzy dni temu. Co będzie, jeśli harpie z kanałów dotarły tam przed nim? Stały się już bardzo silne i wołał nawet nie myśleć, do czego będą zdolne, jeśli dorwą kolejną duszę. Zastanawiał się nad telefonem do Rivery, by go osłaniał, kiedy Charlie wejdzie do domu. Ale co miał mu powiedzieć? Ten gliniarz o ostrych rysach wiedział, że dzieje się coś nadnaturalnego, i uwierzył Charliemu na słowo, że stoi po stronie dobra (nie było mu trudno uwierzyć, skoro widział, jak harpia z kanałów wtyka mu w nozdrze siedmiocentymetrowy pazur, a potem przeżywa trzy postrzały w korpus nabojami kalibru 9 milimetrów i odlatuje w siną dal).

Charlie jechał bez konkretnego celu, kierując się ku Pacific Heights tylko dlatego, że w tę stronę panował mniejszy ruch. Podjechał do krawężnika i zadzwonił do biura numerów.

– Potrzebuję numeru i adresu niejakiej Esther Johnson.

– Nie mam Esther Johnson, proszę pana, ale trzy razy powtarza się E. Johnson.

– Może mi pani podać adres?

Podawała mu dane dwóch osób, które miały adresy. Głos z taśmy zaproponował wykrecić za niego numer za dodatkową opłatą w wysokości pięćdziesięciu centów.

– Tak, a ile czasu się tam jedzie? – spytał Charlie komputerowego głosu. Potem zadzwonił do osoby bez adresu.

– Dzień dobry, czy mogę rozmawiać z Esther Johnson? – spytał pogodnym tonem.

– Nie ma tu żadnej Esther Johnson – odparł męski głos. – Obawiam się, że ma pan zły numer.

– Chwileczkę. Czy do niedawna, powiedzmy trzy dni temu, mieszkała tam Esther Johnson? – spytał Charlie. – Znalazłem w książce telefonicznej nazwisko E. Johnson.

– To ja – wyjaśnił mężczyzna. – Nazywam się Ed Johnson.

– Przepraszam, panie Johnson.

Rozłączył się i wybrał kolejny numer.

– Halo – rozległ się kobiecy głos.

– Dzień dobry, czy mógłbym rozmawiać z Esther Johnson?

Głęboki wdech.

– A kto mówi?

Posłużył się fortelem, który już wiele razy zdał egzamin.



– Mówi Charlie Asher z Komisu Ashera. Trafiło do nas trochę rzeczy sygnowanych nazwiskiem Esther Johnson i chcemy się upewnić, czy nie są kradzione.

– Przykro mi, ale ciotka zmarła trzy dni temu.

– Bingo! – wykrzyknął Charlie.

– Słucham?

– Przepraszam – odparł. – Mój wspólnik gra w loterię zdrapkę i właśnie wygrał dziesięć tysięcy dolarów.

– Panie Asher, to nie jest odpowiedni moment. Czy te rzeczy, które do pana trafiły, są wartościowe?

– Nie, to tylko trochę starych ubrań.

– To może innym razem, co? – W głosie kobiety było słycać nie tyle smutek, ile udrękę. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Nie, moje kondolencje – odparł.

Rozłączył się, sprawdził adres i ruszył w stronę Golden Gate Park i dzielnicy Haight.

\* \* \*

Haight: mekka ruchu wolnej miłości w latach sześćdziesiątych, gdzie generacja beatników kształtowała dzieci-kwiaty, gdzie przyjeżdżały dzieciaki z całego kraju, by przeżywać odloty, wloty i upadki. Przyjeżdżały dalej, choć dzielnica na przemian podupadała i była odnawiana. Jadąc przez Haight Street, między sklepami zielarskimi, wegetariańskimi restauracjami, hipisowskimi butikami, sklepami muzycznymi i kawiarniami, widział hipisów w różnym wieku, od piętnastu do siedemdziesięciu lat. Starzy, żebrzący i rozdający ulotki, oraz młodzi – biali, nastoletni rastafarianie z dreadami, w zwiewnych spódnicach albo lnianych spodniach na sznurek, ze lśniącymi kolczykami w nosach i z wywołanym marihuaną wyrazem zachwyty w nieobecnych oczach. Mijał ćpunów o brązowych zębach, szczekających na samochody, nieliczne kolczaste niedobitki ruchu punk, starych facetów w beretach i przechodniów, którzy wyglądali, jakby wyszli z klubu jazzowego w 1953 roku. Nie wyglądało to tak, jakby czas się tam zatrzymał. Raczej tak, jakby zegar w rozpaczy podniósł wskazówki i oznajmił: „Wszystko jedno! Zmywam się stąd!”.

Dom Esther Johnson znajdował się tylko parę ulic od Haight. Charlie miał dość szczęścia, by znaleźć miejsce parkingowe w odległości dwudziestu minut piechotą.

(Gdyby kiedyś miał okazję rozmawiać z odpowiedzialną za to osobą, zaproponowałby przyznanie Handlarzom Śmierci specjalnych przywilejów w zakresie parkowania; bo choć niewidzialność podczas zbierania naczyń duchowych wydawała się całkiem fajna, to jakieś odjazdowe tablice rejestracyjne ze Śmiercią albo „czarne” miejsca parkingowe byłyby jeszcze lepsze).

Dom okazał się niewielkim bungalowem, niezwykłym w tej okolicy, gdzie niemal wszystkie budynki miały trzy piętra i kolor, który najbardziej kontrastował z barwą sąsiednich domów. Właśnie tutaj Charlie nauczył Sophie kolorów, używając wielkich wiktoriańskich budynków w charakterze barwnych plansz.

– Pomarańczowy, tato, pomarańczowy.

– Tak, skarbie, ten pan zwymiotował na pomarańczowo. Spójrz na dom, Sophie, jest fioletowy.

W okolicy nie brakowało robotników sezonowych, więc wiedział, że drzwi do domu pani Johnson będą zamknięte. Zadzwoić i próbować wśliznąć się do środka czy czekać? Nie mógł sobie pozwolić na czekanie – harpie z kanałów syczały do niego ze studzienki, gdy zbliżał się do domu. Zadzwoił i odsunął się na bok.

Ładna brunetka około trzydziestki, w dżinsach i prostej bluzie, otworzyła drzwi, rozejrzała się i powiedziała:

– Dzień dobry, mogę w czymś pomóc?

Charlie omal nie wleciał przez okno do wnętrza. Obejrzał się za siebie, po czym znów zwrócił wzrok na kobietę. Patrzyła prosto na niego.

– To pan dzwonił?

– Kto, ja? Tak – odparł. – Ja, eee... mówi pani do mnie, tak?

Kobieta cofnęła się od drzwi.

– Czym mogę służyć? – spytała z nieco surową miną.

– Przepraszam... Charlie Asher... Mam komis na North Beach, rozmawialiśmy przez telefon, zdaje się.

– Tak. Ale mówiłam panu, że to nieistotne.

– Tak, tak, tak. Mówiła pani, ale byłem w okolicy i pomyślałem, no, że zajrzę.

– Miałam wrażenie, że dzwoni pan ze sklepu. W pięć minut przejechał pan przez całe miasto?

– No, tego, moja furgonetka jest jak sklep na kółkach.

– Czyli jest z panem ten człowiek, który wygrał na loterii?

– Tak, nie, zrezygnował z pracy. Musiałem go wykopać z samochodu. Wie pani, jacy są ci nowobogacy. Puszył się jak paw. Kupi sobie pewnie kokainę i sprosi kilka prostytutek, a po weekendzie będzie splukany. Dobrze, że mam go z

głowy, szczerze mówiąc.

Kobieta cofnęła się jeszcze o krok i częściowo przymknęła drzwi.

– Dobrze, jeśli ma pan te ubrania ze sobą, chyba mogę rzucić na nie okiem.

– Ubrania?

Wciąż nie mógł uwierzyć, że brunetka go widzi. Wpadł jak śliwka w kompot. Nie zdobędzie naczynia duchowego, a potem – cóż, nie chciał myśleć, co potem.

– Ubrania, o których pan mówił, że być może należały do mojej ciotki. Mogłabym je obejrzeć.

– A, nie mam ich przy sobie.

Teraz przymknęła drzwi na tyle, że widział tylko jedno niebieskie oko, koronkę wokół dekoltu bluzki, guzik dżinsów i dwa palce u nogi (była bosa).

– Może lepiej niech pan przyjdzie innym razem. Próbuję poukładać rzeczy ciotki, a robię to sama, więc nie jest łatwo. Mieszkała w tym domu przez czterdzieści trzy lata. Przerasta mnie to.

– Dlatego tu jestem – powiedział Charlie, myśląc: co ja, do cholery, wygaduję?

– Robię to od lat, panno...

– Pani, ściśle rzecz biorąc. Pani Sarkoff.

– Cóż, pani Sarkoff, często robię takie rzeczy. Czasami ciężko jest ułożyć rzeczy kochanej osoby, zwłaszcza jeśli ta osoba długo mieszkała w jednym miejscu, tak jak pani ciotka. Przydaje się pomoc kogoś, kto nie ma do tych przedmiotów stosunku emocjonalnego. Poza tym potrafię stwierdzić, co jest cenne, a co nie.

Miał ochotę przybić piątkę sam ze sobą, za to, że wymyślił coś takiego na poczekaniu.

– Pobiera pan opłatę za taką usługę?

– Nie, nie, nie, ale mogę zaproponować odkupienie rzeczy, których chce się pani pozbyć. Albo może pani wstawić je do mojego sklepu w komis, jeśli pani woli.

Elizabeth Sarkoff westchnęła ciężko i zwiesiła głowę.

– Jest pan pewien? Nie chcę nadużywać pańskiej uprzejmości.

– Będzie mi bardzo miło – odparł.

Pani Sarkoff otworzyła drzwi na oścież.

– Dzięki Bogu, że się pan pojawił, panie Asher. Właśnie przez godzinę zastanawiałam się, które zestawy solniczek w kształcie słoników wyrzucić, a które zachować. Miała ich dziesięć! Dziesięć! Proszę wejść.

Charlie, bardzo dumny z siebie, przeszedł przez drzwi. Sześć godzin później,

gdy brodził po pas w porcelanowych figurkach krów, wciąż nie znalazłszy naczynia duchowego, całe zadowolenie mu minęło.

– Czuła się szczególnie związana z krowami?! – zawołał do pani Sarkoff, która stała w szafie wnękowej w sąsiednim pomieszczeniu i sortowała kolejną stertę bibelotów.

– Nie sądzę. Całe życie mieszkała tutaj. Nie mam pewności, czy kiedykolwiek widziała krowę, nie licząc tych gadających, które reklamują ser w telewizji.

– Super – mruknął Charlie.

Przeszukał każdy centymetr mieszkania z wyjątkiem szafy, w której pracowała Elizabeth Sarkoff. Kilka razy zaglądał do środka, omiatając wzrokiem zawartość szafy, ale nie zobaczył nic, co świeciłoby na czerwono. Zaczynał podejrzewać, że albo się spóźnił, albo Zaświatowcy dorwali naczynie, albo pochowano je razem z Esther Johnson.

Ruszył na dół, do piwnicy, gdy zadzwoniła jego komórka.

– Telefon Charliego Ashera – powiedział.

– Charlie, mówi Cassie. Sophie chce wiedzieć, czy zdążysz wrócić, żeby opowiedzieć jej bajkę na dobranoc i położyć ją do łóżka. Dałam jej kolację i ją wykapałam.

Wbiegł po schodach i wyjrzał za okno. Zrobiło się ciemno, a on nawet tego nie zauważył.

– Cholera, Cassie, przepraszam. Nie wiedziałem, że już tak późno. Jestem u klientki. Powiedz Sophie, że wrócę, żeby położyć ją do łóżka.

– Dobrze, powiem – odparła Cassandra ze zmęczeniem w głosie. – Słuchaj, i może posprzątaj podłogę w łazience. Musisz coś zrobić z tymi psami, pchają się z nią do wanny. W całym mieszkaniu są ślady mydlin z płynu do kąpieli Mr Bubble.

– Lubią się kąpać.

– To miło, Charlie. Gdybym nie kochała twojej siostry, wynajęłabym kogoś, żeby połamał ci nogi.

– Moja mama dopiero co umarła, Cassie.

– Wykorzystujesz śmierć swojej mamy? Teraz? Charlie Asher, ty...

– Muszę kończyć – powiedział. – Niedługo wrócę.

Cztery razy nacisnął klawisz rozłączający rozmowę, a potem jeszcze raz, tak dla pewności. Cassandra jeszcze dwa dni temu była taką uroczą kobietą. Co się działo z tymi ludźmi?

Wpadł do sypialni.

– Pani Sarkoff?

– Tak, wciąż tu jestem – dobiegł głos z szafy.

– Muszę już iść. Córka mnie potrzebuje.

– Mam nadzieję, że wszystko w porządku.

– Nic złego się nie stało, po prostu nie było mnie przez parę dni. Jeśli jeszcze potrzebuje pani pomocy...

– Nie, nie miałabym śmiałości. Lepiej niech da mi pan kilka dni. Posortuję te rzeczy i przyniosę część do pańskiego sklepu.

– Oczywiście. – Czuł się głupio, mówiąc do szafy.

– Skontaktuję się z panem, obiecuję.

Nie miał żadnego pomysłu, jak to dalej ciągnąć. I musiał iść do domu.

– No dobrze. To ja już pójdę.

– Dziękuję, panie Asher. Życie mi pan uratował.

– Nie ma za co. Do widzenia.

Wyszedł, a drzwi frontowe zamknęły się za nim z trzaskiem. Wracając do zaparkowanej furgonetki, usłyszał jakiś ruch w dole ulicy – szelest piór, odległe krakanie. A gdy dotarł do celu, okazało się oczywiście, że jego samochód odholowano.

\* \* \*

Usłyszawszy szcęk zamka, Audrey wróciła do szafy i odsunęła wielkie kartonowe pudło, odsłaniając starą kobietę, która spokojnie siedziała na składanym krzeselku ogrodowym i robiła na drutach.

– Już poszedł, Esther. Możesz wyjść.

– Pomóż mi, moja droga, nie bardzo mogę się ruszyć.

– Przepraszam – powiedziała Audrey. – Nie miałam pojęcia, że zostanie tak długo.

– Nie rozumiem, czemu go w ogóle wpuściłaś – odparła Esther. Głos miała chrapliwy, ale już wstała.

– Żeby mógł zaspokoić ciekawość. Zobaczyć na własne oczy.

– A skąd wzięłaś to nazwisko? Elizabeth Sarkoff?

– Moja nauczycielka z drugiej klasy. Pierwsze, co przyszło mi do głowy.

– No, zdaje się, że dał się nabrać. Nie wiem, jak ci dziękować.

– Wróci. Wiesz o tym, prawda? – spytała Audrey.

– Mam nadzieję, że nieprędko – odparła Esther. – Naprawdę muszę iść przypudrować nos.

\* \* \*

– Gdzie to jest, kochanku? – wyszczały siostry Morrigan ze studzienki przy Haight Street, obok miejsca, gdzie Charlie próbował złapać taksówkę. – Pograżasz się, Mięso – dodał piekielny chór.

Charlie rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt inny tego nie słyszał, ale przechodnie wydawali się pochłonięci rozmowami, a ci, którzy szli samotnie, wpatrywali się uważnie w punkt na chodniku położony o trzy metry przed sobą. Obie strategie miały na celu uniknięcie kontaktu wzrokowego z żebrakami i szaleńcami, ustawionymi rzędem przy chodniku. Nawet szaleńcy najwyraźniej nic nie słyszeli.

– Odpierdolcie się – odparł Charlie wściekłym szeptem w stronę krawężnika. – Jebane harpie.

– O, kochanku, jak słodko nas kusisz. Krew małej też będzie słodka!

Młody bezdomny facet, siedzący tuż obok na krawężniku, uniósł głowę i spojrzał na Charliego.

– Stary, poproś w klinice, żeby podnieśli ci dawkę litu. Wtedy sobie pójdą. Na mnie to podziałało.

Charlie skinął głową i dał tamtemu dolara.

– Dzięki. Spróbuję.

Rano będzie musiał zadzwonić do Jane, do Arizony, i dowiedzieć się, jaką drogę pokonał cień w dół zbocza, o ile w ogóle się ruszył. Dlaczego coś, co robił w San Francisco, miałoby wpływać na bieg zdarzeń w Sedonie? Cały czas próbował sobie wmówić, że tu nie chodzi o niego, a teraz wyglądało na to, że jednak chodzi. „Luminatus powstanie w Mieście Dwóch Mostów” – powiedział Vern. A czy w ogóle można wierzyć przepowiedni kogoś, kto ma na imię Vern? (Zapraszamy do Taniej Wyroczni Verna, Nostradamusa, który gwarantuje wam niską cenę). To był jakiś absurd. Charlie musiał podążać naprzód, robić co do niego należy i ze wszystkich sił starać się zebrać naczynia duchowe. Gdyby tego nie robił, cóż, Siły Ciemności powstałyby i zawładnęły światem. I co z tego. Śmiało, dziwki z kanałów! Wielka mi rzecz.

Ale oto przemówił jego wewnętrzny samiec beta, gen, dzięki któremu tacy jak on przetrwali trzy miliony lat. „Siły Ciemności rządzące światem? Kiepsko by było” – powiedział gen.

\* \* \*

– Tak uwielbiała zapach Pine-Sol – powiedziała trzecia tego dnia kobieta, która twierdziła, że była najlepszą przyjaciółką matki Charliego.

Na pogrzebie nie było tak źle, ale teraz trwało spotkanie w budynku klubowym na pobliskim osiedlu seniora, gdzie mieszkał Buddy, zanim wprowadził się do matki. Oboje często tam wracali, by grać w karty i utrzymywać kontakt z dawną paczką Buddy’ego.

– Przyniosłeś kanapki z mielonym mięsem? – spytała najlepsza przyjaciółka numer trzy. Pomimo trzydziestopięciostopniowego upału miała na sobie różowy sweterek, ozdobiony kryształowymi pudelkami. Wszędzie nosiła też na rękach nerwowego, czarnego pudła. Gdy rozmawiała z Charliem, pies, wykorzystując jej nieuwagę, lizał sałatkę ziemniaczaną, którą przyniosła. – Nie wiem, czy twoja matka kiedykolwiek jadła te kanapki. Zawsze widziałam ją tylko z koktajlem z burbona. Bardzo lubiła te swoje drinki.

– To prawda – przytaknął Charlie. – Też chyba zrobię sobie drinka.

Przyleciał do Sedony tego ranka. Wcześniej spędził noc w San Francisco, próbując znaleźć dwa zaległe naczynia duchowe. Choć nie natrafił na nekrolog Esther Johnson, ładna brunetka w jej domu powiedziała mu, że zmarłą pochowano dzień po jego pierwszej wizycie w Haight. Założył więc, że naczynie duchowe znowu pogrzebano razem z nią. (Czy ta brunetka miała na imię Elizabeth? Oczywiście, że Elizabeth, sam siebie oszukiwał, udając, że zapomniał. Samce beta nie zapominają imion pięknych kobiet. Charlie pamiętał imię dziewczyny z rozkładówki pierwszego „Playboya”, którego zwędził z półki w sklepie taty. Pamiętał nawet, że najbardziej nie lubiła brzydkiego oddechu, złośliwych ludzi i ludobójstwa, i postanowiła nigdy nie mieć, nie być ani nie popełnić żadnego z powyższych. Pamiętał te rzeczy na wypadek, gdyby kiedyś przypadkiem ją spotkał, kiedy będzie niedbale opalała biust na masce samochodu). Nie natrafił na żaden ślad drugiej kobiety, Ireny Posokovanovich, która powinna była umrzeć już wiele dni temu. Nie było nekrologu, nie było informacji w szpitalach, nikt nie mieszkał w jej domu. Zupełnie jakby wyparowała i zabrała naczynie duchowe ze sobą. Zostało mu jeszcze parę tygodni, by dotrzeć do trzeciej osoby z jego kalendarza, nie miał jednak pewności, przez co będzie musiał w tym celu przejść. Ciemność narastała.

– Niewinne pogaduszki wcale nie stają się bardziej niewinne, kiedy straci się ukochaną osobę, co? – powiedział ktoś obok niego.

Charlie odwrócił się w kierunku głosu i ze zdziwieniem ujrzał Verna Glovera,

niskiego Handlarza Śmierci, który przeżuwał surówkę i fasolkę.

– Dzięki, że przyszedłeś – powiedział odruchowo Charlie.

Vern zamachał plastikowym widelcem.

– Widziałeś cień?

Charlie skinął głową. Kiedy tego ranka dotarł do domu matki, cień ze wzgórza dotarł do ogródka przed jej domem, a krzyki padlinożernych ptaków, które uwijały się na krawędzi cienia, stały się ogłuszające.

– Nie mówiłeś, że nikt inny go nie widzi. Dzwoniłem do siostry z San Francisco, żeby spytać, czy się przesunął. Ale ona nic nie zobaczyła.

– Przepraszam. Nie widzą, przynajmniej na ile mogłem to stwierdzić. Nie było go przez pięć dni. Wrócił dziś rano.

– Kiedy ja wróciłem?

– Chyba tak. To przez nas? Pączki, kawa i już koniec świata?

– Przegapiłem dwie dusze tam u siebie – oznajmił Charlie, uśmiechając się do pana w bordowym golfie, który, mijając ich, położył rękę na sercu w geście współczucia.

– Przegapiłeś? Czy wzięły je te... jak ty je nazywasz... harpie z kanałów?

– Możliwe – odparł Charlie. – Ale cokolwiek się dzieje, najwyraźniej podąża za mną.

– Przykro mi – powiedział Vern. – Ale cieszę się, że pogadaliśmy. Nie czuję się taki samotny.

– Ja też – odrzekł Charlie.

– I współczuję z powodu matki – dodał szybko Vern. – Trzymasz się?

– Jeszcze to do mnie nie dotarło – powiedział Charlie. – Chyba zostałem sierotą.

– Sprawdzę osobę, która przejmie naszyjnik – obiecał Vern. – Będę ostrożny.

– Dzięki – odparł Charlie. – Myślisz, że mamy jakiś wpływ na to, kto bierze duszę? Znaczą, naprawdę. W *Bardzo wielkiej księdze* piszą, że dusze trafiają tam gdzie powinny.

– Chyba tak – powiedział Vern. – Za każdym razem, kiedy sprzedawałem naczynie, blask natychmiast zniknął. Gdyby to nie była właściwa osoba, to by tak nie było, prawda?

– Tak, chyba masz rację – stwierdził Charlie. – Czyli jest w tym jakiś porządek.

– To ty jesteś ekspertem – odparł Vern i nagle upuścił widelec. – Kto to jest? Ale laska.

– To moja siostra – wyjaśnił Charlie.



W ich stronę szła Jane. Miała na sobie dwurzędową grafitową marynarkę od Armaniego i czarne czółenka z klamerkami. Platynowe włosy ułożyła za pomocą lakieru w fale w stylu lat trzydziestych. Wyływały spod czarnej czapeczki z woalką, zakrywającą jej twarz do wysokości ust, które lśniły niczym czerwone ferrari. Zdaniem Charliego wyglądała jak zwykle, niczym skrzyżowanie robota-zabójcy z postacią z książki Seussa. Gdy jednak próbował zapomnieć o tym, że jest jego siostrą, i lesbijką, i jeszcze jego siostrą, ostatecznie był w stanie przyznać, że jej włosy, usta i sam wzrost ktoś mógłby uznać za atrakcyjne. Zwłaszcza ktoś taki jak Vern, który potrzebowałby sprzętu wspinaczkowego i maski tlenowej, by wejść na kobietę o rozmiarach Jane.

– Vern, poznaj moją bardzo seksowną siostrę, Jane. Jane, to jest Vern.

– Cześć, Vern. – Jane podała mu rękę i Vern skrzywił się pod jej uściskiem.

– Moje kondolencje – powiedział.

– Dziękuję – odparła Jane. – Znałeś naszą matkę?

– Vern znał ją bardzo dobrze – powiedział Charlie. – Mama nawet wyraziła przed śmiercią życzenie, żeby Vern mógł ci kupić pączka. Prawda, Vern?

Tamten pokiwał głową tak gwałtownie, że Charlie niemal słyszał trzask kręgów szyjnych.

– Przed śmiercią – potwierdził.

Jane nie poruszyła się ani nie odezwała. Miała zasłonięte oczy, więc Charlie nie widział wyrazu jej twarzy, ale domyślał się, że próbuje wypalić mu dziury w aorcie swoim laserowym wzrokiem.

– Wiesz, Vern, byłoby cudownie, ale możemy odłożyć to na później? Dopiero pochowaliśmy naszą matkę i muszę wyjaśnić parę rzeczy z bratem.

– W porządku – odparł Vern. – I to nie musi być pączek, jeśli dbasz o linię. Wiesz, sałatka, kawa, cokolwiek.

– Jasne – powiedziała Jane. – Skoro tego życzyła sobie mama. Zadzwoń. Charlie powiedział ci, że jestem lesbijką, prawda?

– O, Boże – jęknął Vern. Omal nie podskoczył z podniecenia, ale przypomniał sobie, że to stypa, a on otwarcie myśli o trójkącie z córką zmarłej.

– Przepraszam – pisnął.

– Na razie, Vern – powiedział Charlie, gdy siostra popchnęła go w stronę maleńkiej, klubowej kuchni. – Napiszę do ciebie mejla w tej drugiej sprawie.

Gdy tylko znaleźli się w kuchni, Jane uderzyła Charliego w splot słoneczny, aż stracił dech.

– Co ci strzeliło do głowy? – syknęła. Odchyliła welon, by widział, jak jest

wkurzona. Na wypadek, gdyby cios w bebech nie okazał się wystarczająco klarowny.

Charlie dyszał i śmiał się jednocześnie.

– Mama by sobie tego życzyła.

– Moja mama właśnie umarła, Charlie.

– Tak – przyznał Charlie. – Ale nie masz pojęcia, co przed chwilą zrobiłaś dla tego faceta.

– Naprawdę? – Jane uniosła brew.

– Na zawsze zapamięta ten dzień – powiedział Charlie. – Już nigdy nie będzie miał seksualnej fantazji, w której nie wystąpisz ty, zapewne w pożyczonych butach.

– I nie uważasz, że to straszne?

– No tak, jesteś moją siostrą, ale dla Verna to ważny moment.

Skinęła głową.

– Dobry z ciebie chłopak, skoro tak dbasz o nieznajomego.

– Tak, no wiesz...

– Jak na ostatniego dupka! – dokończyła Jane, ponownie zatapiając pięść w jego splocie słonecznym.

O dziwo, Charlie, z trudem łapiąc oddech, poczuł, że matka, niezależnie od tego, gdzie teraz przebywa, jest z niego zadowolona.

Pa, mamó, pomyślał.

## CZEŚĆ TRZECIA

### POLE BITWY

*Jutro się spotkamy,  
Śmierć i ja –  
I ona wbije swój miecz  
W tego, kto nie śpi.*

Dag Hammarskjöld

**WSZYSTKO GRA, DOPÓKI NIE ZROBI SIĘ DZIWNIE****ALVIN I MOHAMMED**

Kiedy Charlie wrócił do domu z pogrzebu matki, w drzwiach powitały go dwa wielkie, pełne entuzjazmu psy. Nie musiały pilnować zakładnika Sophie, więc mogły okazać powracającemu panu całą pełnię swojego afektu i radości. Panuje powszechna opinia, odzwierciedlona także w regulaminie Amerykańskiego Towarzystwa Kynologicznego, że nie możesz się uważać za wydymanego przez psa, dopóki nie wydymają cię dwa blisko dwustukilowe ogary z piekła rodem (Artykuł 5, paragraf 7: Standardy dymania i ciągnięcia za dupę). Mimo że rano, przed wyjazdem z Sedony, Charlie użył supermocnego antyperspirantu, to z powodu powtarzających się dźgnięć dwóch wilgotnych psich członków nie czuł się już tak świeżo.

– Sophie, zabierz je. Zabierz je.

– Pieski tańczą z tatą! – Dziewczynka zachichotała. – Tańcz, tatusiu!

Pani Ling zasłoniła jej oczy, by uchronić małą przed ohydny widokiem ojca, wbrew woli oddającego się zoofili.

– Idzie myje ręce, Sophie. Coś je, a tata robi brzydkie rzeczy z siksami.

Pani Ling mimowolnie oszacowała wartość śliskich, czerwonych psich członków, okładających oksfordzką koszulę właściciela budynku niczym gigantyczne, napędzane tłokami szminki. Zielarz z Chinatown zapłaciłby majątek za proszek pozyskany z zasuszonych penisów Alvina i Mohammeda. (Mężczyźni z jej ojczyzny byli zdolni do wszystkiego, by zwiększyć swoją potencję, włącznie z mieleniem zagrożonych gatunków i wsypywaniem ich do herbaty, podobnie jak niektórzy mieszkańcy Ameryki, wierzący, że najlepszą erekcją ma się po zasypaniu bombami paru tysięcy cudzoziemców). Wyglądało jednak na to, że może tylko pomarzyć o zdobyciu fortuny za zasuszone psie ptaszki. Pani Ling już dawno odpuściła sobie próby zdobycia kawałków ciała piekielnych ogarów po tym, jak próbowała załatwić Alvina mocnym i dźwięcznym ciosem żelaznej patelni w czaszkę. Pies odgryzł patelnię od uchwytu, schrupał ją, rozsiewając kropelki psiej śliny i kawałki metalu, po czym usiadł i zaczął skamleć o dokładkę.

– Proszę oblać je wodą! – wrzasnął Charlie. – Siad, pieski. Dobrze pieski. O, fuj.

Rozpaczliwy krzyk mężczyzny skłonił panią Ling do działania. Poczekała na

odpowiednią chwilę, po czym przemknęła obok wirującej piramidy ludzkich i psich mięśni, wybiegła na korytarz i pognęła po schodach na dół.

## LILY

Lily weszła po schodach i zatrzymała się na dywanie w korytarzu, widząc psy dosiadające Charliego.

– Oj, Asher, ty popaprańcu!

– Na pomoc – jęknął Charlie.

Lily zdjęła ze ściany gaśnicę, przyciągnęła ją do drzwi, wyjęła zawleczkę i zaczęła obryzgiwać jej zawartością podskakujące trio. Dwie minuty później Charlie leżał bez ruchu w lodowatej brei na progu, a Alvin i Mohammed zostały zamknięte w jego sypialni, gdzie radośnie żuły wyczerpaną gaśnicę. Lily zwabiła je tam, gdy próbowały ugryźć strumień dwutlenku węgla. Najwyraźniej ta mroźna nowinka podobała im się bardziej niż bzykanie Charliego na powitanie.

– W porządku? – spytała Lily. Miała na sobie jeden ze swoich kucharskich fartuchów, a pod nim spódnicę z czerwonej skóry i wysokie do kolan buty na płaskiej podeszwie.

– To był ciężki tydzień – powiedział Charlie.

Pomogła mu wstać, starając się nie dotykać wilgotnych plam na jego koszuli. Charlie wykonał kontrolowany upadek w kierunku kanapy. Podparła go przy lądowaniu, przez co znalazła się w dość niewygodnej pozycji, z jedną ręką pod jego plecami.

– Dzięki – powiedział Charlie. We włosach i na rzęsach wciąż miał szron po tym, jak go potraktowała gaśnicą.

– Asher – powiedziała Lily, starając się nie patrzeć mu w oczy. – Nie czuję się z tym dobrze, ale w zaistniałej sytuacji powinnam coś powiedzieć.

– Dobrze, Lily. Chcesz kawy?

– Nie. Zamknij się, proszę. Dziękuję. – Urwała i wzięła głęboki wdech, ale nie wyciągnęła ręki spod pleców Charliego. – Przez lata byłeś dla mnie dobry i chociaż przed nikim bym się do tego nie przyznała, pewnie nie skończyłabym szkoły ani nie wyszła na ludzi, gdyby nie ty.

Charlie wciąż próbował coś zobaczyć, mrugając, by zrzucić z powiek kryształki lodu, i dochodząc do wniosku, że prawdopodobnie zamarzyły mu gałki oczne.

– To nic takiego – odparł.

– Proszę, proszę, zamknij się – powiedziała. Kolejny głęboki wdech. – Zawsze porządnie mnie traktowałeś, pomimo moich, nazwijmy to, kurewskich akcji i

pomimo faktu, że jesteś jakimś mrocznym sługą śmierci, i na pewno miałeś inne sprawy na głowie. Współczuję z powodu mamy.

– Dzięki – powiedział Charlie.

– Biorąc pod uwagę, co słyszałam o twojej nocy przed śmiercią mamy i w ogóle, no i to, co tu dzisiaj widziałam, myślę... że to jedyne słuszne wyjście... żebym poszła z tobą do łóżka.

– Ze mną?

– Tak – odparła. – W imię wyższego dobra, chociaż jesteś takim młotkiem.

Charlie przekreślił się na kanapie. Patrzył na nią przez chwilę, próbując się zorientować, czy nie robi go w konia, a potem, stwierdziwszy, że nie, powiedział:

– To bardzo miło z twojej strony i...

– Żadnych dziwactw, Asher. Musisz zrozumieć, że robię to tylko ze względu na ludzką przyzwoitość i współczucie. Możesz iść na dziwki na Broadway, jeśli chcesz poświrować.

– Lily, nie wiem, co...

– I nie w tyłek – dodała.

Za kanapą rozległ się piskliwy, dziewczęcy chichot.

– Cześć, tato – powiedziała Sophie, wyłaniając się zza oparcia. – Tęskniłam za tobą.

Charlie uniósł córkę ponad oparciem kanapy i dał jej głośnego całusa.

– Też za tobą tęskniłem, skarbie.

Sophie odepchnęła go.

– Dlaczego masz lukier na włosach?

– A, to... Lily musiała opryskać Alvina i Mohammeda lodem, żeby je uspokoić, i trochę poleciało na mnie.

– One też za tobą tęskniły.

– Zauważyłem – odparł. – Kochanie, mogłabyś chwilę pobawić się w swoim pokoju? Muszę porozmawiać z Lily o ważnych sprawach.

– Gdzie pieski? – spytała dziewczynka.

– Mają karę w pokoju tatusia. Możesz iść się pobawić, a później zjemy trochę Serowych Jaszczurek?

– Dobrze – powiedziała Sophie, osuwając się na podłogę. – Pa, Lily. – Pomachała dziewczynie.

– Pa, Sophie – odparła Lily, która wydawała się jeszcze blejsza niż zazwyczaj.

Sophie wyszła z pokoju w rytmie swojej nowej przyśpiewki:

– I nie w tyłek, i nie w tyłek, i nie w tyłek.

Charlie odwrócił się do Lily.

– Ta piosenka na pewno ożywi pierwszą klasę panny Magnussen.

– Jasne, teraz wyszło trochę głupio – odparła Lily, zupełnie nieporuszona – ale kiedyś mała mi podziękuje.

Charlie usiłował patrzeć na guziki swojej koszuli, jakby pograżył się w myślach, ale zachichotał, spróbował się powstrzymać, co skończyło się krótkim parsknięciem.

– Jezu, Lily, jesteś dla mnie jak młodsza siostra. Nigdy bym nie mógł...

– Świetnie. Chcę ci dać prezent, z czystego serca, a ty...

– Kawy, Lily – powiedział z westchnieniem. – Czy mogłabyś mi zrobić kawę, zamiast iść ze mną do łóżka? A potem usiąść i pogadać ze mną, kiedy będę ją pił? Ty jedna wiesz, co się dzieje z Sophie i ze mną, a ja muszę to jakoś poukładać.

– No, to pewnie potrwa dłużej niż pójście z tobą do łóżka – odrzekła Lily, spoglądając na zegarek. – Zadzwońię do sklepu i powiem Rayowi, że przyjdę trochę później.

– Doskonale – stwierdził Charlie.

– I tak chciałam się z tobą bzyknąć tylko w zamian za informacje o twojej robocie Handlarza Śmierci – przyznała, biorąc telefon z blatu.

Charlie znowu westchnął.

– Właśnie to muszę poukładać.

– Tak czy owak – powiedziała Lily – w kwestii tyłka jestem nieugięta.

Próbował z powagą pokiwać głową, ale znowu zaczął chichotać. Lily rzuciła w niego książką telefoniczną San Francisco.

## **SIOSTRY MORRIGAN**

– Ta dusza pachnie jak szynka – stwierdziła Nemain, marszcząc nos nad kawałem mięsa, który nabiła sobie na długi pazur.

– Chcę trochę – oznajmiła Babd. – Dawaj.

Chlasnęła mięso szponami, odcinając kawałek wielkości pięści.

Cała trójka siedziała w zapomnianej, głębokiej piwnicy pod Chinatown. Przycupnęły na kłodach drewna, które poczerniały w wielkim pożarze w 1906 roku. Macha, u której zaczęło się pojawiać perłowe przybranie głowy, jakie nosiła w kobiecej postaci, oglądała przy świetle świecy czaszkę jakiegoś małego zwierzęcia. Świecę zrobiła z tłuszczu zmarłych dzieci. (Macha zawsze była złotą rączką, a dwie pozostałe zazdrościły jej zdolności).

– Nie rozumiem, dlaczego dusza jest w mięsie, ale nie w człowieku.

– I smakuje jak szynka, zdaje się – stwierdziła Nemain, plując dookoła świecącymi, czerwonymi kawałeczkami duszy. – Macha, pamiętasz szynkę? Lubimy ją?

Babd zjadła swój kawałek mięsa i wytarła szpony w pióra na piersi.

– Chyba szynka to nowość – powiedziała. – Jak telefony komórkowe.

– Szynka to nie nowość – odparła Macha. – To wędzona wieprzowina.

– Nie – jęknęła z przerażeniem Babd.

– Tak – powiedziała Macha.

– To nie jest ludzkie mięso? Więc jakim cudem jest w nim dusza?

– Dziękuję – odrzekła Macha. – Właśnie to próbuję powiedzieć.

– Postanowiłam, że lubimy szynkę – oznajmiła Nemain.

– Coś tu nie gra – powiedziała Macha. – To nie powinno być takie proste.

– Proste? – powtórzyła Babd. – Proste? Poświęciliśmy setki... nie, tysiące lat, żeby to osiągnąć. Ile tysięcy lat, Nemain? – Zerknęła na jadowitą siostrę.

– Wiele – odparła tamta.

– Wiele – powiedziała Babd. – Wiele tysięcy lat. To nie jest proste.

– Dusze przychodzą do nas bez ciał, bez złodziei dusz, to się wydaje zbyt proste.

– Mnie się podoba – stwierdziła Nemain.

Przez chwilę milczały. Nemain skubała świecącą duszę, Babd się stroszyła, a Macha oglądała zwierzęcą czaszkę, obracając ją w pazurach.

– Myślę, że to świstak – odezwała się Macha.

– Umiesz odróżnić szynkę od świstaka? – spytała Nemain.

– Nie wiem – odparła Macha.

– Nie pamiętam świstaka – powiedziała Nemain.

Babd westchnęła ciężko.

– Za dobrze nam idzie. Czy wy dwie kiedykolwiek myślicie o tym, jak już będziemy cały czas na Powierzchni i Ciemność wszystkim zawładnie, no, wiecie, co wtedy?

– Jak to „co wtedy”? – zdziwiła się Macha. – Będziemy mieć kontrolę nad wszystkimi duszami, odwiedzać śmierć, kiedy zechcemy, aż zużyjemy całe światło ludzkości.

– Tak, wiem – powiedziała Babd – ale co wtedy? To znaczy, wiecie, kontrola i w ogóle, wszystko fajnie, ale czy Orcus zawsze będzie nam parskał i warczał nad uchem?

Macha odłożyła czaszkę i usiadła na nadpalonej belce.



– O co chodzi?

Nemain uśmiechnęła się, odsłaniając idealnie równe zęby i nieco przydługie kły.

– Tęskni za tym chudym złodziejem dusz z mieczem.

– Za Nowym Mięsem? – Macha nie wierzyła własnym uszom, które stały się widoczne dopiero kilka dni temu, gdy pierwsza darowana dusza trafiła w ich szpony, więc od jakiegoś czasu ich nie testowała. – Lubisz Nowe Mięso?

– Że lubię, to trochę za mocno powiedziane – odparła Babd. – Myślę, że jest interesujący.

– Interesujący w tym sensie, że chciałabyś ułożyć jego flaki w ciekawe wzorki na piasku?

– No, nie. Nie mam do tego takiej smykałki, jak ty.

Macha popatrzyła na Nemain, która się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami.

– Możemy chyba spróbować zabić Orcusa, kiedy już nastanie Ciemność – powiedziała.

– Mam trochę dosyć tych jego kazań. I stanie się nieznośny, jeśli nie pojawi się Luminatus. – Macha wzruszyła ramionami na znak, że się poddaje. – Pewnie, czemu nie.

## CESARZ

Cesarz San Francisco był w kropce. Wyczuwał, że w mieście dzieje się coś bardzo złego, ale nie miał pojęcia co robić. Nie chciał niepotrzebnie niepokoić ludzi, ale nie chciał też, by nie byli przygotowani na ewentualne niebezpieczeństwo. Uważał, że sprawiedliwy i dobry władca nie powinien posługiwać się strachem, by manipulować ludem, więc dopóki nie zyska dowodu, że zagrożenie jest realne, każde działanie byłoby przestępstwem.

– Czasami – rzekł do Lazarusa, dostojnego golden retrievera – człowiek musi zebrać w sobie całą odwagę, by po prostu siedzieć w miejscu. Jak bardzo ludzkości zaszkodziło mylenie ruchu z postępem, przyjacielu? Jak bardzo?

Widział różne dziwne rzeczy. Pewnego późnego wieczoru w Chinatown ujrzał smoka z mgły, sunącego przez ulice. Potem, któregoś ranka, przy Boudin Bakery na Ghirardelli Square widział, jak ze studzienki kanalizacyjnej wypęzło coś podobnego do nagiej kobiety, umazanej olejem silnikowym, złapało na wpół opróżniony kubek kawy z mlekiem ze śmietnika, po czym znów zanurkowało w kanale, dokładnie w chwili, gdy zza rogu wyjechał policjant na rowerze. Wiedział, że widzi te rzeczy, bo jest wrażliwszy od innych ludzi i mieszka na ulicy, więc

wyczuwa najłżejsze zachodzące tam zmiany. A w dużej mierze także dlatego, że jest kompletnym, wyjącem do księżycy świrem. Żadna z tych rzeczy jednak nie zwalniała go od odpowiedzialności wobec poddanych ani nie uwalniała jego myśli od niepokojących zjawisk, które obserwował.

Wiewiórka w krynolinie działała Cesarzowi na nerwy, choć nie umiał właściwie powiedzieć, dlaczego. Lubił wiewiórki – często nawet brał żołnierzy do Golden Gate Parku, żeby za nimi goniły – ale wiewiórka chodząca w pozycji wyprostowanej i przeszukująca śmieci za ciastkarnią Empanada Emporium, w dodatku ubrana w różową suknię balową z osiemnastego wieku – no, to już było odrażające. Był pewien, że Bummer, zwinięty w kłębek i śpiący w ogromnej kieszeni jego płaszcza, przyznałby mu rację. (Bummer, w głębi serca pies do polowań na szczury, miał niezbyt oświecony pogląd na współistnienie z każdym gryzoniem, a szczególnie żywcem zabranym z dworu Ludwika XVI).

– Nie chcę krytykować – powiedział Cesarz – ale buty byłyby dobrym uzupełnieniem tego stroju, nie sądzisz, Lazarusie?

Lazarus, zazwyczaj tolerancyjny wobec wszelkich niebędących ciastkami stworzeń, dużych i małych, zawarczał na wiewiórkę, która miała najwyraźniej kurcze nogi, wystające spod sukni, co wydawało się, no wiecie, dość dziwne.

Zbudzony warczeniem Bummer wyłonił się z wełnianej sypialni niczym Grendel ze swojej kryjówki. Natychmiast zaniósł się apoplektycznym szczekaniem, jakby chciał powiedzieć: „Ej, chłopaki, może nie zauważyliście, ale tam wiewiórka w sukni balowej grzebie w śmieciach, a wy tu sobie siedzicie, jak dwa betonowe lwy przed biblioteką!”. Wyszczekawszy to zdanie, wystartował, jak porośnięta sierścią rakietą antywiewiórkowa, zdecydowana unicestwić wszystko, co przypomina gryzonia.

– Bummer! – zawołał Cesarz. – Czekaj.

Za późno. Wiewiórka próbowała uciec po ścianie ceglanoego budynku, ale zaczepiła suknię o rynnę i spadła z powrotem do zaułka, dokładnie w chwili, gdy Bummer rozwinął pełną prędkość. Po chwili złapała niewielką deskę z połamanej palety i zamachnęła się nią na prześladowcę, który odskoczył w samą porę, by nie oberwać gwoździem w jedno ze swoich owadzich oczu.

Rozległo się warczenie.

W tym momencie Cesarz zauważył, że wiewiórka ma gadzie łapy i pazury pomalowane na różowo, by pasowały do stroju.

– Czegoś takiego nie widuje się co dzień – stwierdził.

Lazarus zaszczekał, potwierdzając jego słowa.

Wiewiórka upuściła deseczkę i ruszyła w stronę ulicy, poruszając się bardzo sprawnie na kurzych nogach i trzymając suknię w gadzich łapach. Bummer otrząsnął się z szoku wywołanego widokiem uzbrojonej wiewiórki (coś podobnego napotkał tylko w psich koszmarach sennych, po tym, jak zjadł pizzę z chorizo, którą podarował im późnym wieczorem hojny facet z pizzerii Dominos) i ruszył w pościg. Tuż za nim biegł Cesarz z Lazarusem.

– Nie, Bummer! – wołał Cesarz. – To nie jest zwykła wiewiórka.

Lazarus, jako że nie za bardzo umiał powiedzieć „no i dobra”, zatrzymał się nagle i popatrzył na Cesarza. Wiewiórka wypadła z zaułka i pomknęła wzdłuż rynsztoka, poruszając się teraz na czterech łapach. Dotarłszy do rogu ulicy, Cesarz ujrzał małą, różową suknię, znikającą w studziencie kanalizacyjnej, podobnie jak nieustraszony Bummer. Słyszał dobiegające z odpływu echo szczekania, które coraz bardziej cichło, gdy terier gnał za swoją ofiarą w ciemność.

## RIVERA

Nick Cavuto usiadł naprzeciwko Rivery, stawiając przed sobą gulasz z bizona na talerzu o rozmiarach mniej więcej pokrywy pojemnika na śmieci. Poszli na lunch do Lokalu Tommy’ego, staromodnej jadłodajni przy Van Ness, gdzie codziennie serwowano potrawy w domowym stylu, na przykład mielone, pieczonego, faszerowanego indyka czy gulasz z bizona, a na telewizorze nad barem pokazywano drużyny z San Francisco, jeśli tylko rozgrywały jakiś mecz.

– Co? – spytał rosły gliniarz, gdy jego partner wywrócił oczyma. – Co, kurwa?

– Kiedyś bizona prawie wyginęły – powiedział Rivera. – Miałeś przodków na prerii?

– Specjalne policyjne porcje. Służba, ochrona i tak dalej wymagają białka.

– Ale żeby całego bizona?

– A czy ja krytykuję twoje hobby?

Rivera spojrzał na swoją połówkę kanapki z indykiem i miseczkę zupy fasolowej, potem na gulasz Cavuto, potem na swoją nędzną kanapkę, potem na kolosalny gulasz partnera.

– Mój lunch jest zakłopotany – powiedział.

– Dobrze ci tak. Zemsta za włoskie garnitury. Uwielbiam to, po każdym wezwaniu ludzie myślą, że to ja jestem ofiarą.

– Mógłbyś sobie kupić szybkowar albo ja mógłbym poprosić mojego znajomego, żeby znalazł ci ładne ubranie.

– Twojego znajomego seryjnego zabójcę, właściciela komisju? Nie, dziękuję.

– Nie jest seryjnym zabójcą. W jego życiu dzieją się dziwne rzeczy, ale nie jest zabójcą.

– Tylko tego nam potrzeba, kolejnych dziwnych rzeczy. Co on tak naprawdę robił, kiedy była ta strzelanina?

– Tak jak mówiłem, przechodziłem obok i zobaczyłem, że uzbrojony koleś chce go obrobić. Wyciągnąłem broń i kazałem mu przestać, on wycelował we mnie, a ja strzeliłem.

– Pieprzysz. W życiu nie wystrzeliłeś jedenastu naboju, żeby dziewięcioma nie trafić w środek tarczy. Co się, kurwa, wydarzyło?

Rivera popatrzył na długi stół i upewnił się, że trzech faceci siedzący przy drugim końcu są zajęci oglądaniem teleturnieju w telewizorze nad barem.

– Trafiłem ją każdym strzałem.

– Ją? To była kobieta?

– Tego nie powiedziałem.

Cavuto upuścił łyżkę.

– Partnerze? Nie mów, że zastrzeliłeś tę ruda? Myślałem, że już po sprawie.

– Nie. To było coś nowego, jak... Nick, znasz mnie, nie strzelam bez potrzeby.

– Powiedz, co się stało. Przecież cię kryję.

– To było jak kobieta-ptak albo coś takiego. Cała czarna. Znaczą się, czarna, kurwa, jak smoła. Miała szpony, które wyglądały jak, no nie wiem, jak kilkucentymetrowe srebrne oskardy czy coś. Moje naboje oderwały od niej jakieś kawałki, pióra, czarną breję, to było wszędzie. Dostała dziewięć razy w tors i odleciała.

– Odleciała?

Rivera popijał kawę, obserwując reakcję partnera znad krawędzi kubka. Podczas wspólnej pracy przeżyli trochę niezwykłych rzeczy, ale nie był pewien, czy sam uwierzyłby w tę historię, gdyby odwrócić sytuację.

– Tak, odleciała.

Cavuto pokiwał głową.

– Dobra, rozumiem, czemu nie chciałeś napisać o tym w raporcie.

– Właśnie.

– Więc ta kobieta-ptak – powiedział Cavuto, jakby to mieli już ustalone, uwierzył i co dalej? – obrabiała tego Ashera z komisju?

– Waliła mu konia.

Cavuto pokiwał głową, podniósł łyżkę, zagarnął sporą ilość gulaszu i ryżu. Żując, wciąż kiwał głową. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem

szybko wziął kolejny kęs, chyba po to, żeby się powstrzymać. Najwyraźniej skupił się na teleturnieju i bez słowa dokończył lunch.

Rivera także w milczeniu zjadł zupę i kanapkę.

Gdy wychodzili, Cavuto wyjął dwie wykałaczki z pojemnika przy kasie i podał jedną partnerowi. Wyszli w światło pięknego dnia.

– Więc śledziłeś Ashera?

– Chciałem go mieć na oku. Na wszelki wypadek.

– I strzelałeś do niej za to, że waliła facetowi konia? – spytał w końcu Cavuto.

– Na to wygląda – odparł Rivera.

– Wiesz, Alphonse, właśnie dlatego nie spędzam z tobą wolnego czasu. Masz pojebany system wartości.

– To nie był człowiek, Nick.

– Wszystko jedno. Walenie konia? I za to zabić? No, nie wiem...

– Nie zabiłem jej.

– Dziewięć kulek w pierś?

– Widziałem ją... to... wczoraj w nocy. Na swojej ulicy. Obserwowała mnie ze studzienki kanalizacyjnej.

– Przyszło ci do głowy, żeby spytać Ashera, skąd zna latającą, kuloodporną kobietę-ptaka?

– Tak, przyszło, ale nie mogę ci powiedzieć, co od niego usłyszałem. To zbyt pokręcone.

Cavuto wyrzucił ręce w górę.

– Słodki Jezu z odświeżacza na błękitnej wodzie w sedesie! Bo się jeszcze zrobi, kurwa, pokręcone, a tego byśmy nie chcieli, co?

## LILY

Pili po drugim kubku kawy i Charlie zdążył powiedzieć Lily o dwóch nieznanym naczyniach duchowych, o spotkaniu z harpią z kanałów, o cieniu zsuwającym się ze wzgórza w Sedonie i o innej wersji *Bardzo wielkiej księgi Śmierci*, a także o swoim strasznym problemie z córeczką, która potrafiła zabijać słowem „kotek”, a oprócz tego nie odstępowały jej na krok dwa olbrzymie psy. Według Charliego, Lily zareagowała nie na tę część opowieści co trzeba.

– Spiknąłeś się z demonem z Zaświatów, a ja nie jestem dla ciebie dość dobra?

– To nie są zawody, Lily. Możemy o tym nie rozmawiać? Wiedziałem, że nie powinienem ci o tym mówić. Martwią mnie inne sprawy.

– Chcę szczegółów, Asher.

– Lily, dżentelmeni nie dzielą się szczegółami swoich przygód miłosnych.

Lily zaplotła ręce na piersi i przybrała pozę zniesmaczonego niedowierzania, wyjątkowo wymowną pozę, zanim bowiem się odezwała, Charlie już wiedział, co usłyszy.

– A gównu. Ten glina wywalił w nią cały magazynek, a ty chcesz bronić jej honoru?

Charlie uśmiechnął się tęsknie.

– Wiesz, przeżyliśmy chwilę...

– O, Boże, ty dziwkarzu jeden!

– Lily, niemożliwe, żeby dotknęła cię moja... moja reakcja na twoją hojną i, powiem szczerze, bardzo kuszącą propozycję. Ojejku.

– To dlatego że jestem zbyt zwawa, tak? Nie dość mroczna dla ciebie? W końcu jesteś panem Śmiercią i w ogóle.

– Lily, ten cień w Sedonie szedł po mnie. Kiedy wyjechałem z miasta, zniknął. Harpia z kanałów przysłała po mnie. Ten drugi Handlarz Śmierci powiedział, że jestem inny. Pozostałym nigdy nie zdarzały się przypadki śmierci wynikającej z ich obecności, tak jak mnie.

– Czy właśnie powiedziałeś do mnie „ojejku”? A co ja, mam dziewięć lat? Jestem kobietą...

– Myślę, że mogę być Luminatusem, Lily.

W końcu się zamknęła.

Uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć „nie”.

Charlie pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć „tak”.

– Wielka Śmierć?

– Przez duże Ś.

– Zupełnie nie masz kwalifikacji – stwierdziła Lily.

– Dzięki, teraz mi lepiej.

## MINTY FRESH

Minty zawsze czuł się niepewnie pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią morza, zwłaszcza jeśli całą noc pił sake i słuchał jazzu, a tak właśnie było. Siedział w ostatnim wagonie ostatniego pociągu metra wyjeżdżającego z Oakland i miał cały wagon dla siebie, niczym prywatną łódź podwodną płynącą pod zatoką – dźwięk saksofonu tenorowego pobrzmiwał mu w uszach niczym sonar, a pół tuzina przesiąkniętych sake, pikantnych rolek z tuńczykiem, leżało w jego żołądku jak bomby głębinowe.

Spędził wieczór przy Embarcadero, w Satos, japońskiej restauracji i klubie jazzowym. Sushi i jazz, dziwna para, ożeniona za sprawą przypadku i ucisku. Zaczęło się w Fillmore, które przed II wojną światową było dzielnicą japońską. Kiedy Japończyków wysłano do obozów internowania, a ich domy i majątki sprzedano, czarni, którzy przyjechali do pracy w stocznich przy budowie pancerników i niszczycieli, zamieszkali w opuszczonych budynkach. Wraz z nimi przyszedł jazz.

Przez lata Fillmore stanowiło centrum sceny jazzowej w San Francisco, a Bop City przy Post Street był najważniejszym klubem jazzowym. Gdy wojna dobiegła końca i Japończycy wrócili, wieczorami często można było ujrzeć japońskie dzieci stojące pod oknami Bop City i słuchające takich sław, jak Billie Holiday, Oscar Peterson czy Charles Mingus. Były świadkami, jak sztuka powstaje i rozplywa się po ulicach San Francisco. Sato był jednym z tych dzieci.

Nie chodziło tylko o historyczny zbieg okoliczności, jak tłumaczył Minty'emu Sato pewnego późnego wieczoru, gdy muzyka się skończyła, a sake dodawała mu elokwencji. Chodziło o postawę filozoficzną. Jazz to sztuka zen, łapiesz? Kontrolowana spontaniczność. Jak malarstwo tuszem *sumi-e*, jak haiku, jak łucznictwo, jak kendo – jazz nie był czymś, co się planowało, lecz czymś, co się robiło. Ćwiczyłeś, odgrywałeś gamy, uczyłeś się akordów, a potem wkładałeś całą swoją wiedzę i wszystkie uwarunkowania w daną chwilę.

– A w jazzie każda chwila jest jak kryzys – Sato zacytował Wyntona Marsalisa – i wykorzystujesz wszystkie swoje umiejętności, by znieść ten kryzys. Jak szermierz, łucznik, poeta i malarz. Wszystko jest na miejscu, bez przyszłości, bez przeszłości, tylko dana chwila i to, jak sobie z nią radzisz. Tak rodzi się sztuka.

A Minty, ogarnięty potrzebą ucieczki od swojego życia Śmierci, wsiadł do metra do Oakland, by znaleźć chwilę, w której mógłby się ukryć, nie żałując przeszłości i nie bojąc się przyszłości, tylko czyste „tu i teraz” w dźwięku saksofonu tenorowego. Ale sake, zbyt duży ciężar nadciągającej przyszłości i zbyt dużo wody nad głową sprowadziły melancholię, chwila minęła, i Minty czuł niepokój. Sprawy przybrały zły obrót. Nie zdołał odnaleźć dwóch ostatnich naczyń duchowych, pierwszy raz w karierze, i zaczynał widzieć czy słyszeć efekty. Głosy z kanałów, donośniejsze i liczniejsze niż kiedykolwiek, szydziły z niego. Jakiś ruch wśród cieni, ledwo dostrzegalny kątem oka, poruszające się, szeleszczące ciemne obiekty, które znikwały, jeśli spojrzało się prosto na nie.

Sprzedził nawet trzy płyty z regału z naczyniami duchowymi tej samej osobie, co też nigdy mu się nie zdarzyło. Z początku nie zauważył, że to ta sama kobieta,

ale gdy wszystko zaczęło się sypać, twarze pojawiły się w jego pamięci i zdał sobie z tego sprawę. Za pierwszym razem była mniszka, jakiegoś rodzaju buddyjską mniszka, odzianą w złoto-bordowe szaty, z króciutkimi włosami, jakby ogolono jej głowę, a teraz włosy odrastały. Zapamiętał, że oczy miała błękitne jak kryształ, rzecz niezwykła u kogoś o tak ciemnej karnacji. A w głębi tych oczu czaił się uśmiech, który wywoływał wrażenie, że dusza znalazła swoje miejsce, dobry dom na wyższym poziomie. Drugi raz zobaczył ją pół roku później. Miała na sobie dzinsy i skórzaną kurtkę, a także nieco bezładną fryzurę. Wzięła płytę CD z regału z napisem „po jednej sztuce na klienta”, album Sarah McLachlan, który sam by dla niej wybrał, gdyby go poprosiła, i ledwie zauważył jej jasne, błękitne oczy, myśląc raczej o tym, że gdzieś już widział ten uśmiech. Później, w zeszłym tygodniu, znowu przyszła, z włosami do ramion, w długiej spódnicy i spiętej paskiem, muślinowej koszuli w poetyckim stylu – niczym uciekiniarka z festiwalu renesansowego, co nie byłoby niczym niezwykłym w Haight, ale w Castro raczej stanowiło rzadkość. Tak czy owak, zupełnie nie zwrócił na to uwagi, do chwili gdy podeszła, by zapłacić, i zerknęła znad okularów przeciwsłonecznych, odliczając pieniądze z portfela. Znowu te błękitne oczy, elektryczne i niezupełnie tym razem uśmiechnięte. Nie wiedział co robić. Nie miał dowodu, że była mniszka i laską w skórzanej kurtce, ale wiedział, że to ona. Zebrał wszystkie swoje umiejętności, by poradzić sobie z tą sytuacją i nawałił.

– Więc lubi pani Mozarta? – spytał.

– To dla przyjaciółki – powiedziała tylko tyle.

Z powodu tego prostego stwierdzenia postanowił nie stawiać jej czoła. Naczyńie duchowe miało trafić do prawowitego właściciela, prawda? Nigdzie nie napisano, że miał mu je sprzedać bezpośrednio. To było tydzień temu i od tamtej pory głasy, szelesty i cienie, ogólnie biorąc groźna atmosfera – wszystko to trwało niemal bez ustanku. Minty Fresh większą część swego dorosłego życia spędził samotnie, ale nigdy wcześniej nie odczuwał tej samotności aż tak dogłębnie. Dziesięć razy przez kilka ostatnich tygodni kusiło go, by zadzwonić do innych Handlarzy Śmierci pod pretekstem ostrzeżenia ich o swoim niepowodzeniu, ale głównie po to, by po prostu pogadać z kimś, kto miał jakie takie pojęcie o tym, jak wygląda jego życie.

Wyciągnął długie nogi przez trzy siedzenia wagonu, aż do przejścia, po czym zamknął oczy i oparł głowę o okno, czując w ogolonej potylicy rytmiczny stukot wagonu. O, nie, to się nie mogło udać. Za dużo sake, poczuł zawroty głowy. Gwałtownie uniósł głowę i otworzył oczy, a potem przez drzwi na końcu wagonu



zauważył, że dwa wagony dalej w pociągu zapadł mrok. Wyprostował się i patrzył, jak światła gasną w kolejnym wagonie – nie, to nie światła gasły. Ciemność wypełniała wagon niczym gaz, odbierając całą energię światła.

– O, cholera – powiedział Minty do pustego wagonu.

Nie mógł nawet wstać w metrze, ale wstał, trochę przygarbiony, z głową w suficie, zwrócony ku nadciągającej ciemności.

Drzwi na końcu wagonu otworzyły się i ktoś wszedł do środka. Kobieta. No, niezupełnie kobieta. Raczej cień kobiety.

– Ej, kochanku – powiedziała niskim, jakby przydymionym głosem.

Słyszał już kiedyś ten głos. Albo podobny.

Ciemność otoczyła dwie lampy podłogowe w odległym krańcu wagonu, pozostawiając tylko jaśniejącą sylwetkę kobiety, metalowy refleks na tle czystej czerni. Minty nie pamiętał, by odczuwał strach kiedykolwiek od czasu, gdy został Handlarzem Śmierci. Ale teraz się bał.

– Nie jestem twoim kochankiem – powiedział Minty głosem tak spokojnym, jak saksofon basowy, nie okazując nawet cienia lęku. Każda chwila to kryzys, pomyślał.

– Kto raz miał czarnego, już nie chce innego – powiedziała, robiąc krok w jego kierunku. Nie było widać nic poza jej niebiesko-czarnym konturem.

Wiedział, że parę metrów za nim znajdują się drzwi, zamknięte potężnym mechanizmem hydraulicznym, i że prowadzą do ciemnego tunelu pięćdziesiąt metrów pod zatoką, ze śmiercionośną elektryczną szyną – ale z jakiegoś powodu perspektywa wydała się teraz całkiem zachęcająca.

– Miałem czarnych – stwierdził Minty.

– Nie miałeś, kochanku. Miałeś różne odcienie brązu, ciemną czekoladę, może kawę, ale, słowo daję, czarnego nie. Bo po czarnym już nigdy nie będziesz miał nic innego.

Patrzył, jak się do niego zbliża – płynie – a z jej palców wyrastają długie, srebrne szpony, połyskujące w słabym blasku lamp ewakuacyjnych, ociekające czymś, co parowało w zetknięciu z podłogą. Po obu jego stronach rozległo się szuranie, coś szybko poruszało się w ciemnościach.

– Dobrze powiedziane – rzekł Minty.

## ATAK KROKODYLOWATEGO

W mieście nastąpiła brutalnie gorąca noc i wszyscy pootwierali okna. Z dachu po drugiej stronie zaułka szpieg widział małą dziewczynkę, chlapiącą radośnie wodą w wypełnionej pianą wannie. Dwa wielkie psy siedziały przy samej wannie, zlizując szampon z jej rąk, bekając bańkami mydlanymi i wywołując piski radości.

– Sophie, nie karm piesków mydłem, dobrze? – dobiegł z innego pomieszczenia głos właściciela sklepu.

– Dobrze, tato. Nie będę. Nie jestem dzieckiem, wiesz – powiedziała, wylewając sobie na dłoń więcej szamponu o zapachu truskawek i kiwi, i podsuwając go jednemu z psów do zlizania.

Obłok pachnących baniek wyleciał z pyska bestii i między kratami w oknach uniósł się w nieruchomym powietrzu nad zaułkiem. Ogary stanowiły problem, ale jeśli szpieg zdoła wszystko zgrać w czasie, poradzi sobie z nimi i bez przeszkód przedostanie się do dziecka.

W przeszłości był zabójcą, ochroniarzem, kick bokserem, a ostatnio certyfikowanym instalatorem izolacji z włókna szklanego – te umiejętności mogły mu się bardzo przydać w obecnej misji. Miał pysk krokodyla – sześćdziesiąt osiem ostrych zębów i oczy, które błyszczały jak czarne szklane paciorki. Jego ręce były łapami drapieżcy, zbrojnymi w zakrzywione pazury pokryte skorupą zakrzepniętej krwi. Miał na sobie czarny jedwabny smoking, nie nosił jednak butów – palce jego nóg były połączone błoną jak u wodnego ptaka i miały pazury do wygrzebywania zdobyczy z błota.

Zrolował duży perski dywan przy krawędzi dachu i czekał. Potem, dokładnie zgodnie z planem, usłyszał:

– Skarbie, idę wynieść śmieci, zaraz wrócę.

– Dobrze, tato.

Zabawne, jak złudzenie bezpieczeństwa powoduje lekkomyślność, pomyślał szpieg. Nikt nie zostawiłby małej dziewczynki w wannie bez opieki, ale towarzystwo dwóch psich ochroniarzy sprawiało, że nie była bez opieki, prawda?

Czekał, aż właściciel sklepu wyłoni się zza stalowych drzwi na dole z dwoma workami śmieci. Przez chwilę wydawał się zaskoczony faktem, że śmietnik, zazwyczaj znajdujący się tuż za drzwiami, został przesunięty o parę metrów w dół

zaułka, ale wzruszył ramionami, kopniakiem otworzył drzwi na oścież, a gdy pneumatyczny cylinder powoli, z sykiem zaczął zamykać je z powrotem, mężczyzna ruszył do śmietnika. W tej właśnie chwili szpieg zrzucił dywan z dachu. Dywan rozwinął się, spadając cztery piętra w dół. Uderzył właściciela sklepu z donośnym łoskotem i obalił na ziemię.

W łazience dwa wielkie psy ożywiły się. Jeden zaszczekał ostrzegawczo.

Szpieg miał już w kuszy pierwszy bełt. Teraz wypuścił go – syknęła nylonowa linka i pocisk uderzył z hałasem w dywan, przebił go na wylot i wbił się w tydkę mężczyzny, skutecznie przyszpilając go do dywanu, a zapewne także do ziemi. Właściciel sklepu krzyknął. Wielkie psy wypadły z łazienki. Szpieg załadował kolejny bełt, przymocowany do drugiego końca nylonowej linki, przyczepionej do pierwszego, po czym przestrzelił nim inną część dywanu poniżej. Mężczyzna krzychał dalej, ale przykryty wielkim dywanem nie mógł się ruszyć. Gdy szpieg ładował trzeci pocisk, ogary wybiegły przez drzwi do zaułka.

Trzeci bełt nie był przymocowany do linki, lecz miał dziwną, szpiczastą końcówkę z tytanu. Szpieg wycelował w pneumatyczny cylinder przy drzwiach i te zamknęły się z trzaskiem, chwytając ogary w pułapkę w zaułku. Ćwiczył to w głowie setki razy i wszystko szło teraz zgodnie z planem. Drzwi wejściowe do sklepu i budynku mieszkalnego zostały posmarowane superklejem, zanim wszedł na dach – nie było łatwo zrobić to niezauważenie.

Czwartym strzałem wbił bełt w ramę nad oknem korytarza. Kraty w oknie łazienki były zbyt wąskie, wiedział jednak, że właściciel na pewno zostawił otwarte drzwi do mieszkania. Przyczepił karabińczyk do nylonowej linki i bezgłośnie zjechał po niej na parapet okna. Odpiął się od linki, a potem przecisnął między prętami i opadł na podłogę w korytarzu.

Trzymał się blisko ścian, stawiając ostrożne, przesadnie długie kroki, by pazurami nie drapać wykładziny. Wyczuwał zapach gotowanej cebuli, dochodzący z mieszkania obok, i słyszał dziecięcy głos, który dobiegał zza drzwi w dole korytarza, wyraźnie lekko uchylonych.

– Tato, mogę już wyjść! Tato, mogę już wyjść!

Przystanął przy drzwiach i zajrzał do środka. Wiedział, że dziecko zacznie krzyżeć na jego widok – ostre zęby, pazury, zimne, czarne oczy. Postara się, by te krzyki trwały bardzo krótko, ale nikt nie mógł zachować spokoju w obliczu jego przerażającego wyglądu. Oczywiście, ów przerażający efekt był częściowo osłabiony faktem, że miał tylko trzydzieści pięć centymetrów wzrostu.

Popchnął drzwi, ale gdy wszedł do mieszkania, coś chwyciło go od tyłu i

poderwało w górę. Pomimo szkolenia i umiejętności skradania się, krzyknął niczym płonąca, drewniana kaczka.

\* \* \*

Ktoś zalał superklejem zamek w tylnych drzwiach i Charlie złamał klucz, próbując go otworzyć. Z nogi sterczała mu jakaś strzała na lince. Bolało jak diabli, w bucie zbierała się krew. Nie wiedział, co się stało, ale wiedział, że nie jest dobrze, zwłaszcza że piekielne ogary podskakiwały i skamlały.

Zaczął tłuc w drzwi pięściami.

– Otwórz te cholerne drzwi, Ray!

Ray otworzył.

– Co?

Psy zwały ich obu z nóg, przeciskając się przez drzwi. Charlie zerwał się i pokuśtykał za nimi po schodach. Ray poszedł w jego ślady.

– Charlie, krew ci leci.

– Wiem.

– Czekaaj, ciągniesz za sobą jakąś linkę. Odetnę ją.

– Ray, muszę iść...

Zanim Charlie zdołał skończyć zdanie, Ray wyciągnął scyzoryk z tylnej kieszeni, otworzył go i przeciął nylonową linkę.

– Nosilem go w pracy do przecinania pasów bezpieczeństwa i tym podobne.

Charlie skinął głową i ruszył po schodach. Sophie stała w kuchni, owinięta zielonym ręcznikiem kąpielowym, z nasmarowanymi szamponem włosami wciąż sterczącymi na głowie. Wyglądała jak pomniejszona, namydlona wersja Statuy Wolności.

– Tato, gdzie byłeś? Chciałam wyjść.

– Wszystko w porządku, kochanie? – Uklęknął przed nią i wygładził ręcznik.

– Potrzebowałam pomocy przy spłukiwaniu. To twoje zadanie, tato.

– Wiem, kochanie. Okropny ze mnie ojciec.

– W porządku – powiedziała Sophie. – Cześć, Ray.

Ray docierał właśnie do szczytu schodów, trzymając zakrwawioną strzałę na końcu linki.

– Charlie, miałeś to w nodze.

Charlie odwrócił się i pierwszy raz spojrzął na swoją łydkę, po czym usiadł na podłodze, przekonany, że zaraz zemdleje.

– Mogę ją sobie wziąć? – spytała Sophie, podnosząc strzałę.

Ray wziął z blatu ścierkę do naczyń i przycisnął do rany szefa.

– Przytrzymaj. Zadzwoń pod dziewięćset jedenaście.

– Nie, nic mi nie jest – odparł Charlie, teraz niemal pewien, że zacznie wymiotować.

– Co tam się stało? – spytał Ray.

– Nie wiem, byłem...

Ktoś w budynku zaczął krzyczeć, jakby smażono go w oleju. Ray otworzył szerzej oczy.

– Pomóż mi wstać – poprosił Charlie.

Przebiegli przez mieszkanie i wypadli na korytarz – krzyki dobiegały z klatki schodowej.

– Dasz radę? – spytał Ray.

– Idź. Idź. Jestem obok. – Charlie oparł się o jego ramię i skakał za nim po schodach.

Ostre wrzaski dochodzące z mieszkania pani Ling przerodziły się w błagania po angielsku, okraszone mandaryńskimi przekleństwami.

– Nie! Siksy! Ratunku! Precz! Ratunku!

Charlie i Ray zastali drobniutką, chińską matronę opartą o kuchenkę. Wymachiwała tasakiem w kierunku Alvina i Mohammeda, starając się nie dopuścić ich bliżej, podczas gdy psy szczekały, wypuszczając przy tym salwy baniek o zapachu truskawek i kiwi.

– Ratunku! Siksy chcą zabrać kolację – powiedziała pani Ling.

Charlie ujrzał na kuchence parujący garnek, z którego wystawała para kaczych płetw.

– Pani Ling, czy ta kaczka ma spodnie?

Szybko zerknęła na garnek, po czym odwróciła się z powrotem i zamachnęła tasakiem na piekielne ogary.

– Możliwe – odparła.

– Spokój, Alvin. Spokój, Mohammed – nakazał Charlie, a ogary zupełnie go zignorowały. Odwrócił się do Raya. – Ray, mógłbyś iść po Sophie?

Były gliniarz, który uważał się za pana każdej chaotycznej sytuacji, powiedział:

– He?

– Nie odpuszczają, dopóki Sophie im nie każe. Idź po nią, dobrze? – Charlie zwrócił się do pani Ling: – Sophie je zaraz zawoła. Przepraszam.

Pani Ling patrzyła na swoją kolację. Tasakiem próbowała wepchnąć kacze

płetwy do rosółu, ale bez skutku.

– To stary chiński przepis. Nie mówimy o nim Białym Diabłem, bo wy go popsują. Pan słyszy o kurczaku zawijanym w papier? Ta kaczka zawijana w spodnie.

Piekielne ogary zawarczały.

– Na pewno jest pyszna – powiedział Charlie, opierając się o lodówkę, by nie runąć na podłogę.

– Pan krwawi, panie Asher.

– Zgadza się – odparł.

Przyszedł Ray, niosąc Sophie zawijaną w ręcznik. Postawił ją na podłodze.

– Dzień dobry, pani Ling – powiedziała Sophie, po czym wyswobodziła się z ręcznika, podeszła do ogarów i złapała je za obroże. – Nie opłukałyście się – powiedziała.

A potem, golusienka, z rogami z włosów sterczącymi z głowy wyprowadziła psy z mieszkania pani Ling.

– Eee, ktoś cię postrzelił, szefie – stwierdził Ray.

– Zgadza się – przyznał Charlie.

– Powinien zbadać cię lekarz.

– Zgadza się – odparł Charlie.

Oczy uciekły mu w głąb głowy i osunął się po lodówce pani Ling.

\* \* \*

Noc spędził na ostrym dyżurze w szpitalu St. Francis Memoriał, czekając, aż go opatrzą. Ray Macy był przy nim cały czas. Gdy Charlie słuchał krzyków i jęków innych czekających pacjentów, po jakimś czasie odrażająca i natrętna woń wymiotów zaczęła na niego działać. Kiedy zrobił się zielony, Ray spróbował wykorzystać swój status byłego gliniarza, by dogadać się z przełożoną pielęgniarką, którą znał w poprzednim życiu.

– Mocno oberwał. Nie możesz go gdzieś wcisnąć? To porządny facet, Betsy.

Siostra Betsy uśmiechnęła się (stosowała tę minę, zamiast mówić ludziom, żeby się odpieprzyli) i rozejrzała się po poczekalni, by zyskać pewność, że nikt nie zwraca na nich szczególnej uwagi.

– Możesz podprowadzić go do okna?

– Jasne – odparł Ray. Pomógł Charliemu wstać z krzesła i zaciągnął go pod małe, kuloodporne okno. – To jest Charlie Asher – wyjaśnił Ray. – Mój przyjaciel.

Charlie popatrzył na niego.

– Znaczy, mój szef – poprawił się szybko Ray.

– Panie Asher, umrze mi pan tutaj?

– Mam nadzieję, że nie – odparł Charlie. – Ale lepiej spytać kogoś, kto dysponuje większą wiedzą medyczną.

Siostra Betsy uśmiechnęła się.

– Postrzelono go – wyjaśnił Ray, jakby był jego adwokatem.

– Nie widziałem, kto strzelał – dodał Charlie. – Tajemnicza sprawa.

Pielęgniarka oparła się o okno.

– Wie pan, że musimy zgłaszać władzom każdy postrzał z broni palnej. Na pewno nie woli pan porwać jakiegoś weterynarza, żeby pana pozszywał?

– Podejrzewam, że moje ubezpieczenie tego nie pokrywa – powiedział Charlie.

– Poza tym to nie był postrzał z broni palnej – uzupełnił Ray. – To była strzała.

Siostra Betsy pokiwała głową.

– Mogę zobaczyć?

Charlie zaczął podwijać nogawkę spodni i postawił nogę na parapecie niskiego okienka, ale pielęgniarka ją zepchnęła.

– Na litość boską, niech inni nie widzą, że patrzę.

– Au, przepraszam.

– Jeszcze krwawi?

– Nie, chyba nie.

– Boli?

– Jak skurwysyn.

– Duży skurwysyn czy mały skurwysyn?

– Rozmiar XL – odparł Charlie.

– Ma pan uczulenie na jakieś środki przeciwbólowe?

– Nie.

– Na antybiotyki?

– Nie.

Siostra Betsy sięgnęła do kieszeni kitla i wyciągnęła garść pigułek, wybrała dwie okrągłe i jedną podłużną, po czym podała je przez okienko.

– Mocą darowaną mi przez świętego Franciszka z Asyżu ogłaszam, że od tej chwili nic pana nie boli. Te okrągłe to percocet, a ta podłużna to ciprio. Wpiszę to do pańskiej karty. – Zerknęła na Raya. – Wypełnij za niego papiery. Za parę minut będzie zbyt zakręcony, żeby to zrobić.

– Dzięki, Betsy.

– Jeśli do tego sklepu, w którym pracujesz, przyjdą jakieś torebki od Gucciego albo od Prądy, są moje.

– Nie ma sprawy – zapewnił Ray. – Charlie jest właścicielem tego sklepu.

– Poważnie?

Charlie pokiwał głową.

– Premia – powiedziała. Położyła na półce jeszcze jedną pigułkę. – Dla ciebie, Ray.

– Nic mnie nie boli.

– Poczekacie sobie tu trochę. Wszystko się może zdarzyć. – Uśmiechnęła się, zamiast mówić mu, by się odpieprzył.

\* \* \*

Godzinę później papierkowa robota była już załatwiona, a Charlie siedział w krześle z włókna szklanego w pozycji, która wydawała się możliwa tylko pod warunkiem, że jego kości zmieniły się w gąbkę.

– Tutaj zabili Rachel – powiedział.

– Tak, wiem – odparł Ray. – Przykro mi.

– Ciągle za nią tęsknię.

– Tak, wiem – powiedział Ray. – Jak noga?

– Ale dali mi Sophie – ciągnął Charlie, ignorując pytanie. – Więc, wiesz, to było dobre.

– Tak, wiem – powtórzył Ray. – Jak się teraz czujesz?

– Trochę się martwię, że przez dzieciństwo bez matki Sophie nie będzie dość wrażliwa.

– Świetnie sobie z nią radzisz. Ale jak się czujesz fizycznie?

– Na przykład to, że zabija ludzi, po prostu na nich patrząc. To nie może być dobre dla dziewczynki. Moja wina, to wszystko moja wina.

– Charlie, czy boli cię noga? – Ray postanowił nie brać tabletki przeciwbólowej, którą dała mu Betsy, i teraz tego żałował.

– A ta sprawa z piekielnymi ogarami. Które dziecko musi żyć z czymś takim? To nie może być zdrowe.

– Charlie, jak się czujesz?

– Trochę chce mi się spać – odparł Charlie.

– Straciłeś sporo krwi.

– Ale jestem odprężony. Wiesz, upływ krwi odpręża. Myślisz, że dlatego w



średniowieczu przystawiali pijawki? Może używali ich zamiast leków uspokajających? „Tak, Bob, zaraz przyjdę na spotkanie, tylko czekaj, przystawię sobie pijawkę, jestem dziś trochę nerwowo”.

– Fajnie to wymyśliłeś. Chcesz trochę wody?

– Dobry z ciebie facet, Ray. Mówiłem ci to kiedyś? Nawet jeśli na wakacjach seryjnie mordujesz zdesperowane Filipinki.

– Co?

Siostra Betsy podeszła do okienka.

– Asher! – zawołała.

Ray popatrzył na nią błagalnie i kilka sekund później wyszła przez drzwi z wózkiem.

– Jak tam nasz pacjent, który nie czuje bólu?

– Boże, jest strasznie denerwujący – odparł Ray.

– Nie wzięłeś swojego lekarstwa, prawda?

– Nie lubię prochów.

– Kto tu jest pielęgniarką, Ray? To jest krąg leków, nie tylko pacjent, ale i wszyscy wokół niego. Nie oglądałeś „Króla Lwa”?

– Tego nie było w „Królu Lwie”. Tam był krąg życia.

– Serio? Czyli cały czas źle śpiewałam tę piosenkę? Ha! Chyba ten film jednak mi się nie podoba. Pomóż mi wsadzić pana, którego nic nie boli, na wózek. Przed śniadaniem będzie w domu.

– Dotarliśmy tu w porze kolacji – przypomniał Ray.

– No i widzisz, jaki jesteś bez leków?

\* \* \*

Charlie wrócił ze szpitala z piankowym gipsem i kulami. Pigułki przestały działać i znowu odczuwał ból. Głowa mu pulsowała, jakby lada chwila miała z niej wyskoczyć para maleńkich Obcych. Pani Korjev wyszła z jego mieszkania i przyparła go do ściany w korytarzu.

– Charlie Asher, musimy pogadać. Poprzedniej nocy widzę moją małą Sophie. Biegnie obok mojego mieszkania mokra i namydlona jak niedźwiedź, ciągnie dwa wielkie czarne psy i śpiewa „nie w tyłek”. W starym kraju mamy na to dobre słowo. To słowo brzmi „paskudne”. Mam jeszcze numer do obrońców praw dziecka z czasów, kiedy moi chłopcy byli chłopcami.

– Namydlona jak niedźwiedź?

– Niech pan nie zmienia tematu. To paskudne.

– Tak, ma pani rację. Przepraszam. To się już nie powtórzy. Zostałem postrzelony i nie myślałem jasno.

– Pan jest postrzelony?

– W nogę. To powierzchowna rana. – Charlie całe życie czekał, by wypowiedzieć te słowa, i czuł się teraz bardzo męski. – Nie wiem, kto do mnie strzelił. Tajemnicza sprawa. Zrzucili też na mnie dywan.

Dywan w pewnym sensie ujmował całej historii część męskiego aspektu. Charlie postanowił od tej pory o tym nie wspominać.

– Pan wchodzi. Zje śniadanie. Sophie nie chce jeść tostów, które robi Vladlena. Mówi, że surowe i mają zarazki.

– Moja krew – powiedział Charlie.

Gdy tylko Charlie stanął w drzwiach, chcąc ratować córkę przed tostowymi patogenami, Mohammed chwycił w zęby koniec jednej z jego kul i zaciągnął podskakującego mężczyznę do sypialni.

– Cześć, tato – powiedziała Sophie, gdy ojciec ją mijał. – W domu nie wolno skakać – dodała.

Mohammed popchnął głową nieszczęsnego samca beta w kierunku kalendarza. Pod dzisiejszą datą widniały dwa nazwiska, co nie było szczególnie niezwykłe. Niezwykły był fakt, że te nazwiska pojawiły się już wcześniej: Esther Johnson i Irena Posokovanovich – dwa naczynia duchowe, których nie zdołał zabrać.

Usiadł na łóżku i zaczął sobie masować skronie, próbując wepchnąć zadających ból Obcych z powrotem. Jak się do tego zabrać? Czy te nazwiska będą się pojawiały dopóty, dopóki nie zdobędzie naczyń duchowych? Z lalką do rżnięcia nic takiego nie nastąpiło. Czemu teraz było inaczej? Bez wątplenia robiło się coraz gorzej – teraz do niego strzelano.

Charlie wziął telefon i wybrał numer Raya Macy'ego.

\* \* \*

Ray potrzebował czterech dni, by wrócić do Charliego z raportem. Informacje zdobył w trzy dni, ale chciał mieć całkowitą pewność, że środki przeciwbólowe zupełnie przestały działać i Charlie nie będzie się już zachowywał jak szalenciec, nawijając przez całą noc, że jest wielką śmiercią „przez duże S”. Ray miał też poczucie winy, ukrywał bowiem przed szefem łamanie pewnych przepisów w sklepie.

Spotkali się na zapleczu w środę rano, przed otwarciem sklepu. Charlie zrobił kawę i usiadł przy biurku, by móc na nim oprzeć nogi. Ray z kolei przycupnął na pudłach z książkami.

– No dobra, wal – powiedział Charlie.

– Po pierwsze, znalazłem jeszcze trzy bełty z kuszy. Dwa miały ząbkowane stalowe groty, tak jak ten, którym dostałeś w nogę, a jeden miał tytanowy szpic. Ten ostatni tkwił w pneumatycznym spowalniaczu do drzwi na zaplecze.

– Nie obchodzi mnie to, Ray. Co z tymi dwiema kobietami?

– Charlie, ktoś strzelił do ciebie ze śmiertelnie groźnej broni. A ciebie to nie obchodzi?

– Zgadza się. Nie obchodzi. Tajemnicza sprawa. Wiesz, co lubię w tajemnicach? Ze są tajemnicze.

Ray miał na głowie czapkę drużyny Giants i odwrócił ją tył na przód dla podkreślenia swoich słów. Gdyby nosił okulary, toby je zdjął, ale nie nosił, więc tylko zmrużył oczy.

– Przykro mi, Charlie, ale ktoś chciał jednocześnie wygonić z domu ciebie i psy. Zrzucili na ciebie ten dywan z dachu po drugiej stronie. A potem, kiedy byłeś unieruchomiony, a psy wybiegły na dwór, strzelili do spowalniacza w drzwiach, żeby się zatrzasnęły. Uszkodzili zamek w tylnych drzwiach, a przednie przykleili do ościeżnicy, pewnie jeszcze zanim zaczęli akcję z dywanem. Potem zjechali po linie do okna w korytarzu, przecisnęli się przez kraty i... no, dalej nie bardzo wiadomo.

Charlie westchnął.

– Nie powiesz mi o kobietach, dopóki nie skończysz, prawda?

– Doskonała organizacja. To nie był atak na chybił trafił.

– Na oknie w korytarzu są kraty, Ray. Nikt nie wejdzie. I nikt nie wszedł.

– No, tutaj historia robi się trochę zwariowana. Widzisz, wydaje mi się, że intruz nie był człowiekiem.

– Tak? – Teraz Charlie się skoncentrował.

– Żeby przejść między tymi prętami, musiał mieć poniżej pół metra wzrostu i ważyć mniej niż, powiedzmy, piętnaście kilo. Myślę o małpie.

Charlie odstawił kawę tak gwałtownie, że z kubka wystrzelił gejzer, plamiąc papiery na biurku.

– Myślisz, że strzeliła do mnie doskonale zorganizowana małpa?

– Nie bądź taki...

– Która potem zjechała po linie, włamała się do domu, i co? Ukradła owoce?

– Gdybyś słyszał głupoty, które wygadywałeś tamtej nocy w szpitalu. I co, wyśmiewałem się z ciebie?

– Byłem na prochach, Ray.

– Nie ma innego wytłumaczenia.

Dla wyobraźni samca beta, którą posługiwał się Ray, wyjaśnienie z małpą wydawało się zupełnie rozsądne, z wyjątkiem braku motywu. Ale wiadomo, jakie są małpy, potrafią rzucić w ciebie odchodami dla zabawy, więc kto wie...

– Wytłumaczenie jest takie, że to tajemnica – odparł Charlie. – Miło, że chcesz, żeby tę... włochatą łajzę dosięgnęła sprawiedliwość, ale musisz mi powiedzieć o tych dwóch kobietach.

Zrezygnowany Ray pokiwał głową. Powinien siedzieć cicho, dopóki się nie dowie, dlaczego ktoś chciał wpuścić małpę do mieszkania Charliego.

– Wiesz, małpy można tresować. Masz w mieszkaniu jakąś cenną biżuterię?

– Wiesz – odparł Charlie, drapiąc się po podbródku i patrząc w sufit, jakby coś sobie przypominał. – Przez cały dzień naprzeciwko sklepu stał zaparkowany mały samochód. A kiedy zajrzałem do niego następnego dnia, leżała tam sterta skórek od bananów, jakby ktoś prowadził obserwację. Ktoś, kto jadł banany.

– Co to był za samochód? – Ray już miał notes w pogotowiu.

– Nie jestem pewien, ale czerwony i bez dwóch zdań w małpim rozmiarze.

Ray podniósł wzrok znad notatek.

– Naprawdę?

Charlie milczał przez chwilę, jakby myślał nad odpowiedzią.

– Tak – odpowiedział, bardzo szczerze. – W małpim rozmiarze.

Ray przewrócił parę stron w notesie, wracając do wcześniejszych zapisków.

– Nie musisz się tak zachowywać. Próbuję ci tylko pomóc.

– Mógł być trochę większy – ciągnął Charlie z namysłem. – Jak małpia terenówka. Samochód, który byś wybrał do przewiezienia... bo ja wiem... beczki małp.

Ray skrzywił się, po czym spojrzał w notes.

– Poszedłem do domu tej Johnson. Nikt tam nie mieszka, ale domu nie wystawiono na sprzedaż. Nie widziałem siostrzenicy, o której mówiłeś. Co ciekawe, sąsiedzi wiedzieli, że chorowała, ale żaden nie słyszał, by umarła. Właściwie jeden facet powiedział, że w zeszłym tygodniu chyba widział, jak wsiadała do ciężarówki z firmy od przeprowadzek z paroma tragarzami.

– W zeszłym tygodniu? Siostrzenica mówiła, że ta kobieta zmarła dwa tygodnie temu.

– Nie miała siostrzenicy.

– Co?

– Esther Johnson nie miała siostrzenicy. Była jedynaczką. Nie miała braci ani sióstr, ze strony jej świętej pamięci męża też nie było żadnej siostrzenicy.

– Czyli żyje?

– Na to wygląda. – Ray podał Charliemu fotografię. – Jej ostatnie zdjęcie z prawa jazdy. To wszystko zmienia. Teraz szukasz osoby zaginionej, która będzie zostawiała ślady. Ale z tą drugą, Ireną, jest jeszcze lepszy numer. – Podał mu drugie zdjęcie.

– Ona też żyje?

– O, trzy tygodnie temu w gazecie ukazał się nekrolog, ale coś ją zdradziło. Jej wszystkie rachunki są ciągle opłacane czekami osobistymi. Na czekach jest podpis.

– Ray z uśmiechem odchylił się na stołku, czując słuszne oburzenie z powodu teorii z małpą i nieco mniejsze już poczucie winy, że nie powiedział Charliemu o specjalnych transakcjach.

– No? – spytał w końcu Charlie.

– Jest w domu swojej siostry na Sunset. Tu masz adres. – Wyrwał kartkę z notesu i dał Charliemu.

## ZWYKŁA UPRZEJMOŚĆ

Charlie był wewnętrznie rozdarty. Bardzo chciał zabrać swój miecz w lasce, ale nie mógł go nieść, chodząc o kulach. Zastanawiał się nad przymocowaniem go do jednej z kul taśmą klejącą, ale stwierdził, że to mogłoby zwracać uwagę.

– Chcesz, żebym z tobą poszedł? – spytał Ray. – To znaczy, możesz prowadzić, z tą nogą i w ogóle?

– Dam sobie radę – odparł Charlie. – Ktoś musi pilnować sklepu.

– Słuchaj, zanim pójdziesz, mogę cię o coś zapytać?

– Jasne. – Nie pytaj, nie pytaj, nie pytaj, pomyślał.

– Dlaczego poprosiłeś, żebym znalazł te dwie kobiety?

Ty dupku z szyją robota, musiałeś zapytać.

– Mówiłem ci, chodzi o odkupienie *rzeczy*. – Wzruszył ramionami. Proszę się rozejść, nie ma tu nic do oglądania.

– Tak, wiem, że mi to mówiłeś, i zwykle coś takiego miałoby sens, ale sporo się dowiedziałem o tych dwóch, kiedy ich szukałem. W żadnej z tych rodzin nikt ostatnio nie umarł.

– Zabawne – powiedział Charlie, który, stojąc przy drzwiach, zonglował kluczykami, laską, kalendarzem i kulami. – Oba zgłoszenia pochodziły od osób niespokrewnionych. Od starych przyjaciółek.

Nic dziwnego, że kobiety cię nie lubią, po prostu nie umiesz odpuścić.

– Mhm – mruknął Ray bez przekonania. – Wiesz, kiedy ktoś posuwa się do tego, że pozoruje własną śmierć, to zwykle przed czymś ucieka. Czy ty jesteś tym czymś, Charlie?

– Posłuchaj siebie, Ray. Znowu te pomysły z seryjnym zabójcą? Myślałem, że Rivera ci to wyjaśnił.

– Więc to dla Rivery?

– Powiedzmy, że jest zainteresowany.

– Czemu od razu nie powiedziałeś?

Charlie westchnął.

– Ray, nie wolno mi mówić o tych sprawach, dobrze o tym wiesz. Czwarta poprawka i tak dalej. Przyszedłem do ciebie, bo jesteś dobry i masz kontakty. Polegam na tobie i ci ufam. Chyba wiesz, że też możesz na mnie polegać i mi ufać,

prawda? To znaczy, przez wszystkie te lata nigdy nie naraziłem twojej renty inwalidzkiej, niedbale traktując warunki naszej umowy, mam rację?

Była to subtelna groźba i Charlie miał wyrzuty sumienia, ale nie mógł pozwolić, by Ray ciągnął temat, zwłaszcza że sam stąpał po nieznanym gruncie – nie wiedział nawet, jaki blef próbuje kryć.

– Czyli pani Johnson nie straci życia, jeśli ją dla ciebie znajdę?

– Nie zrobię żadnej krzywdy ani pani Johnson, ani pani Pojo... pani Pokojo... ani tej drugiej. Masz moje słowo. – Uniósł rękę, jakby przysięgał na Biblię, i upuścił jedną z kul.

– Dlaczego po prostu nie weźmiesz laski?

– Słusznie – przyznał Charlie.

Oparł kule o drzwi i spróbował się podeprzeć nogą w gipsie i laską. Lekarze naprawdę powiedzieli, że to powierzchowna rana. Ścięta nie były uszkodzone, tylko mięsień, ale bolało jak diabli, gdy opierał na tej nodze jakikolwiek ciężar. Stwierdził, że laska zda egzamin.

– Powinienem wrócić przed piątą, żeby cię zmienić.

Utykając, wyszedł ze sklepu.

\* \* \*

Ray nie lubił, gdy go okłamywano. Zbyt często czyniły to zdesperowane Filipinki i stał się przewrażliwiony na punkcie robienia z niego głupka. Kogo Charlie Asher chciał oszukać? Kiedy tylko skończy sprzątać sklep, zadzwoni do Rivery i sam sprawdzi.

Wszedł do sklepu i przez chwilę ścierał kurz, a potem zbliżył się do „specjalnego” regału, gdzie Charlie trzymał różne przedmioty, wokół których robił takie halo. Wolno je było sprzedawać po jednym na klienta, ale Ray przez ostatnie dwa tygodnie sprzedał pięć tej samej kobiecie. Wiedział, że powinien coś powiedzieć Charliemu... chociaż właściwie, dlaczego? Najwyraźniej Charlie nie rozmawiał z nim otwarcie na żaden temat.

Poza tym klientka, która kupiła te rzeczy, była miła i uśmiechała się do Raya. Miała ładne włosy, zgrabną figurę i naprawdę oszałamiające, błękitne oczy. Poza tym coś było w jej głosie. Wydawała się taka... jaka? Spokojna? Jakby wiedziała, że wszystko będzie dobrze i nie ma się czym przejmować. Może ponosiła go wyobraźnia? No i nie miała jabłka Adama, co ostatnio stanowiło dla Raya duży plus. Próbował się dowiedzieć, jak się nazywa, zobaczyć coś w jej portfelu, ale

płaciła gotówką i ukrywała karty z ostrożnością pokerzysty. Jeśli przyjechała samochodem, zaparkowała za daleko, by zobaczyć auto ze sklepu, więc nie mógł jej wytropić po numerze rejestracyjnym.

Postanowił, że jeśli kobieta pojawi się dzisiaj, spyta ją o imię. A powinna się pojawić. Przychodziła tylko wtedy, gdy był w sklepie sam. Raz widział, jak zajrzała przez okno, gdy pracował z Lily. Weszła dopiero później, gdy Lily już nie było. Miał szczerą nadzieję, że przyjdzie.

Próbował się uspokoić przed telefonem do Rivery. Nie chciał wyjść na prostaka przed gościem, który wciąż pełnił służbę. Zadzwoił ze swojej komórki, by inspektor wiedział, że to właśnie on.

\* \* \*

Charlie wołał nie zostawiać Sophie na tak długo, biorąc pod uwagę wydarzenia sprzed paru dni, ale z drugiej strony to, co jej groziło, było bez wątpienia spowodowane brakiem dwóch naczyń duchowych. Im szybciej rozwiąże ten problem, tym szybciej zniknie zagrożenie. Zresztą, piekielne ogary stanowiły jej najlepszą obronę, a wydał pani Ling wyraźne instrukcje, by z żadnego powodu, nawet na chwilę nie oddzielać małej od psów.

Pojechał przez Presidio Boulevard i Golden Gate Park do Sunset, przypominając sobie, że musi zabrać Sophie do japońskiego ogrodu, by mogła nakarmić rybki koi, jako że jej zły wpływ na zwierzęta najwyraźniej już minął.

Dzielnica Sunset leżała na południe od Golden Gate Park. Od zachodu ograniczały ją autostrada i plaża, a od wschodu Twin Peaks i tereny uniwersytetu. Kiedyś były tu peryferia, ale miasto rozrosło się i je wchłonęło. Dominowały tu skromne, jednopiętrowe domy, wznoszone masowo w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Przypominały mozaiki z małych pudełek, jakich w okresie powojennym pojawiło się wiele w całym kraju, ale w San Francisco, gdzie bardzo wiele budowano po trzęsieniu ziemi i pożarze w 1906 roku, a także podczas gospodarczego boomu końca dwudziestego wieku, wyglądały anachronicznie, i to zarówno z perspektywy poprzedniej, jak i następnej epoki. Charlie czuł się tak, jakby się przeniósł do epoki Eisenhowera, przynajmniej do chwili, gdy minął młodą matkę z ogoloną głową, ozdobioną plemiennymi tatuażami, która pchała przed sobą bliźnięta w podwójnym wózku.

Siostra Ireny Posokovanovich mieszkała w małym, jednopiętrowym, prostokątnym domu z niewielkim gankiem. Na trejżach po obu stronach rosły



jaśminowe pnącza, rozsiewające w powietrzu woń przypominającą zapach włosów o poranku po upojnej nocy. Pozostała część małego podwórka była starannie utrzymana, od żywopłotu przy chodniku po czerwone pelargonie, rosnące wzdłuż betonowej ścieżki do domu.

Charlie zaparkował przecznicę dalej i podszedł pod dom. Po drodze omal nie wpadły na niego dwie kobiety uprawiające jogging, z których jedna była młodą matką, pchającą przed sobą sportowy wózek. Nie widziały go – był na tropie. Może by tak wejść do środka? I co dalej? Jeśli był Luminatusem, to sama jego obecność powinna załatwić sprawę.

Obszedł dom, by sprawdzić, czy w garażu jest samochód, ale we wszystkich oknach zaciągnięto zasłony. W końcu zdecydował się na frontalny atak i zadzwonił do drzwi.

Kilka chwil później otworzyła je niska kobieta po siedemdziesiątce, w różowym szlafroku.

– Tak? – powiedziała, patrząc z pewną podejrzliwością na gips Charliego. – Mogę w czymś pomóc?

Była to kobieta ze zdjęcia.

– Tak, proszę pani. Szukam Ireny Posokovanovich.

– Nie ma tutaj takiej – odparła Irena Posokovanovich. – Widocznie pomylił pan domy. – Zaczęła zamykać drzwi.

– Czy kilka tygodni temu w gazecie nie było nekrologu? – spytał. Budząca dotąd podziw obecność Luminatusa nie zrobiła na niej większego wrażenia.

– No, tak, zdaje się, że był – powiedziała kobieta i otworzyła drzwi nieco szerzej. – To taka tragedia. Wszyscy bardzo kochaliśmy Irenę. Była taka serdeczna, miła, atrakcyjna... no, wie pan, jak na jej wiek... czytana...

– I ewidentnie nie wiedziała, że zwykła uprzejmość nakazuje, by ten, kto opublikował swój nekrolog, naprawdę umarł! – Wyciągnął przed siebie powiększone zdjęcie z prawa jazdy. Przez chwilę chciał dorzucić jeszcze „ha!”, ale stwierdził, że to lekkie przegięcie.

Irena Posokovanovich trzasnęła drzwiami.

– Nie wiem, kim pan jest, ale pomylił pan domy – powiedziała przez drzwi.

– Wie pani, kim jestem – odparł Charlie. Właściwie to pewnie nie miała pojęcia. – A ja wiem, kim jest pani. I powinna pani umrzeć trzy tygodnie temu.

– Myli się pan. A teraz proszę iść, bo zadzwonię na policję i powiem, że dobija się do mnie gwałticiel.

Oburzony Charlie zakrztusił się śliną.

– Nie jestem gwałcicielem, pani Poso... Posokev... jestem Śmiercią, pani Ireno – powiedział po chwili. – Ot co. A pani czas minął. Musi pani umrzeć, w miarę możliwości natychmiast. Nie ma się czego bać. To jest jak pójście spać, tyle że, no...

– Nie jestem gotowa – jęknęła. – Gdybym była, nie wyjechałabym z domu. Ale nie jestem gotowa.

– Przykro mi, proszę pani, ale muszę nalegać.

– Na pewno się pan pomylił. Może to inna Posokovanovich.

– Nie, jest tutaj, w kalendarzu, z pani adresem. To pani. – Przyłożył kalendarz, otwarty na stronie z jej nazwiskiem, do małego okienka w drzwiach.

– Mówi pan, że to jest kalendarz Śmierci?

– Zgadza się, proszę pani. Proszę spojrzeć na datę. A to już drugie zawiadomienie.

– A pan jest Śmiercią?

– Zgadza się.

– Nie, przecież to głupie.

– Nie jestem głupi, proszę pani. Jestem Śmiercią.

– A nie powinien pan mieć kosi i długiej czarnej szaty?

– Nie, już tego nie stosujemy. Proszę mi uwierzyć na słowo, jestem Śmiercią. – Starzał się, by zabrzmiało to naprawdę złowieszczo.

– Śmierć na obrazkach zawsze była wysoka. – Kobieta stała na palcach, poznawał po sposobie, w jaki jej twarz kołysała się za szybką, gdy próbowała na niego popatrzeć. – Nie wydaje się pan dość wysoki.

– Nie ma ograniczeń w zakresie wzrostu.

– Więc mogę zobaczyć pańską wizytówkę?

– Jasne. – Wyciągnął wizytówkę i przycisnął ją do szyby.

– Tu jest napisane: „Dostawca wysokiej jakości używanych ubrań i drobiazgów”.

– Tak! Właśnie! – Już wiedział, że powinien był sobie zamówić drugi zestaw wizytówek. – A jak pani myśli, skąd biorę te rzeczy? Od zmarłych. Widzi pani?

– Panie Asher, muszę poprosić, żeby pan sobie poszedł.

– Nie, proszę pani, będę nalegał, żeby pani zmarła, i to zaraz. Pani czas minął.

– Proszę stąd iść! Jest pan szarlatanem i chyba potrzebuje pan pomocy psychiatrycznej.

– Jestem Śmiercią! Igrasz ze Śmiercią! Przez duże Ś, suko! – No, to nie było potrzebne. Pożałował swoich słów w momencie, gdy je wypowiedział. –

Przepraszam – mruknął do drzwi.

– Dzwonię na policję.

– Śmiało, pani... eee, Ireno. Wie pani, co powiedzą. Że pani nie żyje! To było w „Chronicie”. Ta gazeta prawie nigdy nie kłamie.

– Proszę sobie iść. Długo ćwiczyłam, żeby żyć dłużej, to nie fair.

– Co?

– Proszę sobie iść.

– To słyszałem. Chodzi mi o te ćwiczenia.

– Nieważne. Niech pan idzie po kogoś innego.

Właściwie nie miał pojęcia, co by zrobił, gdyby go wpuściła. Może musiał jej dotknąć, żeby zadziałały jego zdolności Śmierci. Pamiętał, że w dzieciństwie oglądał stary odcinek „Strefy Mroku”, w którym Robert Redford grał Śmierć, a ta staruszka nie chciała go wpuścić. Udał więc, że jest ranny, a kiedy wyszła, by mu pomóc... BACH! Zachrypiąca, a on spokojnie zabrał ją do krainy wiecznego snu, gdzie pomagała mu produkować niezależne filmy. Może ten numer zda egzamin. W końcu gips i laska przemawiały na jego korzyść.

Rozejrzał się po ulicy, upewniając się, że nikt go nie widzi, po czym położył się, częściowo na ganku, a częściowo na betonowych schodach. Rzucił laską w drzwi, by jak najgłośniejszemu zagrzechotała na betonie, a potem wydał z siebie bardzo przekonujący (jak sądził) jęk.

– Aaaaaaaa, złamałem nogę.

Usłyszał kroki w środku i ujrzał w małym okienku siwe włosy, które lekko podskakiwały, gdy kobieta usiłowała coś zobaczyć.

– Oj, boli – stękał Charlie. – Na pomoc.

Znowu kroki. Zasłona w oknie po prawej stronie drzwi odsunęła się i zobaczył oko. Wykrzywił się w udawanym grymasie bólu.

– Co się panu stało?

– Potrzebuję pomocy. Wcześniej miałem kontuzję nogi, a teraz pośliznąłem się na pani schodach. Chyba coś złamałam. Widzę krew i wystaje kawałek kości.

– Masz ci los – powiedziała. – Chwileczkę.

– Na pomoc. Proszę. Ból. Taki... ból. – Charlie zakaszlał tak, jak kaszłą kowboje, gdy umierają w pyłe, a wszystko pogrąża się w mroku.

Usłyszał szcęk odsuwanej rygli.

– Naprawdę źle z panem – powiedziała.

– Proszę. – Wyciągnął rękę w jej stronę. – Niech mi pani pomoże.

Odemknęła drzwi. Charlie zmusił się, by stłumić uśmiech.

– O, dziękuję – jęknął.

Otworzyła drzwi na oścież i trysnęła mu prosto w twarz strumieniem gazu pieprzowego.

– Widziałam „Strefę Mroku”, ty sukinsynu!

Drzwi zatrzęsęły się. Szczęknął rygiel.

Charlie miał wrażenie, że jego twarz stoi w płomieniach.

Kiedy w końcu zaczął widzieć na tyle dobrze, by móc się poruszać, pokuśtykał z powrotem do samochodu i usłyszał kobiecy głos:

– Ja bym cię wpuściła, kochanku.

Ze studzienki dobiegł chór budzących lęk, dziewczęcych chichotów. Cofnął się do furgonetki, gotów wyciągnąć ostrze z laski, ale potem usłyszał w kanale coś, co brzmiało jak chichot małego psa.

– Skąd on się wziął? – spytała jedna z harpii.

– Ugryzł mnie! Mały skurwiel.

– Łapać go!

– Nie cierpię psów. Kiedy przejmujemy władzę, zero psów.

Szczekanie oddaliło się, a wraz z nim głosy harpii. Charlie wziął głęboki wdech i zamrugał, próbując odegnać ból. Musiał dokonać przegrupowania, ale potem pokona tę staruszkę i pal lichy gaz pieprzowy.

\* \* \*

Zajął mu to niemal godzinę, ale gdy był gotowy, odłożył pustak, otworzył komórkę i wybrał numer, który dostał w biurze numerów.

Odebrała kobieta.

– Halo.

– Dzień dobry, dzwonię z gazowni – powiedział Charlie swoim najlepszym głosem pracownika gazowni. – Urządzenia wskazują spadek ciśnienia w pani domu. Zaraz wyślemy ekipę, ale proszę natychmiast wyprowadzić wszystkich z domu.

– W tej chwili jestem sama. Przykro mi, ale w ogóle nie czuję gazu.

– Może się zbierać pod domem – odparł Charlie, dumny ze swojej przytomności umysłu. – Czy w domu jest ktoś jeszcze?

– Nie, tylko ja i moja kotka Samantha.

– Proszę zabrać kotkę i wyjść na ulicę. Nasz samochód zaraz tam podjedzie. Proszę wyjść jak najszybciej, dobrze?

– No... dobrze.

– Dziękuję pani. – Charlie się rozłączył.

Wyczuł ruch wewnątrz domu. Podszedł do prawej krawędzi dachu nad gankiem i uniósł pustak nad głowę. Będzie wyglądało jak wypadek, pomyślał. Jakby pustak spadł z dachu nad gankiem. Cieszył się, że nikt go nie widzi. Spocił się podczas wspinaczki. Miał mokre plamy pod pachami i pogniecione spodnie.

Rozległ się odgłos otwieranych drzwi. Był gotów rzucić pustakiem, gdy tylko cel wyłoni się spod dachu.

– Dzień dobry pani – dobiegł z ulicy męski głos.

Charlie spojrział w dół i zobaczył inspektora Riverę, który właśnie wysiadł z nieoznakowanego samochodu. Co on tu, do diabła, robi?

– Pan z gazowni?

– Nie, proszę pani, z policji. – Mignął odznaką.

– Powiedzieli, że gaz się ulatnia – wyjaśniła.

– Już się tym zajęliśmy. Może pani wrócić do środka, a ja za minutkę do pani zajrzę, dobrze?

– No... dobrze.

Charlie usłyszał, że drzwi znowu się otwierają i zamykają. Ręce mu drżały od trzymania pustaka nad głową. Starał się oddychać jak najciszej, obawiając się, że jego sapanie zwróci uwagę Rivery, że przez to stanie się widzialny.

– Panie Asher, co pan tam robi na górze?

Niewiele brakowało, by Charlie stracił równowagę i runął w dół.

– Widzi mnie pan?

– Tak, oczywiście, że widzę. Widzę też ten pustak, który trzyma pan nad głową.

– A, to badziewie...

– Co zamierzał pan z tym zrobić?

– Remont? – zaryzykował Charlie.

Jakim cudem Rivera go widział, skoro Charlie był teraz w trybie odnajdywania naczyń duchowych?

– Przepraszam, ale nie wierzę panu. Musi pan zrzucić ten pustak.

– Wolałbym nie. Porządnie się napracowałem, żeby go tu wtargać.

– Może i tak, ale nalegam, żeby go pan zrzucił.

– Miałem taki zamiar, ale potem pojawił się pan.

– Proszę. Niech mnie pan posłucha. Cały się pan spocił. Proszę zejść i będzie mógł pan usiąść ze mną w klimatyzowanym wozie. Pogadamy... o włoskich garniturach, o drużynie Giants... nie wiem... może o tym, dlaczego chciał pan

rozłupać tej staruszce czaszkę kawałem betonu. Klimatyzacja, panie Asher... nie byłoby miło?

Charlie opuścił pustak i oparł go na udzie, czując, że spodnie będą już nie do naprawienia.

– Taka sobie zachęta. Co ja jestem, jakiś prosty tubylec z Amazonii? Bywałem już w klimatyzowanych autach. Nawet w swojej furgonetce mam klimatyzację.

– Tak, przyznaję, że nie jest to weekend w Paryżu, ale druga opcja była taka, że pana zastrzelę, a potem wsadzą pana w worek. Tam by dopiero było gorąco w taki upalny dzień.

– A, no tak – powiedział Charlie. – W tej sytuacji klimatyzacja brzmi znacznie bardziej zachęcająco. Dziękuję. Najpierw zrzuć tę cegłę, dobrze?

– Byłoby świetnie, panie Asher.

\* \* \*

Rozczarowany zdesperowanymi Filipinkami Ray przeszukiwał zbiór nauczycielek nauczania początkowego z wyższym wykształceniem na stronie [www. KochająceUkraińskiePanienki. com](http://www.KochająceUkraińskiePanienki.com), kiedy do sklepu weszła ona. Usłyszał dzwonek i dostrzegł ją kątem oka. Zapominając, że ma unieruchomione kręgi szyjne, naprężył lewą część twarzy, by ją zobaczyć.

Zauważyła, że patrzy, i uśmiechnęła się.

Ray odpowiedział uśmiechem, a potem kącikiem oka ujrzał monitor ze zdjęciem nauczycielki nauczania początkowego, trzymającej się za piersi, więc naprężył prawą część twarzy, by zdążyć z wyłączeniem komputera, zanim kobieta minie ladę.

– Tak tylko się rozglądam – powiedziała miłość jego życia. – Jak się pan miewa?

– Dzień dobry – powiedział Ray. Kiedy trenował tę scenę w myślach, zaczynał od „dzień dobry” i teraz wymyknęło mu się to, zanim się zorientował, że złamał tok rozmowy. – Znaczą, dobrze. Przepraszam. Pracowałem.

– Widzę. – Znowu ten uśmiech.

Była tolerancyjna, wyrozumiała i miła – to było widać w oczach. W głębi serca wiedział, że dla tej kobiety wysiedziałyby nawet na ckliwym filmie. Obejrzałby „Pokój z widokiem” i jeszcze „Angielskiego pacjenta”, od początku do końca, tylko po to, by zjeść z nią pizzę. A w połowie drugiego filmu powstrzymałaby go, gdyby chciał włożyć sobie w usta służbowy rewolwer, bo taka właśnie była: pełna

współczucia.

Odstawiła spektakl z rozglądaniem się po sklepie, ale nie minęły dwie minuty i już podeszła do specjalnego regału Charliego. Wisiał tam napis: TOWAR SPECJALNY – JEDNA SZTUKA NA KLIENTA, nie wynikało z niego jednak, czy jedna sztuka dziennie, czy też jedna przez całe życie. Jeśli się nad tym zastanowić, Charlie tego nie doprecyzował. Jasne, Lily plotła coś, że to bardzo ważna zasada, ale w końcu to była Lily – może i trochę podrosła, ale jej zaburzenia pozostały.

Po krótkim czasie bóstwo wybrało budzik elektryczny i podeszło z nim do lady. To było to. To było to. Ray usłyszał, że otwierają się drzwi na zaplecze.

– To wszystko? – spytał.

– Tak – odparła przyszła pani Ray Macy. – Właśnie takiego szukałam.

– Mhm, nie ma to jak sunbeam – powiedział Ray. – Dwa sześćdziesiąt razem z podatkiem. A, co tam, niech będą dwa i już.

– Bardzo miło z pańskiej strony – odrzekła, grzebiąc w torebce z kolorowej, gwatemalskiej włóczki.

– Cześć, Ray – powiedziała Lily, stając nagle obok niego niczym jakieś złowieszcze widmo, które pojawiło się znikąd, by wyssać każdą radosną chwilę z jego życia.

– Cześć, Lily – powiedział.

Dziewczyna wcisnęła kilka klawiszy w komputerze. Napięte mięśnie twarzy spowalniały jego ruchy, więc nie zdołał się odwrócić, nim wcisnęła włącznik monitora.

– Co to jest? – spytała.

Wolną ręką uderzył ją pod ładą w biodro.

– Au! Świrus!

– To na pewno będą miłe pobudki – powiedział Ray, podając budzik kobiecie, która zostanie jego królową.

– Dziękuję bardzo – odparła śliczna, ciemnowłosa bogini wszystkich rzeczy związanych z Rayem.

– A przy okazji – powiedział, by kontynuować rozmowę – była tu pani już kilka razy, i zastanawiałem się, wie pani, tak z ciekawości, jak pani ma na imię?

– Audrey.

– Cześć, Audrey. Jestem Ray.

– Miło cię poznać, Ray. Muszę już iść. Pa. – Odwrócona do niego plecami pomachała mu ręką nad ramieniem i ruszyła do drzwi.

Ray i Lily patrzyli, jak odchodzi.

– Ładny tyłek – stwierdziła Lily.

– Zwróciła się do mnie po imieniu – powiedział Ray.

– Jest dla ciebie trochę, bo ja wiem, za mało wirtualna.

Odwrócił się do swojej nemezis, Lily.

– Popilnuj sklepu. Muszę iść.

– Po co?

– Muszę ją śledzić, dowiedzieć się, kto to taki. – Zaczął zbierać swoje rzeczy: telefon, kluczyki, czapkę.

– A tak, to bardzo zdrowe, Ray.

– Powiedz Charliemu, że ja... Nie mów Charliemu.

– Dobra. Czyli mogę wyłączyć tę KUPę?

– O czym ty mówisz?

Lily cofnęła się od monitora i wskazała palcem litery, które następnie odczytała:

– Kochane Ukraińskie Panienki: KUPa. – Uśmiechnęła się, zadowolona z siebie, niczym to dziecko, które wygrało w trzeciej klasie konkurs czytania. Nienawidziliście tego dziecka, prawda?

Ray nie mógł w to uwierzyć. Już nawet przestali subtelnie krążyć wokół tematu.

– Nie mogę gadać – oznajmił. – Muszę lecieć.

Wybiegł ze sklepu i pognął przez Mason Street za piękną i wyrozumiałą Audrey.

\* \* \*

Rivera podjechał do restauracji Cliff House z widokiem na Seal Rocks i zmusił Charliego, by postawił mu drinka. Patrzyli na surferów przy plaży. Rivera nie był miłośnikiem makabry, wiedział jednak, że jeśli będzie przychodził tu wystarczająco często, w końcu zobaczy atak żarłacza białego na któregoś surfera. Prawdę mówiąc, miał szczerą nadzieję, że tak się stanie, bo inaczej świat nie miałby sensu, nie istniałaby sprawiedliwość, a życie okazałoby się jedynie splątanym kłębkim chaosu. Tysiące uchatek w wodzie i na skałach – podstawa diety żarłaczy białych – plus setki surferów, ubranych jak uchutki. To się musiało stać, jeśli w świecie panował jakiś porządek.

– Nigdy panu nie wierzyłem, panie Asher, gdy mówił pan, że jest Śmiercią. Nie umiałem jednak wyjaśnić, czym było to coś w zaułku, więc nie chciałem wnikać, a



właściwie odpuściłem.

– Doceniam to – powiedział Charlie, któremu kajdanki trochę utrudniały picie wina z kieliszka. Twarz miał czerwoną jak słodkie jabłko od gazu pieprzowego. – Czy to normalna procedura podczas przesłuchań?

– Nie – odparł Rivera. – Normalnie powinno płacić miasto, ale poproszę sędziego, żeby odjął panu drinki od wyroku.

– Świetnie. Dziękuję – powiedział Charlie. – Może mi pan mówić „Charlie”?

– Dobra, a ty możesz mi mówić „inspektorze Rivera”. Zatem chciałeś starszycie rozłupać pustakiem czaszkę. Co ci właściwie strzeliło do głowy?

– Potrzebuję prawnika?

– Oczywiście, że nie, wszystko gra, w tym barze jest tłum świadków.

Kiedyś Rivera ściśle przestrzegał procedur. To było przed demonami, ogromnymi sowami, bankructwem, niedźwiedziami polarnymi, wampirami, rozwodem, kobietą o sztyletowatych szponach, która zmieniała się w ptaka. Teraz nie przestrzegał ich już tak ściśle.

– W takim razie... myślałem, że nikt mnie nie widzi – powiedział Charlie.

– Bo byłeś niewidzialny?

– Niezupełnie. Raczej jakby niedostrzegalny.

– No dobrze, kupuję to. Ale to jeszcze nie powód, żeby rozwalać głowę babci.

– Nie ma pan na to dowodu – odparł Charlie.

– Pewnie, że mam – odparł inspektor, unosząc szklaneczkę, by dać kelnerce sygnał, że potrzebuje następnego glenfiddicha z lodem. – Widziałem zdjęcia jej wnuków. Pokazała mi, kiedy poszedłem do jej domu.

– Nie o tym mówię. Nie ma pan dowodu, że chciałem rozwalić jej głowę.

– Rozumiem – powiedział Rivera, który wcale nie rozumiał. – Jak poznałeś panią Posokovanovich?

– Nie poznałem. Jej nazwisko pojawiło się w moim kalendarzu, tak jak panu pokazywałem.

– No, tak. No, tak. Ale to jeszcze nie daje licencji na zabijanie, prawda?

– W tym sęk, powinna nie żyć od trzech tygodni. Był nawet nekrolog w gazecie. Chciałem tylko, żeby wszystko się zgadzało.

– Więc zamiast poprosić „Chronicie” o zamieszczenie sprostowania, postanowiłeś rozłupać babci czaszkę.

– Mogłem zrobić to albo kazać córeczce, żeby powiedziała do niej „kotek”. A nie chcę w ten sposób wykorzystywać dziecka.

– Wiesz, podziwiam cię, że w tej kwestii jesteś nieugięty – powiedział Rivera,

myśląc: kogo muszę zastrzelić, żeby dostać drinka? – Ale powiedzmy, że na ułamek sekundy ci uwierzę i że ta staruszka powinna umrzeć, ale nie umarła, dlatego że oberwałeś z kuszy i pojawiło się to coś w zaułku. Powiedzmy, że wierzę w to wszystko. Co mam z tym zrobić?

– Musi pan uważać – odparł Charlie. – Może zmienia się pan w jednego z nas.

– Słucham?

– Tak było ze mną. Kiedy zmarła moja żona, w szpitalu zobaczyłem faceta, który przyszedł po jej naczynie duchowe. I bam! zostałem Handlarzem Śmierci. Widział mnie pan dzisiaj, kiedy nie widział mnie nikt inny, i widział pan wtedy tę harpię z kanałów. Na ogół tylko ja je widzę.

Rivera naprawdę bardzo chciał przekazać tego faceta psychiatrze w szpitalu i nigdy więcej go nie oglądać. Kłopot w tym, że faktycznie widział to coś wtedy w zaułku i jeszcze innym razem na własnej ulicy, czytał też raporty o dziwnych wydarzeniach w mieście z ostatnich dwóch tygodni. I nie były to typowe dziwne wydarzenia, jakich wiele następuje w San Francisco, tylko naprawdę dziwne. Stado kruków, atakujących turystę w Coit Tower, czy facet, który wjechał samochodem w sklep w Chinatown, mówiąc, że skręcił, by ominąć smoka, a także ludzie z dzielnicy Mission, którzy twierdzili, że w ich śmieciach grzebał legwan przebrany za muszkietera, z małą szpadą i tak dalej.

– Mogę to udowodnić – powiedział Charlie. – Proszę mnie tylko zawieźć do sklepu muzycznego w Castro.

Rivera popatrzył na smutne, nagie kostki lodu w swojej szklance i zapytał:

– Mówił ci ktoś kiedyś, że ciężko nadążyć za twoim tokiem myślenia?

– Musi pan porozmawiać z Mintym Freshem.

– Aha, to wszystko wyjaśnia. Przy okazji zamienię też słowo z pączkami Krispy Kreme.

– On też jest Handlarzem Śmierci. Powie panu, że to, co mówię, jest prawdą i może mnie pan wypuścić.

– Wstań. – Inspektor wstał.

– Nie skończyłem wina.

– Zostaw pieniądze za drinki i wstań, proszę. – Rivera zaczęł zakrzywionym palcem o kajdanki Charliego i pociągnął do góry. – Jedziemy do Castro.

– Chyba nie dam rady podierać się laską z tym na rękach – stwierdził Charlie.

Rivera westchnął i popatrzył na surferów. Wydawało mu się, że za jednym z nich widzi coś dużego, ale gdy serce już podskoczyło mu z radości, z wody wyłonił się wąsaty pysk uchatki i inspektor znów stracił nadzieję. Rzucił Charlieemu

kluczyki do kajdanek.

- Spotkamy się przy samochodzie, muszę się odlać.
- Mógłbym uciec.
- Zrób to, Charlie, ale najpierw zapłać.

## ROZWAŻANIA NAD PRACĄ NA RYNKU WTÓRNYM

Anton Dubois, właściciel antykwariatu w Mission, był Handlarzem Śmierci dłużej niż ktokolwiek inny w San Francisco. Oczywiście, z początku nie nazywał siebie Handlarzem Śmierci, ale od kiedy Minty Fresh, ten który otworzył sklep płytowy w Castro, ukuł ów termin, nie przychodziło mu już do głowy inne określenie. Miał sześćdziesiąt pięć lat i nie najlepsze zdrowie, ciała bowiem rzadko używał do czegokolwiek poza noszeniem na nim głowy, w której też głównie toczyło się jego życie. W czasach, gdy dużo czytał, zdobył encyklopedyczną wiedzę o nauce i mitologii, dotyczących śmierci. A zatem we wtorkowy wieczór, tuż po zachodzie słońca, gdy za oknami sklepu zapadła ciemność, jakby nagle wyszło całe światło wszechświata, i gdy trzy żeńskie postacie ruszyły ku niemu przez sklep – siedział właśnie przy niewielkiej lampce na ladzie, przypominającej żółtą wysepkę pośród czerni – był pierwszym człowiekiem od półtora tysiąca lat, który dokładnie wiedział, kim – czym – te postacie są.

– Morrigan – powiedział bez choćby nutki lęku w głosie.

Odłożył książkę, ale nie zaznaczył strony. Zdjął okulary i wytarł je flanelową koszulą, a potem włożył z powrotem, by nie umknął mu żaden szczegół. W tej chwili wyglądały tylko jak niebiesko-czarne, poruszające się kontury, ale je widział. Zatrzymały się, gdy przemówił. Jedna syknęła – nie tak, jak syczy kot, lecz długim, jednostajnym dźwiękiem, przypominającym odgłos powietrza uciekającego z pontonu, który oddziela cię od pełnego rekinów morza. Syk życia, które powoli uchodzi.

– Tak myślałem, że chyba coś się dzieje – stwierdził Anton z lekkim niepokojem. – Wszystkie te znaki i przepowiednia o Luminatusie... Wiedziałem, ale nie sądziłem, że coś się dzieje, ale nie sądziłem, że to wy, we własnej osobie, że tak powiem. Co za emocje.

– Wielbiciel? – odezwała się Nemain.

– Fan – powiedziała Babd.

– Ofiara – poprawiła Macha.

Chodziły wokół niego, tuż za granicą kręgu światła.

– Przeniosłem naczynia duchowe – oznajmił Anton. – Domyśliłem się, że coś się stało innym.

– O, jesteś rozczarowany, że nie jesteś pierwszy? – spytała Babd.

– Będzie jak za pierwszym razem, pączusiu – powiedziała Nemain. – Przynajmniej dla ciebie. – Zachichotała.

Anton sięgnął pod ladę i nacisnął guzik. Stalowe rolety zaczęły osuwać się na drzwi i okna sklepu.

– Boisz się, że uciekniemy, żółwiku – powiedziała Macha. – Nie uważacie, że wygląda jak żółw?

– O, wiem, że rolety nie zatrzymają was w środku, ale nie temu służą. W książkach piszą, że jesteście nieśmiertelne, ale podejrzewam, że to nie do końca prawda. Zbyt wiele krąży opowieści o wojownikach, którzy ranili was na polu bitwy, a potem patrzyli, jak leczycie swoje rany.

– Będziemy tu dziesięć tysięcy lat po twojej śmierci, czyli, pozwolę sobie dodać, licząc od zaraz – powiedziała Nemain. – Dusze, żółwiku. Gdzie są?

Wysunęła pazury, tak by odbiło się od nich światło lampki. Z ich koniuszków skapywały krople jadu, z sykiem upadając na podłogę.

– Więc ty jesteś Nemain – stwierdził Anton.

Morrigan uśmiechnęła się; widział jej zęby w ciemności.

Anton poczuł, że ogarnia go dziwny spokój. Przez trzydzieści lat w ten czy inny sposób przygotowywał się na tę chwilę. Co mówili buddyści? „Tylko przygotowując się na śmierć, możesz prawdziwie żyć”. A jeśli na śmierć nie przygotowywało cię zbieranie dusz i oglądanie umierających ludzi przez trzydzieści lat, to co? Pod ladą ostrożnie odkręcił stalową nakrętkę, skrywającą czerwony przycisk.

– Zainstalowałem te cztery głośniki na zapleczu parę miesięcy temu. Na pewno je widzicie, nawet jeśli ja nie widzę – powiedział Anton.

– Dusze! – warknęła Macha. – Gdzie?

– Oczywiście nie wiedziałem, że to będziecie wy. Myślałem, że przyjdą te małe zwierzątka, które widziałem w okolicy. Jednakże muzyka powinna wam się spodobać.

Morrigan popatrzyły po sobie. Macha zawarczała.

– „Jednakże”? Kto tak mówi?

– Bredzi – powiedziała Babd. – Poddajmy go torturom. Wyjmij mu oczy, Nemain.

– Pamiętajcie, jak wygląda claymore? – spytał Anton.

– Wielki, dwuręczny miecz – odparła Nemain. – Dobry do ścinania głów.

– Wiedziałam, wiedziałam – powiedziała Babd. – Ona się tylko popisuje.

– Wiecie, dzisiaj claymore oznacza coś innego – oznajmił. – Pracując przez dwie dekady w sklepie z rzeczami z drugiej ręki, można zdobyć bardzo ciekawe rzeczy.

Zamknął oczy i nacisnął guzik. Miał nadzieję, że jego dusza znajdzie się w książce, najlepiej w pierwszym wydaniu *Ulicy nadbrzeżnej* – egzemplarz czekał w bezpiecznym miejscu.

Miny przeciwpiechotne claymore, które zainstalował w skrzynkach głośników na zapleczu, eksplodowały, siejąc salwą ośmiuset kulek od łożysk, które teraz leciały w stronę stalowych rolet tuż poniżej prędkości dźwięku, rozrywając na strzępy Antona i wszystko inne na swojej drodze.

\* \* \*

Ray podążał za swą miłością przez Mason Street. Po chwili wskoczyła do tramwaju linowego, którym pokonała resztę drogi pod górę do Chinatown. Kłopot w tym, że choć nietrudno było odgadnąć, dokąd zjeżdżają tramwaje, jeździły one co dziesięć minut, Ray nie mógł więc zaczekać na następny, wskoczyć i krzyknąć: „Za tamtym staroświeckim, lecz oryginalnym środkiem transportu! I gaz do dechy!”. A w zasięgu wzroku nie było taksówki.

Okazało się, że bieg pod strome wzgórze w gorący dzień, w codziennym ubraniu, różni się od biegania po elektrycznej ścieżce w klimatyzowanej sali, za rzędem prężących się lalek do rżnięcia. Gdy dotarł do California Street, ociekał potem i nienawidził miasta San Francisco i wszystkich jego mieszkańców, a także był gotów rzucić Audrey i powrócić do stosunkowo desperackiego oglądania na odległość Kochających Ukraińskich Panienek.

Zatrzymał się koło przystanku przy Powell Street, gdzie tramwaje jadą do Chinatown, i zdołał wsiąść do wagonu za Audrey, by kontynuować zapierający dech w piersiach pościg z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę przez dziesięć kolejnych przecznic, do Market Street.

Audrey wyskoczyła z pojazdu i ruszyła prosto na wysepkę na Market Street, gdzie wsiadła do jednego ze starych tramwajów, który odjechał, zanim Ray dotarł do wysepki. To jakaś diaboliczna tramwajowa superwiedźma, pomyślał Ray. Zdawało się, że tramwaje są akurat tam, gdzie ich potrzebuje, i odjeżdżają, gdy tylko wsiądzie. Była mistrzynią jakiejś czarnej tramwajowej magii, bez wątpienia. (W sprawach sercowych wyobraźnia samca beta może szybko zmienić cię w miotającego się adoratora, a Ray zaczął już tracić tę odrobinę pewności siebie,

którą w sobie zgromadził).

Była to jednak Market Street, najruchliwsza ulica w mieście, więc Ray dość szybko złapał taksówkę i jechał za Audrey całą drogę do dzielnicy Mission. Potem przejechał taksówką jeszcze kilka przecznic, które ona pokonała już pieszo.

Ray trzymał się pięćdziesiąt metrów z tyłu, podążając za Audrey w stronę dużego wiktoriańskiego budynku przy Siedemnastej Ulicy. Na kolumnie przy ganku widniała niewielka tabliczka z napisem ośrodek buddyjski trzy klejnoty. Ray odzyskał oddech i opanowanie, mógł więc bez przeszkód obserwować zza latarni po drugiej stronie ulicy, jak Audrey wspina się na schody ośrodka. Gdy dotarła na górę, drzwi ze szkła ołowiowego otworzyły się i na zewnątrz wypadły dwie starsze panie – były rozgorączkowane i wyraźnie chciały jej jak najszybciej o czymś opowiedzieć. Staruszki wyglądały znajomo. Ray wstrzymał oddech i pogrzebał w kieszeni dzinsów. Wyjął fotokopie zdjęć kobiet, które miał znaleźć dla Charliego. To były one. Esther Johnson i Irena Posokovanovich stały z przyszłą panią Macy. Potem, gdy Ray bezskutecznie próbował odwrócić głowę, drzwi ośrodka buddyjskiego otworzyły się ponownie i na zewnątrz wypadło coś, co wyglądało jak wydra w minisukience z cekinami i butach striptizerki, atakując nogi Audrey za pomocą nożyczek.

\* \* \*

Charlie i inspektor Rivera stali przed sklepem MUZYKA U FRESHA w Castro, próbując zobaczyć coś przez okna z kartonowymi sylwetkami muzyków i ogromnymi okładkami płyt. Zgodnie z informacją na drzwiach, sklep powinien być czynny, ale drzwi były zamknięte, a w środku panowała ciemność. Z tego, co Charlie widział, sklep wyglądał dokładnie tak samo, jak parę lat temu, gdy przyszedł do Fresha, tyle że z jedną, wyraźną różnicą: zniknęła półka pełna świecących naczyń duchowych.

Obok znajdował się sklepik z mrożonymi jogurtami. Rivera wprowadził Charliego do środka, gdzie pogadał z właścicielem, facetem, który wydawał się zbyt wysportowany jak na kogoś, kto sprzedaje słodycze.

– Nie otwierał od pięciu dni – powiedział sklepikarz. – Nikogo z nas nie uprzedził. Nic mu się nie stało?

– Na pewno wszystko u niego w najlepszym porządku – odparł Rivera.

Trzy minuty później inspektor posłużył się policyjnym radiem, by uzyskać numery telefonów i adres domowy Minty'ego Fresha. Gdy pod wszystkimi

numerami zgłosiła się poczta głosowa, pojechali do mieszkania Fresha w Twin Peaks, gdzie przed drzwiami ujrzeli stertę gazet.

Rivera odwrócił się do Charliego.

– Znasz jeszcze kogoś, kto potwierdzi to, co mi mówiłeś?

– Chodzi o innych Handlarzy Śmierci? – spytał Charlie. – Nie znam ich, chociaż o nich wiem. Pewnie nie będą chcieli z panem rozmawiać.

– Właściciel antykwariatu z książkami w Haight i sprzedawca starzyzny przy dolnej Czwartej Ulicy, tak?

– Nie – odparł Charlie. – Nie znam nikogo takiego. Czemu pan pyta?

– Bo obaj zaginęli – wyjaśnił Rivera. – U tego drugiego było na ścianach pełno krwi. A w antykwariacie w Haight leżało na podłodze ludzkie ucho.

Charlie oparł się plecami o ścianę.

– Nie pisali o tym w gazetach.

– Nie ujawniamy takich informacji. Obaj mieszkali sami, nikt nic nie widział, nawet nie wiemy, czy popełniono przestępstwo. Ale teraz, skoro ten Fresh zaginął...

– Myśli pan, że tamci byli Handlarzami Śmierci?

– Nie mówię, że w to wierzę, może to tylko zbieg okoliczności. Ale kiedy Ray Macy zadzwonił dziś do mnie w twojej sprawie, właśnie dlatego pojechałem cię szukać. Chciałem zapytać, czy ich znałeś.

– Ray mnie sypnął?

– Odpuść. Może uratował ci życie.

Po raz setny tego wieczoru Charlie pomyślał o Sophie, zmartwiony, że nie może z nią być.

– Mogę zadzwonić do córki?

– Jasne – odparł Rivera. – Ale właściwie...

– Antykwariat w Mission – powiedział Charlie, wyciągając telefon z kieszeni marynarki. – Najwyżej dziesięć minut stąd. Myślę, że właściciel jest jednym z nas.

Sophie czuła się dobrze i razem z panią Korjev karmiła piekielne ogary Serowymi Jaszczurkami. Spytała Charliego, czy czegoś mu nie potrzeba, a on się rozkleił i musiał zapanować nad swoim głosem, zanim odpowiedział.

Siedem minut później zaparkowali w połowie długości Valencia Street i przez chwilę patrzyli, jak strugi wody z wozów strażackich lecą na drugie piętro budynku, w którym znajdował się antykwariat. Wysiedli z samochodu i Rivera pokazał odznakę policjantowi, który pierwszy dotarł na miejsce.

– Jednostki straży pożarnej nie mogą wejść do środka – oznajmił gliniarz. – Z



tyłu są ciężkie, stalowe drzwi przeciwpożarowe, a te rolety to pół centymetra stali, albo i lepiej.

Na wygiętych na zewnątrz roletach widniały tysiące małych guzów.

– Co się stało? – spytał Rivera.

– Jeszcze nie wiemy – odparł policjant. – Sąsiedzi zgłosili wybuch, i to jest wszystko, co na razie wiemy. Na górze nikt nie mieszkał. Ewakuowaliśmy sąsiednie budynki.

– Dzięki – powiedział inspektor. Zerknął na Charliego i uniósł brwi.

– Fillmore – powiedział Charlie. – Lombard na rogu Fulton i Fillmore.

– Jedziemy – odparł Riviera, biorąc go pod rękę, by pomóc mu szybko pokuśtykać do samochodu.

– Więc nie jestem już podejrzanym? – spytał Charlie.

– Zobaczymy, jeśli przeżyjesz – powiedział Rivera, otwierając drzwi samochodu.

Gdy wsiedli do wozu, Charlie zadzwonił do siostry.

– Jane, proszę, weź Sophie i psy. Zabierz je do siebie.

– Jasne, Charlie, ale właśnie wyczyściłyśmy dywany. Avin i...

– Nie oddzielaj Sophie od ogarów ani na sekundę, rozumiesz?

– Kurde, Charlie. Pewnie.

– Mówię poważnie. Może jej grozić niebezpieczeństwo, a one ją ochronią.

– Co się dzieje? Mam zadzwonić na policję?

– Policja jest ze mną, Jane. Proszę, idź natychmiast po Sophie.

– Już jadę. A jak mam je zapakować do swojego subaru?

– Coś wymyślisz. Jeśli będzie trzeba, przywiąż Alvina i Mohammeda do zderzaka, a potem jedź powoli.

– To okropne, Charlie.

– Wcale nie. Nic im nie będzie.

– Nie, chodzi o to, że oderwały mi zderzak, kiedy poprzednio tego próbowałam. Naprawa kosztowała sześćset dolców.

– Jedź po nią. Zadzwonię za godzinę. – Charlie się rozłączył.

\* \* \*

Claymore są do dupy, tyle wam powiem – stwierdziła Babd. – Kiedyś lubiłam te duże miecze, ale teraz... teraz robią takie wybuchowe i pełne... jak to się nazywa, Nemain?

– Szrapnele.

– Właśnie, pełne szrapneli – powiedziała Babd. – Zaczynałam się już czuć jak dawniej...

– Zamknij się! – warknęła Macha.

– Ale to boli – odparła Babd.

Pływały kanałem burzowym pod Szesnasta Ulicą w Mission. Znowu stały się ledwie dwuwymiarowe i wyglądały jak postrzępione czarne sztandary bitewne, przetarte cienie, zostawiające za sobą ślad czarnej brei. Jedna noga Nemain została całkowicie odcięta. Nemain trzymała ją pod pachą, gdy siostry holowały ją przez kanał.

– Możesz latać? – spytała ją Babd. – Robisz się ciężka.

– Nie tu na dole, a na górę nie wrócę.

– Musimy wrócić na Powierzchnię – stwierdziła Macha. – Jeśli chcesz wyzdrowieć, zanim minie milenium.

Gdy trzy śmiercionośne ślicznotki dotarły do szerokiego rozgałęzienia kanałów pod Market Street, usłyszały plusk w rurze przed sobą.

– Co to było? – spytała Babd.

Zatrzymały się. Coś bębniło w rurę, do której się zbliżały.

– Co to było? Co to było? – pytała Nemain, której siostry zasłaniały widok.

– Wyglądało jak wiewiórka w sukni balowej – stwierdziła Babd. – Ale jestem osłabiona i mogę mieć zwidy.

– I możesz być idiotką – dodała Macha. – To była darowana dusza. Bierz ją! Możemy nią wyleczyć nogę Nemain.

Macha i Babd upuściły okaleczoną siostrę, po czym rzuciły się naprzód w stronę rozgałęzienia, gdy nagle drogę zastąpił im boston terier.

Wycofującym się kanałem Morrigan towarzyszył odgłos przywodzący na myśl rozdzieranie pazurami koronki.

– Uuu, uuu, uuu – zawyła Macha, skrobiąc resztkami szponów rurę.

Bummer wyszczał ostrą groźbę, po czym pomknął rurą za siostrami Morrigan.

– Nowy plan, nowy plan, nowy plan – powiedziała Babd.

– Nie cierpię psów – stwierdziła Macha.

Złapały siostrę, gdy ją mijały.

– My, boginie śmierci, które wkrótce będą władać wszystkim pod ciemnym niebem, uciekamy przed małym pieskiem – powiedziała Nemain.

– I co z tego, kretynko?

\* \* \*

Tymczasem w dzielnicy Fillmore Carrie Lang zamknęła lombard na noc i czekała, aż ultradźwiękowa czyszczarka skończy czyścić biżuterię, którą Carrie przyjęła tego dnia. Chciała mieć to już za sobą, wyjść, wrócić do domu na kolację, a potem może jeszcze gdzieś wyjść na parę godzin. Miała trzydzieści sześć lat i była samotna, czuła więc, że ma obowiązek wychodzić, bo istniała nikła szansa, że pozna miłego faceta, chociaż, prawdę mówiąc, wolałaby siedzieć w domu i oglądać paradokumentalne kryminały w telewizji. Była dumna z siebie, że nie stała się cyniczna. Właścicielka lombardu, zupełnie jak poręczyciel, często widzi ludzi od najgorszej strony, a jednak każdego dnia odrzucała myśl, że ostatni porządny facet został perkusistą albo ćpunem.

Ostatnio nie chciała wychodzić z domu z powodu dziwnych rzeczy, które widziała i słyszała na ulicy – jakieś stwory, przemykające w cieniu, szepty ze studzienek kanalizacyjnych. Siedzenie w domu stawało się coraz lepszym rozwiązaniem. Zaczęła nawet zabierać do pracy swojego pięcioletniego basseta, Cheerfula. Nie zapewniał może szczególnej ochrony, chyba że napastnik sięgałby jej najwyżej do kolan, ale umiał bardzo głośno szczekać i istniała spora szansa, że zaszczeka akurat na złoczyńcę, o ile ten nie będzie miał psich ciasteczek. Jak się okazało, stworzenia, które tego wieczoru dokonały inwazji na jej lombard, faktycznie nie sięgały jej nawet do kolan.

Carrie była Handlarką Śmierci od dziewięciu lat. Kiedy już się otrząsnęła z początkowego szoku, wywołanego całym zjawiskiem wędrówki dusz (co trwało raptem około czterech lat), zaczęła to traktować po prostu jako część swojej pracy. W *Bardzo wielkiej księdze Śmierci* wyczytała jednak, że coś się szykuje, i bała się jak diabli.

Gdy podeszła do wystawy, by zasunąć rolety antywłamaniowe, usłyszała, że w ciemności za nią coś się porusza, nisko, obok gitar. Musnęło strunę E i rozległ się wibrujący dźwięk, niczym ostrzeżenie. Zostawiła rolety i sprawdziła, czy ma ze sobą klucze, na wypadek gdyby musiała uciekać frontowymi drzwiami. Rozpięła kaburę z rewolwerem, a potem pomyślała: a, co tam, nie jestem gliną. Wyciągnęła broń i wymierzyła we wciąż grającą gitarę. Policjant, z którym spotykała się przed laty, namówił ją, by podczas pracy miała przy sobie rewolwer Smith & Wesson, i chociaż jeszcze nigdy nie musiała go wyciągać, wiedziała, że to dobry straszak na złodziei.

– Cheerful?! – zawołała.

Odpowiedziało jej szuranie na zapleczu. Dlaczego zgasła prawie wszystkie światła? Włączniki znajdowały się na zapleczu. Poruszała się teraz przy lampkach w gablotach, prawie wcale nieoświetlających podłogi, spod której dochodził hałas.

– Mam broń i wiem jak jej użyć – powiedziała, czując się głupio już w chwili, gdy wypowiedziała te słowa.

Tym razem odpowiedziało jej stłumione skomlenie.

– Cheerful!

Zanurkowała pod unoszoną część ludy i pognęła na zaplecze, wymachując lufą pistoletu, tak jak robili policjanci w telewizji. Kolejne skomlenie. Zauważyła sylwetkę Cheerfula, który leżał w swoim ulubionym miejscu przy tylnych drzwiach. Dostrzegła też coś na jego łapach i pysku. Taśma klejąca.

Wyciągnęła rękę, by zapalić światło, i coś uderzyło ją pod kolanami. Próbowwała się obrócić, lecz coś walnęło ją w klatkę piersiową i zważyło z nóg. Gdy upadała, ostre pazury przejechały po jej nadgarstkach i w tym momencie wypuściła broń z ręki. Uderzyła głową o kłamek. W jej głowie zajaśniało światło stroboskopowe, a potem coś mocno walnęło ją w kark i wszystko stało się czarne.

Było wciąż ciemno, gdy odzyskała przytomność. Nie umiała powiedzieć, jak długo leżała zamroczone, i nie mogła się ruszyć, by spojrzeć na zegarek. O, Boże, złamały mi kark, pomyślała. Widziała przesuwające się obok przedmioty, świecące na czerwono, wyławiające z mroku sylwetki istot, które je niosły – ujrzała małe twarzyczki kościotrupów, kły, szpony i martwe, puste oczodoły. Naczynia duchowe wyglądały, jakby płynęły nad podłogą pod eskortą trupich marionetek. Potem poczuła pazury i ciała stworzeń, dotykające jej, poruszające się pod nią. Próbowwała krzyczeć, ale usta miała zaklejone taśmą.

Poczuła, że ją podnoszą, potem dostrzegła kontur otwierających się tylnych drzwi – przeniesiono ją przez nie na wysokości około trzydziestu centymetrów nad podłogą.

Potem postawiono niemal do pionu i poczuła, że opada w mroczną otchłań.

\* \* \*

Gdy dotarli na miejsce, zastali otwarte tylne drzwi lombardu i owiniętego taśmą basseta w kącie. Rivera omiótł wzrokiem sklep, trzymając broń i latarkę, po czym, nie zobaczywszy nikogo, zawołał Charliego do środka.

Charlie wszedł i zapalił światło.

– O, rany – powiedział.

– Co? – spytał Rivera.

Charlie wskazał gablotę wystawową z wybitą szybą.

– Tutaj wystawiała naczynia duchowe. Gablota była niemal pełna, kiedy tu byłem, a teraz...

Inspektor popatrzył na pustą wystawę.

– Niczego nie dotykaj. Cokolwiek się tu zdarzyło, to raczej nie był ten sam sprawca, który załatwił pozostałych.

– Dlaczego? – Charlie popatrzył na basseta na zapleczu.

– Dlatego – odparł Rivera, wskazując psa. – Nie więziesz psa, jeśli zamierzasz urządzić rzeź i zostawić wszędzie krew i części ciała. To nie ta sama mentalność.

– Może go wiązała, kiedy ją zaskoczyli – powiedział Charlie. – Wyglądała trochę jak policjantka.

– Tak, a wszyscy policjanci mają świra na punkcie wiązania psów, to chcesz powiedzieć?

– Nie. Przepraszam. Ale miała rewolwer.

– Musiała być tutaj – stwierdził Rivera. Inaczej włączyłyby się alarmy. Co tam jest na kłamce? – Przecinał taśmę na łapach basseta, uważając, by go nie skaleczyć. Skinął głową w stronę drzwi na zaplecze.

– Krew – stwierdził Charlie. – I trochę włosów.

Rivera pokiwał głową.

– Tam na podłodze też jest krew? Nie dotykaj.

Charlie popatrzył na kilkucentymetrową kałużę po lewej stronie drzwi.

– Tak mi się wydaje.

Inspektor uwolnił łapy psa i klęczał nad nim, trzymając o nieruchomo i ściągając mu taśmę z pyska.

– Te ślady w kałuży, nie rozmaz ich. Co to, częściowe odciski butów?

– Wyglądają jak ślady ptasich nóg. Może kurzych?

– Nie.

Rivera puścił psa, który natychmiast próbował wskoczyć na jego włoskie spodnie i polizać go po twarzy. Inspektor przytrzymał basseta za obrozę i podszedł do miejsca, gdzie Charlie oglądał ślady.

– Faktycznie, wyglądają jak ślady kurzych łap – stwierdził.

– Tak – przyznał Charlie. – A pan ma psią ślinę na marynarce.

– Muszę to zgłosić.

– Więc psia ślina decyduje o wezwaniu wsparcia?

– Zapomnij o ślinie. Ślina nie ma znaczenia. Muszę to zgłosić i wezwać swojego partnera. Wkurzy się, że tak długo zwlekałem. Zabiorę cię do domu.

– Jeśli nie usunie pan plamy z garnituru za tysiąc dolarów, uzna pan, że to jednak ma znaczenie.

– Skup się, Charlie. Kiedy tylko sprowadzę tu oddział, odsyłam cię do domu. Masz mój numer na komórkę. Daj znać, gdyby coś się działo. Cokolwiek.

Inspektor zadzwonił do centrali i polecił przysłać oddział mundurowych i techników kryminalnych, gdy tylko będą dostępni. Gdy zamknął telefon, Charlie zapytał:

– Więc nie jestem już aresztowany?

– Nie. Bądźmy w kontakcie. I uważaj na siebie, dobra? Może zechcesz nawet spędzić parę dni poza miastem.

– Nie mogę. Jestem Luminatusem. Mam swoje obowiązki.

– Ale nie wiesz, co to za obowiązki...

– To nie oznacza, że ich nie mam – stwierdził Charlie, może trochę za bardzo przechodząc do defensywy.

– I na pewno nie wiesz, ilu Handlarzy Śmierci jest w San Francisco ani gdzie ich szukać?

– Minty Fresh mówił, że przynajmniej tuzin, tylko tyle wiem. Ta kobieta i facet z Mission byli jedynymi, których zauważyłem podczas spacerów.

Usłyszeli, że w zaułku zatrzymuje się samochód i Rivera poszedł do tylnych drzwi, by pokazać się funkcjonariuszom, po czym wrócił do Charliego.

– Idź do domu i prześpij się, jeśli zdołasz. Będziemy w kontakcie.

Charlie pozwolił, by mundurowy policjant zaprowadził go do radiowozu i pomógł usiąść z tyłu, po czym pomachał inspektorowi i bassetowi, gdy samochód wyjeżdżał na wstecznym z zaułka.

## POPIEPRZONY DZIEŃ

Był to popieprzony dzień w mieście nad zatoką. O świcie stada sępów przysiadły na mostach Golden Gate i Bay, i patrzyły w dół na udających się do pracy mieszkańców, jakby bezczelnością z ich strony było to, że jeszcze żyją i jeżdżą samochodami. Śmigłowce skierowane do sfotografowania padlinożernych ptaków zajęły się w końcu spiralną chmurą nietoperzy, które przez dziesięć minut okręzały piramidę Transamerica, po czym najwyraźniej wyparowały, zmieniając się w czarną mgłę, która odleciała znad zatoki. Utonęło trzech pływaków, rywalizujących w zawodach triathlonowych, a kamera ze śmigłowca zarejestrowała ciemny kształt pod wodą, zbliżający się do jednego z nich i wciągający go pod powierzchnię. Liczne powtórki wykazały, że nie była to smukła sylwetka rekina. Stworzenie było bardzo szerokie i miało wyraźne rogi na głowie, w przeciwieństwie do wszystkich płaszczyk i mant, jakie dotąd widziano. Kaczki z Golden Gate Park zerwały się nagle do lotu i odfrunęły w siną dal, zniknęły też setki uchatek, zwykle wylegujących się na słońcu przy molo 39. Nawet gołębie najwyraźniej zwinęły się z miasta.

Naburmuszony reporter, który szykował materiał z nocnych działań policji, zauważył związek między siedmioma doniesieniami o aktach przemocy i zaginięciach w miejscowych sklepach z rzeczami używanymi. Wczesnym wieczorem wspominały już o tym telewizje, pokazując efektowne zdjęcia płonącego antykwariatu w Mission. Były też setki pojedynczych wydarzeń, spotykających różne osoby: jakieś stwory poruszające się w ciemnościach, głosy i krzyki z kanałów, zsiadające się mleko, koty drapiące właścicieli, wyjące psy i tysiące osób, które po przebudzeniu stwierdziły, że nie cieszy ich już smak czekolady. Popieprzony dzień.

Resztę nocy Charlie spędził na bieganiu w kółko i sprawdzaniu zamków, potem ponownym ich sprawdzaniu, potem na poszukiwaniu w Internecie informacji o Zaświatowcach, na wypadek gdyby ktoś umieścił tam nowiutki starożytny dokument od czasu, gdy Charlie poprzednio sprawdzał. Napisał testament i kilka listów, po czym wyszedł i wrzucił je do skrzynki, zamiast położyć wraz z pocztą do wysłania na ladzie. O świcie był już zupełnie wyczerpany, choć jego wyobraźnia samca beta pędziła z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę. Wziął dwa proszki

nasenne, które dała mu Jane, i przespał popieprzony dzień, po czym rano obudził go telefon od kochanej córeczki.

– Halo.

– Ciocia Cassie jest antysemitką – powiedziała Sophie.

– Kochanie, jest szósta rano. Możemy trochę później porozmawiać o poglądach politycznych cioci Cassie?

– Nie, jest szósta wieczorem. Pora na kąpiel, a ciocia Cassie nie pozwala mi zabrać Alvina i Mohammeda do łazienki, bo jest antysemitką.

Charlie zerknął na zegarek. W jakimś sensie cieszył się, że jest szósta wieczorem i że rozmawia ze swoją córką. Nie zmieniło tego nic, co się działo, gdy spał.

– Cassie nie jest antysemitką. – Po drugiej stronie rozległ się głos Jane.

– Właśnie, że jest – odparła Sophie. – Uważaj, tato, ciocia Jane sympatyzuje z antysemitami.

– Nieprawda – zaproponowała Jane.

– Słyszysz, jaką mam mądrą córkę? – powiedział Charlie. – Ja w jej wieku nie znałem takich słów jak „antysemita” czy „sympatyzować”, a ty?

– Gojom nie można ufać, tato – oznajmiła Sophie. Zniżyła głos: – Nie cierpią kąpieli, ci goje.

– Tata to też goj, skarbie.

– O, Boże, oni są wszędzie, jak kosmici! – Usłyszał, że córka rzuca telefon i krzyczy, a potem rozległo się trzaśnięcie drzwi.

– Sophie, natychmiast otwórz te drzwi – powiedziała Cassie w tle.

– Charlie, skąd ona to wszystko bierze? Uczysz ją tego? – spytała Jane.

– To pani Korjev. Pochodzi od Kozaków i ma pewne poczucie winy za to, co jej przodkowie robili Żydom.

– A – powiedziała Jane, tracąc zainteresowanie tematem, skoro nie mogła obwinie Charliego. – Nie powinieneś wpuszczać z nią psów do łazienki. Jedzą mydło, a czasami wchodzi do wanny i wtedy...

– Pozwól im z nią wejść, Jane – przerwał Charlie. – Być może tylko one mogą ją ochronić.

– Dobra, ale pozwolę im tylko jeść tanie mydła. Nie te francuskie.

– Krajowe mydło w zupełności wystarczy. Słuchaj, w nocy przygotowałem holograficzny testament. Gdyby coś mi się stało, chcę, żebyś wychowała Sophie. O tym też tam jest.

Nie odpowiedziała. Po drugiej stronie nie słyszał nawet jej oddechu.



– Jane?

– Jasne, jasne. Ma się rozumieć. Cholera, co się z wami dzieje? Jakie to wielkie niebezpieczeństwo grozi Sophie? Dlaczego mówisz takie straszne rzeczy? I dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej, skurwielu?

– Całą noc nie spałem i robiłem różne rzeczy. Potem wziąłem dwa proszki nasenne, które mi dałaś. I nagle minęło dwanaście godzin.

– Wziąłeś dwa? Nigdy nie bierz dwóch.

– Tak, dzięki – odparł. – Tak czy owak, na pewno nic mi się nie stanie, ale gdyby z jakiegoś powodu się stało, musisz zabrać Sophie i na jakiś czas wyjechać z miasta. Na przykład, w góry Sierra. Wysłałem ci też list, w którym wszystko wyjaśniam, przynajmniej tyle, ile wiem. Otwórz go tylko pod warunkiem, że coś się stanie, dobra?

– Lepiej, żeby nic się nie działo, ty fiucie. Dopiero straciłam mamę i... dlaczego, do diabła, tak mówisz, Charlie? W jakie kłopoty się wpakowałeś?

– Nie mogę ci powiedzieć. Musisz mi uwierzyć, że nie miałem wyboru.

– Jak mogę ci pomóc?

– Robiąc dokładnie to, co robisz. Opiekuj się Sophie, dbaj o jej bezpieczeństwo i zawsze trzymaj przy niej ogary.

– Dobra, ale lepiej, żeby nic ci się nie stało. Cassie i ja bierzemy ślub i chcę, żebyś mnie poprowadził. I chcę pożyczyć twój smoking. To Armani, tak?

– Nie, Jane.

– Nie zaprowadzisz mnie?

– Nie, nie o to chodzi, zapłaciłbym jej, żeby cię zabrała, nie w tym rzecz.

– Czyli uważasz, że osoby homoseksualne nie powinny mieć prawa do ślubów, mam rację? Nareszcie wyszło szydło z worka. Wiedziałam, w końcu...

– Po prostu nie uważam, że osoby homoseksualne powinny brać ślub w moim smokingu.

– Aha – powiedziała Jane.

– Ty włożysz mój smoking od Armaniego, a ja będę musiał wypożyczyć jakiś szajs albo kupić coś nowego i taniego. A potem do końca świata będę wyglądał na tych ślubnych zdjęciach jak dupek. Wiem, jak wy lubicie pokazywać ślubne zdjęcia. To jakaś choroba.

– „Wy”, czyli lesbijki? – spytała Jane głosem, który bardzo kojarzył się z prokuratorem.

– Tak, lesbijki, idiotko – odparł Charlie głosem, który bardzo kojarzył się z wrogo nastawionym świadkiem.

– No dobra – powiedziała. – To mój ślub, więc chyba mogę sobie kupić smoking.

– Byłoby miło – odparł Charlie.

– I tak ostatnio muszę przerabiać spodnie, żeby były luźniejsze w tyłku – dodała.

– Dobra dziewczynka.

– Więc będziesz bezpieczny i możesz mnie zaprowadzić.

– Na pewno spróbuję. Myślisz, że Cassandra pozwoli mi przyprowadzić żydowską dziewczynkę?

Jane parsknęła śmiechem.

– Dzwon co godzinę – powiedziała.

– Nic z tego.

– To dzwoń, kiedy będziesz mógł:

– Tak – odparł Charlie. – Pa.

Uśmiechnął się do siebie i sturlał z łóżka, zastanawiając się, czy przypadkiem nie jest to jego ostatni uśmiech.

\* \* \*

Wziął prysznic, zjadł kanapkę z masłem orzechowym i dżemem, po czym włożył garnitur za tysiąc dolarów, za który zapłacić czterdzieści. Przez kilka chwil kuśtykał po sypialni, by w końcu stwierdzić, że noga ma się całkiem nieźle i że da sobie radę bez gipsu, więc zostawił go na podłodze przy łóżku. Zaparzył kawę i zadzwonił do inspektora Rivery.

– To był popieprzony dzień – stwierdził Rivera. – Charlie, musisz zabrać córkę i wyjechać z miasta.

– Nie mogę. Tu chodzi o mnie. Będzie mnie pan informował na bieżąco, prawda?

– Obiecujesz, że nie zrobisz nic głupiego ani bohaterskiego?

– Nie mam tego w genach, inspektorze. Zadzwoń, jeśli coś się pojawi.

Charlie rozłączył się, nie mając pojęcia co ma robić, ale czuł, że coś zrobić musi. Zatelefonował do domu Jane, żeby powiedzieć Sophie „dobranoc”.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że cię bardzo kocham, skarbie.

– Ja ciebie też, tato. Czemu zadzwoniłeś?

– A co, macie jakieś spotkanie?

– Jemy lody.

– Fajnie. Słuchaj, Sophie, tata musi załatwić parę spraw. Chcę, żebyś została u cioci Jane przez parę dni, dobrze?

– Dobrze. Potrzebujesz jakiejś pomocy? Jestem wolna.

– Nie, skarbie, ale dziękuję.

– Dobrze, tato. Alvin patrzy na mojego loda. Jest chyba głodny jak niedźwiedź. Muszę kończyć.

– Kocham cię, skarbie.

– Kocham cię, tato.

– Przeprós ciocię Case, że nazwałaś ją antysemitką.

– Dobra. – Trzask.

Rozłączyła się. Jego oczko w głowie, światło jego życia, jego duma i radość rozłączyła się. Westchnął, ale poczuł się lepiej. Rozczarowanie to środowisko naturalne samca beta.

Poszedł do kuchni i przez kilka minut ostrzył klingę swojego miecza w lasce o elektryczny otwieracz do konserw, który dostali z Rachel w prezencie ślubnym. Potem wrócił do sklepu.

Kiedy otworzył drzwi na tylne schody, usłyszał dobiegające ze sklepu dziwne, zwierzęce odgłosy. Zdawało się, że dochodzą z zaplecza. Światła nie były zapalone, ze sklepu jednak sączył się blask. Co to było? Kwestia, co ma teraz robić, została w pewnym sensie rozwiązana.

Wyciągnął miecz z laski i zaczął się skradać po schodach na dół, w przysiadzie, by stopnie za bardzo nie skrzypiały. W połowie schodów zobaczył źródło zwierzęcych dźwięków, wzdrygnął się i podskoczył o parę stopni w górę.

– Na miłość boską!

– Trzeba to było zrobić – powiedziała Lily.

Siedziała okrakiem na Rayu Macym. Jej plisowana spódnica przykrywała na szczęście te fragmenty Raya, na widok których Charlie musiałby wydrapać sobie oczy. Zresztą i tak rozważał ten pomysł.

– To prawda – przyznał bez tchu Ray.

Charlie nieśmiało zajrzał na zaplecze – ciągle to robili, Lily ujeżdżała Raya jak mechanicznego byka. Naga pierś, uwolniona z kucharskiego fartucha, rytmicznie podskakiwała.

– Był przybity – powiedziała. – Zastałam go, jak robił sobie dobrze sklepowym odkurzaczem. W imię wyższego dobra, Charlie.

– Przestańcie – powiedział Charlie.

– Nie, nie, nie, nie, nie – odparł Ray.

– Dobry uczynek – dodała Lily.

– Wiesz, Lily – powiedział Charlie, zakrywając oczy – mogłabyś spełniać dobre uczynki w inny sposób. Mikołaj z Armii Zbawienia czy coś.

– Nie chcę się z nimi bzykać. Większość z tych gości to alkoholicy i śmierzdzą. Ray jest przynajmniej czysty.

– Nie zerznąć Mikołaja, tylko nim być. Dzwonić dzwonkiem przy czerwonym czajniku. Jezu.

– Jestem czysty – powiedział Ray.

– Zamknij się – odparł Charlie. – Mogłaby być twoją córką.

– Miał myśli samobójcze – wtrąciła Lily. – Być może ratuję mu życie.

– Ratuje – potwierdził Ray.

– Zamknij się, Ray – przerwał mu Charlie. – To żałosny, desperacki seks z litości i tyle.

– Wie o tym – stwierdziła Lily.

– Nie przeszkadza mi to – powiedział Ray.

– Robię to też dla sprawy – dodała dziewczyna. – Ray coś przed tobą ukrywał.

– Naprawdę? – spytał Ray.

– Jak to? – powiedział Charlie.

– Znalazł kobietę, która kupowała wszystkie naczynia duchowe. Mieszkała z klientkami, których nie znalazł gdzieś w Mission. Nie chciał ci o tym powiedzieć.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedział Ray. A potem dodał: – Szybciej, proszę.

– Podaj mu adres – poleciła Lily.

– Lily – wtrącił Charlie. – To nie jest konieczne.

– Nie – odparł Ray.

Rozległo się donośne klaśnięcie. Charlie otworzył oczy. Tamci wciąż to robili, ale prawy policzek Raya nabrał jaskrawo czerwonej barwy, a Lily zamierzała się do kolejnego cios.

– Powiedz mu!

– Przy Guerrero Street, między Osiemnastą a Dziewiętnastą, nie pamiętam numeru, ale to duży, zielony, wiktoriański dom. Nie przegapisz. Ośrodek Buddyjski Trzy Klejnoty.

PLASK!

– Au, powiedziałem mu – jęknął Ray.

– Za to, że nie zapisałeś adresu, sukinsynu! – odparła dziewczyna. Potem zwróciła się do Charliego: – Proszę bardzo, Asher. Chcę dostać ważne stanowisko,

kiedy już obejmiesz Zaświaty!

Charlie pomyślał, że gdy już to nastąpi, zacznie od uzupełnienia *Bardzo wielkiej księgi Śmierci* o wskazówki, jak postępować w podobnych sytuacjach. Ale zamiast tego powiedział:

– Załatwione, Lily. Będziesz odpowiadać za stroje i tortury.

– Pięknie – stwierdziła. – Wybacz, Asher, muszę to skończyć. – I do Raya: – Słyszałeś? Koniec z flanelowymi koszulami, łachudro.

PLASK!

Sapanie Raya stało się szybsze i donośniejsze.

– Jasne – rzekł Charlie. – Wyjdę drugimi drzwiami.

– Na razie – powiedział Ray.

– Już nigdy nie spojrzę wam w oczy, dobra?

– Brzmi nieźle, Asher – odparła Lily. – Uważaj na siebie.

Charlie wspiał się z powrotem po schodach, wyszedł przez główne drzwi swojego mieszkania i zjechał windą do wyjścia na ulicę, po drodze cały czas powstrzymując odruch wymiotny. Na ulicy złapał taksówkę i pojechał do Mission, starając się odegnać obraz swoich bzykających się pracowników.

\* \* \*

Siostry Morrigan goniły za darowanymi duszami, które uciekły przez studzienki, aż do opuszczonej ulicy w Mission. Teraz czekały, obserwując zielony, wiktoriański budynek spod kratek odpływowych po obu krańcach uliczki. Były już ostrożniejsze. Wyglądało na to, że solidne lanie poprzedniego wieczoru nieco złagodziło ich drapieżną naturę.

Nazywały je darowanymi duszami, bo dziwaczne, małe zwierzęta przyniosły je prosto do kanałów – dary pojawiły się w chwili największej słabości sióstr. Po tym, jak przekłęty boston terier ścigał je przez całe kilometry rur i zostawił dopiero na wysokiej półce przy rozgałęzieniu kanałów, do środka wmaszerowało około dwudziestu kochanych, koszmarnych stworków w kosztownych strojach, niosąc to, czego Morrigan potrzebowały, by wyleczyć rany i nabrać sił: ludzkie dusze. Wtedy mogły już przepędzić tego uprzykrzonego psa. Siostry Morrigan wróciły, choć nie tak silne, jak przed eksplozją, może nawet niezdolne do lotu. Bez wątplenia jednak mogły znowu zapuścić się na Powierzchnię, zwłaszcza gdy czekało tyle dusz.

Tej nocy na ulicach nie było nikogo z wyjątkiem ćpunów, dziwek i włóczęgów. Po popieprzonym dniu niemal wszyscy stwierdzili, że lepiej i bezpieczniej będzie

zostać w domu. Dla sióstr Morrigan (o ile w ogóle je to obchodziło) byli tam bezpieczni tak, jak tuńczyk jest bezpieczny w puszcze, ale jeszcze nikt o tym nie wiedział. Nikt nie wiedział, przed czym się ukrywa – oprócz Charliego Ashera, który na oczach sióstr wysiadł z taksówki.

– Nowe Mięso – stwierdziła Macha.

– Powinniśmy nadać mu nowe imię – zaproponowała Babd. – Znaczy, właściwie to już nie jest taki nowy.

– Ciii – syknęła Macha.

– Ej, kochanku! – zawołała Babd ze studzienki. – Tęskniłeś za mną?

\* \* \*

Charlie zapłacił za taksówkę i stanął pośrodku ulicy, patrząc na wielki, wiktoriański budynek o barwie nefrytu.

W wieżyczce na górze i w jednym z okien na dole paliły się światła. Ledwie widział tabliczkę z napisem OŚRODEK BUDDYJSKI TRZY KLEJNOTY. Ruszył w stronę budynku i nagle w kratce pod gankiem dostrzegł ruch – błysk oczu. Może to był kot? Zadzwoiła jego komórka, więc ją otworzył.

– Charlie, mówi Rivera. Mam dobre wieści. Znaleźliśmy Carrie Lang, kobietę z lombardu. Żyje. Leżała związana w śmietniku przecznice od swojego sklepu.

– To świetnie – odparł Charlie.

Wcale jednak nie czuł się świetnie. Stworzenia, które poruszały się pod gankiem, zaczęły teraz wychodzić. Wspinały się po schodach, stawały rzędem i patrzyły na niego. Było ich dwadzieścia albo trzydzieści, miały nieco ponad trzydzieści centymetrów wzrostu i nosiły ozdobne, historyczne kostiumy. Każdy miał trupi pysk martwego zwierzęcia, kota, lisa, borsuka – i zwierząt, których Charlie nie umiał rozpoznać. W każdym razie były to tylko czaszki o pustych, czarnych oczodołach. A jednak patrzyły.

– Nie uwierzysz, co, według jej zeznań, wrzuciło ją do śmietnika. Małe zwierzęta, małe potwory, tak powiedziała.

– Mniej więcej trzydziestocentymetrowe – dodał Charlie.

– Tak, skąd wiesz?

– Mnóstwo zębów i pazurów, jakby kawałki zwierząt pozlepiane razem? I wszystkie poubierane jak na bal przebierańców?

– Co chcesz mi powiedzieć? Co wiesz?

– Tylko zgaduję – odparł Charlie. Zwolnił blokadę na mieczu w lasce.

– Ej, kochanku – rozległ się za nim żeński głos. – Tęskniłeś za mną?

Odwrócił się. Wypełzała z kanału niemal dokładnie za nim.

– Złe wieści – powiedział Rivera – są takie, że znaleźliśmy tego handlarza starzyzną i tego antykwariusza. W kawałkach.

– To faktycznie złe wieści – przyznał Charlie. Ruszył ulicą, oddalając się od harpii i ganku pełnego satanicznych pacynek.

– Nowe Mięso – rozległ się głos przed nim.

Podniósł wzrok na kolejną harpię, która wypełzała z kanału, z oczami połyskującymi na czarno w świetle latarni. Za sobą usłyszał klekot małych, zwierzęcych ząbków.

– Charlie, nadal uważam, że powinieneś na jakiś czas wyjechać, ale jeśli nie wyjedziesz, i jeśli nikomu nie powiesz, że usłyszałeś to ode mnie, powinieneś sprawić sobie broń, może nawet kilka sztuk.

– To genialna myśl – stwierdził Charlie.

Dwie harpie z kanałów podchodziły do niego powoli, niezdarnie, jakby w ich układzie nerwowym nastąpiło zwarcie. Ta, która była bliżej, ta z zaułka na North Beach, oblizywała wargi. Wyglądała trochę niechlujnie w porównaniu z tamtą nocą, gdy go uwiodła. Odszedł w górę ulicy, byle dalej od nich.

– Obrzyna, to nie będziesz musiał uczyć się strzelać. Nie mogę ci takiego dać, ale...

– Inspektorze, oddzwonię później.

– Mówię poważnie, Charlie, czymkolwiek one są, na pewno ścigają takich jak ty.

– Nie ma pan pojęcia, jak dobrze to rozumiem.

– To ten, który do mnie strzelał? – spytała bliższa z harpii. – Powiedz, że wyszę mu gałki oczne i wsadzę do uszu.

– Słyszał pan, inspektorze?

– To ona?

– One – poprawił Charlie.

– Tędy, Mięso – powiedziała trzecia harpia, wychodząc ze studzienki w odległym końcu ulicy. Wstała, wysunęła pazury i bryznęła jadem na bok zaparkowanego samochodu. Tam, gdzie trafił jad, lakier zasyczał i spłynął z karoserii.

– Gdzie jesteś, Charlie? Gdzie jesteś?

– W Mission. Blisko Mission Street – odparł.

Zwierzątka schodziły ze stopni na chodnik, a potem na jezdnię.

- Zobaczcie – powiedziała jedna z harpii. – Przyniósł prezenty.
- Charlie, gdzie dokładnie jesteś? – spytał Rivera.
- Muszę kończyć, inspektorze. – Charlie zamknął telefon i wrzucił go do kieszeni płaszcza. Potem wysunął miecz z laski i obrócił się do harpii z zaułka. – To dla ciebie – oznajmił, wywijając bronią w powietrzu.
- Jak miło – odrzekła. – Zawsze myślisz o moich potrzebach.

\* \* \*

Cadillac eldorado brougham, rocznik 1957, był jedną z najbardziej szpanerskich maszyn śmierci. Składał się z niemal trzech ton stali, ukształtowanej w potężną bestię o wysokim ogonie i wykończoną taką ilością chromu, że można by zrobić Terminatora i jeszcze by zostało, w większości w formie długich, ostrych pasów, które odrywały się przy zderzeniu i zmieniały w śmiercionośne kosy do cięcia przechodniów. Pod czterema reflektorami pyszniły się dwa chromowe, wystające guzy na zderzaku, które wyglądały jak nieodpalone torpedy albo śmiercionośne cycki Madonny w rozmiarze potrójne G. Miał sztywną kolumnę kierownicy, która wbijała się w kierowcę przy każdym poważniejszym wypadku, elektryczne szyby, zdolne obciąć głowę dziecku, zero pasów bezpieczeństwa i silnik V8 o mocy 325 koni mechanicznych i tak ogromnym spalaniu, że dosłownie było słyhać, jak próbuje wyssać z podziemi zmienione w ropę dinozaury. Osiągał sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę i miał miękkie zawieszenie, które w żaden sposób nie stabilizowało jazdy z taką prędkością, a także zbyt małe hamulce, niezdolne go zatrzymać. Płetwy, sterczące z tyłu, były tak wysokie i ostre, że samochód stanowił śmiertelne zagrożenie dla pieszych nawet wtedy, gdy był zaparkowany, całość zaś opierała się na wysokich oponach z białymi bokami, które wyglądały – a także działały – jak ogromne, posypane pudrem precle. W Detroit nie uzyskaliby bardziej śmiercionośnej, płetwiastej ostentacji, nawet gdyby wzięli orkę i pokryli ją kryształami górskimi. To było arcydzieło. A dlaczego musicie to wszystko wiedzieć? Bo oprócz wymęczonych bojem siostr Morrigan i świetnie ubranych chimery, do Charliego w szybkim tempie zbliżał się właśnie cadillac eldorado, rocznik '57.

\* \* \*

Eldorado o barwie krwistej czerwieni pokonał zakręt. Opony piszczały niczym



płonące pawie, kołpaki toczyły się w stronę krawężnika, a silnik wył, ziejąc niebieskim dymem na podobieństwo wzdętego smoka. Pierwsza z sióstr Morrigan obróciła się i zderzakowy pocisk wbił się w jej udo, nim została wciągnięta pod podwozie i wyrzucona z tyłu w postaci bezładnej, czarnej sterty. Reflektory zapłonęły i cadillac skręcił w stronę harpii, która stała najbliżej Charliego.

Cudaczne zwierzęta pomknęły z powrotem na chodnik, a Charlie wskoczył na maskę zaparkowanej obok hondy. Tymczasem eldorado z piskiem hamulców uderzył w drugą z sióstr. Przeleciała nad maską jak szmaciana lalka i spadła dwadzieścia metrów dalej. Cadillac przyspieszył i trafił ją znowu, tym razem przejeżdżając po niej z serią łoskotów. Potoczyła się po asfalcie, odpadały jej kawałki ciała. Samochód pomknął w stronę ostatniej Morrigan.

Ta miała kilka sekund przewagi nad siostrami. Zaczęła biec ulicą i zmieniać kształt. Ręce zmieniały się w skrzydła, wyrastały jej też pióra na ogonie, widać było jednak, że nie zdąży dokonać transformacji i odfrunąć. Eldorado przejechał ją, potem zahamował, ruszył w tył i paląc gumy przetoczył się po jej plecach.

Charlie uciekł na dach hondy, gotów odskoczyć od jezdni, ale samochód się zatrzymał, a przyciemniana, elektryczna szyba zjechała w dół.

– Wsiadaj, kurwa, do wozu – powiedział Minty Fresh.

\* \* \*

Minty Fresh jeszcze raz przejechał ostatnią Morrigan i pomknął naprzód. Dwa razy z piskiem opon skręcił w lewo, po czym stanął przy krawężniku, wyskoczył i pobiegł przed maskę.

– Niech to szlag – powiedział (boleśnie, z naciskiem na „szlag”). – Niech to szlag, maska i grill rozjebane. Niech to szlag. Mogę zrozumieć, że ciemność chce pokryć świat, ale nie wolno psuć mojej fury.

Wsiadł z powrotem, wrzucił bieg i z piskiem minął następny zakręt.

– Dokąd jedziesz?

– Jeszcze raz przejadę te dziwki. Nie wolno psuć mojej fury.

– A myślałeś, że co się stanie, kiedy w nie wjeżdżałeś?

– Nie to. Nigdy wcześniej nikogo nie przejechałem. Nie udawaj, że cię to dziwi.

Charlie popatrzył na lśniące wnętrze samochodu, na siedzenia z czerwonej skóry, na deskę wykończoną orzechowym fornirem i na złożone klamki.

– To świetny wóz. Mój listonosz byłby zachwycony.

– Twój listonosz?

- Kolekcjonuje stare, alfonsowate ciuchy.
- Co próbujesz mi powiedzieć?
- Nic.

Byli już na Guerrero Street i Minty wcisnął gaz do dechy, gdy zbliżali się do celu. Pierwsza harpia, którą przejechał, właśnie się podnosiła, gdy uderzył ją znowu. Odbiła się od dwóch zaparkowanych samochodów i od ściany opuszczonego budynku. Druga odwróciła się, by stawić im czoło, i obnażyła szpony, które podrapały maskę, gdy przejechał ją przy wtórze serii łomotów. Potem przejechał po nogach trzeciej, która pełzła z powrotem w stronę studzienki kanalizacyjnej.

- Jezu – powiedział Charlie, odwracając się i wyglądając przez tylną szybę.

Teraz Minty Fresh najwyraźniej skupił całą uwagę na bezpiecznym stylu jazdy.

- Czym one, do diabła, są?

– Nazywam je harpiami z kanałów. To one wołają do nas ze studzienek. Są teraz znacznie silniejsze niż kiedyś.

- Są przerażające, ot co – odparł Minty.

– No, nie wiem – powiedział Charlie. – Dobrze się im przyjrzałeś? Znaczy się, tenteges z tyłu i git-malina z przodu, wiesz o czym mówię, ziom? Piąteczka-piąsteczka z fa-fa-rafa? – Uniósł pięść, by przybić piątkę z Mintym, ale, niestety, ziomal go olał.

- Przestań – powiedział Fresh.

- Przepraszam – odparł Charlie.

- „Nawijka luzaka w dziesięć dni”, wydanie StoneThug? – spytał Minty.

Charlie skinął głową.

– Parę miesięcy temu płyta pojawiła się w sklepie. Ćwiczę w furgonetce. Jak mi idzie?

– Nawijasz jak czarnuch, można się pomylić. Musiałem sprawdzać, czy ciągle jesteś biały.

– Dzięki – powiedział Charlie, po czym dodał, jakby w głowie zapaliła mu się jakaś lampka: – Ej, szukałem cię. Gdzie się, do diabła, podziewałeś?

– Ukrywałem się. Jedna z nich przysłała do mnie w metrze, kiedy wracałem z Oakland.

- Jak uciekłeś?

– Te małe zwierzątka zaatakowały ją w ciemności. Całą chmarą. Słyszałem, jak na nie wrzeszczy i rozdziera je na strzępy, ale powstrzymały ją na tyle długo, że pociąg wjechał na pełną ludzi stację. Zwiąta z powrotem do tunelu. W wagonie

wszędzie wały się kawałki tych stworzeń.

Minty skręcił w Van Ness i teraz jechał w stronę dzielnicy Charliego.

– Czyli ci pomogły? Nie są częścią Zaświatów, które chcą zawładnąć światem?

– Wygląda na to, że nie. Uratowały mi tyłek.

– Więc wiesz, że niektórzy Handlarze Śmierci zostali zabici?

– Nie wiedziałem. Nie pisali w gazetach. Wczoraj wieczorem widziałem spalony sklep Antona. Nie wyszedł z tego?

– Znaleźli go w kawałkach – odparł Charlie.

– Charlie, myślę, że to moja sprawka. – Minty Fresh odwrócił się i tak naprawdę pierwszy raz spojrzął na Charliego z żalem w złotych oczach. – Nie udało mi się odnaleźć dwóch ostatnich naczyń duchowych, i wtedy się zaczęło.

– Myślałem, że to przeze mnie – odparł Charlie. – Też umknęły mi dwa. Ale nie sądzę, że to my. Dwie moje klientki żyją i myślę, że są w tym domu, do którego szedłem, kiedy mnie uratowałeś. Do Ośrodka Buddyjskiego Trzy Klejnoty. Jest tam też kobieta, która wykupywała naczynia duchowe.

– Ładna brunetka? – spytał Minty.

– Nie wiem. Czemu pytasz?

– Ode mnie też parę kupiła. Próbowwała się kamuflować, ale to była ona.

– Jest w tamtym domu. Muszę tam iść.

– Nie chcę mieć do czynienia z tymi szponiastymi dziwkami – stwierdził Minty.

– Racja, ziom – powiedział Charlie. – Miałem z jedną małą akcją.

– Nie.

– Tak, małe bara-bara i w ogóle. Musiałem spuścić sztunię na bambus.

– Przestań.

– Przepraszam. Tak czy siak, muszę tam wrócić.

– Na pewno? Chyba nie zginęły. Zdaje się, że nie można ich zabić.

– Mógłbyś przejechać po nich jeszcze raz. Przy okazji, skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Kiedy usłyszałem, że spalił się sklep Antona, próbowałem do niego zadzwonić, ale usłyszałem tylko, że abonent jest niedostępny. Pogadałem z tą dziewczyną, która dla ciebie pracuje. Powiedziała, dokąd poszedłeś. Gadałem z nią jakieś dziesięć minut. Wie o mnie... to znaczy o nas? O Handlarzach Śmierci?

– Tak, powiedziałem jej dawno temu. A nie była, eee, zajęta, kiedy tam dotarłeś? Z facetem, znaczy się.

– Nie. Spotyka się z kimś?

- Myślałem, że jesteś gejem?
  - Nigdy tego nie powiedziałem.
  - No tak, ale też za bardzo nie starałeś się zaprzeczyć.
  - Charlie, prowadzę sklep muzyczny w Castro, więc mam lepsze obroty jako homoseksualny Handlarz Śmierci niż jako zwykły sprzedawca hetero.
  - Słuszna uwaga. Nie pomyślałem o tym.
  - Jakoś mnie to nie dziwi. To jak, spotyka się z kimś?
  - Ma o połowę mniej lat niż ty i chyba jest lekko zakręcona, znaczy, w sensie seksualnym.
  - To spotyka się z kimś?
  - Jest dla mnie jak młodsza siostra. Nie masz takich pracowników?
  - Nigdy nie rozmawiałeś z pracownikiem sklepu płytowego? Nigdzie na świecie nie spotkasz większych pokładów nieuzasadnionej arogancji. Wytrułbym swoich pracowników, gdybym wiedział, że znajdę zastępstwo.
  - Nie sądzę, żeby się z kimś spotykała, ale skoro Siły Ciemności mają zawładnąć światem, może ci zabraknąć czasu na randki.
  - Sam nie wiem. Wygląda, jakby pociągały ją Siły Ciemności. Lubię ją, jest zabawna w pewien makabryczny sposób, i lubi Milesa.
  - Lily lubi Milesa Davisa?
  - Nie wiesz tego o swojej młodszej siostrze?
- Charlie wyrzucił ręce w górę.
- Weź ją, wykorzystaj i wyrzuć, nie obchodzi mnie to, nie pracuje na pełny etat. Możesz się też umówić z moją córką. Niedługo skończy sześć lat i, o ile wiem, uwielbia Coltrane'a.
  - Uspokój się, przesadzasz.
  - Po prostu zawróć i zawieź mnie z powrotem do tego ośrodka buddyjskiego. Muszę to przerwać. Wszystko zależy ode mnie, Fresh. Jestem Luminatusem.
  - Wcale nie.
  - Jestem – odparł Charlie.
  - Jesteś Wielką Śmiercią przez duże Ś? Ty? Masz pewność, że to prawda?
  - Tak – powiedział Charlie.
  - Wiedziałem, że jest w tobie coś innego, ale myślałem, że Luminatus będzie, no, nie wiem... wyższy.
  - Nie zaczynaj, dobra?
- Minty skręcił z Van Ness, by zawrócić na hotelowym podjeździe.
- Dokąd jedziesz? – spytał Charlie.

- Jeszcze raz przejechać parę harpii z kanałów.
- Z powrotem do ośrodka buddyjskiego?
- Mhm. Masz jakąś broń oprócz tego głupiego miecza?
- Znajomy glina powiedział, że powinienem sobie sprawić pistolet.

Minty Fresh sięgnął do zielonej marynarki i wyłowił z niej największy pistolet, jaki Charlie w życiu widział. Położył go na siedzeniu.

- Weź. Desert eagle, pięćdziesiątka. Powstrzymałby niedźwiedzia.

Charlie wziął chromowaną broń. Ważyła ze dwa kilo, a lufa wyglądała tak, jakby dało się do środka wsadzić kciuk.

- Ale wielki.

– Jestem dużym facetem. Słuchaj, masz osiem strzałów. W komorze jest nabój. Musisz zarepetować i zwolnić blokadę, zanim strzelisz. Tu i tu. – Wskazał blokadę i kurek. – Trzymaj mocno przy strzale. Przewrócisz się na dupę, jeśli nie będziesz gotowy.

- A co z tobą?

Minty poklepał marynarkę z drugiej strony.

- Mam jeszcze jeden.

Charlie obrócił pistolet w rękach i patrzył, jak światło latarń gra na chromowanej powierzchni. (Samce beta, w głębi duszy czując, że przegrywają konkurencję, są bardzo łase na wszelkie cacka, które wyrównują szanse).

– Masz pan wiele tajemnic, panie Fresh. Nie jesteś tylko zwyczajnym, dwumetrowym Handlarzem Śmierci w pastelowozielonym garniturze.

- Dziękuję za miłe słowa, panie Asher.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Zadzwoiła komórka Charliego, więc ją otworzył.

– Asher, gdzie, do diabła, jesteś? – odezwał się Rivera. – Jeździłem po Mission i nie ma tam nic oprócz mnóstwa czarnych piór latających w powietrzu.

– W porządku. Nic mi nie jest, inspektorze. Znalazłem Minty’ego Fresha, tego od sklepu muzycznego. Jadę z nim samochodem.

- Więc jesteś bezpieczny?

- Stosunkowo.

– To dobrze. Nie szalej. Zadzwoię do ciebie, dobra? Jutro chcę pogadać z twoim kolegą.

- Załatwione, inspektorze. Dziękuję, że przyjechał pan na pomoc.

- Bądź ostrożny, Asher.

- Dobra. Nie szalej. Do widzenia.

Zamknął telefon i odwrócił się do Minty'ego Fresha.

– Gotowy?

– Jak najbardziej – odparł tamten.

Ulica była pusta, gdy zatrzymali się przed Ośrodkiem Buddyjskim Trzy Klejnoty.

– Podjadę od tyłu – powiedział Minty.

\* \* \*

Samochody są do dupy, tyle mogę wam powiedzieć – odezwała się Babd, próbując się nie rozsypać, gdy siostry Morrigan kuśtykały z powrotem do wielkiego statku. – Przez pięć tysięcy lat konie nikomu nie przeszkadzały, aż tu nagle mamy chodniki i samochody. Nie rozumiem, co to za frajda.

– Nie jestem nawet pewna, czy musimy powstać i zaprowadzić rządy Ciemności – powiedziała Nemain. – Najwyraźniej Ciemność nie ma jeszcze kwalifikacji. Mówię jako narzędzie Ciemności i uważam, że musi mieć więcej czasu. – Została zmiażdżona w na poły kobiecej, na poły kruczej postaci i gubiła pióra, gdy utykając szły przez kanał.

– Zupełnie jakby nad Nowym Mięsem ktoś czuwał – zauważyła Macha. – Następnym razem może się nim zająć Orcus.

– Tak, pošlijmy za nim Orcusa – podchwyciła Babd. – Zobaczymy, co sądzi o samochodach.

## AUDREY I WIEWIÓRKOLUDZIE

Charlie słyszał szuranie pod gankiem, gdy zmierzał do frontowych drzwi ośrodka buddyjskiego, ale waga ogromnego pistoletu, który wcisnął sobie za pas na plecach, dodawała mu otuchy, nawet jeśli trochę opadały mu spodnie. Drzwi miały trzy i pół metra wysokości, czerwony kolor i większą ich część stanowiła chropowata szyba. Po obu stronach widniały wzory, przedstawiające barwne tybetańskie koła modlitewne. Charlie wiedział co o takiego, kiedyś bowiem w jego sklepie zjawił się złodziej, który próbował mu sprzedać trefny towar ze świątyni.

Wiedział, że powinien kopnąć drzwi, ale z drugiej strony, to były naprawdę wielkie drzwi i chociaż oglądał wiele programów i filmów o policjantach, gdzie kopano w drzwi, sam nie miał w tym względzie doświadczenia. Inną możliwością było wyciągnięcie pistoletu i przestrzelenie zamka, ale o tym wcale nie wiedział więcej niż o kopaniu, postanowił więc zadzwonić.

Szuranie nasiliło się i usłyszał w środku ciężkie kroki. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich ładna brunetka, którą znał jako Elizabeth Sarkoff – fałszywą siostrzenicę Esther Johnson.

– O, pan Asher, jaka miła niespodzianka.

Już niedługo, siostrzo, powiedział ukryty w jego wnętrzu twardziel.

– Pani Sarkoff, miło panią widzieć. Co pani tu robi?

– Jestem recepcjonistką. Proszę wejść, proszę.

Wszedł do holu, skąd wiodły schody na górę, a po obu ich stronach widniały podwójne, przesuwne drzwi. Widział, że dokładnie za holem znajduje się jadalnia z długim stołem, a jeszcze dalej kuchnia. Dom był ładnie odnowiony i nie miał wyglądu budynku publicznego.

Wewnętrzny twardziel powiedział:

„Nie graj ze mną w te swoje gierki, zdiro. Jeszcze nigdy nie uderzyłem kobiety, ale jeśli szybko nie zaczniesz gadać do rzeczy, to chętnie spróbuję”.

Charlie powiedział:

– Nie miałem pojęcia, że jest pani buddystką. To fascynujące. A przy okazji, jak pani ciotka Esther? – Tu ją miał, nawet nie musiał bić.

– Nadal nie żyje. Ale dziękuję, że pan pyta. Co mogę dla pana zrobić?

Drzwi po lewej rozsunęły się na dwa centymetry i głos młodego mężczyzny

powiedział:

– Mistrzu, potrzebujemy cię.

– Zaraz przyjdę – odparła rzekoma pani Sarkoff.

– Mistrzu? – Charlie uniósł brwi.

– W tradycji buddyjskiej recepcjoniści cieszą się ogromnym szacunkiem. – Uśmiechnęła się szeroko i głupkowato, jakby nawet sama sobie nie wierzyła.

Charlie był do głębi oczarowany tym uśmiechem i otwartą kapitulacją w jej oczach. Było w nich zaufanie, bez żadnego powodu.

– Dobry Boże, marnie pani kłamie – powiedział.

– Od razu mnie pan przejrzał, co? – Szeroki uśmiech.

– Więc jest pani...

– Czcigodna Amitaba Audrey Rinpocze. – Ukłoniła się. – Albo po prostu Audrey, jeśli się panu spieszy. – Ucisnęła i potrząsnęła dwoma palcami Charliego.

– Charlie Asher – powiedział Charlie. – Czyli nie jest pani siostrzenicą pani Johnson.

– A pan nie handluje używanymi ubraniami?

– No, właściwie...

Tylko tyle zdążył powiedzieć. Z przodu rozległ się brzęk tłuczonego szkła i trzask drewna. Zobaczył, że stół w następnym pomieszczeniu się przewraca.

– Stać! Nie ruszać się! – krzyknął Minty Fresh.

Potem przeskoczył nad stołem i ruszył w ich stronę, najwyraźniej nie zwracając uwagi na fakt, że ma dwa metry dziesięć wzrostu, a drzwi – pochodzące z 1908 roku – niecałe dwa metry wysokości.

– Stój! – zawołał Charlie jakieś pół sekundy za późno.

Minty Fresh walnął czołem w ładnie wykończoną, dębową framugę, z łoskotem, który zatrzęsł całym domem. Jego nogi szły naprzód, a ciało zostało z tyłu. W pewnej chwili znalazł się w pozycji równoległej do podłogi, około metra osiemdziesięciu nad nią, i wtedy grawitacja postanowiła, że da o sobie znać.

Chromowany desert eagle przeleciał z grzechotem przez cały hol i uderzył w drzwi frontowe. Minty Fresh wylądował jak długi, bez przytomności, na podłodze pomiędzy Charliem a Audrey.

– A to mój przyjaciel Minty Fresh – oznajmił Charlie. – Nieczęsto robi coś podobnego.

– Jejku, tego nie widuje się codziennie – stwierdziła Audrey, spoglądając w dół na śpiącego olbrzymia.

– Fakt – zgodził się Charlie. – Nie wiem, gdzie on kupił surowy jedwab w



kolorze takiej zieleni.

– To nie len? – spytała Audrey.

– Nie, jedwab.

– Hmm, taki pomięty. Myślałam, że to len albo jakaś mieszanka.

– No, może miał tyle ruchu, że...

– Tak, pewnie tak. – Audrey skinęła głową, po czym spojrzała na Charliego. –

No to...

– Panie Asher – rozległ się kobiecy głos po prawej stronie.

Drzwi rozsunęły się i stanęła w nich starsza pani. Irena Posokovanovich. Kiedy widział ją ostatni raz, siedział w samochodzie Rivery, w kajdankach.

– Pani Posokov... Posokovano... pani Ireno! Jak się pani miewa?

– Wczoraj tak się pan tym nie przejmował.

– Przejmowałem się. Naprawdę. Przepraszam za tamto. – Charlie uśmiechnął się, myśląc, że to jego najbardziej uroczy uśmiech. – Mam nadzieję, że nie ma pani tego gazu.

– Nie mam – odparła.

Charlie popatrzył na Audrey.

– Doszło do drobnego nieporozumienia...

– Mam to – dodała pani Irena, wyciągając zza pleców paralizator, przystawiając go Charlieemu do piersi i posyłając przez jego ciało sto dwadzieścia pięć tysięcy woltów.

Wijąc się w konwulsjach na podłodze, ujrzał zwierzęta, czy też stworzenia podobne do zwierząt, ubrane w stroje historyczne i zmierzające w jego stronę.

– Zwiążcie ich obu – powiedziała Audrey. – Zrobię herbatę.

\* \* \*

– Herbaty? – spytała Audrey.

Drugi raz w życiu Charlie Asher był przywiązany do krzesła i częstowany ciepłym napojem. Audrey nachyliła się nad nim z filiżanką i mimo że sytuacja była niezręczna i groźna, Charlie gapił się na przód jej koszuli.

– Jaka to herbata? – spytał, chcąc zyskać na czasie. Zauważył rząd maleńkich, jedwabnych różyczek przycupniętych radośnie na jej staniku.

– Herbatę lubię taką, jakich lubię mężczyzn – odparła Audrey z uśmiechem. – Słabą i zieloną.

Teraz Charlie popatrzył jej w oczy, które też się uśmiechały.

– Rękę masz wolną – powiedziała. – Ale musieliśmy ci zabrać pistolet i miecz, bo tutaj krzywimy się na takie rzeczy.

– Jest pani najmilszą osobą, jaka mnie kiedykolwiek uwięziła – powiedział Charlie, biorąc od niej filiżankę.

– Co sugerujesz? – spytał Minty Fresh.

Charlie spojrział w prawo, na przywiązanego do krzesła Minty’ego Fresha. Wyglądał, jakby wzięto go na zakładnika podczas przyjęcia dla przedszkolaków – kolana miał pod brodą, a jeden z nadgarstków przyczepiony taśmą do krzesła tuż nad podłogą. Ktoś położył mu na głowie sporą torebkę lodu, która wyglądała trochę jak берет.

– Nic – odparł Charlie. – Też byłeś świetnym oprawcą, nie zrozum mnie źle.

– Herbaty, panie Fresh? – spytała Audrey.

– A ma pani kawę?

– Zaraz wrócę – powiedziała Audrey i wyszła.

Przenieśli ich do jednego z pomieszczeń z boku holu, Charlie nie wiedział do którego. Swego czasu musiał to być salonik, służący rozrywkom, teraz jednak przerobiono go na połączenie biura i recepcji: metalowe biurka, komputer, szafki na akta i zestaw starych dębowych krzesel dla pracujących i czekających.

– Ona mnie chyba lubi – powiedział Charlie.

– Przywiązała cię do krzesła – zauważył Minty Fresh, wolną ręką ciągnąc za taśmę, którą miał owiniętą wokół nóg. Torebka lodu zsunęła mu się z głowy i z donośnym łoskotem spadła na podłogę.

– Kiedy widzieliśmy się wcześniej, nie zauważyłem, że jest taka atrakcyjna.

– Pomożesz mi się uwolnić? – spytał Minty.

– Nie mogę – odparł Charlie. – Herbata. – Uniósł filiżankę.

Przy drzwiach rozległo się jakieś chrobotanie. Unieśli głowy i ujrzeni cztery małe dwunożne stworzenia wchodzące do pokoju. Jedno, które miało pyszczek legwana, łapy szopa i strój muszkietera – wielki kapelusz z piórem i tak dalej – wyciągnęło miecz i dźgnęło Fresha w rękę, którą ciągnął za taśmę klejącą.

– Au, niech cię szlag, ty...

– Chyba nie chce, żebyś próbował się uwolnić – stwierdził Charlie.

Legwan zasalutował mu szpadą i pokazał koniuszek swojego pyszczka, jakby chciał powiedzieć: „Masz nosa, koleś”.

– No – powiedziała Audrey, która weszła do pomieszczenia, niosąc tacę z kawą dla Minty’ego – Widzę, że poznaliście wiewiórkoludzi.

– Wiewiórkoludzi? – powtórzył Charlie.

Małeńka dama z kaczym dziobem i gadzimi łapami w fioletowej, satynowej sukni wieczorowej dygnęła przed Charliem, który w odpowiedzi skinął jej głową.

– Tak je nazywamy – wyjaśniła Audrey. – Pierwsi, których zrobiłam, mieli pyszczki i łapki wiewiórek, ale potem skończyły mi się wiewiórcze części, więc stali się bardziej barokowi.

– To nie są istoty z Zaświatów? – spytał Charlie. – Pani je zrobiła?

– Tak jakby – odparła. – Śmietanki i cukru, panie Fresh?

– Poproszę – powiedział Minty. – Pani robi te potwory?

Wszystkie cztery zwierzątka odwróciły się jednocześnie ku niemu i odchyliły, jakby chciały powiedzieć: „Ej, koleś, kogo nazywasz potworami?”.

– To nie potwory, panie Fresh. Wiewiórkoludzie są ludźmi w równym stopniu, jak pan.

– Tak, tyle że mają lepsze wyczucie w kwestii ubioru – dodał Charlie.

– Nie zawsze będę przywiązany do tego krzesła, Asher – ostrzegł Minty. – Kobieto, kim albo czym jesteś, do diabła?

– Bądź miły – poradził Charlie.

– Chyba powinnam to wyjaśnić – stwierdziła Audrey.

– Tak pani myśli? – spytał Minty.

Usiadła na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, a wiewiórkoludzie zgromadzili się wokół niej i słuchali.

– To trochę krępujące, ale chyba zaczęło się, kiedy byłam mała.. Odczuwałam jakąś taką sympatię wobec tego co martwe.

– Znaczący, lubiła pani dotykać martwych stworzeń? – spytał Minty Fresh. – Rozbierać się przy nich?

– Pozwól pani mówić – upomniał go Charlie.

– Ta suka jest pokręcona – odparł Minty.

Audrey uśmiechnęła się.

– No, tak. Jestem, panie Fresh, a pan jest związany w mojej jadalni, zdany na łaskę wszystkich pokręconych pomysłów, jakie mogą mi przyjść do głowy. – Srebrną łyżeczką, którą mieszała herbatę, postukała się po przednich zębach i wyróciła oczyma, jakby wyobrażała sobie coś smakowitego.

– Proszę mówić dalej – powiedział Minty Fresh, wzruszając ramionami. – Przepraszam, że przerwałem.

– To nie było żadne zboczenie – wyjaśniła, zerkając na Minty’ego. – Po prostu miałam bardzo silnie rozwinięte poczucie empatii wobec umierających, głównie zwierząt, chociaż kiedy odeszła moja babcia, czułam to z odległości wielu

kilometrów. Tak czy owak, nie przytłaczało mnie to ani nic, ale kiedy szłam na studia, chciałam sprawdzić, czy mogę nad tym zapanować, i postanowiłam studiować filozofię Wschodu... a, tak, i projektowanie mody.

– Moim zdaniem to ważne, by dobrze wyglądać, jeśli chce się pracować ze zmarłymi – stwierdził Charlie.

– No, ee, dobrze – powiedziała Audrey. – Byłam dobrą krawcową. Naprawdę lubiałam szyć kostiumy. Tak czy owak, poznałam faceta i zakochałam się.

– Martwego faceta? – spytał Minty.

– Wkrótce już tak, panie Fresh. Wkrótce był martwy. – Wbiła wzrok w dywan.

– Widzisz, gruboskórny skurwielu – powiedział Charlie. – Zraniłeś ją.

– Halo! Jesteśmy przywiązani do krzeseł – przypomniał Minty. – Otoczeni przez małe potwory, Asher. To nie ja tu jestem gruboskórny.

– Przepraszam – powiedział Charlie.

– W porządku – odparła Audrey. – Nazywał się William... Billy. Byliśmy razem przez dwa lata, zanim zachorował. Od miesiąca byliśmy zaręczeni, kiedy wykryli u niego guza mózgu, którego nie dało się operować. Dawali mu kilka miesięcy życia. Rzuciłam szkołę i byłam przy nim przez cały czas. Jedną z pielęgniarek z hospicjum wiedziała o moich studiach i poradziła, żebyśmy porozmawiali z Dordżem Rinpocze, mnichem z Ośrodka Buddyzmu Tybetańskiego w Berkeley. Opowiedział nam o *Badro thodrol*, czyli tym, co znacie jako tybetańską *Księgę umarłych*. Pomagał Billy'emu przygotować się na przeniesienie świadomości do następnego świata, następnego życia. Dzięki temu odwróciliśmy uwagę od ciemności, a śmierć stała się czymś naturalnym, niosącym nadzieję. Byłam przy Billym, gdy umierał, i czułam, jak jego świadomość podąża dalej, naprawdę czułam. Dordże Rinpocze powiedział, że mam szczególny talent. Uważał, że powinnam studiować pod kierunkiem wysokiego lamy.

– Zostałaś mniszką? – spytał Charlie.

– Myślałam, że lama to taka duża owca – powiedział Minty Fresh.

Audrey zignorowała go.

– Byłam załamana i potrzebowałam wskazówki, więc wjechałam do Tybetu, a tam przyjęto mnie do klasztoru, gdzie przez dwanaście lat studiowałam *Bardo thodrol*. Kierował mną lama Karmapa Rinpocze, siedemnaste wcielenie bodisatwy, który tysiąc lat temu założył naszą szkołę buddyzmu. Nauczył mnie sztuki *phowa*, przenoszenia świadomości w chwili śmierci.

– Czyli mogłaś robić to, co tamten mnich zrobił dla twojego narzeczonego?

– Tak. Praktykowałam *phowę* dla wielu mieszkańców górskich wiosek. Była to

jakby moja specjalność, podobnie jak szycie szat dla wszystkich w klasztorze. Lama Karmapa powiedział, że czuje we mnie bardzo starą duszę, inkarnację bardzo oświeconej istoty sprzed wielu pokoleń. Pomyślałam, że może tylko poddaje mnie próbie, żebym uległa swojemu ego, ale kiedy zbliżała się jego własna śmierć, wezwał mnie, żebym dokonała dla niego *phowę*, i wtedy zrozumiałam, że to dopiero jest próba i że powierza przeniesienie swojej duszy właśnie mnie.

– Żebyśmy mieli jasność – powiedział Minty Fresh. – Ja nie powierzyłbym pani nawet kluczyków do samochodu.

Muszkietier o pysku legwana dźgnął Minty’ego szpadą w tydkę i olbrzymi mężczyzna zaskowyczał.

– Widzisz – powiedział Charlie. – Kiedy jesteś niegrzeczny, potem to do ciebie wraca. Jak karma.

Audrey uśmiechnęła się do niego, odstawiła swoją herbatę na podłogę i skrzyżowała nogi, siadając w pozycji lotosu.

– Kiedy lama odszedł, zobaczyłam, jak świadomość opuszcza jego ciało. Potem poczułam, że moja świadomość też opuszcza moje ciało, i ruszyłam za lamą w góry, gdzie pokazał mi niewielką grootę, zagrzebaną głęboko pod śniegiem. W tej grocie znajdowała się kamienna skrzynia, zapieczętowana woskiem i sznurkiem. Powiedział, że muszę odnaleźć tę skrzynię, a potem zniknął, wstąpił wyżej, podczas gdy ja znalazłam się z powrotem w swoim ciele.

– Byłaś wtedy oświecona? – spytał Charlie.

– Nawet nie wiem, co to znaczy – odparła. – W tej kwestii lama się mylił, ale coś się we mnie zmieniło, kiedy wykonywałam dla niego *phowę*. Kiedy wyszłam z pomieszczenia z jego ciałem, zobaczyłam w ludziach świecący, czerwony punkt, dokładnie na wysokości czakry serca. Była to ta sama rzecz, za którą podążałam w góry, nieśmiertelna świadomość. Widziałam ludzkie dusze. Ale co było dla mnie bardziej niepokojące, u niektórych nie było tego blasku, albo ja go nie widziałam, podobnie jak w sobie. Nie wiedziałam dlaczego, ale wiedziałam, że muszę znaleźć tę kamienną skrzynię. Ruszyłam w góry dokładnie tym szlakiem, który pokazał mi lama, i ją znalazłam. Wewnątrz znajdował się zwój, którego istnienie większość buddystów uważała, i nadal uważa, za mit: zaginiony rozdział tybetańskiej *Księgi umarłych...* Omawiał dwie dawno zapomniane sztuki: *phowę wymuszonej projekcji* i drugą, o której nawet nie słyszałam, *phowę nieumierania*. Pierwsza pozwala zmusić duszę do przejścia z jednego bytu do innego, a druga nieskończoność przedłużać okres przejściowy, czyli *bardo* między życiem a śmiercią.

– To znaczy, że umie pani sprawić, by ludzie żyli wiecznie?

– W pewnym sensie. Raczej: by po prostu przestali umierać. Miesiącami medytowałam nad niezwykłym darem, który otrzymałam, bojąc się dokonywać rytuałów. Ale pewnego dnia, gdy byłam obecna przy *bardo* starego mężczyzny, umierającego na bolesnego raka żołądka, nie mogłam i patrzeć na cierpienie i spróbowałam *phowy wymuszonej projekcji*. Wprowadziłam jego duszę w ciało jego nowo narodzonego wnuka, który nie miał światełka w czakrze serca. Widziałam, jak światło przepływa przez pomieszczenie i dusza wnika w dziecko. Staruszek umarł spokojnie kilka sekund później. Po paru tygodniach wezwano mnie do bardzo młodego chłopca, który zachorował i wszystko wskazywało na to, że wkrótce umrze. Nie mogłam tego znieść, wiedziałam, że coś mogę zrobić, więc dokonałam *phowy nieumierania*, a on rzeczywiście nie umarł. Jego stan się poprawił. Z tego powodu poddałam się swojemu ego i zaczęłam dokonywać rytuałów na innych mieszkańcach wioski, zamiast pomagać im w przejściu do następnego życia, robiłam to pięć razy w ciągu pięciu miesięcy, pojawił się jednak problem. Wezwali mnie rodzice chłopca. Okazało się, że nie rośnie. Nie rosły mu nawet włosy ani paznokcie, zatrzymał się na etapie dziewięciolatka. Ale wtedy wszyscy wieśniacy przychodzili już do mnie, gdy ktoś umierał, wieść rozniosła się po górach do innych wiosek. Stawali kolejkach przed klasztorem, domagając się, bym do nich wyszła. Odmówiłam jednak przeprowadzania rytuału, bo rozumiałam, że wcale im nie pomagam, tylko zatrzymuję ich w rozwoju duchowym, a poza tym, no wiecie, budzę w nich lęk.

– To zrozumiałe – wtrącił Charlie.

– Nie umiałam wytłumaczyć innym mnichom, co się dzieje. Więc w nocy uciekłam. Zgłosiłam się do ośrodka buddyjskiego w Berkeley, gdzie przyjęto mnie na mniszkę. Właśnie wtedy pierwszy raz w życiu zobaczyłam ludzką duszę w przedmiocie nieożywionym, w sklepie muzycznym w Castro. To był pański sklep, panie Fresh.

– Wiedziałem, że to pani – oznajmił Minty. – Mówiłem o pani Asherowi.

– To prawda – potwierdził Charlie. – Mówił, że jest pani bardzo ładna.

– Wcale nie – zaprotestował Minty.

– Mówił. „Ładne oczy”, powiedział – dodał Charlie. – I co dalej?

– Nie miałam wątpliwości. Blask z tej płyty... to było dokładnie to samo, co wyczuwałam w ludziach, którzy mieli duszę. Nie trzeba wspominać, że się przestraszyłam.

– Nie trzeba wspominać – wtrącił Charlie – że przeżyłem coś podobnego.

Audrey skinęła głową.

– Chciałam omówić to wszystko ze swoim mistrzem w ośrodku, wiecie, wyjaśnić to, czego nauczyłam się w Tybecie, oddać zwoje komuś, kto być może rozumiał, co się dzieje z duszami w przedmiotach, ale zaledwie po kilku miesiącach z Tybetu nadeszła wieść, że wyjechałam w tajemniczych okolicznościach. Nie wiem, jakie szczegóły podali, ale poproszono mnie o opuszczenie ośrodka.

– Więc stworzyła pani oddział zwierzęcych upiorków i przeniosła się do Mission – stwierdził Minty Fresh. – To miło. Może mnie już pani odwiązać od krzesła. Ja sobie już pójdę.

– Fresh, pozwól pani Audrey skończyć opowieść. Na pewno istnieje jakiś zupełnie niewinny powód, dla którego otoczyła się oddziałem zwierzęcych upiorków.

– Znalazłam pracę przy szyciu kostiumów dla miejscowej grupy teatralnej – ciągnęła Audrey. – Przebywanie wśród ludzi teatru, na ogół urodzonych szpanerów, może wiele zmienić w życiu człowieka. Próbowałam zapomnieć o tym, co robiłam w Tybecie, i skupiłam się na pracy, dając się ponieść swojej kreatywności. Nie było mnie stać na szycie pełnowymiarowych kostiumów, więc zaczęłam robić ich pomniejszone wersje. W sklepie ze starzyzną w Mission kupiłam kolekcję wypchanych wiewiórek i użyłam ich jako swoich pierwszych modeli. Później zaczęłam używać innych wypchanych części zwierząt, mieszając je i łącząc ze sobą, ale już wtedy zaczęłam je nazywać wiewiórkoludźmi. Wiele z nich miało ptasie nogi, kurze i kaczki, bo można je było kupić w Chinatown, podobnie jak na przykład żółwie głowy i... no, w Chinatown można kupić wiele części różnych zwierząt.

– Wiem coś o tym – wtrącił Charlie. – Mieszkam przecnicę od sklepu z częściami rekinów. Chociaż nigdy nie próbowałem poskładać z nich rekina. Pewnie byłaby fajna zabawa.

– Jesteście pokręceni – stwierdził Minty. – Oboje. Wiecie o tym, prawda? Zabawa martwymi istotami i w ogóle...

Charlie i Audrey unieśli brwi. Stworzenie w niebieskim kimonie, z psią czaszką zamiast głowy, posłało Minty'emu krytyczne spojrzenie pustych oczodołów i też uniosłoby brwi, gdyby je tylko miało.

– Dobrze, proszę mówić – powiedział Minty, machając wolną ręką do Audrey. – Dotarło.

Westchnęła.

– Zaczęłam więc odwiedzać wszystkie sklepy z używanymi rzeczami. W

przynajmniej ośmiu znalazłam przedmioty z duszami, zawsze umieszczone obok siebie. Zorientowałam się, że nie tylko ja widzę ich czerwone światło. Ktoś więził te dusze w przedmiotach. W ten sposób dowiedziałam się o was, panowie, kimkolwiek jesteście. Musiałam zabrać wam te rzeczy, więc je kupowałam. Chciałam, żeby dusze przechodziły do kolejnego wcielenia, ale nie wiedziałam, jak to zrobić. Myślałam o zastosowaniu *phowy wymuszonej projekcji* i kierowaniu dusz w ciała tych, którzy dusz nie mieli, ale ten proces wymaga czasu. Co miałam zrobić? Związać ich? I nawet nie wiedziałam, czy to się uda. W końcu procedura służyła przeniesieniu duszy z jednego ciała do innego, a nie z nieożywionego przedmiotu.

– Więc spróbowała pani tej całej wymuszonej projekcji z jednym z wiewiórkoludzi? – wtrącił Charlie.

– Tak, i podziałało. Nie liczyłam jednak na to, że będą się ruszać. A ta wiewiórka zaczęła chodzić i wykonywać różne czynności... inteligentne czynności, dodajmy. I w ten sposób wiewiórkoludzie stali się tymi małymi stworzeniami, które dziś widzieliście. Jeszcze herbaty, panie Asher? – Audrey uśmiechnęła się i podała Charliemu imbryk.

– Te dziwadła mają ludzkie dusze? – spytał Charlie. – To ohydne.

– No tak, lepiej mieć duszę uwięzioną w parze trampek w pańskim sklepie. Te dusze będą w wiewiórkoludziach tylko do czasu, gdy się zorientuję, jak przenieść je w zwykłych ludzi. Chciałam je chronić przed wami i takimi jak wy.

– Nie jesteśmy źli. Powiedz jej, Fresh, że nie jesteśmy źli.

– Nie jesteśmy źli – powiedział Minty. – Dostanę jeszcze kawy?

– Jesteśmy Handlarzami Śmierci – oznajmił Charlie, wypadło to jednak znacznie mniej radośnie, niżby chciał. Bardzo mu zależało, by Audrey nie uważała go za złego faceta. Jak większość samców beta, nie zdawał sobie sprawy, że dobry facet niekoniecznie jest atrakcyjny dla kobiet.

– O tym właśnie mówię – powiedziała Audrey. – Nie mogłam wam pozwolić handlować duszami jak jakimś badziewiem z drugiej ręki.

– W ten sposób odnajdują następne wcielenie – powiedział Minty.

– Co? – Audrey spojrzała na Charliego, szukając w jego oczach potwierdzenia.

Charlie pokiwał głową.

– Ma rację. Dostajemy duszę, kiedy ktoś umiera, a potem ktoś inny ją kupuje i zyskuje nowe życie. Widziałem, jak to się odbywa.

– Niemożliwe – powiedziała Audrey, rozlewając kawę Minty'ego.

– Owszem – odparł Charlie. – Widzimy czerwony blask, ale nie w ludzkich



ciałach, jak pani. Tylko w przedmiotach. Kiedy osoba, która potrzebuje duszy, bierze przedmiot, światło znika. Dusza przenosi się do ciała.

– Myślałam, że przetrzymujecie dusze między wcieleniami. Te dusze to nie wasi więźniowie?

– Nie.

– To jednak nie my – zwrócił się Minty Fresh do Charliego. – Ona to wszystko rozpętała.

– Co rozpętała? Co? – pytała Audrey.

– Istnieją Siły Ciemności... Nie wiemy czym są – odparł Charlie. – Widzieliśmy wielkie kruki i te demoniczne kobiety, które nazywamy harpiami z kanałów, bo wychodzą z kanałów burzowych. Nabierają sił, gdy wpadnie im w ręce naczynie duchowe... a teraz stają się z dnia na dzień coraz silniejsze. Przepowiednia głosi, że powstaną w San Francisco i ciemności przykryją świat.

– Są w kanałach? – spytała.

Obaj Handlarze Śmierci pokiwali głowami.

– O, nie, to tamtędy wiewiórkoludzie przemieszczają się niezauważeni po mieście. Wysyłałam ich do różnych sklepów po dusze. Pewnie prosto w łapy tych stworów. Wielu nie wróciło, myślałam, że może zabłądzili albo łążą w kółko. Czasem tak robią. Dysponują potencjałem ludzkiej świadomości, ale poza ciałem ta świadomość z czasem coś traci. Nieraz bywają nieco przygłupi.

– Poważnie? – spytał Charlie. – To pewnie dlatego ten podobny do legwana gryzie kabel od lampy?

– Ignarius, zejdź stamtąd! Jeśli porazi cię prąd, będę mogła umieścić twoją duszę tylko w tej kurze kornwalijskiej z supermarketu Safeway. Jest jeszcze zamrożona i nie mam żadnych spodni, które by na nią pasowały. – Odwróciła się do Charliego z pełnym zakłopotania uśmiechem. – Czasami człowiek mówi takie rzeczy, że...

– Ech, te dzieci, co zrobić – powiedział Charlie, starając się, by zabrzmiało to niedbale. – Wie pani, jeden z wiewiórkoludzi postrzelił mnie z kuszy.

Teraz wydawała się przerażona. Charlie pragnął ją pocieszyć. Przytulić. Pocałować w głowę i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Może nawet skłonić ją, by go rozwiązała.

– Naprawdę? Kusza, a to pewnie pan Shelly. W poprzednim życiu był szpiegiem czy kimś podobnym. Miał zwyczaj wypuszczania się z własnymi, drobnymi misjami. Miał pana obserwować i składać raporty, żebyś wiedziała, co pan robi. Nikogo nie miała spotkać krzywda. Nie wrócił do domu. Bardzo mi

przykro.

– Składać raporty? – zdziwił się Charlie. – To one umieją mówić?

– No, nie mówią – odparła. – Ale niektóre potrafią czytać i pisać. Pan Shelly potrafił pisać na klawiaturze. Pracowałam nad tym. Muszę je wyposażyć w działający aparat mowy. Próbowałam z takim z gadającej lalki. Skutek był taki, że fretka w stroju samuraja ciągle płakała i pytała, czy może pobawić się w piaskownicy, szafu można było dostać. To dziwny proces. O ile używa się części organicznych, które kiedyś żyły, elementy łączą się i działają. Mięśnie i ścięgna rozwijają własne połączenia. Do robienia korpusów używałam szynki, bo to dodaje im masy mięśniowej, a w dodatku do zakończenia mają ładniejszy zapach. Taki wędzony, wiecie. Ale niektóre kwestie pozostają tajemnicą. Struny głosowe im nie wyrastają.

– Oczy najwyraźniej też nie – dodał Charlie, filiżanką wskazując stworzenie o bezokiej, kociej czaszce. – Jak one widzą?

– Tu mnie pan ma – przyznała Audrey. – Tego nie było w księdze.

– Znam to uczucie – odezwał się Minty Fresh.

– Więc eksperymentuję z aparatem mowy zrobionym z katgutu i ości. Zobaczymy, czy ten, który go ma, nauczy się mówić.

– Dlaczego nie umieści pani dusz z powrotem w ciałach ludzi? – spytał Minty.  
– To znaczy, może pani, prawda?

– Chyba tak – odparła. – Szczerze mówiąc, nie miałam w domu żadnych ludzkich zwłok. Ale musi w nich być jakaś częśćka człowieka, dowiedziałam się tego w drodze eksperymentu. Paliczek, trochę krwi, cokolwiek. W sklepie ze starzyzną w Haight kupiłam okazji kręgosłup i używam po jednym kręgu na każdego.

– Czyli jest pani jakąś potworną wskrzesicielką – stwierdził Charlie. Po czym szybko dodał: – W miłym sensie, ma się rozumieć.

– Dziękuję, panie Handlarzu Śmierci. – Odpowiedziała uśmiechem i podeszła do biurka po nożyczki. – Ale zdaje się, że muszę was uwolnić i posłuchać, w jaki sposób trafiliście do takiej pracy. Panie Greenstreet, mógłby mi pan przynieść jeszcze trochę herbaty i kawy?

Stworzenie z czaszką bobra zamiast głowy, w fezie i smokingu z czerwonej satyny, ukłoniło się i przemknęło obok Charliego, zmierzając do kuchni.

– Ładny smoking – powiedział Charlie.

Bobrowaty pokazał mu uniesiony kciuk. Gadzi kciuk.

**ZGUBIONO, ZNALEZIONO**

Cesarz obozował w krzakach przy rurze ściekowej, uchodzącej do Lobos Creek w Presidio, przy moście Golden Gate od strony San Francisco, gdzie od czasów hiszpańskich stały forty, ale od niedawna rozciągał się park. Cesarz od wielu dni wędrował po mieście, wołając do studzienek, podążając za odgłosem szczekania swojego żołnierza. Wierny retriever Lazarus przyprowadził go tutaj, do jednego z nielicznych wylotów kanałów ściekowych, którym boston terier mógłby wyjść, by nie zmyło go do zatoki. Obozowali pod maskującym poncho i czekali. Na szczęście nie padało od kiedy Bummer pogonił za wiewiórką do kanału, ale ciemne chmury zbierały się nad miastem już od dwóch dni i niezależnie od tego, czy miały przynieść deszcz, czy też nie, wywoływały w Cesarzu lęk o los San Francisco.

– Ach, Lazarusie – powiedział Cesarz, drapiąc podwładnego za uchem – gdybyśmy mieli choć połowę odwagi twojego mniejszego towarzysza, poszlibyśmy do tego kanału i go znaleźli. Ale czymże jesteśmy bez niego, czym jest nasza odwaga, nasza dzielność? Możemy stateczni i prawi, przyjacielu, ale nie mając odwagi, by narazić życie dla brata, jesteśmy tylko jak ci politycy, puszące się dziwki retoryki.

Lazarus zawarczał nisko i na powrót zanurkował pod poncho. Słońce dopiero zaszło, ale Cesarz widział ruch w rurze odpływowej. Gdy wstał, dwumetrowy wylot kanału przesłonił stwór, który następnie wypęzł i dosłownie rozwinął się w strumieniu – wielka, byczogłowa istota, o świecących na zielono oczach i skrzydłach rozkładających się niczym skórzaste parasole.

Na ich oczach stwór zrobił trzy kroki i wyskoczył ku ciemniejącemu niebu. Jego skrzydła łopotały jak żagle na okręcie śmierci. Cesarz zadrżał. Przez chwilę rozważał przeniesienie obozowiska do centrum miasta, może nocleg na Market Street, przy korowodzie przechodniów i policjantów, ale potem z głębi kanału dobiegło go słabe echo szczekania.

\* \* \*

Audrey oprowadzała ich po ośrodku buddyjskim, który z wyjątkiem biura od zewnątrz i salonu, który zmieniono w pokój do medytacji, wyglądał w zasadzie jak

każdy inny duży wiktoriański dom. Owszem, skromny i orientalny, może jeszcze przesiąknięty zapachem kadzideł, ale mimo wszystko był to po prostu duży, stary dom.

– Tak naprawdę to po prostu duży, stary dom – powiedziała, prowadząc ich do kuchni.

Przy Mintym Freshu Audrey czuła się trochę nieswojo. Ciągłe odrywał kawałeczki taśmy, które przyczepił mu się do rękawa zielonej marynarki, i posyłał kobiecie takie spojrzenie, jakby mówił: „Lepiej, żeby się okazało, że to pralnia chemiczna, albo masz przechlapane”.

Sam jego wzrost budził grozę, ale teraz jeszcze z czoła sterczał mu rząd dużych guzów, tam, gdzie uderzył się o framugę. Trochę przypominał klingońskiego wojownika, jeśli nie liczyć jasnozielonego garnituru, ma się rozumieć. Może to klingoński agent?

– No – powiedział. – Jeśli wiewiórkoludzie myśleli, że jestem zły, dlaczego w zeszłym tygodniu uratowali mnie przed tą harpią w metrze? Zaatakowali ją i dali mi czas na ucieczkę.

Audrey wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Mieli pana tylko obserwować i zdać raport. Widocznie zobaczyli, że to, co pana ściga, jest znacznie gorsze od pana. W głębi serca to ludzie, wie pan.

Przystanąła przed spiżarnią i odwróciła się w ich stronę. Nie widziała starcia na ulicy, ale Esther wyglądała przez okno i opowiedziała jej o tym, co się działo – o kobietokształtnych stworach, które zaatakowały Charliego. Najwyraźniej ci dziwni mężczyźni byli swego rodzaju sprzymierzeńcami, parającymi się tym, co sama uznała za swoje święte zajęcie: pomagali duszom przenieść się do następnego wcielenia. Ale te metody? Czy mogła im ufać?

– Więc z tego, co mówicie, tysiące ludzi żyje sobie bez duszy?

– Miliony, zapewne – odparł Charlie.

– Może to wyjaśnia wynik ostatnich wyborów – powiedziała, chcąc zyskać na czasie.

– Mówiła pani, że widzi, czy ludzie mają duszę – wtrącił Minty Fresh.

Miał rację, ale choć widywała osoby bez duszy, nigdy nie zastanawiała się nad ich liczbą ani skutkiem niedopasowania zmarłego i narodzonego. Pokręciła głową.

– Czyli wędrówka dusz zależy od zakupów dóbr materialnych? To takie, no nie wiem, obskurne.

– Proszę mi wierzyć – powiedział Charlie – mechanika tego procesu zdumiewa nas tak samo, jak panią. A my jesteśmy jego narzędziami.

Popatrzyła na niego, naprawdę popatrzyła. Mówił prawdę. Przybył tu, by zrobić to co trzeba. Otworzyła na oścież drzwi spiżarni i omiółł ich czerwony blask.

Spiżarnia miała wielkość niemal nowoczesnej sypialni, a każdą półkę od podłogi do sufitu, podobnie jak większość wolnej przestrzeni, zajmowały świecące naczynia duchowe.

– Rety – powiedział Charlie.

– Zdobyłam ich tyle, ile mogłam. A raczej nie ja, tylko wiewiórkołudzie.

Minty Fresh zanurkował do spiżarni i stanął przed półką pełną płyt kompaktowych i winylowych. Zaczął je przeglądać, by po chwili odwrócić się do niej z wachlarzem kilku okładek płyt CD.

– To z mojego sklepu.

– Tak. Mamy wszystkie.

– Włamaliście się do mojego sklepu.

– Dzięki temu nie wzięli ich ci źli, Minty – przypomniał Charlie, wchodząc do spiżarni. – Pewnie je uratowała. Może nawet uratowała nas.

– Bzdura, stary, nic by się nie wydarzyło, gdyby nie ona.

– Nie, to się miało stać. Widziałem w tej drugiej *Bardzo wielkiej księdze Śmierci*, w Arizonie.

– Próbowałam im tylko pomóc – powiedziała kobieta.

Charlie patrzył na płyty w ręce Minty'ego. Wyglądał, jakby wpadł w trans. Wyciągnął rękę i wziął kompakt, powoli, jakby poruszał się w jakiejś gęstej cieczy, a potem odłożył wszystkie, z wyjątkiem jednego, na który się po prostu gapił. Potem odwrócił płytę, by obejrzeć ją z tyłu. Usiadł ciężko na podłodze i Audrey musiała złapać jego głowę, by nie uderzył w półkę za sobą.

– Charlie – powiedziała. – Nic ci nie jest?

Minty Fresh sięgnął po płytę, ale Charlie ją przysunął do siebie. Minty zerknął na Audrey.

– To jego żona – wyjaśnił.

Audrey dostrzegła nazwisko Rachel Asher, wydrapane na tylnej stronie pudełka, i poczuła, że kraje się jej serce. Objęła go.

– Tak mi przykro, Charlie. Tak mi przykro.

Na okładkę płyty zaczęły kapać łzy, a Charlie nie unosił głowy.

Minty Fresh wstał i przełknął ślinę. Jego twarz nie wyrażała złości ani dezaprobaty. Wydawał się niemal zawstydzony.

– Audrey, przez ostatnie parę dni jeździłem po mieście i chciałbym się gdzieś położyć, jeśli znajdzie się miejsce.

Skinęła głową, odwrócona do niego tyłem.

– Poproś Esther, pokaże ci gdzie.

Minty Fresh wymknął się ze spiżarni.

Audrey trzymała Charliego i długo go kołysała. Choć był zagubiony w świecie tej płyty, która skrywała miłość jego życia, a ona była na zewnątrz, przycupnięta w spiżarni pełnej kosmicznych bibelotów, płakała wraz z nim.

\* \* \*

Minęła godzina, a może trzy, bo w żalu i miłości czas płynie inaczej. Charlie odwrócił się do niej i spytał:

– Czy ja mam duszę?

– Słucham?

– Mówiłaś, że widzisz w ludziach świecącą duszę. Czy ja ją mam?

– Tak, Charlie. Masz duszę.

Skinął głową, znów się od niej odwrócił, ale mocniej napał na nią plecami.

– Może być? – spytał.

– Aha, wygodnie mi – odparła, choć to nie była prawda.

Wyjęła mu płytę z ręki, właściwie oderwała od niej jego dłoń, po czym położyła ją z powrotem z innymi.

– Pozwólmy Rachel odpocząć i chodźmy do innego pokoju.

– Dobrze – zgodził się.

\* \* \*

Na górze, w niewielkim pomieszczeniu, pełnym poduszek i wizerunków Buddy wśród lotosów, usiedli i rozmawiali przy blasku świec. Opowiadali sobie nawzajem swoje historie. O tym, jak stali się tym, kim byli, a przy okazji o tym, kogo i jak stracili.

– Widywałem to wiele razy – stwierdził Charlie. – Częściej u mężczyzn niż u kobiet, ale bez wątpienia u jednych i drugich. Żona albo mąż umiera, a drugi człowiek wydaje się przywiązany do zmarłego jak do alpinisty, który spadł w przepaść. Jeśli nie potrafi odpuścić, przeciąć liny, zmarły wciągnie go do grobu. Myślę, że to samo spotkałoby mnie, gdybym nie miał Sophie, a może nawet gdybym nie został Handlarzem Śmierci. Działo się coś, co mnie przerastało, coś co przerastało mój ból. Tylko dlatego zaszedłem tak daleko.

– Wiara – powiedziała Audrey. – Czymkolwiek jest. Zabawne, kiedy przyszła do mnie Esther, była zła. Umierająca i zła. Powiedziała, że całe życie wierzyła w Jezusa. Teraz umierała, a przecież On powiedział, że będzie żyła wiecznie.

– Więc jej odpowiedziałaś: „Kiepsko być w twojej skórze, Esther”.

Rzuciła w niego poduszką. Podobało jej się, że potrafi zdobyć się na głupi żart na tak mroczny temat.

– Nie, powiedziałam jej, że On powiedział, że będzie żyła wiecznie, ale nie powiedział, że teraz. Ze wcale nie zdradzono jej wiary i musi się tylko otworzyć na szerszą interpretację.

– Co było totalnym pieprzeniem – stwierdził Charlie.

Kolejna poduszka odbiła się od jego czoła.

– Nie, to nie była gadanina. Jeśli ktoś powinien rozumieć znaczenie księgi, nieomawiającej wszystkich szczegółów, to właśnie ty... my.

– Nie umiesz powiedzieć „pieprzenie”, co?

Audrey poczuła, że się rumieni, i z zadowoleniem stwierdziła, że nie oświetla jej blady blask świec.

– Ja tu mówię o wierze, może byś mi odpuścił?

– Przepraszam. Wiem... a raczej chyba wiem, co masz na myśli. Znaczy, wiem, że jest w tym jakiś porządek, ale nie mam pojęcia, jak można pogodzić, powiedzmy, katolickie wychowanie z tybetańską *Księgą umarłych*, z *Bardzo wielką księgą Śmierci*, sprzedawcami towarów z drugiej ręki, którzy sprzedają rzeczy z ludzkimi duszami, z jadowitymi, krukowatymi kobietami z kanałów. Im więcej wiem, tym mniej rozumiem. Po prostu działa.

– *Bardo thodrol* mówi o setkach potworów, które napotkasz, gdy twoja dusza odbędzie wędrówkę przez śmierć i odrodzenie, ale masz je ignorować, bo to złudzenia, twoje własne lęki, które chcą powstrzymać twoją świadomość przed ruchem naprzód. Tak naprawdę nie mogą cię skrzywdzić.

– Myślę, że o tym nie było w księdze. Audrey, widziałem je, walczyłem z nimi, wrywałem dusze z ich łap, patrzyłem, jak obrywają nabojami i samochodami, a potem idą dalej. To na pewno nie są złudzenia i na pewno mogą cię skrzywdzić. *Bardzo wielka księga* nie precyzuje ich specyfiki, ale wyraźnie mówi o Siłach Ciemności, próbujących zawładnąć naszym światem, i o tym, że przyjdzie Luminatus, by z nimi walczyć.

– Luminatus? – spytała Audrey. – Coś ze światłem?

– Wielka Śmierć – powiedział Charlie. – Śmierć przez duże S. Coś jak Kahuna, gruba ryba, szef śmierci. Wiesz, gdyby Minty i inni Handlarze Śmierci byli

pomocnikami Mikołaja, Luminatus byłby Mikołajem.

– Święty Mikołaj to wielka Śmierć? – spytała, szeroko otwierając oczy.

– Nie, to tylko przykład... – Zobaczył, że kobieta powstrzymuje śmiech. – Ej, zostałem poobijany, rażony prądem, związany i przeżyłem szok.

– Więc moja strategia uwodzenia zdaje egzamin? – Uśmiechnęła się.

Był zdenerwowany.

– Ja nie... nie patrzyłem... czy patrzyłem na twoje piersi? Bo jeśli tak, to zupełnie przypadkowo, bo wiesz... no, były i...

– Ciii. – Położyła mu palec na ustach. – Charlie, czuję teraz, że jestem ci bardzo bliska, i nie chcę, żeby ta więź zniknęła, ale jestem też bardzo zmęczona i raczej nie mogę już rozmawiać. Chyba chcę, żebyś poszedł ze mną do łóżka.

– Naprawdę? Jesteś pewna?

– Czy jestem pewna? Nie uprawiałam seksu od czternastu lat i gdybyś spytał mnie wczoraj, powiedziałabym, że wolę stawić czoło któremuś z tych potwornych kruków, niż iść z mężczyzną do łóżka. Ale teraz jestem tutaj, z tobą, i jestem tego tak pewna, jak tylko można być. – Uśmiechnęła się, po czym odwróciła wzrok. – To znaczy, jeśli ty też.

Wziął ją za rękę.

– Tak – powiedział. – Ale chciałem ci powiedzieć coś ważnego.

– To nie może poczekać do rana?

– Jasne, może.

\* \* \*

Spędzili noc w swoich objęciach. Wszelkie lęki i wątpliwości okazały się złudzeniami. Samotność wyparowała z nich niczym suchy lód i rano była już tylko obłokiem na suficie, który zniknął w promieniach słońca.

\* \* \*

W nocy ktoś postawił stół w jadalni i posprzątał bałagan, którego narobił Minty Fresh, gdy wpadł przez kuchenne drzwi. Siedział przy stole, gdy Charlie zszedł na dół.

– Odholowali mi samochód – oznajmił. – Jest kawa.

– Dzięki. – Charlie przeszedł przez jadalnię do kuchni. Nalał sobie kawy i usiadł z Mintym. – Jak głowa?



Wielki mężczyzna dotknął guza na czole.

– Lepiej. A ty jak się masz?

– W nocy przypadkiem bzyknąłem mniszkę.

– Czasami, w chwilach kryzysu, nie sposób tego uniknąć. A poza tym jak się czujesz?

– Wspaniale.

– Aha, wyobraź sobie, że reszta z nas nie cieszy się z końca świata.

– To nie będzie koniec świata, tylko nad wszystkim zapanuje ciemność – odparł radośnie Charlie. – Kiedy robi się ciemno, zapal światło.

– Gratuluję, Charlie. A teraz przepraszam, muszę odebrać samochód z parkingu policyjnego, nim zaczniesz teksty w stylu „gdy życie daje ci cytryny, rób lemoniadę” i będę cię musiał spruć do nieprzytomności.

(To prawda, nie ma nic okropniejszego niż zakochany samiec beta. Normalnie, jest uwarunkowany myślą, że nigdy nie znajdzie miłości, więc gdy już ją znajduje, ma wrażenie, że cały świat uległ jego pragnieniom. I może zachowywać się zgodnie z tym złudzeniem. To dla niego czas wielkiej radości i zagrożenia).

– Czekaj, możemy się zrzucić na taksówkę. Muszę pojechać do domu i wziąć swój kalendarz.

– Ja też. Zostawiłem mój na przednim siedzeniu w samochodzie. Wiesz, ci dwaj klienci, którzy mi uciekli, są tutaj. Żyją.

– Audrey mi powiedziała – odparł Charlie. – Razem jest ich sześcioro. Zrobiła im *phowę nieumierania*. Najwyraźniej to wywołało cały ten kosmiczny burdel. Ale co zrobimy? Nie możemy ich zabić.

– Nie, myślę, że jest tak, jak powiedziałeś. Tutaj, w San Francisco, rozegra się bitwa, i to wkrótce. A ponieważ jesteś Luminatusem, myślę, że wszystko spoczywa w twoich rękach. Więc zdaje się, że już po nas.

– Może nie. Znaczący, za każdym razem, kiedy prawie mnie dorwały, ktoś, albo coś, wkraczał do akcji, żebym wyszedł z tego cało. Myślę, że mamy przeznaczenie po swojej stronie. Czuję w tym względnie duży optymizm.

– Tylko dlatego że właśnie bzyknąłeś mniszkę – powiedział Minty.

– Nie jestem mniszką – odparła Audrey, wchodząc do pomieszczenia z plikiem papierów w ręce.

– O, cholera – jęknęli chórem Handlarze Śmierci.

– Nie, w porządku – powiedziała. – Faktycznie mnie bzyknął, czy raczej oboje się bzykaliśmy, ale nie jestem już mniszką. Nie z powodu bzykania, wiecie, to była decyzja przedbzykaniowa. – Rzuciła papiery na stół i usiadła Charliemu na

kolanach. – Ej, przystojniaku, jak się masz z rana? – Pocałowała go, omal nie skręcając mu karku, i oplotła go niczym rozgwiezda próbująca otworzyć ostrygę. W końcu Minty Fresh chrząknął i odwróciła się do niego. – I dzień dobry panu, panie Fresh.

– Tak. Dzień dobry. – Minty przechylił się, by widzieć Charliego. – Niezależnie od tego, czy zjawiły się z twojego powodu, czy z powodu naszych klientów, którzy nie umarli... wróć. Wiesz o tym, co?

– Morrigan? – spytała Audrey.

– Hę? – jęknęli Handlarze Śmierci, znowu chórem.

– Jesteście uroczy – zachwyciła się. – Nazywają się Morrigan. Kobiety-kruki, uosobienia śmierci w postaci pięknych wojowniczek, które mogą zmieniać się w ptaki. Są trzy i każda stanowi część zbiorczej królowej Zaświatów, zwanej Morrigan.

Charlie odsunął się trochę, by móc jej spojrzeć w oczy.

– Skąd to wiesz?

– Właśnie sprawdziłam w Internecie.

Zgramoliła się z jego kolan, podniosła papiery ze stołu i zaczęła czytać:

– Morrigan składa się z trzech odrębnych bytów. Macha nawiedza pole bitwy i zabiera głowy wojowników jako ofiarę – rzekomo może uleczyć wojownika ze śmiertelnych ran, jeśli jego kompani ofiarowali jej wystarczająco wiele głów. Celtowie nazywali odcięte głowy żołędziami Machy. Jest uważana za boginię-matkę całej trójki. Babd to wściekłość, bitewny szal i zabijanie – mówiono, że zbiera nasienie poległych i używa go, by wywoływać seksualny obłęd podczas walki, dosłowną żądzę krwi. A szalona Nemain prowadziła podobno żołnierzy do bitwy wściekłym wyciem, które mogło sprawić, że wrogowie umierali z przerażenia. Miała jadowite pazury i nawet lekkie ukłucie zabijało żołnierza, głównie jednak rzucała krople jadu w oczy nieprzyjaciół, żeby ich oślepić.

– To one – stwierdził Minty Fresh. – Tej, którą widziałem w metrze, z pazurów ściekał jad.

– Tak – potwierdził Charlie. – Zdaje się, że pamiętam Babd, tę od żądzę krwi. Muszę pogadać z Lily. Wysłałem ją do Berkeley, żeby się czegoś o nich dowiedziała, ale wróciła z niczym. Widocznie nawet nie sprawdziła.

– Aha, i spytaj, czy się z kimś spotyka – powiedział Minty Fresh. Po czym zwrócił się do Audrey: – A napisali, jak je zabić? Jakie mają słabe punkty?

Pokręciła głową.

– Tylko tyle, że wojownicy zabierali do bitwy psy, żeby chroniły ich przed

Morrigan.

– Psy – powtórzył jak echo Charlie. – To wyjaśnia, dlatego moja córka dostała do ochrony piekielne ogary. Mówię ci, Fresh, wszystko będzie dobrze. Przeznaczenie jest po naszej stronie.

– Tak, jasna sprawa. Wezwij taksówkę.

– Ciekawe, dlaczego spośród najróżniejszych bogów demonów z Zaświatów, pojawiły się akurat te celtyckie.

– Może wszystkie tu są? – zastanawiał się Minty. – Pewien stuknięty Indianin powiedział mi kiedyś, że jestem synem Anubisa, egipskiego boga zmarłych o głowie szakala.

– Wspaniale! – wykrzyknął Charlie. – Szakal to rodzaj psa. Widzisz, masz wrodzone zdolności do walki z Morrigan.

Minty zerknął na Audrey.

– Jeśli nie zrobisz czegoś, żeby się rozczarował i wyluzował, to go zastrzelę.

– A, właśnie – powiedział Charlie. – Mogę pożyczyć jeden z twoich wielkich pistoletów?

Minty wstał.

– Wychodzę. Wezwę taksówkę i poczekam na nią, Charlie. Jeśli jedziesz, lepiej zacznij się już żegnać, bo odjadę, kiedy się tylko pojawi.

– Super – powiedział Charlie, patrząc z zachwytem na Audrey. – W świetle dnia chyba i tak jesteśmy bezpieczni.

– Uwodziciel mniszek – warknął Minty, schylając się pod futrynę.

\* \* \*

Ciocia Cassie wpuściła Charliego do małego domu w dzielnicy Marina, a Sophie przywołała do porządku diabelskie psy niemal w chwili, gdy zaczęły powitalne rżnięcie.

– Tata!

Charlie podniósł ją i ścisnął, aż zaczęła zmieniać kolor. Potem, gdy Jane wyszła z kuchni, złapał ją drugą ręką i też przytulił.

– Uch, puszczaj – powiedziała Jane, odpychając go od siebie. – Śmierdzisz jak kadzidło.

– Oj, Jane, sam nie wierzę, ona jest taka cudowna.

– Bzykał się – stwierdziła Cassandra.

– Bzykałeś się? – spytała Jane, całując brata w policzek. – Tak się cieszę. A

teraz puść.

– Tata się bzykał – oznajmiła Sophie ogarom, które najwyraźniej ta wiadomość bardzo ucieszyła.

– Nie, nie bzykał – powiedział Charlie, wywołując zbiorowy jęk zawodu. – Tak, bzykał – powiedział, wywołując zbiorowe westchnienie ulgi – ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że jest cudowna. Przepiękna, miła i...

– Charlie – przerwała mu Jane – zadzwoniłeś i powiedziałeś, że Sophie grozi jakieś wielkie niebezpieczeństwo i że musimy ją zabrać i chronić, a sam poszedłeś na randkę?

– Nie, nie, to niebezpieczeństwo było... jest prawdziwe, przynajmniej nocą, i naprawdę potrzebowałem waszej opieki nad Sophie, ale kogoś poznałem.

– Tata się bzykał! – ponownie ucieszyła się Sophie.

– Kochanie, nie wolno tak mówić, dobrze? – powiedział Charlie. – Ciocia Jane i ciocia Cassie też nie powinny tak mówić. To... niemiłe.

– Jak „kotek” i „nie w tyłek”?

– Właśnie, skarbie.

– Dobrze, tatusiu. Więc to nie było miłe?

– Tata musi jechać do domu i zabrać stamtąd kalendarz, pączusiu, później o tym porozmawiamy. Daj buziaka.

Sophie mocno go przytuliła i pocałowała, a Charlie pomyślał, że chyba się rozplacze. Od tak dawna była jego jedyną przyszłością i jedynym źródłem radości, a teraz miał tę drugą radość, którą chciał się z nią podzielić.

– Niedługo wrócę, dobrze?

– Dobrze. Postaw mnie.

Pozwolił jej zsunąć się na podłogę, a ona pobiegła do innej części domu.

– Więc to nie było miłe? – spytała Jane.

– Przepraszam, Jane. To był czysty obłąd. Przykro mi, że muszę was w to pakować. Nie chciałem was przestraszyć.

Jane stuknęła go w ramię.

– Więc to było miłe?

– Bardzo miłe – odparł, uśmiechając się szeroko. – Jest bardzo miła. Taka miła, że tęsknię za mamą.

– Nic nie rozumiem – stwierdziła Cassandra.

– Bo chciałbym, żeby mama zobaczyła, że u mnie wszystko gra. Że poznałem kogoś, kto jest dla mnie dobry. Kto będzie dobry dla Sophie.

– Ej, nie bądź taki szybki Bill – powiedziała Jane. – Dopiero poznałeś tę

kobietę, musisz zwolnić. I weź pod uwagę, że mówi ci to ktoś, dla kogo druga randka była zwykle zamieszkaniem razem.

– Dziwka – mruknęła Cassie.

– Mówię poważnie, Jane. Jest niesamowita.

Cassie zerknęła na Jane.

– Miałaś rację, naprawdę potrzebował seksu.

– To nie to!

Zadzwoiła komórka Charliego.

– Przepraszam was. – Otworzył telefon.

– Asher, co ty, do diabła, zrobiłeś? – To była Lily. Płakała. – Co, do diabła, uwolniłeś?

– Co, Lily? Co?

– Właśnie tu było. Szyby wystawowej już nie ma. Nie ma! Wpadło tutaj, przetrząsnęło sklep i zabrało wszystkie te twoje duchowe rzeczy. Zapakowało je do torby i odleciało. Kurwa, Asher. Mówię, KURWA! To było ogromne i kurewsko paskudne.

– Tak, Lily, nic ci się nie stało? Ray w porządku?

– Nic mi nie jest. A Ray dziś nie przyszedł. Uciekłam na zaplecze, kiedy to coś wpadło do środka. Nie interesowało się niczym oprócz tej półki. Asher, to było wielkie jak byk i jeszcze, kurwa, latało!

Wyglądało na to, że Lily jest na granicy hysterii.

– Poczekaj, Lily. Zostań tam, przyjadę do ciebie. Idź na zaplecze i nie otwieraj drzwi, dopóki mnie nie usłyszysz, dobra?

– Asher, co to, kurwa, było?

– Nie wiem.

\* \* \*

Byczogłowy stwór wfrunął w wylot kanału i natychmiast opadł na cztery łapy, by pobiec przez rurę, ciągnąc za sobą torbę z duszami. Już niedługo. Już niedługo będzie musiał pełzać. Czas nadszedł, Orcus to czuł. Czuł, jak zlatują się nad miastem – miastem, które dawno temu uznał za swój teren, jego miastem. Mimo wszystko przyjdą i spróbują zabrać to, co było jego prawowitą własnością. Wszyscy starzy bogowie śmierci: Yama, Anubis i Mors, Tanatos, Charon i Mahakala, Azrael, Emmao i Ahkoh, Balor, Erebus i Nyks – dziesiątki bogów, zrodzonych z energii największego ludzkiego strachu, strachu przed śmiercią –

wszyscy przybywali, by powstać jako wódz ciemności i zmarłych, jako Luminatus. Ale on był tu pierwszy i z pomocą Morrigan to on zostanie władcą. Najpierw jednak musiał zebrać siły, wyleczyć Morrigan i zgładzić tych przeklętych złodziei dusz z miasta.

Torba z duszami pomoże mu wyleczyć swoje oblubienice. Wmaszerował do groty, w której znajdował się wielki statek, i wyskoczył w powietrze. Łopot ogromnych, skórzastych skrzydeł zabrzmiał jak werbel, odbijając się echem od ścian groty i podrywając nietoperze, które zaczęły chmarami krążyć wokół masztu.

Poharatane i załamane siostry Morrigan czekały na niego na pokładzie.

– A nie mówiłam? – odezwała się Babd. – Na Powierzchni wcale nie jest wspaniale, co? Ja, na ten przykład, mogłabym się w ogóle obejść bez samochodów.

\* \* \*

Jane prowadziła, podczas gdy Charlie dzwonił z komórki, najpierw do Rivery, a potem do Minty'ego Fresha. W ciągu pół godziny wszyscy znaleźli się w sklepie Charliego, czy raczej w ruderze, która była sklepem Charliego, a umundurowani policjanci ogrodzili teren, zanim komuś przyszło do głowy, by posprzątać szkło.

– Turyści będą zachwyceni – powiedział Nick Cavuto, żując niezapalone cygaro. – Dokładnie przy trasie tramwaju linowego. Super.

Rivera siedział na zapleczu i przesłuchiwał Lily, podczas gdy Charlie, Jane i Cassandra próbowali posprzątać bałagan i poukładać towar z powrotem na półkach. Minty Fresh stał przy drzwiach, w ciemnych okularach, demonstrując zdecydowanie przesadny luz jak na rozciągający się przed nim obraz zniszczenia. Sophie siedziała w kącie i karmiła Alvina i Mohammeda butami.

– Czyli – powiedział do Charliego Cavuto – jakiś latający potwór wpadł do tego sklepu przez okno, a pan uznał, że to dobre miejsce, żeby tu przyprowadzić swoje dziecko?

Charlie odwrócił się do rosnącego gliniarza i oparł na ladzie.

– Niech mi pan powie, jako profesjonalista, jaki tok postępowania powinienem przyjąć w wypadku włamania ze strony latającego potwora? Jak, do kurwy nędzy, wygląda standardowa procedura policji San Francisco wobec zajebistego, latającego monstrum, detektywie?

Cavuto stał i patrzył na Charliego, jakby ktoś chlusnął mu w twarz wodą – nie tyle z gniewem, ile z zaskoczeniem. W końcu wargi, w których trzymał cygaro, wykrzywiły się w uśmiechu.

– Panie Asher – powiedział – wyjdę na zewnątrz, zapalę, połączę się z centralą i poproszę, żeby sprawdzili tę konkretną procedurę. Zbił mnie pan z tropu. Powie pan mojemu partnerowi, gdzie jestem?

– Dobrze – odparł Charlie. Poszedł na zaplecze, do Lily i do Rivery, i spytał: – Mogę dostać jakąś policyjną ochronę mieszkania? Funkcjonariuszy z karabinami?

Rivera skinął głową, poklepując dłoń Lily i odwracając wzrok.

– Mogę dać ci dwóch ludzi, ale najwyżej na dwadzieścia cztery godziny. Na pewno nie chcesz wyjechać z miasta?

– Na górze mamy kraty w oknach i stalowe drzwi, mamy ogary i broń Minty’ego Fresha, a poza tym tutaj już byli. Mam wrażenie, że wzięli to, co chcieli, ale przy gliniarzach będę się czuł lepiej.

Lily spojrzała na Charliego. Tusz do rzęs zupełnie jej się rozpuścił, rozmazała też sobie szminkę na pół twarzy.

– Przepraszam, myślałam, że lepiej to zniosę. To było straszne. Nie tajemnicze ani fajne, tylko straszne. Te oczy i kły... posikałam się, Asher. Przepraszam.

– Nie przepraszaj, dziecko. Świetnie się spisałaś. Cieszę się, że miałaś dość rozsądku, żeby zejść temu z drogi.

– Asher, jeśli ty jesteś Luminatusem, to coś jest pewnie twoją konkurencją.

– Co? Co takiego? – spytał Rivera.

– A, to te jej gotyckie dziwactwa, inspektorze. Proszę się nie przejmować – odparł Charlie.

Wyjrzał przez drzwi i zobaczył przed sklepem Minty’ego Fresha, który wzruszył ramionami, jakby chciał spytać: „No i?”, więc zwrócił się do Lily:

– Ej, Lily, spotykasz się z kimś?

Lily wytarła nos w rękaw swojego kucharskiego fartucha.

– Słuchaj, Asher, eee, muszę wycofać się z propozycji, którą ci złożyłam. Znaczący, po Rayu nie wiem, czy chcę jeszcze to w ogóle robić. Kiedykolwiek.

– Nie pytałem w swoim imieniu, Lily. – Skinął głową w stronę potężnej sylwetki Fresha.

– A – powiedziała Lily, podążając za jego spojrzeniem i ocierając oczy rękawami. – Oż, kurwa. Kryj mnie. Muszę się przegrupować. – Pognała do łazienki dla pracowników i trzasnęła drzwiami.

Rivera zerknął na Charliego.

– Co tu się, do diabła, dzieje?

Charlie próbował wymyślić jakąś odpowiedź, kiedy zadzwoniła jego komórka. Uniósł palec, by wstrzymać bieg czasu.

– Charlie Asher – powiedział.

– Charlie, mówi Audrey – usłyszał szept. – Są tutaj. Teraz. Morrigan są tutaj.



## ORFEUSZ W KANALE

Charlie zaparkował furgonetkę w poprzek ulicy i pognął po schodach ośrodka buddyjskiego, wołając Audrey po imieniu. Ogromne frontowe drzwi wisiąły krzywo na jednym zawiasie, wszędzie walały się odłamki szkła. Wszystkie szuflady i szafki zostały otwarte, ich zawartość wyrzucona, a każdy mebel był przewrócony albo roztrzaskany.

Usłyszał czyjś głos przed domem i wybiegł z powrotem na ganek.

– Audrey?

– Tutaj! – zawołała. – Ciągłe jesteśmy pod gankiem.

Zbiegł po schodach i okrążył ganek, podchodząc do niego z boku. Za kratą dostrzegł jakiś ruch. Znalazł niewielką klapę i otworzył ją. W środku ujrzał przycupniętą Audrey, alka innych osób oraz cały tłum wiewiórkołudzi. Wpełzł tam i ją objął. Chciał mieć ją na linii przez całą drogę, ale gdy był o kilka ulic stąd, wyczerpała mu się bateria w telefonie. Przez te kilka przerażających chwil wyobrażał sobie, że ją traci – swoją przyszłość, swoją nadzieję – po tym, jak nadzieja zapłonęła w nim na nowo. Teraz tak mu ulżyło, że ledwie mógł oddychać.

– Poszły już? – spytała Audrey.

– Tak mi się wydaje. Jak dobrze, że nic ci się nie stało.

Wyprowadził ich spod ganku i powiodł z powrotem do domu. Wiewiórkołudzie trzymali się blisko ścian i poruszali bardzo szybko.

Charlie poczuł klepięcie w ramię i odwrócił się, by ujrzeć uśmiechniętą Irenę Posokovanovich. Aż podskoczył.

– Proszę mnie więcej nie straszyć. Jestem dobrym facetem.

– Wiem, panie Asher. Chciałam spytać, czy chce pan, żebym przeparkowała pańską furgonetkę, zanim ją odholują.

– O, tak, miło z pani strony. – Podał jej kluczyki. – Dziękuję.

Gdy weszli do domu, Audrey powiedziała:

– Ona chce tylko pomóc.

– Jest okropna – odparł Charlie, ale potem zobaczył w spojrzeniu Audrey coś, co wyglądało na dezaprobatę, więc szybko dodał: – W miłym znaczeniu tego słowa, znaczy się.

Poszli prosto do kuchni i stanęli przed otwartą spiżarnią.

– Zabrały wszystkie – powiedziała Audrey. – To dlatego nie zrobiły nam krzywdy. Nie o nas im chodziło.

Charlie był tak wściekły, że miał trudności z myśleniem, ale nie mogąc się wyładować, po prostu drżał na całym ciele i starał się panować nad głosem.

– Zrobiły to samo w moim sklepie. Coś zrobiło.

– Tu było jakieś trzysta dusz – powiedziała Audrey.

– Wzięły duszę Rachel.

Audrey objęła go jedną ręką, ale nie umiał zareagować inaczej, niż wychodząc z kuchni.

– Już, Audrey. Skończone.

– Jak to skończone? Przerażasz mnie.

– Zapytaj wiewiórkoludzi, którzy dostaną się do kanałów. Mogą ci to powiedzieć?

– Pewnie tak. Ale nie możesz tego zrobić.

Odwrócił się do niej tak gwałtownie, że aż odskoczyła.

– Muszę to zrobić. Dowiedz się. Wszyscy do mojej furgonetki. Pojedziecie do mojej kamienicy, tam będziecie bezpieczni.

\* \* \*

Wszyscy zgromadzili się w salonie Charliego: Sophie, Audrey, Jane, Cassandra, Lily, Minty Fresh, nieumarli klienci z ośrodka buddyjskiego, piekielne ogary, a także jakaś pięćdziesiątka wiewiórkoludzi. Lily, Jane i Cassandra stanęły na kanapie, by znaleźć się jak najdalej od wiewiórkoludzi, którzy kłębili się przy blacie śniadaniowym.

– Ładne ubranka – skomentowała Lily. – Ale... fuuuuj.

– Dziękuję – powiedziała Audrey.

Sophie stała przy Audrey i zadzierała głowę, patrząc na nią.

– Jestem Żydówką – oznajmiła mała. – A ty jesteś Żydówką?

– Nie, jestem buddystką – odparła kobieta.

– To jak siksa?

– Tak mi się wydaje. To rodzaj siksy.

– A, no to chyba w porządku. Moje pieski to też siksy. Tak mówi na nie pani Ling.

– Twoje pieski robią wrażenie – powiedziała Audrey.

– Chcą zjeść te twoje małe ludki, ale im nie pozwolę, dobra?

- Dziękuję. Miło z twojej strony.
- Chyba że będziesz niedobra dla taty. Wtedy już po nich.
- Oczywiście – powiedziała Audrey. – Szczególne okoliczności.
- On cię bardzo lubi.
- Cieszę się. Też go bardzo lubię.
- Chyba jesteś w porządku.

– To samo mogę powiedzieć o tobie – odparła kobieta. Uśmiechnęła się do tej małej rezolutnej ciemnowłosej dziewczynki o zachwycających błękitnych oczach i z trudem się powstrzymała, by nie poderwać jej do góry i nie uścisnąć z całej siły.

Charlie wskoczył na kanapę obok Jane, Cassandry i Lily, a potem spojrzał w drugi kraniec pokoju, na Minty'ego Fresha, i stwierdził, że nadal nie dorównuje mu wzrostem, co było trochę denerwujące. (Minty wydawał się skupiony na Lily, co też było trochę denerwujące).

– Słuchajcie, idę coś zrobić i mogę już nie wrócić. Jane, w tym liście, który ci wysłałem, są wszystkie dokumenty uprawniające cię do opieki nad Sophie.

– Spadam stąd – powiedziała Lily.

– Nie – powiedział Charlie, łapiąc ją za ramię. – Chcę, żebyś też przy tym była. Zostawiam ci firmę, ale z zastrzeżeniem, że część zysków ma trafiać do Jane, na opiekę nad Sophie, a także na jej przyszłe studia. Wiem, że masz swoją kucharską karierę, ale ufam ci i jesteś dobra w tym biznesie.

Zdawało się, że Lily rzuci jakiś ironiczny komentarz, ale tylko wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Jasne. Mogę prowadzić twoją firmę, a oprócz tego gotować. Rób, co należy do Handlarza Śmierci i zajmuj się córką.

– Dzięki. Jane, dostaniesz kamienicę, ma się rozumieć, ale kiedy Sophie dorośnie, to, jeśli nie zechce zostać w San Francisco, zawsze musisz mieć dla niej mieszkanie.

Jane zeskoczyła z kanapy.

– Charlie, to jakieś bzdury. Nie pozwolę ci zrobić nic, co...

– Proszę, Jane. Muszę iść. To wszystko jest napisane, ale chciałem ci to powiedzieć osobiście.

– Dobra – powiedziała.

Charlie wyściskał siostrę, Cassandrę i Lily, po czym ruszył do łazienki i skinął na Minty'ego Fresha, by poszedł za nim.

– Minty, idę do Zaświatów. Po Morrigan... po duszę Rachel, po wszystkie dusze. Już czas.

Wielkolud pokiwał głową.

– Idę z tobą.

– Nie, nie idziesz. Musisz tu zostać i opiekować się Audrey, Sophie i resztą. Przed domem są gliniarze, ale myślę, że przez niedowierzanie mogliby się zawahać, gdyby zjawiły się Morrigan. Ty tego nie zrobisz.

Minty pokręcił głową.

– Jakie szanse masz sam? Pójdę z tobą. Stawimy temu czoło razem.

– Raczej nie – odparł Charlie. – Ja mam dar czy coś. Przepowiednia mówi: „Luminatus powstanie i stoczy bitwę z Siłami Ciemności w Mieście Dwóch Mostów”. Nie mówi: „Luminatus i jego wierny pomagier, Minty Fresh”.

– Nie jestem twoim pomagierem.

– Właśnie to chcę powiedzieć – wyjaśnił Charlie, który chciał powiedzieć coś zupełnie innego. – Chcę powiedzieć, że mam jakąś tajemniczą ochronę, ale ty pewnie nie. A jeśli nie wrócę, będziesz musiał dalej pełnić funkcję Handlarza Śmierci w mieście i być może przechylić szalę zwycięstwa na naszą korzyść.

Minty Fresh pokiwał głową i wbił wzrok w podłogę.

– A weźmiesz oba moje desert eagle, tak na szczęście? – Gdy uniósł głowę, uśmiechał się.

– Wezmę jeden – odpadł Charlie.

Minty Fresh zsunął zakładaną na ramię kaburę i wyregulował pasy, by pasowały na Charliego, po czym pomógł mu je zapiąć.

– Tu są dwa dodatkowe magazynki, pod prawą pachą – powiedział. – Mam nadzieję, że nie będziesz musiał strzelać aż tyle razy, bo ogłuchniesz.

– Dzięki – powiedział Charlie.

Minty pomógł mu nałożyć tweedową marynarkę na kaburę.

– Wiesz, może jesteś dobrze uzbrojony, ale i tak wyglądasz jak angielski profesor. Nie masz jakiegoś odpowiedniejszego ubrania do walki?

– James Bond zawsze chodzi w garniturze – zauważył Charlie.

– Tak, rozumiem, że granica między fikcją a rzeczywistością wydaje się tu ostatnio nieco rozmyta...

– Żartuję – powiedział Charlie. – W sklepie mam skórzany strój motocrossowy, o ile go znajdę.

– To dobrze. – Minty poklepał go po ramionach. – Jak zobaczysz tę dziwkę z jadowitymi pazurami, przywal jej ode mnie, dobra?

– Zasadzę czopa w dupę tej sztuni – odpowiedział Charlie.

– Przestań.

– Przepraszam.

\* \* \*

Najtrudniejsze nastąpiło parę minut później.

– Kochanie, tata musi gdzieś iść.

– Idziesz po mamę?

Charlie ukucnął przed córką i omal się nie przewrócił, słysząc to pytanie. Przez ostatnie dwa lata wspomniała o mamie najwyżej dziesięć razy.

– Dlaczego tak mówisz, skarbie?

– Nie wiem. Myślałam o niej.

– Wiesz, że bardzo cię kochała.

– Tak..

– I wiesz, że bez względu na wszystko, ja cię bardzo kocham.

– Tak, mówiłeś mi to wczoraj.

– I mówiłem prawdę. No, muszę iść stoczyć walkę z paroma złymi osobami. I mogę nie wygrać.

Dolna warga Sophie wysunęła się niczym mokra szuflada.

Nie płacz, nie płacz, nie płacz, nie płacz, powtarzał w myślach Charlie. Nie zniosę tego, jeśli się rozpłaczesz.

– Nie płacz, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

– Neeeeeeee – załkała Sophie. – Chcę iść z tobą. Chcę iść z tobą. Nie idź, tato. Chcę iść z tobą.

Charlie objął ją i posłał błagalne spojrzenie swojej siostrze. Podeszła i wzięła małą w ramiona.

– Neeeeee. Chcę iść z tobą.

– Nie możesz ze mną iść, skarbie.

I wyszedł z mieszkania, zanim znowu złamała mu serce.

\* \* \*

Audrey czekała w holu z pięćdziesięcioma trzema wiewiórkoludźmi.

– Zawiozę cię do wejścia – powiedziała. – Nie odmawiaj.

– Nie – odparł. – Nie chcę cię stracić zaraz po tym, jak cię znalazłem. Zostaniesz tutaj.

– Ty łajzo! Co ci daje prawo do takiego postępowania? Ja też cię dopiero

znalazłam.

– Tak, ale nie takie cenne ze mnie znalezisko.

– Dupek – powiedziała, po czym weszła mu w objęcia i pocałowała go.

Po dłuższej chwili Charlie rozejrzał się. Wszyscy wiewiórkoludzie patrzyli na niego.

– Co oni tu robią?

– Idą z tobą.

– Nie. Za duże ryzyko.

– Za duże także dla ciebie. Nawet nie wiesz, co tam cię może czekać. To coś, co włamało się do sklepu, to nie była żadna z Morrigan.

– Nie będę się bał, Audrey. Tam może być sto różnych demonów, ale *Księga umarłych* słusznie mówi, że one tylko zawracają nas z drogi. Myślę, że te stwory istnieją z tego samego powodu, dla którego wybrano mnie do tego zajęcia. Z powodu strachu. Bałem się żyć, więc zostałem Śmiercią. Nasz lęk przed śmiercią to źródło ich mocy. Nie boję się. I nie zabiorę wiewiórkoludzi.

– Znają drogę. A poza tym mają trzydzieści pięć centymetrów wzrostu. Co dostali od życia?

– Ej – odezwał się londyński strażnik królewski z czaszką misia zamiast głowy.

– Powiedział coś?

– Jeden z moich eksperymentalnych aparatów mocy.

– Trochę piszczy.

– Ej!

– Przepraszam, ee, Beef. – Stworzonka wyglądały na zdecydowane. – No to naprzód!

\* \* \*

Charlie przebiegł przez hol, nie chcąc znowu się żegnać. Dziesięć metrów za nim maszerowała niewielka armia istot rodem z sennego koszmaru, poskładanych fragmentów stu różnych zwierząt. Gdy zbliżały się do schodów, na dół zeszła pani Ling, chcąc sprawdzić, co to a zamieszanie. Cała armia zatrzymała się pod schodami spojrziała na nią.

Pani Ling zawsze była buddystką, a zatem mocno wierzyła w koncepcję karmy i w to, że lekcje, których człowiek wcześniej nie przyswoi, będą wracały, aż mu się uda, bo inaczej jego dusza nie wejdzie na wyższy poziom. Tego popołudnia, gdy Siły Światła szykowały się do walki z Siłami Ciemności władzę nad światem, pani

Ling, patrząc w puste oczy wiewiórkoludzi, doznała objawienia i już nigdy więcej nie jadła mięsa, żadnego rodzaju. Pierwszym aktem zadośćuczynienia z jej strony była propozycja złożona tym, których, jak się zdawało, skrzywdziła.

– Dać wam jeść? – spytała.

Ale wiewiórkoludzie ruszyli dalej.

\* \* \*

Cesarz zobaczył, że przy strumieniu zatrzymuje się furgonetka i wysiada z niej mężczyzna w jaskrawożółtym, skórzanym stroju motocyklisty. Mężczyzna sięgnął do samochodu i wyciągnął coś, co wyglądało jak uprzęż z przytroczonym młotem kowalskim, po czym nałożył ją na siebie. Gdyby wszystko nie przedstawiało się tak dziwacznie, Cesarz mógłby przysiąc, że to jego przyjaciel Charlie Asher z komisju na North Beach. Ale Charlie? Tutaj? Z pistoletem? Nie.

Lazarus, który nie musiał aż tak bardzo polegać na wzroku, zaszczekał na powitanie.

Mężczyzna odwrócił się do nich i pomachał. To był Charlie. Po chwili wszedł nad przeciwległy brzeg strumienia.

– Wasza wysokość – powiedział.

– Wydajesz się zdenerwowany, Charlie. Coś się stało?

– Nie, nie, wszystko gra, ale musiałem skorzystać ze wskazówek niemego bobra w fezie i trochę wytrąciło mnie to z równowagi.

– Wyobrażam sobie – powiedział Cesarz. – Ładny strój, te skóry i pistolet... Nie ten elegancki splendor, co zwykle.

– No, nie. Mam taką małą misję do spełnienia. Wejdę do tego kanału, znajdę drogę do Zaświatów i stoczę walkę z Siłami Ciemności.

– Bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Ostatnio Siły Ciemności coraz bardziej panoszą się w mieście.

– Więc zauważyłeś?

Cesarz zwiesił głowę.

– Tak. Obawiam się, że straciliśmy przez tych łotrów jednego z żołnierzy.

– Bummera?

– Kilka dni temu wszedł do kanałów i dotąd nie wyszedł.

– Przykro mi.

– Poszukasz go, Charlie? Proszę. Przyprowadź go.

– Wasza wysokość, nie jestem pewien, czy sam wrócę, ale obiecuję, że jeśli go

znajdę, spróbuję go stamtąd zabrać. A teraz przepraszam, otworzę ten samochód i nie chcę, by zaniepokoiło cię to, co zobaczysz. Wejdę do tej rury, dopóki przez studzienki wpada jeszcze trochę światła. To, co wyjdzie z samochodu... to przyjaciele.

– Śmiało – powiedział Cesarz.

Charlie przesunął boczne drzwi samochodu i wiewiórkoludzie wyskoczyli na zewnątrz i pognali wzdłuż brzegu strumienia w stronę ścieku. Charlie sięgnął do wozu, wyciągnął swój miecz w lasce i latarkę, po czym zatrzasnął drzwi, popychając je pośladkami. Lazarus zaskamlał i popatrzył na Cesarza tak, jakby ten, kto umie mówić, powinien coś powiedzieć.

– Zatem życzę powodzenia, mężny Charlie – powiedział Cesarz. – Idź i miej nas wszystkich w sercu, tak jak my będziemy mieli w sercach ciebie.

– Popilnujesz samochodu?

– Będę go pilnował, dopóki Golden Gate nie rozpadnie się w pył, przyjacielu – obiecał Cesarz.

A zatem Charlie Asher, w służbie życia, światła i wszystkich czujących istot, pełen nadziei na odzyskanie duszy miłości swojego życia, poprowadził armię trzydziestopięciocentymetrowych składanek z kawałków zwierząt, uzbrojonych we wszelką broń, od szydełek po plastikowe sztucce, do kanałów burzowych pod San Francisco.

\* \* \*

Przez wiele godzin podążali naprzód. Czasami rury stawały się tak wąskie, że Charlie musiał pełznąć na czworakach, a czasem przechodziły w szerokie rozgałęzienia, niczym betonowe komnaty. Pomagał wiewiórkoludziom wspiąć się do wyżej położonych rur. Wcześniej znalazł lekki kask budowlany z diodową lampą czołową, która przydawała się w wąskich przejściach, gdzie nie bardzo mógł posłużyć się latarką. Mniej więcej dziesięć razy na godzinę walił się w głowę, i chociaż dzięki kaskowi nie doznawał urazów, zaczął go dręczyć pulsujący ból w czaszce. Jego skórzany strój – właściwie nie skórzany, tylko nylonowy, z miękkimi wzmocnieniami na kolanach, ramionach, łokciach, goleniach i przedramionach – chronił go przed siniakami i otarciami, ale przesiąkł wodą i obcierał mu plecy i kolana. Przy rozgałęzieniu z kratką u góry wspiął się po drabinie i próbował wyrzeć na zewnątrz, by się zorientować, gdzie są, ale zrobiło się już ciemno, a w dodatku nad kratką zaparkował samochód.



Co za ironia – w końcu zebrał się na odwagę i ruszył w otchłań tylko po to, by utknąć w tej otchłani. Ludzki niewypał.

– Gdzie my, do diabła, jesteśmy? – spytał.

– Nie wiem – odparł ten z czaszką rysia.

Mały londyński gwardzista wyglądał dziwnie, gdy mówił, jako że tak naprawdę nie miał twarzy i nie wymawiał głoski „p”. W dodatku zamiast halabardy, która zdaniem Charliego dodałaby kostiumowi autentyzmu, ryś był uzbrojony w plastikowy widelec.

– Możesz spytać pozostałych, czy wiedzą, gdzie jesteśmy?

– Dobrze. – Odwrócił się do przemoczonego tłumu wiewiórkoludzi. – Ej, wie ktoś, gdzie jesteśmy?

Wszyscy pokręcili głowami, spoglądając po sobie i wzruszając ramionami. Nie.

– Nie – powiedział ryś.

– Sam mogłem to zrobić – stwierdził Charlie.

– To czemu nie zrobisz? To twoja wy\_rawa. – Charlie zrozumiał, że chodzi o wyprawę.

– Dlaczego nie wymawiasz „p”? – zapytał.

– Nie mam warg.

– Racja, warg. Przepraszam. Co chcesz zrobić z tym widelcem?

– No, jak znajdziemy jakichś wrogów, oberwą tym widelcem w du\_ę.

– Świetnie. Będziesz moim porucznikiem.

– Z\_owodu widelca?

– Nie, bo umiesz mówić. Jak się nazywasz?

– Rysio.

– Nie, serio – Serio. Rysio.

– A nazwisko masz pewnie Kotowaty.

– Wilson.

– Tylko sprawdzałem, przepraszam.

– Nie ma s\_rawy.

– Pamiętasz, kim byłeś w poprzednim życiu?

– Trochę \_amiętam. Chyba księgowym.

– Czyli nie masz doświadczeń wojskowych?

– Jeśli trzeba będzie liczyć tru\_y, będę do tego właściwym człowiekiem, ee, stworem.

– Super. Czy ktoś tu pamięta, że był wojskowym, ninja albo coś? Szczególnie mile widziani są ninja, wikingowie itepe. Jeśli któryś z was był w poprzednim

życiu Attylą czy d'Artagnanem, to nie w kij dmuchał.

Fretka w minisukience z cekinami i butach striptizerki wystąpiła naprzód z uniesioną łapą.

– Byłaś w wojsku?

Fretka szepnęła coś do czapki Rysia (jako że Rysio nie miał już uszu).

– Mówi, że nie, źle zrozumiała. Myślała, że mówiłeś coś o dmuchaniu.

– Była prostytutką?

– Grała na klarnecie – sprostował Rysio.

– Przepraszam – powiedział Charlie. – To przez te buty. Fretka machnęła ręką, co miało znaczyć „spoko”, po czym pochyliła się i znowu coś szepnęła do Rysia.

– Co? – spytał Charlie.

– Nic – odparł Rysio.

– Jak to nic? Nie sądziłem, że umieją mówić.

– No, ale nie do ciebie – powiedział Rysio.

– Co powiedziała?

– Że mamy \_rzejebane.

– To nie jest najlepsze podejście – stwierdził Charlie, choć zaczynał wierzyć, że fretka z baru ze striptizem ma rację, i przybrał pozycję półsiedzącą na rurze, by odpocząć.

Rysio wspiął się na mniejszą rurę i usiadł na krawędzi, dyndając nogami. Woda kapała z jego maleńkich lakierków, ale mosiężne sprzączki z motywami roślinnymi wciąż lśniły w świetle lampy czołowej Charliego.

– Ładne buty – powiedział Charlie.

– Tak, no, Audrey mnie lubi – odparł Rysio.

Zanim Charlie zdołał odpowiedzieć, Rysia dopadł pies i zaczął nim potrząsać jak szmacianą lalką. Śmiercionośny plastikowy widelec odbił się od rury i zniknął w wodzie poniżej.

**KOCIOŁ LADACZNICY**

Lily przez cały wieczór szukała sposobu, by się zbliżyć do Minty'ego Fresha. Dziesięć razy nawiązywała z nim kontakt wzrokowy i uśmiechała się, ale w atmosferze lęku, jaka zapanowała w pokoju, nie umiała wymyślić, jak go zagadnąć. W końcu, kiedy w telewizji zaczął się film tygodnia – Oprah – i wszyscy zebrali się wokół telewizora i patrzyli, jak gwiazda mediów zabija Paula Winfielda żelazkiem, Minty podszedł do blatu śniadaniowego i zaczął kartkować kalendarz, a Lily wykonała swój ruch.

– Sprawdzasz, kiedy masz spotkania? – spytała. – Widocznie jesteś optymistą w kwestii dalszego biegu wydarzeń.

Pokręcił głową.

– Nie bardzo.

Lily była oczarowana. Okazał się nie tylko przystojny, ale i ponury – niczym wielki, brązowy dar bogów.

– Będzie aż tak źle? – Wyjęła mu kalendarz z rąk i zaczęła go przeglądać. Zatrzymała się na dzisiejszej dacie.

– Dlaczego tu jest nazwisko Ashera? – zapytała.

Minty zwiesił głowę.

– Mówił, że od jakiegoś czasu wszystko o nas wiesz.

– Tak, ale... – Jeszcze raz spojrzała na nazwisko. Zrozumiała, co widzi, i to było jak uderzenie obuchem.

– To ten kalendarz? To twój kalendarz do tych spraw?

Minty pokiwał głową, nie patrząc na nią.

– Kiedy pojawiło się to nazwisko? – spytała.

– Jeszcze godzinę temu go nie było.

– Ja pierdziele – rzuciła, siadając na stołku obok Minty'ego.

– Tak – powiedział. Objął ją jedną ręką.

\* \* \*

Dzięki temu, że Charlie ciągnął za nogi rysiowatego zwierzaka (który wydawał dość efektowne krzyki, jak na kogoś posługującego się eksperymentalnymi

strunami głosowymi), a wiewiórkoludzie całą kupą opadli boston teriera, w końcu udało się wyciągnąć porucznika ze szczęk ucieleśnienia furii o owadzych oczach. Nie licząc drobnych uszkodzeń munduru gwardzisty, ofierze nic się nie stało.

– Leżeć, Bummer – powiedział Charlie. – Wyluzuj.

Nie wiedział, czy „wyluzuj” jest uznawaną psią komendą, ale powinno nią być.

Bummer parsknął i cofnął się od tłumu wiewiórkoludzi.

– To nie jeden z nas – powiedział rysiwaty, wskazując Bummera. – To nie jeden z nas.

– Zamknij się – rzucił Charlie. Wyciągnął z kieszeni pasek suszonej wołowiny, którą wziął w charakterze racji żywnościowych, oderwał kawałek i podał Bummerowi. – Chodź, piesku. Obiecałem Cesarzowi, że cię odnajdę.

Bummer podszedł do Charliego i wziął od niego wołowinę, po czym odwrócił się pyskiem w stronę wiewiórkoludzi, którzy wydawali klekoczące dźwięki i prezentowali broń.

– To nie jeden z nas. To nie jeden z nas – powtarzał Rysio.

– Przestań – powiedział Charlie. – Nie nakłonisz tłumu do skandowania, bo tylko ty masz tu aparat mowy.

– A, tak. – Rysio zamilkł. – Ale to nie jest jeden z nas – dodał na swoją obronę.

– Już jest – odparł Charlie. Po czym zwrócił się do Bummera: – Możesz nas zaprowadzić do Zaświatów?

Pies spojrzał na niego tak, jakby dokładnie wiedział, o co się go prosi, ale potrzebował drugiej połowy tego paska suszonej wołowiny, jeśli miał znaleźć siły na wypełnienie zadania. Charlie dał mu mięso i Bummer natychmiast wskoczył do położonej wyżej rury o metrowym przekroju, zatrzymał się, zaszczekał i ruszył w jej głąb.

– Za nim – rozkazał Charlie.

\* \* \*

Minęła godzina marszu za Bummerem przez kanały, gdy rury ustąpiły miejsca coraz bardziej się rozszerzającym tunelom. Wkrótce szli już przez jaskinie o wysokich sklepieniach, z których zwieszały się stalaktyty, świecące różnymi kolorami i oświetlające im drogę nikłym, jednostajnym blaskiem. Charlie wystarczająco wiele czytał o geologii okolicy, by wiedzieć, że takie jaskinie nie są w San Francisco czymś normalnym. Domyślał się, że cała grupa znalazła się gdzieś pod dzielnicą finansową, wzniesioną głównie na terenie, który zasypiano w czasach

Gorączki Złota, więc nie powinno tu być nic tak starego czy solidnego, jak te jaskinie.

Bummer podążał naprzód, bez wahania wybierając to lewą, to prawą odnogę, aż nagle wyszli z tunelu do wielkiej groty. Była tak ogromna, że po prostu pochłaniała światło latarki i lampy czołowej Charliego, ale sklepienie, znajdujące się ponad sto metrów nad nimi, było pokryte świecącymi stalaktytami, które odbijały się czerwienią, zielenią i fioletem w gładkiej, czarnej tafli jeziora. Na środku jeziora, jakieś dwieście metrów od brzegu, widniał wielki, czarny żaglowiec o wysokich masztach niczym hiszpański galeon. W oknach kabin w tylnej części kadłuba pulsował czerwony blask, a pokład oświetlała pojedyncza lampa. Charlie słyszał o tym, że podczas Gorączki Złota zakopano całe statki, nie miały one jednak prawa zachować się w takim stanie. Te jaskinie były skutkiem wzrostu potęgi Zaświatów i Charlie zdał sobie sprawę, co się będzie działo w mieście, jeśli Zaświaty przejmą władzę.

Bummer zaszczekał i po grocie poniosło się donośne echo, posyłając w powietrze chmurę nietoperzy.

Charlie dostrzegł ruch na pokładzie – czarno-niebieską sylwetkę kobiety – i już wiedział, że Bummer doprowadził ich we właściwe miejsce. Podał latarkę Rysiowi i odłożył na chwilę swój miecz w lasce. Wyciągnął pistolet Desert Eagle z kabury, sprawdził, czy w komorze jest nabój, po czym schował broń z powrotem.

– Będzie nam potrzebna łódź – powiedział do Rysia. – Poszukajcie czegoś, z czego można by zrobić tratwę.

Rysio ruszył wzdłuż brzegu, oświetlając latarką skały w poszukiwaniu czegoś przydatnego. Bummer zawarczał i potrząsnął łbem, jakby miał pasożyty w uszach albo jakby chciał pokazać, że Charlie oszalał, po czym wbiegł do jeziora. Pięćdziesiąt metrów od brzegu woda wciąż nie zakrywała mu kłębu.

Charlie popatrzył na statek i stwierdził, że kadłub zdecydowanie za bardzo wystaje nad powierzchnię – że statek tak naprawdę spoczywa na dnie w wodzie o głębokości piętnastu centymetrów.

– Ee, Rysiu – powiedział. – Darujmy sobie łódź. Idziemy pieszo. Macie zachować ciszę.

Wyciągnął miecz i wszedł do wody. W miarę, jak zbliżali się do statku, widzieli coraz więcej szczegółów jego konstrukcji. Relingi wykonano ze związanych kości udowych, a podwiezie z ludzkich miednic. Lampa na pokładzie okazała się ludzką czaszką. Charlie nie miał pewności, w jaki sposób ujawnią się jego zdolności jako Luminatusa, ale gdy dotarli do kadłuba, zapragnął, by stało się to jak najszybciej i

by do tych zdolności należała lewitacja.

– No i du\_a – powiedział Rysio, patrząc w górę na krzywiznę czarnego kadłuba.

– Wcale nie – odparł Charlie. – Po prostu ktoś musi się tam wspiąć i rzucić nam linę.

Wśród wiewiórkoludzi wybuchło małe zamieszanie, a potem z tłumu wystąpiło jedno stworzenie – wyglądało jak dziewiętnastowieczny francuski dandys z głową agamy, jego ubiór – zwłaszcza żabot i płaszcz – skojarzył się Charliemu z portretami Charlesa Baudelaire’a, które kiedyś pokazała mu Lily.

– Dasz radę? – spytał go Charlie.

Tamten wyciągnął ręce i wyjął z wody jedną nogę. Łapy wiewiórki. Charlie podniósł go najwyżej, jak mógł, a zwierzak uczeplił się czarnego drewna kadłuba, po czym pomknął po burcie, mijając otwory strzelnicze.

Minuty płynęły i Charlie uważnie nasłuchiwał najlżejszego dźwięku, który świadczyłby o tym, co się dzieje na górze. Kiedy tuż obok plusnęła gruba lina, wyskoczył na pół metra w powietrze, z trudem powstrzymując głośny wrzask radości.

– Ładnie – powiedział Rysio.

– Ty pierwszy – powiedział Charlie, pociągając za linę, by sprawdzić, czy utrzyma jego ciężar.

Czekał, aż tamten znajdzie się o jakiś metr nad jego głową, po czym wsunął laskę z mieczem pod wzmacniający płat z poliwęglanów, który miał przypięty do pleców, i on również zaczął się wspinać. Zanim pokonał trzy czwarte drogi na górę, miał wrażenie, że jego bicepsy eksplodują niczym balony z wodą, i zaplątał swoje motocrossowe buty w linę, by odpocząć. Ból w mięśniach ustąpił, zupełnie jakby bogowie dodali mu sił, i gdy podjął wspinaczkę, miał wrażenie, że naprawdę zyskuje moc Luminatusa. Dotarłszy do krawędzi burty, chwycił za jedną z kostnych podwiezi i podciągnął się, po czym usiadł okrakiem na relingu.

Odwrócił się i promień jego lampy czołowej pochwycił czarne lśnienie jej oczu. Trzymała Rysia jak kolbę kukurydzy. Pazurem przebiła mu czaszkę, unieruchamiając szczękę. Świecąca na czerwono maź spływała jej na twarz i piersi. Odgryzła kolejny kęs londyńskiego gwardzisty.

– Chcesz trochę, kochanku? – spytała. – Smakuje jak szynka.

\* \* \*

- Nie powinniśmy im powiedzieć? – spytała Lily.
- Oni nie wiedzą o nas. O tym. – Minty uniósł kalendarz. – Tylko Audrey.
- Więc nie powinniśmy powiedzieć jej?

Minty spojrział na Audrey, która drzemała na kanapie obok siostry Charliego i jednego z piekielnych ogarów. Wydawała się bardzo zadowolona.

- Nie. Nie sądzę, żeby to teraz czemuś posłużyło.
- To dobry facet – powiedziała Lily.

Oderwała papierowy ręcznik z rolki na blacie i osuszyła oczy, nie chcąc, by rozmazany tusz znowu zrobił z niej szopa pracza.

- Wiem – odrzekł Minty. – To mój przyjaciel.

W tym momencie poczuł, że coś ciągnie go za nogawkę. Spojrział w dół i napotkał wzrok Sophie.

- Ej, masz samochód? – spytała.
- Tak, mam.
- Możemy się przejechać?

\* \* \*

Charlie bez chwili wahania wyciągnął zza pleców laskę z mieczem i wymierzył cios w nadgarstek Morrigan. Upuściła Rysia, który z wrzaskiem przebiegł przez pokład i wskoczył na reling po drugiej stronie. Morrigan złapała laskę i próbowała ją wyrwać Charliemu. Pozwolił jej na to uwalniając miecz, którym następnie pchnął ją w splot słoneczny tak mocno, że pięścią trafił Morrigan w żebra, a ostrze wyszło plecami, grzęznąc w drewnianym kadłubie szalupy ratunkowej, o którą się opierała. Przez ułamek sekundy znalazł się z nią twarzą w twarz.

- Tęskniłeś? – spytała.

Odturlał się w chwili, gdy się na niego zamachnęła. Uniósł rękę w samą porę, by osłonić twarz przed ciosem. Gruby płat z poliwęglanów na przedramieniu osłonił rękę, którą inaczej odcięłyby szpony. Chciała się na niego rzucić, ale miecz przyszpilił ją do szalupy. Charlie pobiegł przez pokład, jak najdalej od niej, podczas gdy Morrigan krzyczała w bezsilnej wściekłości.

Ujrzał światło. Sączyło się zza drzwi, które musiały prowadzić do kabiny na rufie – znajomy czerwony blask i Charlie zrozumiał, że jego źródłem na pewno są naczynia duchowe. Dusza Rachel mogła wciąż tam być. Znajdował się ledwie o krok od włazu, gdy tuż przed nim wylądował olbrzymi kruk i rozłożył skrzydła, jakby chciał zatarasować przejście do jednej z części statku. Charlie cofnął się i

wyciągnął pistolet Desert Eagle. Usiłował powstrzymać drżenie ręki, gdy go odbezpieczał. Ptak zamachnął się na niego dziobem, lecz mężczyzna odskoczył. Wtedy dziób skurczył się i przeobraził w twarz kobiety – ale skrzydła i szpony pozostały ptasie.

– Nowe Mięso – powiedziała Macha. – Co za odwaga, że tu przyszedłeś.

Pociągnął za spust. Z lufy trysnęła trzydziestocentymetrowa struga ognia, a Charlie poczuł się tak, jakby ktoś walnął go młotkiem w rękę. Wydawało mu się, że celuje dokładnie między oczy, ale pocisk przeszedł przez szyję, odrywając kawał czarnego mięsa. Jej głowa przechyliła się, a krucze ciało zamachało skrzydłami w jego stronę.

Upadł na plecy, ale znów uniósł pistolet i strzelił jeszcze raz, gdy kruk się doń zbliżał. Tym razem trafił w środek piersi, odrzucając Morrigan w tył, na dach kabiny.

Dzwoniło mu w uszach, jakby ktoś zamontował w jego głowie kamertony i tłukł w nie pałeczkami perkusyjnymi – przeciągły, bolesny, wysoki dźwięk. Ledwie usłyszał krzyk po swojej lewej stronie, gdy inna Morrigan usiadła na olinowaniu za jego plecami. Przeturlał się do relingu i uniósł broń w chwili, gdy chlasnęła go w twarz. Główną siłą uderzenia przyjął pistolet i osłona przedramienia, ale desert eagle wyleciał mu z ręki i zaczął sunąć po pokładzie.

Charlie skoczył na równe nogi i pobiegł za pistoletem. Nemain machnęła za nim pazurami i usłyszał syk, gdy jad trafił w poliwęglanową osłonę kręgosłupa i zaczął palić pokład po obu stronach. Charlie zanurkował po pistolet, próbując się przeturlać i wstać z wycelowaną bronią, ale źle oszacował odległość i kostny reling wbił mu się pod kolana. Skoczyła, szponami naprzód, i uderzyła go w pierś w momencie, gdy desert eagle wystrzelił. Charlie poleciał w tył nad burtą.

Spadł płasko na wodę. Powietrze z jego ciała eksplodowało i poczuł się tak, jakby uderzył go autobus. Nie mógł oddychać, ale widział i czuł swoje kończyny. Po kilku sekundach rżenia złapał w końcu oddech.

– Jak tam idzie? – spytał Rysio, mniej więcej pół metra od jego głowy.

– Dobrze – odparł Charlie. – Uciekają w popłochu.

Rysio miał sporą dziurę wygryzioną w torsie i mundur w strzępach, ale poza tym wydawało się, że jest w niezłym nastroju. Trzymał w ramionach desert eagle, niczym najdroższe dziecko.

– Myślę, że będzie ci \_otrzebny. Ostatni strzał był celny. Oderwałeś jej niemal \_ołowę czaszki.

– To dobrze – powiedział Charlie.



Wciąż miał trudności z oddychaniem. Czuł w piersiach palący ból i pomyślał, że może złamał żebro. Usiadł i popatrzył na ochraniacz na piersi. Szpony Morrigan przesunęły się po nim, ale widział jedno miejsce, gdzie pazur wniknął pod osłonę i trafił w pierś. Nie krwawił zbyt mocno, mimo to bolało jak diabli.

– Ciągłe atakują? – zapytał Charlie.

– Nie te dwie, które \_ostrzełeś. Nie wiemy, gdzie się \_odziała ta, w którą wbiłeś miecz.

– Zastanawiam się, czy dam radę drugi raz wejść po tej linii.

– To nie \_roblem – odparł Rysio.

Patrzył na sklepienie grotu, pod którym chmara piskliwych nietoperzy krążyła spiralnie wokół masztu. Nad nimi jednak łopotały skrzydła zupełnie innego stworzenia.

Charlie wziął pistolet od Rysia i dźwignął się na nogi, omal nie upadł, po czym złapał równowagę i cofnął się od kadłuba. Wokół siebie miał wiewiórkoludzi. Bummer rozpoczął kanonadę gniewnych szczęknięć.

Demon uderzył w wodę jakieś dziesięć metrów od niego. Charlie poczuł, że w gardle wzbiera mu krzyk, ale zdołał go powstrzymać. Stwór miał trzy metry wzrostu i skrzydła o dziesięciometrowej rozpiętości, łeb o rozmiarach beczki piwa, kształtem przypominający głowę byka, nie licząc szczęk – drapieżnych, pełnych zębów, wyglądających jak połączenie rekina i lwa. Oczy świeciły mu na zielono.

– Złodziej dusz!!! – ryknął. Złożył skrzydła za grzbietem i ruszył w stronę Charliego.

– To chyba ty, co? – odparł Charlie, który nadal ledwo dyszał. – Ja jestem Luminatusem.

Demon zatrzymał się. Charlie wykorzystał tę chwilę wahania, by unieść pistolet i strzelić. Pocisk trafił potwora w ramię i obrócił go w bok. Demon odwrócił się z powrotem i zaryczał.

Charlie poczuł jego cuchnący zgniłym mięsem oddech, cofnął się i strzelił jeszcze raz, choć ręka zdrętwiała mu już 1 kolejnych odrzutów wielkiej broni. Trafiony pociskiem demon cofnął się o krok. W górze rozległy się piskliwe krzyki radości.

Charlie strzelał raz po raz. Kule wrywały krateru w piersi demona, który się zachwiał, a potem opadł na kolana, mężczyzna wycelował i znowu nacisnął spust. Rozległ się cichy trzask.

Cofnął się jeszcze o kilka kroków i usiłował sobie przypomnieć, co mówił mu Minty o zmianie magazynka. Zdołał nacisnąć przycisk, uwalniając pusty

magazynek, który pluskiem wpadł do wody. Potem odpiął jedną z kieszeni pod pachą, by wyjąć dodatkowy magazynek, który jednak wyleciał mu z ręki i też znalazł się w jeziorze. Kiloro wiewórkoludzi z Rysiem na czele pognało naprzód i zaczęło nurkować, szukając magazynka.

Demon znowu ryknął, rozpostarł skrzydła, machnął mi potężnie i stanął na nogach.

Charlie wydobył drugi magazynek i drżącymi rękami zdołał wsunąć go w pistolet. Potwór przykucnął, jakby się przeżył do skoku. Mężczyzna przesunął nabój do komory i niemal jednocześnie nacisnął spust. Demon upadł, gdy wielki pocisk oderwał mu kawał uda.

– Dobra robota, Mięso! – dobiegł z góry kobiecy głos.

Charlie na chwilę podniósł wzrok, ale potem znów popatrzył na byczogłowego demona, który wstał już z powrotem. Wolną dłonią przytrzymał nadgarstek i strzelił, i jeszcze raz, idąc naprzód i pakując kule w pierś potwora. Przy każdym wystrzale czuł, że odrzut rozwali mu nadgarstek, aż w końcu iglica trzasnęła w pustej komorze. Zatrzymał się, zaledwie półtora metra od demona, gdy ten runął, padając pyskiem w wodę. Charlie wypuścił broń z ręki i opadł na kolana. Wydało mu się, że grota przed nim faluje.

Siostry Morrigan wylądowały po jego trzech stronach. Każda ścisnęła w szponach naczynie duchowe i pocierała nim swoje rany.

– To było świetne, kochanku – powiedziała ta, która stała najbliżej padłego demona.

Charlie rozpoznał w niej znajomą z zaufka. Rana kłuta, którą zadał jej mieczem w brzuch, goiła się na jego oczach. Morrigan kopnęła ciało byczogłowego demona.

– Widzisz, mówiłam, że pistolety są do dupy.

– Naprawdę nieźle się spisałeś, Mięso – powiedziała ta z prawej. Szyja wciąż jej się zrastała. To właśnie ją posłał na dach kabiny.

– Wiecie co? Odradzacie się z wdziękiem kojota z kreskówki – powiedział Charlie. Uśmiechnął się, czując się jak pijany, jakby patrzył na to wszystko z daleka.

– Jaki on słodki – powiedziała harpia, z którą miał przyjemność w zaufku owego feralnego wieczoru. – Mogłabym go zjeść.

– Dla mnie bomba – odparła ta po lewej, której głowa była wciąż lekko przechylona.

Charlie zobaczył cieknący z jej pazurów jad, po czym zerknął na ranę pod swoim ochraniaczem klatki piersiowej.

– Tak, skarbie – powiedziała pierwsza. – Obawiam się, że Nemain cię dziabnęła. Niezły z ciebie wojownik, skoro wytrzymałeś tak długo.

– Jestem Luminatusem – odrzekł Charlie.

Morrigan wybuchły śmiechem, a ta, która stała przed im, wykonała kilka tanecznych kroków. W tej samej chwili byczogłowy demon podniósł łeb z wody.

– To ja jestem Luminatusem – powiedział. Między zębami spływała mu czarna maź i woda.

Morrigan przestała tańczyć, złapała demona za jeden rógów i odciągnęła mu głowę w tył.

– Myślisz? – spytała. Potem zatopiła szpony w jego krtani.

Obrócił się, wyrzucając ją na sześć metrów w powietrze. Uderzył o kadłub statku.

Morrigan, która była za Charliem, poklepała go po głowie.

– Zaraz do ciebie wrócimy, mój drogi. Jestem Macha, to my jesteśmy Luminatusem, albo zaraz będziemy.

Morrigan rzuciły się na byczogłowego demona, ciosani szponów wrywając z jego ciała wielkie kawały mięsa i kości. Dwie wzbily się w powietrze i atakowały stwora, który wymachiwał rękami, czasami nawet trafiając. Był jednak zbyt osłabiony postrzałami, by skutecznie walczyć. Po dwóch minutach było po wszystkim, a jego ciało zostało odarte z większej części mięsa. Macha ścisnęła jego rogi, jakby trzymała kierownicę motocykla, choć demon dalej kłapał zębami, chwytając tylko powietrze.

– Twoja kolej, złodzieju dusz – powiedziała Macha.

– Tak, twoja – potwierdziła Nemain, obnażając pazury.

Macha trzymała głowę demona przed sobą, kierując ją w stronę Charliego. Mężczyzna cofnął się, gdy szczęki kłapnęły tuż przy jego twarzy.

– Chwileczkę – powiedziała Babd.

Dwie pozostałe zatrzymały się i odwróciły do siostry, stojącej nad tym, co zostało z ciała stwora.

– Nie udało nam się dokończyć.

Zdążyła zrobić krok, gdy coś uderzyło w nią niczym kula ciemności, odpychając ją gwałtownie. Charlie spojrzał na przybliżającą się głowę demona, a potem rozległo się cmoknięcie i Macha poleciała w bok, jakby miała przymocowaną do kostek linę bungie.

Znowu rozległy się wrzaski i Charlie zobaczył Morrigan, którymi rzucało w ciemnościach na wszystkie strony. Rozlegały się pluski i zapanował chaos –

mężczyzna nie nadążał za wydarzeniami. Nie mógł skupić wzroku.

Spojrzał na Nemain, która teraz ruszyła na niego z ociekającymi jadem szponami. Kątem oka dostrzegł małą rączkę i głowa Morrigan rozpadła się na tysiąc gwiazd, a przynajmniej tak to wyglądało.

Popatrzył w stronę, z której pojawiła się rączka.

– Cześć, tato – powiedziała Sophie.

– Cześć, maleńka.

Teraz już rozumiał, co się dzieje – piekielne ogary rzuciły się na Morrigan. Jedna z nich wyrwała się, wyskoczyła górę i rozłożyła skrzydła, po czym z wrzaskiem zanurkowała ku Sophie.

Mała uniosła rączkę, jakby robiła „pa, pa”, i harpia zmieniła się w deszcz czarnej mazi. Dusze, tysiące dusz, które pochłonęła przez tysiąclecia, wzbiły się w powietrze. Czerwone światełka krążyły po grocie i wydawało się, że właśnie trwa w niej pokaz fajerwerków.

– Nie powinnaś tu przychodzić, skarbie – powiedział Charlie.

– Właśnie, że powinnam – odparła mała. – Musiałam to sprawić, odesłać je wszystkie. Jestem Luminatusem.

– Ty...

– Tak – powiedziała obojętnie tym głosem Pana Całej Śmierci i Ciemności, który u sześciolatki potrafi być taki drażniący.

Piekielne ogary stały nad ostatnią Morrigan i na oczach Charliego rozrywały ją na strzępy.

– Nie, skarbie – powiedział Charlie.

Sophie uniosła rączkę i Babd wyparowała jak tamte, uwolnione dusze wystrzeliły niczym iskry z ogniska.

– Chodźmy do domu, tato – zaproponowała Sophie.

– Nie – powiedział, niemal nie mogąc utrzymać głowy górze. – Musimy coś odzyskać.

Zachwiał się w przód i zaraz jeden z piekielnych ogarów znalazł się przed nim, by go podtrzymać. Cała armia wiewiórkoludzi wychodziła sprzed dziobu statku. Każdy niósł naczynie duchowe zabrane z kabiny.

– To? – spytała Sophie.

Wzięła płytę kompaktową od Rysia i podała ją Charliemu.

Obrócił ją w dłoniach i przycisnął do piersi.

– Wiesz, co to jest, kochanie?

– Tak. Chodźmy do domu, tato.

Charlie upadł na grzbiet Alvina. Sophie i wiewiórkoludzie podtrzymywali go, dopóki nie wyszli z Zaświatów.

Minty Fresh zaniósł go do samochodu.

\* \* \*

Lekarz przyszedł i poszedł. Gdy Charlie odzyskał zmysły, leżał w swoim łóżku, a Audrey ocierała mu czoło wilgotną ściereczką.

– Cześć – powiedział.

– Cześć – odrzekła.

– Sophie ci powiedziała?

– Tak.

– One tak szybko rosną – powiedział.

– Tak. – Audrey uśmiechnęła się.

– Znalazłem to. – Sięgnął pod ochraniacz na piersi i wyciągnął płytę Sarah McLachlan, która pulsowała czerwonym światłem.

Audrey skinęła głową i wyciągnęła rękę po płytę.

– Połóżmy ją tutaj, żebyś miał ją na oku. – Gdy tylko jej palce dotknęły plastikowego pudełka, blask zgasł. Audrey zadrżała.

– Ojej – powiedziała.

– Audrey. – Charlie próbował usiąść, ale ból znowu ściągnął go na łóżko. – Uch. Audrey, co się stało? Zabrały ją? Zabrały jej duszę?

Popatrzyła na swoją klatkę piersiową, a potem znowu na niego. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Nie, Charlie, to ja – powiedziała.

– Ale dotykałaś jej już wcześniej, wtedy w spiżarni. Dlaczego wtedy nic się nie stało?

– Widocznie nie byłam gotowa.

Charlie wziął ją za rękę i ścisnął, a potem ścisnął jeszcze raz, znacznie mocniej, niż chciał, gdy przeszła go fala bólu.

– Cholera – jęknął. Zaczął ciężko dyszeć, szybko, wyglądało to jak hiperwentylacja.

– Myślałem, że to wszystko mrok, Audrey. Wszystkie te duchowe sprawy budziły lęk. Dzięki tobie przejrzałem na oczy.

– Cieszę się – powiedziała.

– Może powinienem przespać się z poetką, żeby zrozumieć, jak sprowadzać

świat do słów.

– Tak. Myślę, że masz duszę poety, Charlie.

– Powiniennem się też kochać z malarką, żeby poczuć pociągnięcia pędzla, przejąc jej barwy, faktury i naprawdę widzieć.

– Tak – powiedziała Audrey, przeczesując mu włosy palcami. – Masz taką wspaniałą wyobraźnię.

– Myślę – zaczął Charlie. Jego głos stawał się coraz wyższy, a oddech coraz cięższy. – Myślę, że powinienem iść do łóżka z uczoną, żeby zrozumieć mechanikę świata, poczuć ją w głębi swojego ciała.

– Tak, wtedy czułbyś świat – odparła Audrey.

– Z dużymi cymami – dodał, z bólu wyginając plecy w łuk.

– Oczywiście, mój mały – powiedziała Audrey.

– Kocham cię, Audrey.

– Wiem, Charlie. Ja też cię kocham.

A potem Charlie Asher, mąż Rachel, brat Jane, ojciec Sophie (Luminatusa, władającego Śmiercią), ukochany Audrey, Handlarz Śmiercią i dostawca wysokiej jakości używanych ubrań i drobiazgów, wydał ostatnie tchnienie i umarł.

Audrey uniosła wzrok i zobaczyła wchodzącą do pokoju Sophie.

– On odszedł, Sophie.

Mała położyła dłoń na czole Charliego.

– Pa, tato – powiedziała.

## **Epilog**

### **DZIEWCZYNY**

W Mieście Dwóch Mostów wszystko się ułożyło i wszyscy mroczni bogowie, którzy powstawali, by zawładnąć światem, przypomnieli sobie, gdzie jest ich miejsce, po czym wrócili w głąb Zaświatów.

Jane i Cassie wzięły ślub cywilny, który w ciągu kolejnych lat był kilkakrotnie unieważniany i sankcjonowany, mimo to były szczęśliwe, a w ich domu zawsze rozbrzmiewał śmiech.

Sophie zamieszkała z ciociami Jane i Cassandrą. Wyrośnie na wysoką i piękną kobietę, a w końcu zajmie miejsce należne Luminatusowi, na razie jednak chodziła do szkoły, bawiła się z pieskami i miło spędzała czas, czekając, aż przyjdzie po nią tata.

### **LUDZIE ZE SKLEPÓW**

Choć Minty Fresh wierzył w porzekadło, że każda chwila jest jak kryzys, wiara ta miała charakter raczej akademicki, do czasu gdy zaczął się spotykać z Lily Severo i gdy nabrała charakteru zdecydowanie praktycznego. Jego życie zyskało kilka punktów w skali „ciekawe” do tego stopnia, że kariera Handlarza Śmierci stała się najbardziej prozaicznym z jego epizodów. Stali się znani w mieście, wielkolud w pastelowej garniturze w towarzystwie niskiej, mrocznej kucharki. Ale na dobre zauważono ich wtedy, gdy otworzyli Pizzerię Jazzową na North Beach, w miejscu gdzie kiedyś mieścił się Komis Ashera.

Jeśli chodzi o Raya Macy’ego, inspektor Rivera poznał go z właścicielką lombardu z Fillmore, która nazywała się Carrie Lang. Między nimi niemal natychmiast zaiskrzyło – łączyło ich zamiłowanie do filmów kryminalnych i broni krótkiej, a także głęboka nieufność wobec większej części ludzkości. Ray był bardzo zakochany i zgodnie ze swoją naturą samca beta był jej wierny jak pies, choć w duchu zawsze podejrzewał, że jest seryjną zabójczynią.

### **RIVERA**

Inspektor Alphonse Rivera przez większość życia próbował zmienić swoje życie. Pracował w kilku różnych komisariatach, na kilku różnych stanowiskach, i chociaż był bardzo dobrym gliną, zawsze najwyraźniej próbował się stamtąd

wyrwać. Po sprawie z Handlarzami Śmierci i dziwnych, związanych z tym wydarzeniach, był po prostu wyczerpany. Na krótki czas odszedł ze służby i otworzył antykwariat z rzadkimi książkami. Czuł, że był to chyba jedyny okres w jego życiu, gdy był naprawdę szczęśliwy. Teraz, w wieku czterdziestu jeden lat, mógł spróbować znowu: przejść na wcześniejszą emeryturę, czytać i żyć w spokojnym świecie książek.

Dlatego ucieszył się, gdy dwa tygodnie po śmierci Charliego Ashera znalazł w skrzynce na listy grubą kopertę, w której mogła być jedynie książka. To znak, myślał, siadając przy kuchennym stole i otwierając przesyłkę. Rzeczywiście, była to książka – wyglądała jak bardzo rzadka i dziwna to książka dla dzieci. Otworzył ją na pierwszym rozdziale. „A zatem jesteś Śmiercią. Oto, czego ci potrzeba”.

### **CESARZ**

Cesarz z radością powitał powrót żołnierzy i do końca swoich dni sprawował rządy nad San Francisco. Za doprowadzenie Charliego do Zaświatów i niezmierną odwagę Bummer otrzymał od Luminatusa siłę i wytrzymałość piekielnego ogara. Cesarz nie umiał wyjaśnić, jakim cudem jego nagle czarny towarzysz – który nawet przemoknięty nie ważył więcej niż trzy kilogramy – potrafi prześcignąć geparda i przegryźć opony w toyocie.

### **AUDREY**

Audrey dalej pracowała w ośrodku buddyjskim i szyła kostiumy dla miejscowej grupy teatralnej, ale podjęła też ochotniczą pracę w hospicjum, gdzie pomagała ludziom przejść na drugą stronę, co wcześniej przez tyle lat czyniła w Tybecie. Hospicjum jednak dawało jej też dostęp do ciał, z których niedawno uleciały dusze. Korzystała z tej okazji, by wprowadzić wiewiórkoludzi z powrotem w ludzki cykl narodzin i odrodzenia. Przez jakiś czas w San Francisco notowano wiele przypadków pacjentów, którzy odzyskiwali zdrowie mimo śmiertelnych chorób, Audrey bowiem praktykowała *phowę nieumierania*.

Nie do końca odpuściła sobie tworzenie wiewiórkoludzi, bo zdobycie tej umiejętności kosztowało wiele czasu i pracy, a do tego nadal mogło przynosić dużą satysfakcję. A przynajmniej odczuwała ją, patrząc na swoje najnowsze arcydzieło w pokoju medytacji w Ośrodku Buddyjskim Trzy Klejnoty. Miał pysk krokodyla – sześćdziesiąt osiem ostrych zębów i oczy, które błyszczały jak czarne szklane paciorki. Jego ręce były łapami drapieżcy, zbrojnymi w zakrzywione pazury, pokryte skorupą zakrzepniętej krwi. Palce nóg, połączone błoną, jak u wodnego



ptaka, były zakończone pazurami do wygrzebywania zdobyczy z błota.

Miał na sobie fioletową szatę z jedwabiu, obszytą sobolowym futrem, a do tego dopasowany kapelusz czarodzieja z gwiazdą ze złotej nici.

– To tylko na jakiś czas, dopóki kogoś nie znajdziemy – mówiła. – Ale słowo daję, wyglądasz wspaniale.

– Wcale nie. Mam tylko trzydzieści pięć centymetrów wzrostu.

– Tak, ale dołożyłam ci dwudziestopięciocentymetrową pytę.

Rozsunął szatę i spojrzał w dół.

– No, proszę – powiedział Charlie. – Ładna.

## Nota od Autora i podziękowania

Jak w wypadku każdej innej książki, mam dług wdzięczności wobec tych, którzy przyczynili się do jej zainspirowania, jak i wobec tych, którzy bezpośrednio pomogli w wyszukiwaniu informacji i pracy nad tekstem.

Za inspirację dziękuję z głębi serca krewnym i przyjaciołom Patricii Moss, którzy dzielili się ze mną swoimi myślami i uczuciami, gdy Pat odchodziła. Dziękuję też osobom pracującym w hospicjum na wszelkich stanowiskach, dziennie poświęcającym czas i serce umierającym i ich rodzinom.

Miasto San Francisco zawsze stanowi inspirację i jestem wdzięczny mieszkańcom, że pozwolili mi łączyć po swoich dzielnicach i byli wyrozumiali wobec moich kpin. Choć starałem się oddać atmosferę dzielnic San Francisco, doskonale wiem, że konkretne miejsca przedstawione w książce, łącznie sklep Charliego i Ośrodek Buddyjski Trzy Klejnoty, nie znajdują się pod wskazanymi adresami. Jeśli uznasz, że koniecznie musicie do mnie napisać i poinformować mnie o tych nieścisłościach, poczuję się zmuszony zwrócić uwagę, że na North Beach nie znajdziecie też ogromnych, wszystkożernych piekielnych ogarów.

Nie wchodziłem do kanałów, by sprawdzić szczegóły rozgrywających się tam scen, głównie dlatego, że to KANAŁY! San Francisco należy do nadbrzeżnych miast, w których kanały burzowe i ściekowe są połączone w jeden system – całkowicie zignorowałem ów fakt podczas opisywania tego podziemnego świata.

Jeśli naprawdę bardzo was interesuje, jak jest w kanałach, no to – wiecie – uuuch. Po prostu uwierzcie mi na słowo, że to wszystko mogło się tam zdarzyć, i nie psujcie sobie lektury przesadną dbałością o szczegóły. W tej książce występuje wiewiórka w sukni balowej, na miłość boską, więc odpuśćcie sobie kwestię kanałów. Jeśli chodzi o inne merytoryczne faux pas: nie wiem, czy naprawdę można obciąć dziecku głowę za pomocą elektrycznych szyb cadillaca eldorado z 1957 roku – uznałem po prostu, że dla książki będzie to fajne. Proszę, nie sprawdzajcie tego w domu.

Szczerze dziękuję Monique Motil – wiewiórkołodzi wymyśliłem, zainspirowany jej zdumiewającymi dziełami. Na jej rzeźby, które sama nazywa Stworzeniami Krawieckimi, natrafiłem w Paxton Gate, galerii w dzielnicy Mission w San Francisco, i byłem tak oczarowany ich makabryczną dziwacznością, że napisałem do Monique i zapytałem, czy mogę je ożywić w *Brudnej robocie*. Uprzejmie mi na to zezwoliła. Możecie obejrzeć sztukę Monique pod adresem

<http://www.moniquemotil.com/sartcre.html>. Możecie też poczytać o jej pobocznej karierze piosenkarki w barze dla zombie (nie żartuję), a także o jej pasji, polegającej na przydawaniu zombie zmysłowej powagi, którą wampiry mogą się zachwycać na [zombiepinups.com](http://zombiepinups.com).

Dziękuję Betsy Aubrey za jej tekst „Mężczyzn lubię takich, jaką lubię herbatę – słabych i zielonych”. Gdy to usłyszałem, musiałem umieścić to w książce. (I dzięki dla Sue Nash, której herbata była rzeczywiście słaba i zielona).

Za przesłanie mi ratunkowej paczki książek o buddyzmie tybetańskim i *phowie* w czasie, gdy byłem pod pistoletem i skończyły mi się źródła, dziękuję Rodowi Meade’owi Sperry’emu z Wisdom Press.

Za dokarmianie mnie na podziękowania zasłużył mój agent, Nick Ellison, a także Abby Koons i Jennifer Cayea z Nicholas Ellison Inc.

Dziękuję też swojej genialnej redaktorce, Jennifer Brehl, która sprawia, że wyglądam mądrze, a nie czuję się głupio. Wielkie dzięki dla następujących osób: Michaela Morrisona, Lisy Gallagher, Mike’a Spradlina, Jacka Womacka, Leslie Cohen, Dee Dee DeBartolo i Debbie Stier – wszyscy podtrzymywali we mnie wiarę i pokazywali książki Wam, Czytelnikom.

I jak zwykle dziękuję Charlee Rodgers za jej tolerancję i wyrozumiałość, gdy pisałem tę książkę, a także nadzwyczajną odwagę i współczucie podczas opieki nad obiema naszymi umierającymi matkami – te wydarzenia pomogły ukształtować duszę tej opowieści.